



UMIERA
SIĘ
TYLKO RAZ

ROBERT
DUGONI

ALBATROS

CZWARTA POWIEŚĆ Z DETEKTYW TRACY CROSSWHITE

BESTSELLER #1 „WALL STREET JOURNAL”

KSIĄŻKA AUTORA DWA RAZY NOMINOWANEGO DO
NAGRODY HARPER LEE I DWUKROTNEGO FINALISTY
KONKURSU ITW NA NAJLEPSZY THRILLER ROKU

ZANIM ZACZNIE SZUKAĆ ZABÓJCY, MUSI ODKRYĆ, KIM
JEST OFIARA...

W wodach zatoki w pobliżu Seat t le zostają znalezione – w pułapce na kraby – zwłoki kobiety zabitej strzałem w głowę. Sekcja zwłok ujawnia, że ofiara zrobiła wszystko, by ukryć swoją tożsamość. Mimo kil ku tropów, za którymi podąża detektyw Tracy Crosswhite, dochodzenie posuwa się wolno – jak niegdyś śledztwo w sprawie śmierci jej siostry. Przełom następuje dopiero wtedy, gdy okazuje się, że ofiarą mogła być Andrea Strickland, która jakiś czas temu zaginęła podczas górskiej wspinaczki, czy raczej upozorowała swoje zniknięcie. Ale im bardziej Tracy zagłębia się w jej przeszłość, tym więcej pojawia się pytań.

ROBERT DUGONI

UMIERA
SIĘ
TYLKO RAZ

Z angielskiego przełożył
Lech Z. Żołądziowski

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

ROBERT DUGONI

Amerykański pisarz urodzony w 1961 r. Po uzyskaniu licencjatu z dziennikarstwa na Uniwersytecie Stanforda współpracował m.in. z „Los Angeles Times”. Następnie ukończył prawo na Uniwersytecie Kalifornijskim i przez 13 lat pracował w kancelarii adwokackiej w San Francisco, zanim całkowicie poświęcił się pisarstwu. Autor osiemnastu powieści, z których dwie były nominowane do Nagrody Harper Lee. Dwukrotnie wyróżniony przez Pacific Northwest Writer’s Association i zdobywca wielu innych prestiżowych nagród.

Książki Dugoniego zostały przetłumaczone na kilkanaście języków i opublikowane w ponad 20 krajach.

Umiera się tylko raz jest czwartą z cyklu książek z detektyw Tracy Crosswhite. Pierwsza, **Grób mojej siostry**, nominowana do Nagrody Harper Lee, została uznana przez International Thriller Writers za najlepszą książkę w tym gatunku.

ROBERTDUGONI.COM

Tego autora

GRÓB MOJEJ SIOSTRY
JEJ OSTATNI ODDECH
NA POLANIE WISIELCÓW
UMIERA SIĘ TYLKO RAZ

Tytuł oryginału:
THE TRAPPED GIRL

Copyright © Robert Dugoni 2017
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Lech Z. Żołędziowski 2019

Redakcja: Marta Gral

Zdjęcie na okładce: © Dave Wall/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Meszka

ISBN 978-83-8125-556-1

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) |

[Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

*Doktorowi Joemu Doucette.
Brak mi słów na wyrażenie wdzięczności za Twój czas, wiedzę
i pomoc.
Do zobaczenia po dziewięćdziesiątce.*

*Nawet byle pies czuje, kiedy ktoś się
o niego potyka, a kiedy go kopie.*

Sędzia Oliver Wendell Holmes Jr

Rozdział 1

*Seattle, stan Waszyngton
sobota, 24 czerwca 2017*

Kurt Schill przeciągnął czterometrową aluminiową łódź po dróźnie z belek ułożonych na plaży, żeby nie szorować dnem po żwirze. Dbał o stan swojego najnowszego nabytku, ale jeszcze bardziej chodziło mu o to, by nie narażać się mieszkańcom apartamentowców nad wąskim przesmykiem do cieśniny Puget. Hałasowanie o wpół do piątej rano nie byłoby przez nich mile widziane. Mogliby donieść policji, że przeciąga łódkę po deptaku, a on nie miałby nic na swoje usprawiedliwienie. O tym, że dróżka była przeznaczona wyłącznie dla spacerowiczów, informowały liczne tablice ostrzegawcze.

Schill zszedł do wody i przez gumowce poczuł, jak w wodzie cieśniny, o temperaturze poniżej ośmiu stopni, drętwieją mu nogi. Zepchnął łódź i wskoczył do środka, boleśnie uderzając kolanem w burtę; gwałtownie kołysał się na boki, póki nie udało mu się usadowić pośrodku i złapać równowagi. Ale i tak dzięki kadłubowi w kształcie litery V łódź była dużo stabilniejsza od jego poprzedniej łódki z włókna szklanego, którą przy wietrze trudno było manewrować. Wiedział, że musi odpłynąć trochę od brzegu, nim odpali sześciokonny silnik Hondy i uzyska pełną kontrolę nad łodzią.

Wsunął drewniane wiosła w dulki i wsłuchując się w ciche plaskanie piór i stukot dulek, niemal bezgłośnie odpłynął od brzegu. Aluminiowy kadłub ślizgał się gładko po smoliście

czarnej wodzie cieśniny. To również podobało mu się w nowym nabytku. Zbierał na tę łódź pieniądze i kupił ją wraz z przyczepą z ogłoszenia w internecie za dwa tysiące dolarów – płacąc pięćset więcej, niż zakładał – pożyczwszy brakującą kwotę od ojca i wiedząc, że będzie musiał mu ją oddać. Liczył, że zaoszczędzi na opłatach pobieranych w miejscowych marinach i złowi więcej krabów. Władze ustaliły wprowadzić limit połowu na pięć kieszeńców na osobę, ale Schill nie zamierzał się tym przejmować. Miał stałych odbiorców wśród restauratorów, którzy płacili żywą gotówką z ręki do ręki.

Wiosłował w stronę Blake Island, wystającego z wody dużego czarnego garbu, choć na tle wznoszących się za nim znacznie większych wysp Bremerton i Vashon wyglądał na niewielki. Na północy widać było światła promu pełznącego na wschód z Bremerton do Seattle; z daleka przypominał świecącego owada wodnego. Pod kamizelką ratunkową Schillowi spływały po piersiach krople potu i znikwały pod sięgającymi brzucha waderami. Było tak gorąco, że z przyjemnością wystawiał twarz i kark na chłodzące podmuchy wiatru.

Kilkaset metrów od brzegu odłożył wiosła i przesunął się na tył łodzi. Przypiął do kamizelki linkę wyłącznika awaryjnego, trzykrotnie ścisnął gumową bańkę na przewodzie paliwowym, by wpompować paliwo do silnika, ustawił przepustnicę i pociągnął rozrusznik. Silnik zaskoczył, zakasłał i zgasł. Schill upewnił się, że dźwignia i przepustnica są prawidłowo ustawione, i ponownie szarpnął linkę. Silnik przez chwilę się dławił, po czym wydał z siebie zdrowy warkot.

Zgodnie z obowiązującym prawem łowić kraby o tej porze roku mogli tylko członkowie plemion rdzennych Amerykanów, a kary dla nieprzestrzegających przepisów były naprawdę dotkliwe, ale Schill pod koniec ubiegłego sezonu natknął się na naprawdę obfite łowisko i nie mógł się już doczekać sprawdzenia, czy jego znalezisko jest wciąż tak samo zasobne. By uniknąć przyłapania na kłusowaniu, stawiał kosze już po zachodzie słońca i zbierał je jeszcze przed wschodem, ale i tak

mocno ryzykował, a pływanie bez świateł zwiększało ryzyko zderzenia z inną łodzią lub pływającą w wodzie kłodą. Jedno i drugie mogło się skończyć tragicznie.

Przesunął rumpel do końca w prawo i łódź ostro skręciła, po czym wystrzeliła do przodu, zostawiając za sobą głęboki kilwater. Cudownie!

Schill dopłynął do swojego łowiska, przymknął przepustnicę i zwolniwszy, rozejrzał się za rozłupanym drzewem będącym jego znakiem rozpoznawczym. Dojrzał je, ustawił bieg na jałowy i wpatrzył się w powierzchnię wody w poszukiwaniu stożkowego zarysu swej czerwono-białej pławy. Nie mogąc jej wypatrzeć, zaniepokoił się. Członkowie miejscowych plemion zabierali sprzęt kłusownikom naruszającym ich prawa łowieckie.

Wyjął spod ławeczki latarkę i poświecił po wodzie. Za trzecim podejściem dostrzegł wreszcie tańczącą na falach pławę. Z ulgą podpłynął bliżej, uchwycił pierścień i zaczął ciągnąć za linkę do chwili, aż naprężyła się pod ciężarem kosza. Przełożył ją przez bloczek żurawika na tyle łodzi – kolejnego udogodnienia, którego na poprzedniej, tej z włókna szklanego, nie było – i zaczął ciągnąć linkę, pozwalając, by opadała na dno łodzi u jego stóp.

– Chodźcie tu, krabiki – mruknął pod nosem.

Potrafił ocenić wielkość połowu po ciężarze kosza, choć nie zawsze się to sprawdzało. Zdarzało mu się wyciągać ciężkie kosze i znajdować w nich rozgwiezdy, płastugi i inne denne ryby. Ten kosz był jednak najcięższy ze wszystkich i po chwili Schill poczuł, że ręce mdleją mu z wysiłku. Tak bardzo, że musiał uwiązać linkę i chwilę odsapnąć.

– Cholera – prychnął, czując znajome wiercenie w brzuchu w oczekiwaniu na wielką zdobycz.

Zaparł się nogami o burty łodzi, odwiązał linkę i od razu poczuł w rękach potężny ciężar kosza. Łódź przechyliła się na prawą burtę, wysięgnik żurawika pochylił się ku wodzie. Schill ocenił, że wybrał już jakieś dwadzieścia metrów linki, co znaczyło, że zostało mu jeszcze około pięciu. Ale coś było nie

w porządku. Linka wystawała z wody nie pionowo, tylko ukośnie pod kątem czterdziestu pięciu stopni, a to zwykle sygnalizowało zaczepienie o coś.

Cokolwiek to było, zbliżało się do powierzchni wody przed koszem, co nie wróżyło dobrze. Jeśli linka owinęła się wokół dużej kępy wodorostów lub leżącej na dnie starej kotwicy, trzeba będzie ją od tego uwolnić. Może się skończyć tym, że będzie musiał ją odciąć i straci kosz z całą zawartością. I żegnajcie, planowane zyski.

Raz jeszcze pociągnął, czując ból wszystkich mięśni. Krople potu spływały z czoła i zalewały mu oczy, a on potrząsał głową, próbując się ich pozbyć. W końcu pod powierzchnią wody zarysował się kształt pułapki na kraby. Była ledwo widoczna, ale wydała mu się kwadratowa. Jego kosz był ośmiokątny. Albo linka splątała się z linką innego kosza, albo pomylił pławy i wyciągnął cudzy kosz.

Uwiązał linkę i ostrożnie przesunął się na ławeczce.

Wysięgnik żurawika pochylił się ku wodzie o następne kilkanaście centymetrów. Schill ostrożnie chwycił naprężoną linkę i uważając, by nie przewrócić łodzi, zaczął ciągnąć kosz do burty. Udało mu się złapać jego krawędź i przyciągnąć go jeszcze bliżej. Drugą ręką sięgnął po latarkę i oświetlił wnętrze kosza.

Wyglądał na pełny, tylko czego?

Dostrzegł kępę wodorostów, rozgwiadę, ale także kilka żerujących krabów.

A potem zobaczył rękę.

Rozdział 2

Tracy Crosswhite zaparkowała swego pick-upa, forda F-150, na Beach Drive, zebrała blond włosy w koński ogon i ściągnęła je gumką. Ostatnio rzadko jej się zdarzało tak je nosić. Miała czterdzieści trzy lata i nie chciała być zaliczana do czterdziestolatek udających szczerbiotliwe, pełne energii dwudziestolatki, lecz o tak wczesnej porze nie tylko brakowało jej energii, ale było jej obojętne, jak wygląda. Zrezygnowała też z porannego prysznica i makijażu.

Włączyła funkcję dyktafonu w smartfonie i przewinęła wiadomości do początku, gdzie zapisała godzinę otrzymania informacji od Billy'ego Williamsa, jej zwierzchnika w Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych policji w Seattle. Wcisnęła przycisk nagrywania i powiedziała do mikrofonu: „Godzina piąta czterdzieści pięć. Jestem na Beach Drive przy Cormorant Cove”.

Williams zadzwonił do niej jakieś dwadzieścia minut wcześniej. Dyspozytor dostał zawiadomienie z numeru 911 o zwłokach znalezionych w cieśninie Puget, a na drzwiach jej boksu wisiała czaszka. Ludzka czaszka była oczywiście plastikowa, a koledzy w wydziale zabójstw używali jej do oznakowania boksów detektywów – w tym przypadku Tracy i jej partnera, Kinsingtona Rowe'a – pełniących nocny dyżur telefoniczny.

Billy Williams poinformował ją, że nie zna jeszcze wszystkich szczegółów i na razie wiadomo tyle, że ktoś zgłosił znalezienie zwłok w pobliżu Cormorant Cove, parę kilometrów od wynajmowanego przez Tracy domu w dzielnicy Admiral, w zachodnim Seattle. W rezultacie zjawiała się na miejscu przed

wszystkimi służbami, tuż po przyjeździe patroli policyjnych. Radiowozy stały po drugiej stronie ulicy, ustawione przodem w odwrotnym niż ona kierunku.

Tracy wysiadła z pick-upa i popatrzyła na niknący na jasnoniebieskim niebie blady zarys księżyca. Było już całkiem ciepło, co znaczyło, że czeka ją kolejny nieprzyjemnie upalny dzień. Z sześcioma dniami o temperaturach powyżej trzydziestu stopni, tegoroczny czerwiec zapowiadał się na najgorętszy w historii.

Tracy nagrała kolejną wiadomość. „Pogoda bezchmurna i bezwietrzna”. Rzuciła okiem na mapkę pogodową na smartfonie. „Dwanaście stopni w zachodnim Seattle”.

Była sobota i Tracy wiedziała, że wkrótce plaża i promenada zaroją się od ludzi z psami, osób uprawiających jogging i rodzin z dziećmi na porannych spacerach. Natknięcie się na zwłoki na plaży zepsułoby wszystkim atmosferę rozpoczynającego się weekendu.

Włożyła na głowę policyjną bejsbolówkę, przewlekła włosy przez wycięcie nad paskiem do regulacji obwodu i opuściła daszek nisko na oczy, po czym wzięła do ręki tubkę kremu przeciwsłonecznego z filtrem 50 i posmarowała nim rękę i ramiona, szyję, dekolt i twarz. Dwa miesiące wcześniej przeżyła moment paniki, kiedy w ramach rutynowych badań lekarz zauważył odbarwienie skóry w okolicach obojczyka. Poszła z tym zaraz do dermatologa, a ten stwierdził uszkodzenie naskórka, ale bez zmian rakowych. Przyjemności związane z wiekiem – zmarszczki, koniec płaskiego brzucha i smarowanie się kremem przed każdym wyjściem na słońce.

Podeszła do trzech czarno-białych radiowozów – dwóch sedanów i jednego SUV-a – które stały zaparkowane przed wjazdem na osiedle Harbor West. Budynki postawiono na wbitych głęboko palach i wychodzących w zatokę pomostach, co nadawało zupełnie nowy sens pojęciu „mieszkanie nad wodą”. Nie, dziękuję, pomyślała. Pierwsze poważniejsze trzęsienie ziemi mogło połamać te pale jak zapalki. Tylko że wynajmowany przez

nią dom stał na szczycie sześćdziesięciometrowego wzniesienia i też stanowił swoisty kompromis między widokiem a wygodą. Człowiek musi wybierać. Tu widok rzeczywiście był niesamowity. Cieśnina i widoczne w oddali wyspy Vashon i Bainbridge oraz dużo od nich mniejsza Blake Island tworzyły scenerię, która uzasadniała szokująco wysokie czynsze i ceny mieszkań w budynkach przy Beach Drive.

Stojący na deptaku funkcjonariusze policji przyglądali się, jak Tracy podchodzi do rozciągniętej czarno-żółtej taśmy policyjnej i nawet nie próbuje okazać odznaki policyjnej. Wiedziała, że po dwudziestu latach służby nawet bez policyjnego logo na wiatrówce i napisu POLICJA na otoku bejsbolówki bije od niej nieomylna pewność siebie doświadczonej policjantki.

– Tracy – powitała ją policjantka w mundurze.

Nie mówiąc o tym, że nadal była jedyną kobietą detektyw w wydziale zabójstw i niedawno dostała drugi Medal Zasługi za pokierowanie głośnym śledztwem i doprowadzenie do ujęcia seryjnego zabójcy nazywanego Kowbojem. Szczerze mówiąc, wcale nie zależało jej na rozgłosie. W komendzie policji Seattle już szeptano po kątach, że jakimś dziwnym zrzędzeniem losu wszystkie głośne sprawy kryminalne trafiają do niej i jej partnera. Podejrzenia, że kapitan Johnny Nolasco mógł ją w jakikolwiek sposób faworyzować, były całkowicie absurdalne. Relacje między nią a kapitanem były gorsze niż między kobietami w serialu telewizyjnym *Housewives of Wherever*.

– Witaj, Katie – rzuciła Tracy.

Katie Pryor pracowała w komisariacie Południowy Zachód i była jedną z wielu funkcjonariuszy, których Tracy szkoliła do egzaminu kwalifikacyjnego ze strzelania.

– Co u ciebie? – zapytała Pryor.

– Przydałoby się trochę więcej snu – odparła Tracy.

Machinalnie ogarniała już wzrokiem cały teren. Odnotowała prowadzący do wody i wyłożony drewnianymi belkami deptak i młodego mężczyznę, który stał obok wyciągniętej na brzeg aluminiowej łodzi rybackiej. Za łodzią ciągnęły się jakieś trzy

metry naprężonej linki, która znikwała w sinoszarej wodzie. Tracy zdziwiło, dlaczego wyciągnięta na piach łódź musi stać na kotwicy.

– Rozumiem, że to on zgłosił znalezienie ciała, tak? – upewniła się.

Pryor spojrzała przez ramię.

– Tak, nazywa się Kurt Schill.

Tracy powiodła wzrokiem po kamienistej plaży, pełnej kawałków drewna zbielałych od słońca i wody.

– A gdzie to ciało? – spytała.

– Podejdę z tobą – powiedziała Pryor.

Nagryzmoliwszy swoje nazwisko na liście obecności, Tracy przeszła pod taśmą. Pryor podała podkładkę z listą jednemu z policjantów.

Tracy zauważyła, że na plaży zaczyna się już zbierać tłumek gapiów.

– Usuńcie wszystkich, niech się wycofają na promenadę na grobli – zwróciła się do funkcjonariuszy z patroli. – Uprzedźcie, że plaża będzie zamknięta przez większość dnia. I dowiedzcie się, czy ktoś czegoś nie widział lub może coś wie. – Powiodła wzrokiem po Beach Drive i dostrzegła niebieski pick-up z przyczepą na łódź. – Jak się ich pozbędziecie, to spiszcie numery rejestracyjne wszystkich samochodów zaparkowanych na Beach Drive do Sześćdziesiątej Pierwszej Alei i dalej na Spokane Street.

Wiedziała, że obie ulice przecinają się z Beach Drive, tworząc trójkąt nierównoboczny, w którym Beach Drive stanowiła najdłuższy bok. Zdarzało się, że zabójca – jeśli mieli do czynienia z morderstwem – wracał na miejsce zbrodni, by obserwować rozwój wypadków.

Ruszyli w stronę brzegu. Po ciągu upalnych dni nad plażą unosił się solankowy zapach. Jeden z mundurowych biedził się z wbiciem kołka w kamieniste podłoże, zapewne po to, by przeciągnąć do niego taśmę policyjną i zamknąć obwód w kształcie litery U.

– Mieliśmy telefon z dyspozytorni o piątej trzydzieści dwie – powiedziała Pryor. Szła ciężko; jej stopy zapadały się z chrzęstem w kamiennym żwirze, wydając dźwięki przypominające potrząsanie garścią bilonu. – Gdy dotarliśmy na miejsce, czekał na nas przy swojej łodzi.

– Powiedziałaś, że jak on się nazywa?

– Kurt Schill. Chodzi do liceum West Seattle.

Tracy zatrzymała się, by przyjrzeć się belkom ciągnącym się równoległe do linii wody.

– To jego dzieło? – spytała.

– Nie jestem pewna.

– Wygląda jak pochylnia do wodowania łodzi. – Tracy wyjęła telefon i zrobiła kilka zdjęć.

– Twierdzi, że wybrał się na kraby i przy wyciąganiu kosza o coś zahaczył – poinformowała ją Pryor.

– O topielca? – zdziwiła się Tracy. Byłby to pierwszy taki przypadek.

– O inny kosz na kraby.

– Myślałam, że natknął się na ciało.

– Chłopak twierdzi, że tam było ciało – potwierdziła Pryor. – W tym drugim koszu.

Tracy spojrzała na łódź i naprężoną linkę w wodzie. Zatem to nie kotwica. Jechała tu z nastawieniem, że czekają na nią zwłoki wyrzucone na brzeg – ofiara utonięcia lub wypadku na łodzi. Coś, co w swym policyjnym żargonie nazywali „wyrzutkiem”, coś oczywistego. Ale jeśli ciało znajdowało się w koszu na kraby, to wszystko się zmieniało. Na gorsze.

– Widziałaś je? – spytała.

– Ciało? – Pryor pokręciła głową. – Jest za głęboko pod wodą. I nie mam pewności, czy chcę je oglądać. Chłopak opowiadał, że zobaczył rękę wystającą spod krabów i rozgwiżd. Brzmiało okropnie. Przyciągnął kosz do brzegu.

– Rękę czy całe ciało?

– Mówi, że widział rękę. Ale sądząc po ciężarze kosza, w środku może być całe ciało.

Tracy wyobraziła sobie przerażenie młodego człowieka na widok rozkładających się zwłok, na których żerują morskie stworzenia.

Podeszła za Pryor do brzegu. Fale łagodnie obmywały kamienie. Rozciągający taśmę policjant stał wyprostowany i ocierał pot z czoła.

– Dziękuję za rozciągnięcie taśmy – powiedziała Tracy. – Ale trzeba będzie znacznie powiększyć ogrodzony teren. Aż tam, do belek, i dalej do promenady. Ustaw też parawan i zasłoń widok od strony grobli. Zrób to, jak go tylko przywiozą. Niczego nie dotykałeś ani nie ruszałeś?

– Niczego, nie licząc paru kamyków przy wbijaniu kołków – odparł partner Pryor.

– A co ze strażą portową? Ktoś ich zawiadomił, żeby przysłali ekipę nurków? – zapytała Tracy.

– Jeszcze nie – wtrąciła się Pryor. – Pomyśleliśmy, że najlepiej będzie zostawić wszystko tak, jak jest, do czasu, aż ktoś się zjawi z planem działania.

– Zadzwoń do nich – zwróciła się Tracy do policjanta. – Powiedz im, że musimy wygrodzić część cieśniny tak, żeby nie kręciły się tu żadne łodzie, dopóki nie ustalimy co i jak. – Spojrzała na Pryor. – Jak zachowywał się ten chłopak z łodzią, kiedy tu dotarłaś?

– Był bardzo roztrzęsiony. Zdezorientowany. Wystraszony.

– I co powiedział?

Pryor zajrzała do notatek.

– Że wypłynął wcześniej rano, żeby wyciągnąć kosz zastawiony w pobliżu Lincoln Park. Powiedział, że umieścił go na głębokości około dwudziestu pięciu metrów, ale jak zaczął go wyciągać, kosz wydał mu się zbyt ciężki. I kiedy znalazł się tuż pod powierzchnią wody, chłopak zdał sobie sprawę, że to nie jego kosz.

– Nie jego? – powtórzyła Tracy.

– Nie. Widocznie linki się splątały. Chłopak twierdzi, że przyświecił latarką z bliska, zobaczył coś, co wydało mu się

ludzką ręką, i prawie zesrał się ze strachu. Wypuścił kosz, który poszedł pod wodę i niemal wywrócił łódkę. Chłopakowi udało się jakoś doholować go na płyciznę, wyciągnął łódź na brzeg i zadzwonił na dziewięćset jedenaście.

– Co jeszcze o nim wiemy?

– Właśnie skończył drugą klasę w liceum West Seattle, mieszka przy Czterdziestej Trzeciej Ulicy. Jego rodzice są już w drodze.

– Co nastolatek robi na łodzi o tak wczesnej porze?

– Sądzisz, że znam odpowiedź? – Pryor uśmiechnęła się. – Twierdzi, że wypływa na kraby tak wcześnie, żeby uniknąć konkurencji z większymi łodziami.

– Ale ty mu nie wierzysz? – Tracy wyczuła powątpiewanie w tonie funkcjonariuszki.

– Sezon na kraby jeszcze się nie zaczął. O tej porze roku łowić mogą tylko członkowie miejscowych plemion.

– Skąd to wiesz?

– Dale i ja trochę się bawimy w łowienie krabów. Głównie po to, żeby dziewczynki mogły popływać łodzią. Tutejszym rdzennym Amerykanom wolno łowić praktycznie bez ograniczeń. Dla wszystkich innych sezon połowów zaczyna się dopiero za tydzień, dokładnie drugiego lipca, jeśli się nie mylę.

– To czemu ten chłopak łowi?

– Twierdzi, że o tym nie wiedział, ale sądzę, że udaje głupiego.

– Dlaczego?

Pryor wskazała głową aluminiową łódź na brzegu.

– To wysokiej klasy sprzęt. Ktoś mający taką łódź musi znać przepisy, bo kary bywają bardzo surowe. Myślę, że wymknął się wcześniej rano, żeby wyprzedzić oficjalny sezon i podebrać trochę krabów Indianom. Niektóre miejscowe restauracje dobrze płacą za kraby. To niezły sposób dla przedsiębiorczego nastolatka, żeby zarobić parę groszy.

– Tylko że to wbrew przepisom.

– No, niestety. – Pryor kiwnęła głową.

– Chodźmy do niego – powiedziała Tracy. – A potem byłabym wdzięczna, jeśli mogłabyś zrobić dla mnie parę zdjęć. Czego się da.

Podeszły razem do Kurta Schilla, Pryor przedstawiła ich sobie i odeszła, by porobić zdjęcia. Schill wyciągnął rękę i zaskakująco mocno uścisnął dłoń Tracy. Czoło miał usiane młodzieńczymi wypryskami, twarz zbyt dziecinna, by już zaczął się golić.

– Dobrze się czujesz? – spytała Tracy.

– No. – Schill kiwnął głową.

– Chcesz usiąść?

– Nie, tak jest dobrze.

– Wiem, że opowiedziałeś funkcjonariuszce Pryor o tym, co się wydarzyło. Nie masz nic przeciwko temu, że zadam ci jeszcze kilka pytań?

– Nie. – Przymknął oczy i pokręcił głową. – Znaczy tak... proszę.

– Dobrze. Tylko spokojnie, nie denerwuj się. Kiedy nastawiłeś swój kosz na kraby?

Chłopak zmarszczył czoło.

– Mmm, znaczy to było... nie jestem pewny.

– Słuchaj, chłopcze. – Tracy odczekała, aż podniesie na nią wzrok. – Nie reprezentuję władz ochrony przyrody, jasne? Nie obchodzą mnie żadne okresy ochronne. Zależy mi, żebyś był ze mną szczery i opowiedział, co robiłeś, tylko po to, żebym mogła ustalić, czy coś widziałeś.

– A co miałem widzieć?

– Cofnijmy się do chwili, kiedy zastawiłeś swój kosz.

– Wczoraj wieczorem. Około wpół do jedenastej.

– Dobrze. Rozumiem, że było już ciemno.

– Bardzo ciemno, tak. – Schill pokiwał głową.

W czerwcu słońce w Seattle zachodzi dopiero po dziewiątej wieczorem, półmrok może się utrzymywać jeszcze przez następne trzy kwadransy.

– Czy widziałeś kogoś na wodzie? Jakies inne łodzie?

– Kilka.

- Łowiące kraby?
- Nie, tak tylko... pływali. Chyba jedna trałowała.
- Ci, co nią płynęli, łowili ryby?
- Łososie.
- W tym samym rejonie, gdzie zastawiłeś kosz?
- Nie. Wie pani, widziałem ich tylko z daleka.
- Czyli nic niezwykłego, tak?
- Niezwykłego? Znaczy co?
- Czy coś zwróciło twoją uwagę, spowodowało, że się zainteresowałeś i odwróciłeś głowę. Coś w tym rodzaju.
- Och, nie, nic takiego. Zupełnie nic.
- O której wypłynąłeś dziś rano?
- Około czwartej.
- Dlaczego zastawiasz kosze tak późno i zbierasz tak wcześnie? – spytała Tracy, choć była pewna, że zna odpowiedź. Chłopak się skrzywił.
- Żeby wyciągnąć kosz, zanim ktoś mnie zobaczy.
- Często to robisz?
- Na twarzy Schilla znów pojawił się wyraz zmieszania.
- W tym tygodniu już drugi raz.
- Spytałem jeszcze raz. Nie widziałeś żadnych innych łodzi ani nic, co by cię zastanowiło?
- Chwilę dumał nad odpowiedzią.
- Nie, właściwie nie.
- Możemy popłynąć w to miejsce, w którym wyciągnąłeś kosz?
- Co, teraz? – W głosie chłopaka zabrzmiał strach.
- Nie, za chwilę. Czekamy na ekipę nurków. Chciałabym, żebyś nam pokazał, gdzie dokładnie znalazłeś ten kosz.
- Tak, dobrze. – Teraz w jego głosie słyhać było wahanie.
- To jakiś problem? – rzuciła Tracy.
- Mam dziś rano matematykę.
- Obawiam się, że dziś będziesz musiał opuścić lekcje.
- Oj!
- Rodzice tu jadą?

- Tata jest w drodze.
- Dobra, poczekamy. Trzymaj się. – Tracy ruszyła w stronę robiącej zdjęcia Pryor.
- Pani detektyw! – zawołał za nią Schill.
- Odwróciła głowę.
- Tak?
- Myślę, że ona długo tam nie leżała.
- Tracy zawróciła.
- Sądzisz, że to kobieta? – spytała.
- Znaczący... nie jestem pewien, ale ta ręka... paznokcie. Wciąż był na nich lakier.
- Chwilę się zastanowiła.
- Dobra. Coś jeszcze?
- Nie.

Katie Pryor zawołała ją i wskazała na drogę.

Na jezdni zatrzymał się wóz transmisyjny Kanału Ósmego telewizji KRIX ze sterzącą na dachu anteną satelitarną i wysiadła z niego zmora wszystkich pracowników Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych, reporterka Maria Vanpelt. Była wschodzącą gwiazdą lokalnej telewizji informacyjnej, mającą nosa do sensacyjnych wydarzeń atrakcyjną blondynką, która została mocno skarcona za nieprofesjonalne zachowanie przy sprawie Kowboja. W rezultacie od wielu miesięcy nie pokazywała się i nikt za nią nie tęsknił. Stykający się z nią detektywi z Sekcji przezywali ją Super Glue i szeptali, że jednym z mężczyzn, do których się kleiła, był ich szef, kapitan Johnny Nolasco.

Tracy zadzwoniła z komórki do Billy'ego Williamsa i poprosiła, by ekipa zajmująca się oględzinami miejsc przestępstw przywiozła ze sobą nie tylko parawan, ale także namiot. Rozstawiony nad samą wodą, miał pomieścić punkt dowodzenia akcją i zapewnić dodatkową dyskrecję poczynań. Tracy wiedziała, że w ślad za wozami transmisyjnymi pojawią się też śmigłowce. Wiedziała też, że ustanowienie strefy zakazu latania niczego nie zmieni, bo jeśli media uznają temat za

wystarczająco nośny, będą wolały zapłacić grzywnę i postawić na swoim. Słuchając słów Williamsa, przeniosła wzrok ku wodzie i przyjrzała się ciągnącej się z tyłu łodzi lince.

Zdecydowanie tym razem nie chodziło o wyrzutka.

* * *

Na plażę zajechał policyjny cyrk, co przyciągnęło tłumy gapiów. Ludzie stali łokieć przy łokciu, oparci o metalową barierę, wśród nich przepychali się fotoreporterzy i kamerzyści. Przy brzegu stało kilka radiowozów, po zatoce pływały dwa niebiesko-białe kutry straży portowej, nie pozwalając się zbliżać żaglówkom i motorówkom ciekawskich, po terenie kręciło się kilkunastu umundurowanych policjantów, tuż nad wodą stawiano namiot – wszystko to przyciągało tłumy niczym magnes. Nawet turyści wydawali się bardziej zainteresowani akcją na plaży niż ikonicznymi widokami – wznoszącym się na południowym horyzoncie masywem Mount Rainier i lśniąca w porannym słońcu latarnią morską Alki Point z jej białymi ścianami i dachem z czerwonej dachówki na tle Zatoki Elliotta i dalekiej panoramy wieżowców Seattle.

Nurkom udało się rozsypać płataninę lin i wodorostów za rufą łodzi Kurta Schilla, kosz o sześćdziesięciocentymetrowej średnicy został wydobyty i miał być wraz z łodzią przewieziony na przystań policyjną i poddany badaniu na obecność odcisków palców i śladów DNA. Drugi, większy, ze swoją przerażającą zawartością został poddany oględzinom na miejscu w namiocie.

Tkwiły w nim zwłoki kobiety. Była zupełnie naga, jej rozdęte i poszarzałe ciało miało barwę i konsystencję zawartości muszli uchowca: jasnoszare, galaretowate, pokryte siatką fioletowych linii, w paru miejscach nadgryzione przez morskie stworzenia. Kontrastowały z nim jasnoniebieskie paznokcie u rąk, przypominające dłonie porcelanowej lalki, spękane i porysowane po latach używania.

W namiocie trwała dyskusja, jak najlepiej przetransportować ciało do biura koronera przy Jefferson Street w centrum Seattle. Wprawdzie Tracy jako starsza funkcjonariuszka wydziału zabójstw dowodziła pracą ekipy śledczej na miejscu przestępstwa, jej władza nie obejmowała jednak ciała ofiary, które pozostawało w wyłącznej gestii koronera. A Stuart Funk, koroner okręgu King, który lubił stawiać na swoim, uznał, że nie należy wyjmować ciała z kosza, by nie zniszczyć ewentualnych śladów. Problem polegał na tym, że nikt nie był pewny, czy kosz zmieści się do furgonetki koronera w pozycji pionowej, i wszyscy ze strachem myśleli, że przyjdzie im kłaść go na boku na oczach tłumu gapiów. Funk wysłał w końcu kogoś po taśmę mierniczą.

Tracy czekała przed namiotem razem z Kinsem i Billym Williamsem oraz Vikiem Fazzio i Delmem Castigliano, pozostałymi członkami zespołu A Sekcji Ciężkich Przeszestw Kryminalnych. Ubrani w luźne spodnie, sportowe marynarki i mokasyny, Faz i Del wyglądali jak mafiosi z New Jersey, którzy bez powodzenia starają się wmieszać w tłum na Cocoa Beach. Z biura prokuratora okręgowego przysłano też Ricka Cerrabone'a, starszego prokuratora z Wydziału Najcięższych Przeszestw Kryminalnych. Tracy zetknęła się już z nim przy kilku wcześniejszych śledztwach, tyle że tym razem nie bardzo miał co robić na miejscu wyjątkowo niekonwencjonalnego przestępstwa. Należało się spodziewać, że ilość śladów do zabezpieczenia będzie wyjątkowo mała. Woda morska musiała zniszczyć ewentualne odciski palców i ślady DNA na koszu, a ponieważ był wcześniej zanurzony na głębokości dwudziestu kilku metrów, szukanie śladów na plaży nie miało sensu.

– Nie da się nawet ustalić miejsca, gdzie przybiła łódź zabójcy – zauważyła Tracy. – W tej części nabrzeża jest kilka pomostów, nie mówiąc już o ciągnącej się tu przystani Don Armeni. W dodatku nie wiadomo, czy zabójca w ogóle skorzystał z jakiejś przystani, bo Schill na przykład tego nie zrobił.

– Mogli przybić do brzegu gdziekolwiek, od wysp San Juan aż po Olympię – wtrącił Faz swym gardłowym akcentem z New

Jersey. Wycierał chustką pot na zmianę to z czoła, to z karku.

– Nie sędzę – powiedziała Tracy. – Gdyby tak było, wrzuciliby kosz do głębszej wody, dalej od brzegu. Podejrzewam, że zostawili je tak blisko, bo tak im było wygodniej. Zabójca zna ten teren albo nie chciało mu się płynąć dalej.

– Wiemy mniej więcej, jak długo leżały tam zwłoki? – spytał Del.

– Według pobieżnej oceny Funka najwyżej kilka dni. Występuje tylko niewielki obrzęk dłoni, zewnętrzna warstwa skóry pozostaje nienaruszona.

– Czeką nas szukanie igły w stogu siana – mruknął Faz.

– Może – przyznał Del. – Ale i tak mamy większą szansę na znalezienie jej, niż ta klatka miała na przypadkowe splątanie się z koszem chłopaka.

– Chyba nie sędzisz, że to on? – rzuciła Tracy.

– Mówię tylko, że to nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

– Założę się, że nieprędko weźmie do ust kraba – powiedział Faz.

Tracy rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma jakiegoś mundurowego. Zgodnie z nowymi przepisami ci mieli obowiązek noszenia włączonych kamer osobistych, a to znaczyło, że trzeba uważać, co się mówi i z jaką miną. Na przykład wybuchy śmiechu w gronie detektywów na miejscu przestępstwa mogły łatwo obrócić się przeciwko nim. Ludzie nie rozumieją, że wisielczy humor jest często ratunkiem przed zwiymiotowaniem. Smartfony jeszcze sprawę pogorszyły, bo teraz każdy był kamerzystą amatorem.

Williams wskazał na dwa apartamentowce stojące najbliżej wjazdu na plażę.

– Przepytajmy ludzi w tych domach i na marinach – zarządził.

– Może ktoś coś widział.

– Byłoby łatwiej, gdybyśmy mieli przyzwoitą podobiznę ofiary

– wtrącił Faz. – Można by sprawdzić, czy ktoś jej nie poznaje.

– Nie wybiegamy za bardzo do przodu? – spytał Kins. – Może się nam poszczęści i znajdziemy jej zdjęcia w systemie. Mogła być

prostytutką albo narkomanką.

– Nie sądzę, żeby zabójca aż tak się przejmował ukryciem ciała prostytutki czy narkomanki – powiedziała Tracy.

– Więc jeśli ofiara nią nie była, ktoś powinien był zgłosić jej zaginięcie – zwrócił jej uwagę Kins.

– Tak robią mafiosi w moim rodzinnym mieście – wtrącił Faz.
 – Jedno stuknięcie w tył głowy i stajesz się karmą dla rybek.

– I być może masz rację – przyznał Kins. – Mówię tylko, że może nam się poszczęścić.

Williams jednak pokręcił głową.

– Nie, popytajmy teraz, póki jeszcze wszystko jest świeże. Poza tym jeśli została zastrzelona, to gdzieś jest jeszcze jedno miejsce przestępstwa.

– Którego znalezienie może być równie niemożliwe, jak ustalenie miejsca przybicia łodzi do brzegu – dodał Kins.

Z namiotu wyszedł Funk; tym razem nie przypominał wyglądem roztargnionego profesora. Niedawna wizyta u fryzjera nieco przetrzebiła jego siwą czuprynę, która często sprawiała takie wrażenie, jakby Funk nie miał grzebienia. W okularach przeciwsłonecznych wyglądał dużo młodziej niż w noszonych na co dzień szklach w srebrnych oprawkach, o wiele za dużych jak na jego wąską czaszkę.

– Klatka zmieści się w naszej furgonetce – oznajmił. – Zabiorę ją w całości do siebie, ale dziś się tym nie zajmę.

– Czy ofiara ma jakieś tatuaże albo przekłucia? – spytała Tracy.

– Na razie niczego takiego nie zauważyłem – odparł Funk.

– A nakłucia po igłach? – wtrącił się Kins.

– Tego też jeszcze nie wiem.

– Jak długo, pańskim zdaniem, przebywała w wodzie? – zapytał Faz.

– Dwa, trzy dni, nie dłużej.

– Chciałabym, żeby kosz pozostał w możliwie nienaruszonym stanie – powiedziała Tracy. – Może nam coś podpowie o miejscu swego pochodzenia.

– Postaram się – obiecał Funk.
– Zawiadom nas, kiedy będziesz gotowy się nią zająć – dodała Tracy.

Po odejściu Funka Williams zwrócił się do Dela i Faza:

– Zaczynajcie przepytывать mieszkańców tych domów. – Tracy i Kins mieli popłynąć z patrolem straży portowej do miejsca znalezienia kosza. – Spotkajmy się wszyscy po południu.

Tracy i Kins ruszyli w stronę czekającej motorówki.

– Masz może krem przeciwsłoneczny? – spytał Kins. Gdy wręczyła mu tubkę, wycisnął trochę kremu i rozsmarował sobie na karku. – Znam gorsze sposoby spędzania sobotniego popołudnia.

– Myślę, że ta kobieta byłaby innego zdania – mruknęła Tracy.

* * *

Resztę popołudnia Tracy i Kins spędzili, smażąc się na słońcu. Temperatura powietrza przekraczała trzydzieści stopni, ale na wodzie wydawało się, że jest jeszcze goręcej, a powietrze stało w miejscu. Gdy Schill zabrał ich na swoje łowisko, od razu pojawiły się problemy. Silne prądy i użyta przez niego linka o długości ponad dwudziestu metrów powodowały, że nie był w stanie dokładnie określić miejsca, z którego wyciągnął drugą klatkę, ani nawet tego, gdzie był zanurzony jego kosz. To radykalnie powiększało teren poszukiwań. Ponadto woda na tej głębokości była na tyle mętna, że ograniczała widoczność do niecałego metra. Nurkowie przebadali teren w promieniu rozsądku, ale nie znaleźli ani broni, ani niczego innego, co mogło się kojarzyć z kobietą w pułapce na kraby. Co zresztą nikogo nie zdziwiło. Zabójca najwyraźniej chciał, by nikt nigdy nie odnalazł jej zwłok.

Po powrocie na brzeg Tracy marzyła tylko o tym, by jak najszybciej pojechać do domu i wskoczyć pod zimny prysznic, niestety, musiała się z tym wstrzymać. Razem z Kinsem wrócili na komendę policji i spotkali się w sali konferencyjnej z Fazem,

Delem i Billym Williamsem. Faz poinformował ich, że pierwsza runda rozmów z mieszkańcami osiedla i użytkownikami marin nie zaowocowała żadnymi przydatnymi informacjami.

– Byłoby łatwiej, gdybyśmy mieli jej fotografię – powtórzył.

Tuż po zejściu na ląd Tracy zadzwoniła do Funka i usłyszała, że wprawdzie wyjęto zwłoki denatki z klatki, ale uzyskanie jej podobizny w przydatnej jakości jest bardzo problematyczne. Może rysownikowi uda się uzupełnić brakujące fragmenty jej twarzy w miejscach wyżartych przez morskie stworzenia, ale na razie przekazanie Fazowi i Delowi fotografii zrobionej na stole sekcyjnym skończyłoby się wymiotami mieszkańców apartamentowców i właścicieli łodzi w marinach.

Rozdział 3

W poniedziałek rano po długim weekendzie Tracy spotkała się z Kinsem w biurze koronera na rogu Dziewiątej i Jeffersona, tuż obok Centrum Medycznego Harborview. Czternastopiętrowy gmach z elewacją z przyciemnianego szkła zapewniającego naturalne doświetlenie w niczym nie przypominał betonowych katakumb, w których niegdyś mieściło się biuro koronera. Tyle że choć cały budynek przedstawiał się elegancko i nowocześnie, niewiele dało się zrobić z wyglądem sali sekcyjnej, w której Funk i jego ekipa zajmowali się ofiarami zabójstw i wypadków. Jak w poprzednim lokum, wyposażenie stanowiły rzęsiście oświetlone stoły i zlewy ze stali nierdzewnej z odpływami i syfonami i całe pomieszczenie wyglądało odpychająco zimno i sterylnie.

Nagie zwłoki leżały na stole najbliżej wejścia, podpórka wsunięta pod plecy sztucznie wypinała klatkę piersiową ofiary, rozrzucone na boki ręce zwisały bezwładnie, co ułatwiało Funkowi zadanie. Normalnie byłby w użyciu worek na ciało, ale zważywszy na miejsce znalezienia zwłok i inne okoliczności, tym razem z niego zrezygnowano.

Ciało ofiary było w mniejszym stopniu ludzkimi szczątkami, stanowiło raczej materiał dowodowy, który należy pociąć i obejrzeć. Bezosobowy charakter sekcji zwłok stanowił drastyczną cechę tego etapu śledztwa i Tracy wciąż nie była w stanie w pełni się z tym pogodzić, mimo dziesięcioletniego babrania się w ciężkich przestępstwach kryminalnych. U podstaw tego leżała świadomość, że kości jej siostry, wykopane po dwudziestu latach od jej zniknięcia w górach otaczających ich

rodzinne miasteczko, kiedyś też leżały ułożone na podobnym stalowym stole i przypominały skamielinę wydobytą na stanowisku archeologicznym. Tracy przyrzekła sobie wtedy nigdy nie zapominać, że leżące na stole sekcyjnym zwłoki były kiedyś żywą, oddychającą istotą ludzką.

Usiadła na taborecie na kółkach, uważając, by nie przeszkodzić Funkowi, Kins stanął obok niej. W milczeniu przyglądali się precyzyjnym ruchom patologa, który z profesjonalną obojętnością opisywał na głos swoje kolejne czynności i dokumentował je mnóstwem fotografii. Zaczął od zważenia i zmierzenia zwłok – miała sto sześćdziesiąt sześć centymetrów wzrostu, choć trudno to było w pełni precyzyjnie ustalić z powodu ściśnięcia ciała w ciasnej klatce, ważyła sześćdziesiąt jeden kilo. Potem pobrał wymazy z pochwy i odbytu do zbadania na obecność nasienia i obejrzał dokładnie skórę pod kątem wybroczyn i krwistych plamek mogących świadczyć o asfiksji, choć i bez tego przyczyna śmierci ofiary była oczywista. Denatkę uśmiercono strzałem w tył głowy, najprawdopodobniej z broni krótkiej kalibru dziewięć milimetrów, choć narzędzie zbrodni nie miało w tej sytuacji większego znaczenia. Nawet gdyby je kiedyś znaleźli, brak pocisku, który przeszedł na wylot przez czaszkę ofiary, i tak uniemożliwiłby jego identyfikację.

Przeprowadzone przez Funka zewnętrzne oględziny nie ujawniły żadnej biżuterii, choć uszy były przekłute, co dodatkowo potwierdzało podejrzenia Tracy, że zabójca świadomie ogołocił ciało ofiary. Funk nie znalazł na nim żadnych tatuaży, wyróżniających znaków szczególnych ani śladów świadczących o tym, że ofiara była narkomanką. Pobrał odciski palców w celu przepuszczenia przez bazę AFIS¹, jeśli jednak ofiara za życia nie została skazana za przestępstwo, nie służyła w wojsku ani nie pracowała w zawodzie wymagającym pobierania odcisków palców, w bazie jej nie znajdą. Pobrał też próbki krwi i śliny w celu przeprowadzenia analizy DNA, ale

także w tym przypadku jeśli ofiara nie była notowana w bazie CODIS², przeszukanie jej nic nie da.

Funk zaczął się szykować do prześwietlenia ciała.

– Dobrze się czujesz? – zwrócił się Kins do Tracy.

Obrzuciła go nieobecny spojrzeniem.

– Co?

– Bo tak jakoś dziwnie patrzysz... I tak cicho siedzisz. Za cicho.

– Przez osiem lat współpracy nauczyli się wzajemnie odczytywać swoje nastroje. – Nie podchodź do tego zbyt osobiście, Tracy. Ta sprawa i bez tego wystarczająco śmierdzi.

– Nie podchodzę do tego osobiście, Kins.

– Wiem, że nie. – Dobrze wiedział, co się stało z jej siostrą, i znał zawziętość Tracy wobec morderców młodych kobiet.

– Tylko że nie da się zmienić faktów – rzuciła.

– Ale da się zmienić swój stosunek do nich.

– Może – przyznała takim tonem, by nie zabrzmiało to jak kapitulacja. – Zastanawiam się tylko, skąd się biorą tacy ludzie, którzy strzelają komuś w tył głowy i upychają ciało w pułapce na kraby jak przynętę?

Kins westchnął. Nie pierwszy raz o tym rozmawiali.

– Pomyśl o tym z perspektywy rodziców – poradził jej. – To musi być potworne, usłyszeć, że dziecko zginęło w ten sposób, ale wyobrażam też sobie dramat rodziców, którzy wychowali potwora zdolnego zrobić coś takiego.

– Wygląda na to, że jest coraz gorzej, prawda? – Tracy zamyśliła się. – Ludzie nie szanują granic prywatności innych ludzi. Włamanie się do czyjegoś domu czy samochodu nie stanowi dla nich żadnego problemu. Czytałeś o tych, co w grudniu zeszłego roku kradli spod domów prezenty świąteczne, a z trawników dekoracje?

– Widziałem to.

– Skąd się biorą ludzie, którzy robią takie rzeczy?

– Nie wiem – odparł Kins. – Kiedy gospodarka kuleje, ludziom odbija.

– Gówno prawda – obruszyła się. – Jest mnóstwo biednych ludzi, którym takie rzeczy nie przyszłyby nawet do głowy. – Przeniosła wzrok na stół sekcyjny.

Przez chwilę oboje przyglądali się poczynaniom Funka.

– Co myślisz o tym Schillu? – odezwał się po chwili Kins.

– Myślę, że Faz i Del mają rację. Że nieprędko popłynie kłusować na kraby.

Funk podszedł do komputera, na którego ekranie ukazała się seria zdjęć rentgenowskich ciała kobiety. Patolog dotknął myszki i zaczął przesuwając kolejne obrazy, aż znalazł ten, o który mu chodziło.

– Proszę! Widzicie? – Naprowadził kursor na twarz ofiary. – Na brodzie i na policzkach miała implanty. Zmieniono jej też kształt nosa.

– Poddała się operacji plastycznej? – spytała Tracy.

– Ale nie takiej, o jakiej myślisz – powiedział Funk. – Dokonano zmian w układzie kostnym twarzy.

– Ktoś celowo chciał zmienić jej wygląd – domyśliła się Tracy.

– I to całkiem niedawno. Powiedziałbym, że jakiś miesiąc, góra dwa miesiące temu. Zafarbowano jej też włosy na ciemniejszy kolor. – Funk przeniósł wzrok na zwłoki. – Jej naturalny kolor to ciemny blond.

Z wcześniejszych śledztw Tracy i Kins pamiętali, że implanty są opatrywane numerem seryjnym, a chirurdzy plastyczni mają obowiązek wpisywania tych numerów do dokumentacji medycznej pacjentów i powoływania się na nie w razie reklamacji u producenta.

– Wygląda na to, że możemy machnąć ręką na rysownika – odezwał się Kins. – Chyba właśnie natrafiliśmy na trop prowadzący do naszej nieznajomej.

* * *

Po powrocie na komendę Tracy zidentyfikowała numery seryjne jako należące do Silitone, producenta implantów

z Florydy. Pracownica Silitone przyjęła zapytanie i w ciągu godziny oddzwoniła z odpowiedzią, że te konkretne implanty zostały dostarczone doktorowi Yee Wu w Renton w stanie Waszyngton – miasteczku na południowym krańcu jeziora Washington, jakieś dwadzieścia minut jazdy samochodem ze śródmieścia Seattle.

Kins zadzwonił do kliniki doktora Wu i wysłuchał od recepcjonistki cierpkiej tyrady na temat ograniczeń wynikających z HIPAA³ i obowiązku dochowania tajemnicy lekarskiej. Przytknęła ją, dopiero gdy Kins oświadczył, że jest detektywem z wydziału zabójstw i prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa. Regulacje HIPAA nie przestawały obowiązywać wraz ze śmiercią pacjenta, ale Kinsa i Tracy nie interesowała historia schorzeń ofiary, przynajmniej jeszcze nie teraz. Na tym etapie chodziło im tylko o ustalenie, kim była.

Oboje wsiedli do samochodu i pojechali do Renton. Przyglądając się odrapanemu parterowemu barakowi, Tracy pomyślała, że miałyby opory przed zrobieniem u doktora Wu manikiuru, a co dopiero poddaniem się operacji twarzy. Ale na swej stronie internetowej Wu chwalił się, że jest absolwentem medycyny na uniwersytecie w Hongkongu, ma specjalizację z chirurgii plastycznej na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles i jest członkiem Amerykańskiego Towarzystwa Chirurgów Plastycznych.

– Z przytoczonych wypowiedzi pacjentek wynika, że jest największym rzeźbiarzem od czasów Michała Anioła – powiedziała Tracy.

– A my oczywiście wiemy, że skoro tak piszą w internecie, musi to być prawda – dodał Kins, wjeżdżając na parking.

Wysiedli z samochodu przy akompaniamencie ryku silników odrzutowca startującego z pobliskiego lotniska fabrycznego Boeinga i podeszli do szklanych drzwi. Wewnątrz zdecydowanie pachniało Azją – począwszy od wystroju wnętrza, a skończywszy na kilkusobowej grupce czekających pacjentów. Drobną Azjatka w niebieskim szpitalnym stroju przedstawiła się jako asystentka

medyczna doktora Wu i zapewniła, że chirurg za chwilę ich przyjmie.

– Już to kiedyś słyszałem – mruknął Kins, siadając z Tracy w poczekalni. – Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby kierowcy autobusów tak trzymali się rozkładu jazdy jak lekarze swojego planu zajęć? Całe miasto pogrążyłoby się w chaosie.

Tracy podała mu wzięte ze stolika czasopismo po chińsku.

– Przynajmniej nie musisz czytać „Time’a” sprzed sześciu miesięcy.

Asystentka pojawiła się po dziesięciu minutach i nie wywołała ich głośno po nazwisku, tylko dyskretnie poinformowała, że doktor Wu już na nich czeka.

– A już zaczynało mnie to wciągać – mruknął Kins, odkładając czasopismo.

Gdy oboje weszli do ciasnego gabinetu, doktor Wu na ich widok podniósł się zza biurka. Był drobnym mężczyzną liczącym nie więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu, na nosie miał wielkie okulary w srebrnych oprawkach i biały lekarski kitel włożony na białą koszulę z rudawobrazowym krawatem, którego koniec tkwił pod paskiem od spodni.

– Dziękuję, że znalazł pan dla nas czas – powiedziała Tracy.

Dłonie Wu były miękkie i drobne jak u dziecka. Gdy przedstawili się sobie, usiadł za biurkiem i otworzył przygotowaną wcześniej teczkę z dokumentami.

– Implanty o podanych numerach zostały wszczepione pacjentce, która nazywa się Lynn Cora Hoff – powiedział z silnym chińskim akcentem.

Ich anonimowa ofiara miała już nawet nazwisko.

– Co pan nam może o niej powiedzieć? – spytała Tracy.

Jeśli Wu miał jakieś obiekcje w związku z HIPAA, nie dawał tego po sobie poznać. Nasadą dłoni poprawił okulary.

– Pani Hoff ma dwadzieścia cztery lata, wzrost sto sześćdziesiąt osiem centymetrów, waga sześćdziesiąt kilogramów, rasy białej. Miała zoperowany nos i wstawione implanty podbródka i kości policzkowych.

- Kiedy to było?
- Trzeciego czerwca.
- Czyli niedawno – zauważył Kins.
- Tak, całkiem niedawno.
- Czy pani Hoff była wcześniej pańską pacjentką? – spytała

Tracy.

- Nie.
- Powiedziała, dlaczego chce się poddać operacji?

Wu podniósł na nią wzrok, jakby nie zrozumiał pytania. Okulary znów zsunęły mu się na czubek nosa.

- Dlaczego? – powtórzył.
- Dlaczego chciała mieć zmienioną twarz? – wyjaśniła Tracy.
- Wiele kobiet poddaje się rekonstrukcji twarzy – odparł, jakby zmiana wyglądu była czymś zupełnie naturalnym. Kciukiem znów podsunął sobie okulary.

– Rozumiem. – Tracy kiwnęła głową. – Tylko że ten zabieg był chyba bardziej inwazyjny od zwykłej operacji plastycznej.

– Kobiety... – Wu spojrział na Kinsa – ...i mężczyźni poddają się operacjom z wielu różnych powodów.

- Czyli nie wyjaśniła dlaczego? – upewnił się Kins.
- Nie.

– Dostarczyła panu swoją dokumentację medyczną?

Wu odchylił mosiężną klamerkę na teczce, wyjął kilkustronicową zawartość i podał Tracy.

Tracy i Kins pochyliłi się nad nią. Pierwszą kartką był wypełniony długopisem formularz przyjęcia pacjenta na zabieg; Kins spisał z niego datę urodzenia Lynn Hoff, numer ubezpieczenia społecznego i adres w Renton. Hoff wpisała jedynie numer komórkowy i nie podała nazwiska osoby, z którą należało się kontaktować w sytuacji kryzysowej.

Na drugiej stronie były pytania o stan zdrowia. Hoff na wszystkie odpowiedziała przecząco: nie cierpiała na żadne choroby, nie przechodziła żadnych operacji i nie zażywała żadnych lekarstw. W części dotyczącej rodziny na pytania, czy

matka i ojciec żyją i czy ma braci lub siostry, udzieliła odpowiedzi „nie”.

– Ma pan jej fotografię sprzed i po operacji? – spytała Tracy, odkładając formularze.

Wu wyprostował się na fotelu.

– Nie.

Tracy spojrzała znacząco na partnera.

– Nie ma pan żadnych zdjęć? – W jej tonie brzmiało niedowierzanie.

– Nie – odparł niemal szeptem Wu.

– Doktorze, czy zrobienie zdjęcia pacjentce przed i po zabiegu nie jest standardową procedurą?

– Tak – potwierdził. – To standardowa procedura.

– Więc dlaczego nie ma pan żadnych zdjęć?

– Po operacji pani Hoff poprosiła o wydanie jej wszystkich.

– Poprosiła o zdjęcia, które pan jej zrobił?

– Tak.

– I pan je oddał?

– Podpisała zrzeczenie. – Pochylił się nad biurkiem, pogrzebał w teczce i podał Tracy dwustronicowy dokument stanowiący zwolnienie z odpowiedzialności. Lynn Hoff potwierdziła przejęcie wszystkich posiadanych przez doktora Wu fotografii i zrzekała się wobec niego wszelkich ewentualnych roszczeń z jakiegokolwiek powodu i w jakichkolwiek okolicznościach.

– Zlecił pan opracowanie tego dokumentu prawnikowi?

– Tak – odparł Wu.

– Zatem to nie jest standardowe postępowanie – domyślił się Kins.

– Nie jest.

– Czy pani Hoff wyjaśniła, dlaczego chce mieć te zdjęcia?

Lekarz pokręcił głową.

– Nie, nie wyjaśniła.

Tracy podejrzewała, że musiał się nad tym zastanawiać i dojść do podobnego wniosku co ona teraz: że być może, nie zdając sobie z tego sprawy, dokonał zmiany wyglądu kogoś

ukrywającego się przed organami wymiaru sprawiedliwości lub wrogami.

– Czy pani Hoff wróciła do pana na jakieś dalsze zabiegi?

– Nie.

– Czy to też należy uznać za niestandardowe postępowanie?

– Tak.

– Umówiła się na wizytę kontrolną?

– Wizyta została wyznaczona, ale ona się na nią nie zgłosiła.

– Czy ktoś z pańskiego personelu próbował się z nią skontaktować i czegoś dowiedzieć?

– Jej numer telefonu nie był już aktualny – powiedział Wu.

– Gdzie odbyła się operacja?

– Tutaj. Mamy prawnie zarejestrowaną salę operacyjną.

Dzięki temu możemy oferować niższe stawki za zabiegi.

– Ile kosztuje tego typu operacja?

Wu zajrzał do dokumentacji.

– Sześć tysięcy trzysta dwanaście dolarów.

Tracy widziała w recepcji wywieszkę, że klinika przyjmuje płatności kartą Visa i MasterCard.

– Jak płaciła? Bo rozumiem, że ubezpieczenie tego nie pokrywa, prawda?

– Nie, ubezpieczenie nie pokrywa kosztu operacji na życzenie pacjenta – potwierdził Wu. – Pani Hoff zapłaciła gotówką. – Podał jej kopię kwitu kasowego.

Kins spojrzał znacząco na Tracy, a ona wyczytała w jego spojrzeniu, że traktuje to jako kolejny dowód na to, że Lynn Hoff była prostytutką. Zanotowała w pamięci, by kazać Delowi i Fazowi rozejrzeć się po oddziałach banków w Renton i sprawdzić, czy Lynn Hoff miała w nich konto.

– Jak pani Hoff wróciła do domu po operacji? – zadała kolejne pytanie. – Bo rozumiem, że nie była w stanie sama prowadzić.

– Mam tu adnotację, że zamówiła taksówkę.

– A co z jej rekonwalescencją w domu? – zapytał Kins. – Czy ktoś się nią opiekował?

– Tego nie wiem. – Wu wzruszył ramionami.

- Nie pytał jej pan? – Tracy postanowiła trochę go przycisnąć.
- Nie.
- Czy to wszystko nie wydało się panu dziwne, panie doktorze?
- Owszem.
- Ale nigdzie pan tego nie zgłosił?
- A co miałem zgłosić? I komu? – Patrzył na nią obojętnym wzrokiem kogoś, kto już się skonsultował z prawnikiem i jest pewny, że nie popełnił żadnego wykroczenia. – Odpowiadam tylko za pacjentów pod moją opieką.
- To prawda – przyznał Kins. – Problem tylko w tym, że pańska pacjentka znalazła się na dnie cieśniny Puget, a naszym obowiązkiem jest wykrycie, kto ją tam zostawił i dlaczego.

Rozdział 4

14 kwietnia 2016

Portland, stan Oregon

Wychodzę za mąż.

Myślałam, że nigdy w życiu nie wypowiem takich słów, a teraz je mówię. Stoję w holu sądu okręgowego Multnomah w śródmieściu Portlandu, ubrana – wyobraźcie sobie – w białą suknię. Szokujące jest nie to, że suknia jest biała. Wszystkie dziewczyny ubierają się do ślubu na białą, bez względu na to, czy... no wiecie. Szokujące jest to, że mam na sobie długą suknię. Przed kupieniem tej nie miałam nawet zwykłej sukienki. Do pracy chodziłam zawsze w spodniach, zwykle w dzinsach. To w końcu Portland, co w tłumaczeniu znaczy „na luzie”. Ludzie noszą tu ciuchy ze spandexu. Nie żartuję. Jeden z naszych likwidatorów ubezpieczeniowych przyjeżdża do pracy na rowerze i łązi po biurze w obcisłych spodenkach, szpanując swoją męskością, z której musi być bardzo dumny, bo wciąż ją eksponuje. Przychodzi do mojego boksu i zadaje jakieś bzdurne pytania, żeby mnie podniecić. No i mu się udaje. Jeśli mogłabym przepłukać oczy środkiem dezynfekcyjnym, tobym to zrobiła.

Ale odbiegam od tematu.

Więc niech gra muzyka... Właśnie idę do ołtarza i już...

Tylko że wcale nie idę do ołtarza ani nawet do kościoła. Jest czwartek po południu i o trzeciej mam stanąć przed sędzią pokoju. Chciałam poczekać do weekendu, ale ślub w dzień powszedni jest tańszy o trzydzieści pięć dolarów, a Graham – bo on tak się

nazywa, Graham Strickland – mówi, że nie ma sensu wyrzucać więcej pieniędzy za to samo.

Nie, to nie jest taki ślub, o jakim marzy każda młoda dziewczyna – z przejściem środkową nawą przez cały kościół, z dłonią wspartą na ramieniu ojca i ciągnącym się z tyłu długim welonem – ale to marzenie umarło już dziewięć lat temu. Miałam trzynaście lat, kiedy pijany kierowca wpadł na środkową barierę, wyleciał w powietrze i spadł na dach naszego samochodu, zabijając oboje moich rodziców. Lekarze powiedzieli, że miałam szczęście i uratowało mnie to, że siedziałam z tyłu. Jakby szczęściem mogło być tkwienie dwie godziny w samochodzie z trupami własnych rodziców. Czujecie, co się ze mną potem działo? Wyobrażacie sobie te lata terapii?

Wyjechałam z Santa Monica, gdzie tata pracował jako lekarz, i zamieszkałam z ciotką i wujkiem w San Bernardino. Dorastała tam moja mama, ale nikogo w tym mieście nie znałam. Powinnam od razu dodać, że u wujka Dale'a mieszkałam tylko jakieś dziewięć miesięcy, bo wtedy właśnie wyznałam terapeucie, że wujek lubi przychodzić w nocy do mojego łóżka. Terapeuta doniósł o tym policji, a oni zawiadomili inspektorów z Towarzystwa Opieki nad Dziećmi i wybuchła straszna awantura. Wyobrażacie sobie moją dalszą terapię?

Poza tym, że nie mam ojca, który by mnie poprowadził przez kościół, nie zapełniłabym rodziną i przyjaciółmi nawet mojego boksu, nie mówiąc już o sali toastów. Boję się też, że nie znaleźlibyśmy nikogo, kto chciałby wygłosić choć półminutowy toast za zdrowie moje i Grahama. Znamy się dopiero niecałe cztery miesiące.

A poza tym nie przepadam za tortami. Wiem, wiem, jak można nie lubić tortu?

No więc ja nie lubię.

Będziemy za to mieli coś w rodzaju miesiąca miodowego. Mamy się wspinać na Mount Rainier. Wiem, co myślicie, bo ja też tak pomyślałam. Wspinaczka na wysokość czterech tysięcy trzystu metrów i odmrożenie sobie rąk i nóg. Wspaniale... Nie zrozumcie

mnie źle. Kocham świeże powietrze i wiele letnich dni spędziłam, włącząc się po Sierra Nevada. Chęć przebywania na świeżym powietrzu to jeden z powodów mojej przeprowadzki do Oregonu. Kolejnym było to, że tu wiecznie pada, więc nie muszę szukać wymówek dla siedzenia w domu i czytania, co jest moją największą pasją w życiu. Tak naprawdę wolałabym to robić także wtedy, kiedy poznałam Grahama.

A było to na imprezie, a właściwie nie tyle na imprezie, ile na przyjęciu służbowym sponsorowanym przez firmę ubezpieczeniową, w której pracuję. Nie pytajcie, skąd się tam wzięła taka szara myszka jak ja. No bo jeśli przebogata i różnorodna oferta ubezpieczeniowa firmy (to sarkazm) oraz bezpłatny alkohol i bezpłatne przekąski (to już bez cienia sarkazmu) nie wystarczały do zwabienia nowych klientów, to nie rozumiem, jak mogła w tym pomóc obecność kogoś takiego jak ja. Ale szefowa, która uparła się odgrywać wobec mnie rolę matki zastępczej, oświadczyła, że moja obecność na przyjęciu „nie podlega dyskusji”.

Po południu w dniu imprezy Brenda Berg weszła do mojego boksu i spytała, dlaczego nie potwierdziłam swojej obecności.

– Bo nie idę – odpowiedziałam, ale takim tonem, jakby na końcu znajdował się znak zapytania.

– Słucham?

– Nie idę – powtórzyłam bardziej zdecydowanym głosem, choć nadal brakowało w nim pewności siebie.

– Dlaczego?

Wzruszyłam ramionami i powróciłam do stukania w klawiaturę. Tak, wiem, to było niegrzeczne.

– Nie lubię takich przyjęć – wyjaśniłam. – Zwykle są nudne.

– Nudniejsze niż siedzenie w domu z nosem w książce?

– Absolutnie – zapewniłam, choć jestem pewna, że jej pytanie było retoryczne.

– I co, będziesz kolejny raz czytała Pięćdziesiąt twarzy Greya?

– Nie – zaprzeczyłam, choć znów bez przekonania, i jestem pewna, że się zarumieniłam. Bo prawda jest taka, że ciekawość we

mnie zwyciężyła i rzeczywiście to przeczytałam. Zamówiłam książkę przez internet i podałam adres swojej skrytki pocztowej, a potem przemyciłam ją do domu w zwykłej brązowej kopercie jak butelkę wódki. Książka okazała się dość prosta, ale jak to mówią: Nie kupujesz „Playboya”, żeby w nim czytać artykuły. Oczywiście to nie znaczy, że kiedykolwiek kupiłam „Playboya”. Na pewno nie jestem lesbijką.

– No to mi powiedz, co masz takiego ciekawego w domu, że nie możesz się oderwać na parę godzin i pójść na imprezę? – spytała Brenda, niezrażona moim uporem.

– Takie imprezy są nie w moim stylu – odpowiedziałam. – Nie jestem dobra w nawiązywaniu kontaktów.

– Pomogę ci w tym.

– Nie mam co włożyć.

– W tym też ci mogę pomóc.

Zaczynało mi brakować wymówek i gorączkowo szukałam czegoś w myślach. Pies (którego nie mam) pogryzł mi zaproszenie, tak naprawdę jestem Michaeliem Jacksonem przebranym za kobietę, podczas kręcenia reklamy Pepsi stanęłam za blisko wybuchającego rekwizytu i spaliło mi włosy.

– Jesteś bystra – powiedziała Brenda i wiem, że miał to być komplement, ale zabrzmiało to jakoś smutno. – Łapiesz sprawy szybciej od większości naszych pracowników, którzy pokończyli studia i zaliczyli nasz sześciotygodniowy program szkoleniowy. Jeszcze nigdy nie spotkałam kogoś, kto by tak szybko wszystko łapał, a na komputerach znasz się lepiej od naszych informatyków.

Czy wspominałam już, że mam mnóstwo wolnego czasu?

– Musisz tylko wykazać trochę inicjatywy – ciągnęła Brenda – a pewnego dnia może zajmiesz moje miejsce.

Hurra! Przynajmniej będę miała okno, z którego będę mogła wyskoczyć, jak nuda stanie się nie do zniesienia.

– Więc przychodzisz dzisiaj i koniec rozmowy – powiedziała tonem, jaki czasami słyszałam u mamy. – Siedząc w domu i czytając, nigdy nikogo nie poznasz.

– Dobrze, przyjdę. – Dlaczego się zgodziłam? Sama nie wiem. Mam w sobie tę drażniącą potrzebę unikania scysji. Jestem pewna, że istnieje na to termin medyczny w rodzaju *Spinus bracus*, oznaczający brak kręgosłupa.

– To świetnie – rzuciła Brenda, przyglądając mi się nieufnie. – Jeśli cię tam nie zobaczę, to po ciebie zadzwonię.

– Przyjdę – zapewniłam ją.

– Będę się za tobą rozglądała – powiedziała, po czym z uśmiechem dodała: – Będzie fajnie, zaufaj mi.

Zdaje się, że tak brzmiały ostatnie słowa Custera do żołnierzy, zanim poprowadził ich na rzeź pod Little Bighorn, ale dotrzytałam słowa. Poszłam na to przyjęcie i o dziwo rzeczywiście kogoś tam poznałam. Grahama Stricklanda.

Przyjęcie odbywało się w sali balowej luksusowego hotelu *The Nines* w śródmieściu Portlandu. Ponieważ mój loft mieścił się w dzielnicy Pearl, przynajmniej nie miałam daleko. Przed wejściem na salę stał stolik z identyfikatorami, ułożonymi w kolejności alfabetycznej. Oczywiście mojego nie było, pewnie dlatego, że nie potwierdziłam obecności. Kobieta za stołem zadała mi najpierw milion pytań, by się upewnić, że nie jestem intruzem, który chce nieproszony wcisnąć się na nudny koktajl firmy ubezpieczeniowej, po czym radosnym głosem oświadczyła, że zaraz wypisze mi identyfikator.

Aż się skuliłam, bo to znaczyło, że zamiast wydrukowanego identyfikatora z logo firmy, jaki będą mieli wszyscy goście, będę miała przyczepioną ręcznie wypisaną kartkę.

– W takim razie już lepiej namaluj mi na czole wielkie Ł jak „łajza” – powiedziałam.

To znaczy chciałam to zrobić, bo wypowiedziałam te słowa tylko w myślach.

Weszłam na salę z ręcznie wypisanym identyfikatorem łajzy, czując się, jakbym miała na czole wielkie szkarłatne A. Sala była pełna ludzi, co też wydało mi się żalosne. Czy oni wszyscy nie mają nic lepszego do roboty?

Nie dojrzałam Brendy, w każdym razie nie od razu, a poza nią nikogo tak naprawdę nie znałam, chyba że z mijania się bez słowa na biurowym korytarzu. Zaczęłam się kręcić bez celu, aż znalazłam się koło bufetu. Uznałam, że zajęcie się jedzeniem przynajmniej stworzy pozory, że jestem tu na miejscu. Ku mojemu zaskoczeniu wybór okazał się całkiem niezły. Szwedzkie kulki mięsne, szaszłyki z kurczaka, owoce i sery, pieczywo. Za stołem stał kucharz i kroił porcje pieczonych żeberk. W domu odżywiam się głównie tuńczykiem z puszki, masłem orzechowym i galaretką, więc dla mnie to była uczta.

Ustawiłam się w kolejce, gdy ktoś za mną powiedział:

– Pani też się zdecydowała w ostatniej chwili, co?

Facet stał tuż za mną, nie byłam jednak pewna, czy mówi do mnie. Ale uśmiechnął się i nie miałam już wątpliwości, że chodzi o mnie. Miłość od pierwszego wejrzenia? A skąd. Pierwsze wrażenie? Pomyślałam, że z nazelowanymi włosami i przedziałkiem z boku, w o numer za małym garniturze z wąskim krawatem i zbyt eksponowanym jednodniowym zarostem Graham wygląda trochę jak postać z telewizyjnego serialu Mad Men. Po prostu za bardzo się starał.

– Chodzi mi o pani identyfikator – wyjaśnił, wskazując moją karteczkę. – Pewnie też za późno potwierdziła pani obecność.

Dopiero wtedy zauważyłam, że on również ma ręcznie wypisany identyfikator. No kurczę.

– Tak – mruknęłam.

– Ja też – powiedział konfidencjonalnym tonem, jakby robiło to z nas pokrewne dusze.

Rozejrzałam się. Nie wiedziałam, ani kim jest, ani kim są ludzie stojący w zasięgu głosu, ale machnęłam ręką na zachowywanie ostrożności.

– Szefowa powiedziała, że jeśli nie przyjdę, to zwolni mnie z pracy. Myślę, że żartowała, ale pewna nie byłam, więc...

Parsknął śmiechem i zabrzmiało to nawet autentycznie.

– A mój szef powiedział, że jeśli chcę się dochrapać statusu wspólnika, muszę rozwijać znajomości biznesowe.

Powiedział to sztucznie afektowanym tonem.

– Jest pan prawnikiem – domyśliłam się.

– W kancelarii Begley, Smalls, Begley i Timmins. – Nachylił się i ściszył głos. – W skrócie BSBT, czyli Bullshit Big Time⁴.

Roześmiałam się.

– Powiedział pan dwa razy Begley.

– Ojciec i syn. Stary pierdziel i następca tronu. – Wywrócił oczami. – Gdyby nie był synem założyciela firmy, nalewałby zupę w garkuchni dla ubogich. Facet ma wyobraźnię gryzipiórka, który całymi dniami siedzi za biurkiem i sumuje słupki.

Czyli dokładnie jak ja! – wykrzyknęłam w duchu. Może nas sobie przedstawi?

– Zdaje się, że moja kancelaria i pani firma robią wspólnie jakieś interesy – dodał.

– Więc jest pan prawnikiem – powtórzyłam, grając na czas i próbując w myślach ocenić jego wiek. Cztery lata w college'u i trzy na prawie... musiał mieć co najmniej dwadzieścia pięć lat. Później się okazało, że miał dwadzieścia osiem, sześć lat więcej ode mnie. – Wygląda na to, że nie jest pan z tego powodu zbyt szczęśliwy. – Nagle uświadomiłam sobie, że blokuję kolejkę do jedzenia. Chwyciłam parę kawałków sera i przesunęłam się wzdłuż stołu.

– Praktykowanie prawa nie jest dla mnie problemem – ciągnął, jeszcze bardziej ścisząc głos. – Po prostu nie lubię pracy w korporacji. Z natury jestem przedsiębiorcą. Lubię budować coś od podstaw.

– Ma pan na myśli start-upy?

– Właśnie. Niech pani weźmie żeberka. Dla nich samych warto było tu przyjść.

– Jestem wegetarianką – odparłam. Tyle że wcale nią nie jestem i nie mam pojęcia, dlaczego to zmyśliłam.

Wyciągnął do mnie wolną rękę.

– A ja mięsożercą. Miło cię poznać. – Wskazał ręką swój odręczny identyfikator. – Strickland. – Wymówił nazwisko z brytyjskim akcentem. – Graham Strickland.

Nie skojarzył mi się z Jamesem Bondem. Raczej z krakersami z mąki Grahama, takimi, z których robi się kanapki na wycieczkę. Drugim słowem, jakie przyszło mi do głowy, było „bufon”. Potem jednak uświadomiłam sobie, że rozmowa z kimkolwiek jest lepsza od stania samotnie i sprawiania wrażenia kompletnej niemoty i ta myśl wzięła górę.

– Usiądziemy? – spytał Graham, wskazując wolny okrągły stolik.

– Jasne – odparłam, idąc za moją konstatacją.

Przepchnęliśmy się do stolika z białym lnianym obrusem i bankietowymi krzesłami.

– Napijesz się wina albo piwa? – zapytał Graham, stawiając na stół swój talerz z jedzeniem.

– Nie piję alkoholu.

– Nie pijesz, nie palisz, to co ty robisz? – zanucił, a gdy nie zareagowałam, dodał: – Adam Ant. Goody Two Shoes. To jego piosenka.

– Aa. – Kiwnęłam głową, po czym bez żadnego szczególnego powodu zmieniłam zdanie: – Wino. Wypiję kieliszek wina.

I tak przebiegał ten wieczór. Mówiłam rzeczy, których nigdy wcześniej nie mówiłam, zwłaszcza po drugim kieliszku wina. Jak na przykład wtedy, gdy Graham zapytał: „Chcesz stąd pójść?”, a ja odpowiedziałam: „Jasne”. Albo później, kiedy weszliśmy do baru i spytał: „Napijesz się czegoś?”, a ja znów odpowiedziałam: „Jasne”. Albo jak mnie odwiózł do domu swoim porsche, zaparkował i zapytał: „Zaprosisz mnie na górę na kawę?”, na co ja: „A ty pijesz kawę?”, on na to: „Nie”, a ja: „W porządku”.

No i tak wyszło. Przespałam się z nim. Zaraz pierwszej nocy! Wiem, to okropne, prawda? Może przez wino i koktajle, a może przez czytanie Pięćdziesięciu twarzy Greya. Szczerze przyznam, że nie spodziewałam się go jeszcze kiedyś zobaczyć, przysłał jednak maila; chciał się umówić na wieczór. Myślałam cały dzień nad odpowiedzią. Nie powiedziałam nic Brendzie, ale zwierzyłam się mojej przyjaciółce, Devin Chambers. Zaczęła pracę w naszej firmie w tym samym czasie co ja, tylko że w zespole innego

likwidatora. Gdy opowiedziałam jej o swojej nocy z Grahamem, zawołała: „Co?! Kurwa, nie wierzę! Przespałaś się z nim? O kurwa!”.

Czy wspominałam już, że Devin klnie jak ktoś z zespołem Tourette'a? W każdym razie uznała, że powinnam iść na randkę z Grahamem, i tak zrobiłam.

Czyli właściwie powinnam dziękować Devin za to, że stoję teraz w wyłożonym marmurem holu sądu okręgowego Multnomah i czekam na Grahama. Muszę przyznać, że jestem nieco speszona. No bo znamy się zaledwie kilka miesięcy. Nawet nie poznałam jeszcze jego rodziny. Mówi, że powinnam mu być za to wdzięczna. Jego ojciec jest jakimś dyrektorem w Nowym Jorku i Graham mówi, że właśnie dlatego mieszka w Portlandzie, bo jeśli miał pozostać w Stanach Zjednoczonych, to dalej już wyjechać nie mógł, no, chyba że na Hawaje. Twierdzi, że jego matka cały czas siedzi w mieszkaniu na Manhattanie i pije. Więc w pewnym sensie Graham też nie ma rodziny i to nas do siebie zbliża. Jesteśmy sierotami i jeśli to nie jest wystarczający powód do wzięcia ślubu, to nie wiem, co mogłoby nim być (to znów mój sarkazm).

Czułam się strasznie niezręcznie, stojąc tak w białej sukni. Byłam pewna, że wszyscy się nade mną litują w przekonaniu, że zostałam wystawiona. Jeśli mam być szczerą, mnie też się tak zdawało. To smutne, wiem, ale tak naprawdę nigdy nie rozumiałam, dlaczego Graham chce się ze mną ożenić. Terapeuta powiedział, że mam problem z niską samooceną. Naprawdę? A ja myślałam, że każdą dziewczynę, która była świadkiem śmierci obojga rodziców i którą molestował jej własny wujek, rozpiera pewnością siebie i radość życia!

Graham uważa, że mamy ze sobą dużo wspólnego, ale to głównie dlatego, że akceptuję wszystkie jego pomysły. Chyba się boję, że z nim jest trochę tak jak z moją szefową: albo idę na przyjęcie, albo mnie zwolni. Naprawdę nie wiem, jak by zareagował, jeślibym się czemuś sprzeciwiła.

– Hej!

Odwróciłam się na dźwięk jego głosu i z ulgą zobaczyłam, że biegnie po wyłożonej terakotą podłodze rotundy.

– Przepraszam za spóźnienie, ale coś wypadło mi w pracy – powiedział lekko zdyszonym głosem.

– Myślałam, że wzięłeś sobie wolne popołudnie.

– Zamierzałem, ale coś się pokomplikowało. Mały pożar w burdelu. Nic wielkiego. Więc jesteś gotowa, żeby to zrobić?

Żeby to zrobić?

– Jasne – odparłam, choć kiedy się pochylił, żeby mnie pocałować, wydało mi się, że czuję w jego oddechu alkohol.

Rozdział 5

Po wyjściu z kliniki doktora Wu Tracy zadzwoniła do Faza. Podała mu imiona i nazwisko Lynn Cora Hoff, datę urodzenia i numer ubezpieczenia społecznego i poprosiła, by sprawdził dane w ogólnokrajowej i stanowej bazie Centrum Informacji o Przestępstwach oraz w bazie wydziału komunikacji; sama udała się z Kinsem do motelu w przemysłowej dzielnicy miasta, który Lynn Hoff podała doktorowi Wu jako swoje miejsce zamieszkania. Z tablicy przed wejściem wynikało, że cena wynajmu pokoju wynosi dwadzieścia dwa dolary za dobę lub sto dwadzieścia tygodniowo. Siedząca w recepcji właścicielka poinformowała ich, że Lynn Hoff mieszkała u niej przez miesiąc i płaciła gotówką.

– Czy tak długi pobyt to coś niezwykłego? – spytała Tracy.

– Niezbyt częsty, ale się zdarza. Wie pani, ludzie między jednym a drugim mieszkaniem albo w trakcie przeprowadzki z innego stanu, tego typu sytuacje – odparła właścicielka.

Typowa jednostronicowa umowa najmu pokoju zawierała miejsca na wpisanie marki i numeru rejestracyjnego samochodu, Hoff postawiła w nich jednak kreski.

– Jaką była klientką?

– Bezproblemową. – Właścicielka wyszła zza lady i zaprowadziła ich na tyły budynku. Była w szortach, topie na ramiączkach i klapkach i Tracy pozazdrościła jej tego. Żar bijący od asfaltu parzył przez zelówki butów i wszystko wskazywało na to, że w Seattle padnie w tym roku rekord czerwca co do liczby dni z temperaturą powyżej trzydziestu stopni. Zresztą upały notowano wszędzie i we wschodnich rejonach stanu szalały już

pożary lasów. Po raz pierwszy w życiu Tracy słyszała, że miejscowi skarżą się na „suszę”, co w ustach mieszkańców Seattle brzmiało jak herezja.

– Zauważyła pani, żeby odwiedzali ją jacyś mężczyźni? – spytał Kins.

– Nie – odparła właścicielka, zwracając ku niemu głowę na schodach prowadzących na galeryjkę pierwszego piętra. – Nie mieszkamy tu prostytutki. Mieszkają u nas głównie Meksykanie, którzy pracują w okolicznych fabrykach. Zostają tu zwykle do pierwszej wypłaty i wyrobienia papierów, potem przenoszą się do wynajętych mieszkań. A co z nią? Nie żyje?

– Śledztwo dopiero się zaczyna – rzuciła Tracy.

Właścicielka motelu stanęła na galeryjce.

– To ją znaleźli w tej klatce? Pisali o tym w gazetach i mówili w telewizji.

Rzeczywiście sprawa nabrała lokalnego rozgłosu.

– Nie wolno nam ujawniać żadnych szczegółów śledztwa – zastrzegł się Kins.

– Więc to jednak ona była w tej klatce. – Kobieta powiedziała to takim tonem, jakby dzieliła się z nimi sekretem.

– Mówiła pani, że zdarzają się goście mieszkający miesiąc, tak? – wtrąciła Tracy.

– To ona była tą kobietą w klatce – powiedziała do siebie właścicielka tak triumfalnym tonem, jakby Lynn Hoff była księżną Dianą, a zajmowany przez nią pokój stanie się od razu atrakcją turystyczną. Ruszyła galeryjką ku ostatnim drzwiom, najdalszym od parkingu i recepcji.

– Czy Lynn Hoff mówiła, dlaczego tu mieszka? – zapytał Kins.

– Twierdziła, że jest w trakcie przeprowadzki. – Kobieta zmarszczyła twarz w zadumie. – Chyba z New Jersey. Pamiętam, jak wspominała, że czeka na zwolnienie lokalu w budynku, który sobie upatrzyła, i nie chce wynajmować nic innego.

– Mówiła, czym się zajmuje?

– Nie.

– Rozmawiała pani z nią na jakieś inne tematy? – wypytywała dalej Tracy.

– Właściwie nie. Szczerze mówiąc, odniosłam wrażenie, że nie chciała, żeby zawracać jej głowę.

– Dlaczego tak pani myśli?

– Nie była niegrzeczna, ale można było wyczuć, że chce, by zostawić ją w spokoju. A kiedy wychodziła, zawsze miała na głowie wielkie okulary przeciwsłoneczne i czapkę z daszkiem. Myśli pani, że się przed kimś ukrywała?

Tracy i Kins odpowiedzieli milczeniem.

– Znaczący ukrywała się przed kimś – skonstatowała właścicielka motelu.

Zatrzymała się przed czerwonymi drzwiami ze złocistym numerem „8D”. Kins postawił na podłodze galeryjki swoją żółto-czarną torbę na narzędzia, którą kupił w markecie budowlanym, bo urzekły go jej schowki i kieszenie. Typowy facet. Wyjął dwie pary lateksowych rękawiczek i podał jedną Tracy. Jeśli zobaczą w środku rozbryzgi krwi na ścianie lub wielką plamę na podłodze, wezwą ekipę specjalistów CSI.

– Ktoś tu po niej mieszkał? – spytała Tracy.

– Nie. Pokój jest cały czas wynajęty tej kobiecie.

Właścicielka otworzyła zamek uniwersalnym kluczem i usunęła się na bok.

– Muszę prosić, żeby poczekała pani przed drzwiami – powiedziała Tracy i kobieta cofnęła się.

Ostatnio Tracy bywała w wielu pokojach motelowych, w zbyt wielu – Kowboj zabijał swe ofiary w tanich motelach przy Aurora Avenue – i wiedziała, że zbieranie w nich śladów nie jest proste. Samymi odciskami palców można by obdzielić mieszkańców niedużej wioski, zwłaszcza jeśli Lynn Hoff była prostytutką. Tracy weszła do pokoju i aż ją zamurowało na widok panującego w nim porządku. Pokój był idealnie czysty, może wręcz zbyt czysty.

– Strzał w tył głowy to brudna robota – szepnął Kins, czytając w jej myślach. Wszedł głębiej i rozejrzał się. – Wątpię, żeby tu ją

zabito, ale pewnie wkrótce się okaże.

W lodówce stało styropianowe pudełko z niedojedzoną sajgonką i resztkami pad thai, ale bez nazwy restauracji, w której je przyrządzono. Stał też w połowie pełny karton chudego mleka, które – sądząc po zapachu – zdążyło już skwaśnieć, a także pół bochenka chleba ze śladami pleśni i kawałek cheddara. W drzwiach stała nadpita butelka chardonnay.

W szafie Tracy znalazła dwie bluzki, żakiet, szorty, dżinsy, parę tenisówek, buty z cholewkami do kostek i gumowe klapki. Na półce w łazience leżał rozłożony skromny zestaw do makijażu, w wypucowanej do czysta kabinie prysznicowej stały butelki szamponu i odżywki do włosów.

– Bardzo ubogo – zauważył Kins.

– Zdecydowanie – potwierdziła Tracy.

Przeszła do wnęki kuchennej, otworzyła szafkę pod zlewem i wyjęła wiadro na odpadki. Nie zostało opróżnione. Tracy pogrzebała w zawartości i natknęła się na zgnieciony kawałek papieru – kwit kasowy na wypłatę pieniędzy w banku Emerald Credit Union w Renton w stanie Waszyngton.

– Chyba znaleźliśmy jej bank – mruknęła.

Kins podszedł, by się przyjrzeć, po czym dokończył przeszukania pomieszczenia.

– Nie ma portfela, telefonu komórkowego ani laptopa – rzucił.

– Lynn Hoff nie chciała, żeby ktoś ją znalazł – zauważyła Tracy.

– Ale komuś się udało – mruknął Kins.

* * *

Na widok Tracy i Kinsa wchodzących do Byczej Zagrody – jak nazywali swoje biuro detektywi z zespołu A – Faz i Del jak zwykle obrócili się z fotelami. Biurka stały rozstawione w czterech rogach pomieszczenia, środek Zagrody zajmował duży stół. Ich reakcja zawsze kojarzyła się Tracy z Rexem i Sherlockiem, siedemdziesięciokilogramowymi mieszkańcami

rodezyjczyka z mastiffem, psami Dana, które jak oni natychmiast reagowały na każde jej wejście. Ostatnio widziała je dziś rano. Dan, z zawodu adwokat, wyszedł z domu przed nią i poleciał do Los Angeles, gdzie miał wystąpić przed sądem ze sprzeciwem wobec odrzucenia werdyktu korzystnego dla jego klienta. Kiedy wychodziła, Rex nie raczył nawet unieść łba ze swego posłania i tylko Sherlock okazał się na tyle rycerski, by odprowadzić ją do drzwi. W nagrodę dostał od niej sztuczną kość do gryzienia.

– W krajowej ani stanowej bazie Centrum Informacji o Przestępstwach Lynn Hoff nie figuruje – oznajmił Faz.

– Naprawdę? – rzucił Kins pełnym niedowierzania głosem. To, że Hoff za operację rekonstrukcji twarzy i pokój w motelu płaciła gotówką, jeszcze bardziej utwierdzało go w przekonaniu, że była prostytutką.

– Nawet jednego mandatu za złe parkowanie – dodał Del.

– A co z wydziałem komunikacji? – spytała Tracy.

– Tu już lepiej. – Del obrócił się z fotelem w stronę biurka i wręczył Tracy kartkę w formacie A4. – Poznaj Lynn Hoff. Poprosiłem ich o kopię najnowszej fotografii.

Lynn Hoff – jeśli naprawdę tak się nazywała, w co Tracy coraz bardziej wątpiła – była osobą o dość pospolitym wyglądzie. Miała proste ciemne włosy z przedziałkiem z boku, które sięgały jej poniżej ramion, na nosie okulary w grubych czarnych oprawkach. Z danych wpisanych w prawie jazdy wynikało, że ma sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i waży sześćdziesiąt jeden kilogramów, co z grubsza pasowało do pomiarów Funka podczas autopsji.

– Wydział komunikacji wydał prawo jazdy w marcu dwa tysiące szesnastego, brak informacji o prawach jazdy wydanych wcześniej na to nazwisko – powiedział Del.

– Ma dwadzieścia trzy lata – zauważyła Tracy, zerkając na Kinsa. – To może nie być jej prawdziwe nazwisko.

Oboje z Kinsem doszli do tego wniosku w drodze powrotnej z motelu, po przekazaniu pieczy nad pokojem sierżantowi z ekipy CSI.

– Bardzo możliwe, że jest fałszywe – potwierdził Faz, obracając się z fotelem za Tracy, która podeszła do swojego biurka i położyła na nim torebkę. – Sprawdziliśmy bazę LexisNexis i niczego o niej nie znaleźliśmy. Żadnych informacji o dawnych pracodawcach, żadnych poprzednich adresów. Sprawdziłem też numer ubezpieczenia. Sam numer wygląda na autentyczny, ale ani słowa o zatrudnieniu. Ta dziewczyna jest jak duch.

– I to uciekający – dorzucił Kins. – Zrobiła sobie rekonstrukcję twarzy i zażądała wydania wszystkich fotografii. Nie podała żadnych danych o sobie ani rodzinie, za wszystko płaciła gotówką. Wygląda też na to, że ktoś wysprzątał jej pokój w motelu. Brak telefonu. Brak portfela. Brak laptopa.

Tracy podała Fazowi kopię kwitu bankowego znalezionej w koszu.

– Znalazłam to w jej śmieciach. Możesz się tym zająć?

– Nie ma problemu.

Na telefonie Tracy zaczęła migać żółta lampka, sygnalizując nadejście wiadomości głosowej – jednej lub kolejnej z wielu. Mogła się spodziewać co najmniej kilku od swej odwiecznej prześladowczyni, Marii Vanpelt. Bardzo możliwe, że miała też wiadomość od Bennetta Lee, rzecznika prasowego policji Seattle, który dzwonił, bo Vanpelt zadzwoniła do niego. Lee będzie się od Tracy domagał oficjalnego komunikatu dla mediów. Mało prawdopodobne, by Nolasco zostawił jej jakąś wiadomość. Ten lubił się wyżywać osobiście.

– Jak w dzisiejszych czasach można funkcjonować bez karty debetowej lub kredytowej? – odezwał się Del, zwracając się twarzą do pozostałych członków zespołu A.

– Używasz kart przedpłaconych i komórek na kartę – wyjaśnił Faz. – A potem je wyrzucasz.

Zanim przeniesiono Faza do wydziału zabójstw, spędził cztery lata w Sekcji Oszustw i Nadużyć Gospodarczych. Choć on i Del starali się jak mogli trzymać fason, obaj stanowili wręcz komiczny duet. Awansowali do wydziału zabójstw w tym samym

roku, dwadzieścia jeden lat temu, a od siedemnastu pracowali razem jako partnerzy, pomyślnie rozwiązując stawiane im zadania. Wprawdzie obaj z lubością pozowali na gruboskórnych makaroniarzy, ale obaj mieli wyższe wykształcenie: Faz skończył college z dyplomem z księgowości i finansów, Del był absolwentem politologii na Uniwersytecie Wisconsin. Kiedyś przy lunchu Faz wyznał Tracy, że zamierzał kontynuować naukę na uniwersytecie w specjalności doradztwo podatkowe, ale musiał pójść do pracy, by zacząć zarabiać na spłatę kredytów studenckich. Wujek załatwił mu letnią praktykę w policji w New Jersey i praca policyjna – ku rozpaczy matki Faza – okazała się jego powołaniem.

– Ale mówiliście, że nie znaleźliście u niej żadnych kart płatniczych ani telefonów komórkowych – powiedział Del.

– Nie znaleźliśmy nawet portfela – potwierdził Kins. – Za operację i miesięczny pobyt w motelu zapłaciła gotówką. Prawie siedem kawałków.

– Skąd miała tyle forsy? – zastanowił się Del.

– Jeszcze nie wiemy.

– Może ten, kto ją sprzątnął, wyczyścił pokój w motelu – powiedział Faz. – I z całą pewnością nie zakładał, że jej ciało zostanie kiedykolwiek odnalezione.

– Sprzątnął? – prychnął Del i wskazał kciukiem Faza. – Jemu się zdaje, że jest Michaeliem Corleone.

– A może by tak przepuścić jej portret przez program rozpoznawania twarzy i sprawdzić, czy nie wydano jej prawa jazdy na inne nazwisko? – zwróciła się Tracy do Kinsa.

– A skąd weźmiesz zgodę wydziału komunikacji? – mruknął Kins.

Po zainwestowaniu ponad półtora miliona dolarów policja w Seattle dysponowała nowoczesnym komputerowym systemem rozpoznawania twarzy oraz specjalnie przeszkoloną ekipą operatorów, jednak rada miejska wyrażała zgodę na jego wykorzystanie tylko w przypadku zdjęć twarzy aresztantów. Wydział komunikacji posiadał najobszerniejszą bazę

fotograficzną mieszkańców stanu Waszyngton, ale odnośne władze nie wyrażały zgody na wykorzystanie jej przez miejscową policję do ścigania przestępców, co wynikało ze stanowiska prawnika ACLU⁵, który uznał, że mogłoby to naruszyć prawo do prywatności szarego obywatela. Czyli lepiej było pozwolić przestępcy zabić szarego obywatela, niż dowiedzieć się, ile ma wzrostu lub czy ma nadwagę. No i, broń Boże, nie ułatwić identyfikacji znalezionych zwłok, co pozwoliłoby zawiadomić najbliższych.

– Może zrobią wyjątek – powiedziała Tracy. – W końcu ona nie żyje.

– Biurokrata, który byłby gotów wyjść poza paragraf dla dobra sprawy? – wtrącił Del. – Życzę powodzenia! Przez ten czas, kiedy ty będziesz czekała na ich odmowę, ja zajmę się sprawą tradycyjnymi metodami i przejrzę listy osób zaginionych.

– Przynajmniej obejdzmy z tą fotografią mieszkańców osiedla i ludzi na marinach – bąknęła Tracy.

– To możemy zrobić – zgodził się Faz.

– CSI przeczesuje pokój w motelu, więc jak dostaniemy raport z daktyloskopii, może pojawić się cała lista nowych nazwisk. – Tracy czuła narastające zniechęcenie. – Pieprzyć to! Zwrócę się do Nolasca, żeby wywarł nacisk na wydział komunikacji w sprawie programu rozpoznawania twarzy. Ta kobieta nie żyje. Czyją prywatność możemy naruszyć?

– Amen! – rzucił Faz, wyciągając w górę rękę.

Del kiwnął głową, nawet nie podnosząc na niego wzroku.

– Mam iść z tobą? – spytał Kins.

Tracy chwilę się zastanowiła. Jeśli Nolasco będzie chciał jej odmówić, obecność Kinsa nie będzie miała znaczenia. Propozycja kolegi była raczej gestem rycerskości, czymś w rodzaju zachowania Sherlocka, który odprowadził ją rano do drzwi. Historia niechęci kapitana Nolasco do Tracy sięgała jeszcze czasów studiów w akademii policyjnej, kiedy stanęła w obronie koleżanki obmacywanej w ramach pokazu rewizji osobistej. Skończyło się to złamaniem nosa kapitanowi i jego sopranem po

jej celnych ciosach kolanem i łokciem. Do tego, całkiem niedawno, Tracy nieumyślnie wkopła Nolasca i jego dawnego partnera z wydziału zabójstw, Floyda Hattiego, kiedy w ramach prowadzonego śledztwa w sprawie Kowboja natknęła się na mocno wątpliwe metody śledcze, które obaj zastosowali w jednej ze starych spraw, co skończyło się pełnowymiarowym dochodzeniem Biura Odpowiedzialności Zawodowej. Hattie, będący już od dawna na emeryturze, uznał swoją winę; Nolasco raz jeszcze okazał się śliskim padalcem i wywinął się – dostał jedynie pisemną naganą.

– Nie – odparła. – Jeśli będzie chciał mi odmówić, nie będzie miało znaczenia, czy przy tym będziesz, czy nie.

– Może dopisze nam szczęście i ktoś ją rozpozna – powiedział Kins. – Bo przecież skądś się tu wzięła, nie?

– Chyba że wykluła się z jajka – mruknął Faz.

* * *

Tracy opuściła Byczą Zagrodę i ruszyła korytarzem z drzwiami do pokoi po jednej stronie i szklaną ścianą po drugiej, przez którą między biurowcami widać było Zatokę Elliotta. Całe Seattle spowijała lekka mgła, na horyzoncie ciągnęła się cienka czerwona kreska oznaczająca smog. Było to coś równie niezwykłego jak susza w Szmaragdowym Mieście, ale rzeczywiście nad horyzontem wisiał smog i nie sposób było temu zaprzeczyć.

Zastukała w otwarte drzwi gabinetu kapitana i stanęła w progu.

Nolasco siedział przy biurku i rozmawiał przez telefon. Nie zaprosił jej ruchem ręki i w żaden sposób nie zareagował na jej widok. Jakby jej w ogóle nie zauważył. Mówił coś do słuchawki o najlepszych zawodnikach w polu, Mike’u Troucie i Brysie Harperze, i stojąca w drzwiach Tracy domyśliła się, że rozmowa dotyczy składu baseballowej drużyny marzeń. Futbol marzeń, Marcowe Szaleństwo⁶, baseball marzeń – Nolasco na wszystkim

się znał i wszystkim kibicował. Był dwukrotnie rozwiedziony, więc cóż innego miał do roboty? Nie mógł przecież pozwolić, by zamordowanie młodej kobiety zakłóciło jego wymyślone życie.

Czekając, aż skończy, Tracy sprawdziła otrzymane SMS-y. Dan ją informował, że szczęśliwie wylądował w Los Angeles i spodziewa się być w domu około szóstej. Nigdy dotąd nie miała do czynienia z nikim, kto by jej się meldował tylko po to, żeby się zameldować, i cieszyło ją to, że Danowi się chce. W ciągu dwóch lat, które upłynęły od ich ponownego spotkania, Dan – kolega z lat dziecińczych – ani razu nie dał jej odczuć, że jest ona na drugim planie. Była bez przerwy na jego radarze. Zdążyła zacząć pisać odpowiedź, że wróci do domu później, gdy dobiegł ją głos kapitana mówiącego do słuchawki: „Muszę kończyć”. Rozłączył się i warknął:

– Co jest?

Tracy nie zareagowała i spokojnie skończyła pisać wiadomość.

– Mów, o co chodzi. Mam dużo pracy – rzucił.

Opuściła rękę z telefonem i weszła do gabinetu.

– Musimy porozmawiać o tej kobiecie z klatki na kraby – powiedziała.

Nolasco zmarszczył brwi.

– A co, udało się ją zidentyfikować?

– I tak, i nie.

– Co to znaczy?

– Znamy jej nazwisko, Lynn Hoff, ale podejrzewamy, że jest fałszywe. Ta dziewczyna jest jak duch. Nie znajdujemy nic na jej temat w żadnej bazie. Kins i ja pojechaliśmy do miejsca jej ostatniego zamieszkania, motelu w Kent. Albo szykowała się do ucieczki, albo już uciekała. Sądzymy, że ktoś dokładnie wyczyścił to miejsce. Nie znaleźliśmy jej portfela, telefonu komórkowego, komputera.

– Czyli była zamieszana w coś nielegalnego.

– Tego jeszcze nie wiem.

Nolasco się skrzywił.

– Jak inaczej możesz to wytłumaczyć?

– Na razie nie mogę.

Odsunął się z fotelem od biurka.

– Czasami sprawy nie są tak trudne, jak się człowiekowi zdaje. Czasami odpowiedź bywa tak prosta, na jaką wygląda. A wygląda na to, że ta dziewczyna była dziwką i narkomanką albo naraziła się niewłaściwym ludziom.

– Wstępne wyniki sekcji nie wskazują na zażywanie narkotyków, a gdyby była prostytutką, to po co ktoś miałby aż tak się starać, pakować ją do klatki na kraby i spuszczać na dno cieśniny Puget?

– Nie wymądrzaj się, Crosswhite. Wciąż trafiają nam się takie ofiary.

– Ale nie w koszach na kraby.

– Jak już mówiłem, wygląda na to, że naraziła się niewłaściwym ludziom. Jeśli się nie znajdzie na liście osób zaginionych i nikt się nie zgłosi, żeby ją zidentyfikować, miasto podda ją kremacji i za pół roku zostanie elegancko pochowana na Olivet. Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Na przykład baseballową drużynę marzeń? Tracy niemal powiedziała to na głos, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

– W systemie nie znaleźliśmy jej odcisków palców – dodała. Kolejny dowód na to, że Lynn Hoff nie była notowana jako prostytutka czy narkomanka.

– Sprawdźcie na liście osób zaginionych. Założę się, że się na niej znajdzie.

– Del właśnie się tym zajmuje. Ona przeszła operację plastyczną twarzy.

– Mnóstwo kobiet to robi. To się nazywa próżność.

– Mnóstwo mężczyzn też – powiedziała Tracy. Mówiło się, że rzekomy dwutygodniowy urlop kapitana na Maui był w rzeczywistości pobytem w zakładzie chirurgii plastycznej. Po powrocie miał taką minę, jakby był wiecznie zdziwiony. – Tylko że to nie był zabieg kosmetyczny. Przeszła rekonstrukcję twarzy. Zmieniła wygląd.

– Skąd to wiesz?

– Funk znalazł u niej implanty. Stąd znamy jej nazwisko. Jej chirurg plastyczny powiedział, że nie podała mu żadnych szczegółów z życia osobistego i rodzinnego, za to zażądała wydania wszystkich fotografii zrobionych przed operacją i po niej. Del sprawdził w bazie wydziału komunikacji i wyciągnął zdjęcie, ale nie znalazł żadnej wzmianki o wcześniej wydanych prawach jazdy. To trochę dziwne jak na dwudziestotrzylatkę. Chcę skorzystać z programu rozpoznawania twarzy w bazie wydziału komunikacji i sprawdzić, czy nie znajdziemy jeszcze czegoś. Do tego potrzebuję twojej pomocy.

Nolasco pokręcił głową.

– Wydział komunikacji się nie zgodzi.

– Wiem, że takie jest ich oficjalne stanowisko, ale liczę, że ich przekonasz. Ta kobieta nie żyje, więc nie ma mowy o naruszeniu prywatności.

– ACLU uważa, że nie wolno nam korzystać z tego programu, chyba że podejrzewamy działania przestępcze.

– Podejrzewamy działanie przestępcze. Ktoś ją zabił i wsadził do kosza na kraby.

– Poczekajmy, co ustali Del, zanim zaczniemy szastać pieniędzmi podatników.

– Del nie znajdzie jej na liście osób zaginionych. Ona nie zaginęła, tylko się ukrywała.

– Przed kim?

– Przed tym, kto ją w końcu zabił.

– Wyślij jej fotografię do obyczajówki. Niech połączą z nią po mieście. Może ktoś ją rozpozna. Czasami dobra robota policyjna wymaga stukania obcasami w chodnik, nie tylko palcami w klawiaturę.

Tracy aż przygryzła język, żeby nie wybuchnąć.

– Dzięki, kapitanie. – Ruszyła do wyjścia, lecz coś przyszło jej do głowy i zwróciła się do Nolasca: – A nawiasem mówiąc, słyszałam, że Trout ma uszkodzone ścięgno podkolanowe i może mieć z tym kłopot przez resztę sezonu.

Uniósł głowę, wyraźnie zaskoczony jej nieoczekiwaną zmianą tematu. A potem jego zwykle wytrzeszczone oczy jeszcze bardziej się wytrzeszczyły.

– A co ty możesz o tym wiedzieć?

– Ja? Nic. Ale mój Dan zna kogoś z ekipy lekarskiej Angels.

Gdy wyszła, Nolasco natychmiast sięgnął po słuchawkę, a ona pomyślała z nadzieją, że tego wieczoru Mike Trout zaliczy przynajmniej trzy domowe bazy.

* * *

Tracy posłuchała rady Nolasca i przekazała Billy’emu Williamsowi odbitkę fotografii Lynn Hoff z prośbą o dostarczenie jej sierżantowi z obyczajówki. Poprosiła też, by ludzie z obyczajówki pokazali ją w znanych skupiskach prostytutki. Nie zrobiła tego dlatego, że uznała ten pomysł za dobry i wierzyła, że to coś da. Zrobiła to, by móc poinformować kapitana, że postąpiła zgodnie z jego radą i nic z tego nie wyszło. Lynn Hoff mogła być zamieszana w coś nielegalnego, ale Tracy była przekonana, że nie była ani prostytutką, ani narkomanką. Nie była też bezdomną, skoro mogła sobie pozwolić na operację plastyczną i pokój w motelu, wszystko płatne gotówką.

Po prostu przed kimś się ukrywała.

Tracy wyjechała z biura trochę po dziewiątej, dużo później, niż kończyła się jej dzienna zmiana, ale i tak wcześniej jak na pierwsze czterdzieści osiem godzin śledztwa w sprawie zabójstwa. Wiedziała, że przeszukanie listy osób zaginionych zajmie Delowi trochę czasu, raport toksykologiczny Funka będzie gotowy dopiero za dwa tygodnie i mniej więcej tyle samo potrwa analiza śladów DNA. Odcisków palców Hoff nie znaleziono w bazie AFIS i trudno było oczekiwać, że jej DNA znajdzie się w systemie CODIS.

Pojechała do domu i uśmiechnęła się na widok zaparkowanego pod bramą suburbańską Dana, tak jak w wieku dwunastu lat uśmiechem witała leżący pod jej domem jego

rower. W tamtych czasach Dan nie interesował jej jako chłopak i wcale się w nim nie podkochiwała, ale zawsze lubiła jego towarzystwo.

Ich drogi zeszły się ponownie w Cedar Grove, gdy myśliwi odkryli płytki grób ze szczątkami Sary i Tracy pojechała do domu, by złożyć na wieczny spoczynek to, co zostało z jej jedynej siostry, i podjąć pościg za jej zabójcą. Dan przyjechał na pogrzeb i od tamtej pory się spotykali, choć ich kontakty stały się częstsze, dopiero gdy Dan przeniósł się z Gór Kaskadowych na dwuhektarową farmę w Redmond. Spędzany razem czas jak dotąd nie wpłynął ujemnie na ich wzajemne uczucia i Tracy nawet zaczęła myśleć o ślubie, ale nie poruszali tego tematu. Oboje mieli za sobą nieudane małżeństwa i rozwody i żadne nie paliło się do sformalizowania ich związku. Dan ostatnio stoczył kilka wielkich bitew sądowych, w tym niedawny proces z firmą z Los Angeles, i nie śpieszyło mu się do kolejnych długich występów przed sądem. Wykorzystywał wolny czas na remont i przebudowę domu na farmie, poświęcając się czemuś, co lubił i umiał robić. Wcześniej całkowicie przebudował dom po rodzicach w Cedar Grove, teraz w ciągu dnia pracował nad tym kupionym, a wieczorem jechał do Seattle, by przyrzadzić Tracy kolację i spędzić z nią noc. Gotował lepiej niż ona i choć w przypadku kobiety noszącej służbowego glocka .40 i umiejącej strzelać szybciej i celniej od wszystkich kolegów policjantów brzmiało to dziwacznie, Tracy czuła się pewniej i spała spokojniej, mając pod bokiem Dana i dwa psy.

Rex i Sherlock powitali ją w drzwiach z garażu do kuchni, lecz w ich zachowaniu brakowało typowego dla nich entuzjazmu i powitanie wyglądało bardziej na spełnienie obowiązku. Zaraz też wyszli przez rozsuwane drzwi na taras i z wywalonymi jęzorami rozciągnęli się na podłodze, ciężko dysząc. Chwała Bogu, że mają krótką sierść, pomyślała Tracy.

Dan, stojący na tarasie bez koszuli, w szortach i klapkach na bosych nogach, wyglądał na w pełni zadowolonego z życia. Utrzymywał dobrą kondycję dzięki regularnemu bieganiu

i ćwiczeniu ciężarkami kilka razy w tygodniu oraz długim wędrówkom po górach w weekendy. Zimą jeździł na nartach jak osiemnastolatek, brzuch miał płaski, klatkę piersiową dobrze rozbudowaną i – jak trzeba – lekko zarośniętą. W tej chwili nie miał na nosie swych okrągłych okularków w drucianej oprawie, w których wyglądał jak wykładowca college’u.

– Co im zrobiłeś? – spytała Tracy, wychodząc na taras i wskazując głową psy.

– Wziąłem je na spacer – odparł Dan. – Wiesz, że w upale są jak małe dzieci.

Otworzył pokrywę grilla i owionęła go chmura dymu.

– Iść po gaśnicę? – spytała Tracy, zasuważąc drzwi, by dym nie przedostał się do domu.

Dan podmuchał na płomień i obróciwszy szczypcami porcję kurczaka na drugą stronę, szybko zamknął pokrywę i odstąpił od grilla.

– Jeśli znasz sposób na grillowanie kurczaka bez wzniesienia pożaru na ruszcie, to zamieniam się w słuch. – Pocałowali się i Dan wskazał ręką stolik między dwoma fotelami ogrodowymi. – Nalałem ci kieliszek wina.

– Dzięki. Pójdę się najpierw przebrać. Wyglądasz dużo swobodniej niż ja.

Odrzucił głowę i rozłożył ramiona. Mimo że zapadał już zmrok, nadal było gorąco, ale Dan zawsze lubił ciepło. Z czasów dzieciństwa spędzanego wspólnie w Cedar Grove Tracy pamiętała, jak rozkoszował się letnimi upałami. „Im cieplej, tym lepiej!”, wołał, po czym radośnie wykrzykiwał to, co będą mogli zrobić. Na przykład pojechać rowerami na wzgórza i poskakać do rzeki z huśtawki na sznurach.

– Jak ta pogoda się nie zmieni, to możesz już nigdy nie wrócić do pracy – powiedziała Tracy.

– Nie miałbym nic przeciwko temu. Ale czeka mnie jeszcze jeden wyjazd do Los Angeles i kolejne starcie z moim ulubionym adwokatem strony przeciwnej.

– To nie doszłście dzisiaj do końca?

– Sprawa jest skończona. Sędzia uznał ich wnioski procesowe za śmieszny, kazał wypłacić mi honorarium adwokackie i polecił im zakończyć sprawę. Muszę omówić z nimi kilka spraw.

– Nie możesz tego zrobić telefonicznie lub mailowo?

– Nie mam do nich zaufania. Chcę, żeby wszystko odbyło się w sądzie, oficjalnie.

– Kiedy się wybierasz?

– W piątek.

– Gdyby nie to nowe śledztwo, poleciałabym z tobą. Moglibyśmy spędzić weekend na plaży.

– Brzmi znacznie lepiej niż użeranie się z tymi palantami. Zakończ śledztwo i jedźmy.

– Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Przebiorę się i wszystko ci opowiem.

Tracy weszła do domu i zmieniła biurowe ubranie na szorty i top na ramiączkach.

– Dużo lepiej – rzuciła po powrocie na taras.

Dan siedział w jednym z dwóch foteli z butelką corony w ręce. Słońce szybko zachodziło i na tarasie po wschodniej stronie domu zrobiło się nieco chłodniej, choć termometr na ścianie wciąż wskazywał dwadzieścia dwa stopnie.

– Domyślam się, że nowe śledztwo dotyczy tej kobiety w koszu na kraby, tak?

Tracy usiadła w drugim fotelu i łyknęła wina.

– Stajemy na głowie, żeby ją zidentyfikować.

– Aż tak? – zdziwił się Dan.

– Zwłoki są w znośnym stanie. Ale ta dziewczyna jest jak fantom.

– Fantom?

– To ktoś taki, kto świadomie nie pozwala się namierzyć. – Tracy opowiedziała, jak im się udało ustalić nazwisko ofiary i o ślepych zaułku, w który zabrnęli. – Nolasco chce, żebyśmy machnęli na nią ręką, uznali za bezdomną i przekazali miastu do skremowania zwłok.

– A skoro mowa o kremacji... – Dan zerwał się z fotela, chwycił szczypce i otworzył pokrywę grilla. Wydostał się spod niej tylko mały obłoczek dymu. – Żyj! – sapnął z ulgą. Zdjął z rusztu porcję kurczaka i rozłożył na półmisku. Wbrew obawom mięso było złocistobrązowe i wyglądało apetycznie i chrupiąco. Tracy nie miała pojęcia, jak się to Danowi udaje. Obrócił kurki, by zgasić płomień, i zakręcił zawór na butli z propanem.

Tracy poszła do środka po talerze i sztuce, Dan wyjął z lodówki sałatę i pojemnik z dressingiem. Wrócili na taras, usiedli i nałożyli sobie jedzenie na talerze. Daleko w dole w Zatoce Elliotta widać było białe trójkąty. Całkowicie bezchmurne niebo nie zapowiadało szybkiej zmiany upalnej pogody.

– No to opowiedz mi teraz, dlaczego ta kobieta jest fantomem – poprosił Dan, gdy zabrali się do jedzenia.

Zrelacjonowała mu wizytę u doktora Wu, oględziny w pokoju motelowym, wspomniała o fotografii Lynn Hoff z bazy wydziału komunikacji i o swoim przeświadczeniu, że ofiara nie była narkomanką, prostytutką ani bezdomną.

– Tylko jeśli nie była narkomanką ani prostytutką, to jak to możliwe, że nikt nie zgłosił jej zaginięcia? – zakończyła.

– Może jest tak, jak mówiłaś. Trudno ją nazywać zaginioną, skoro nie chciała być znaleziona – wtrącił Dan. – Dlatego nikt nie podejrzewa, że zginęła.

– Ale jeśli się przed kimś ukrywała, to znaczy, że miała jakąś tożsamość, prawda? Nie sposób porzucić wszystkiego i wszystkich tak, by nikt tego nie zauważył. Musiała mieć jakąś rodzinę, przyjaciół, kolegów z pracy. Czy ktoś może tak łatwo zniknąć?

– Na jakiś czas. Zależy, co powie ludziom... lub jeśli umrze – bąknął, ogryzając nóżkę.

– Nieźle kombinujesz.

– Z czym?

– Bo skupiliśmy się na tym, czy wcześniej nie popełniła jakiegoś przestępstwa, a to może być błąd. Równie dobrze mogła

posługiwać się tożsamością Lynn Hoff, wiedząc, że ona nie pojawi się w żadnej policyjnej bazie danych, bo już nie żyje.

Zadzwoiła komórka Tracy, na wyświetlaczu pojawił się numer jej telefonu na komendzie. Gdy miała domowy dyżur lub pracowała nad nowym śledztwem, połączenia z jej biurowym numerem były automatycznie przekierowywane na komórkę.

– Muszę to odebrać – mruknęła.

Dan wziął kieliszek z winem i odchylił się na oparcie fotela, Tracy rzuciła „Przepraszam” i podeszła do balustrady tarasu.

– Detektyw Crosswhite.

– Pani detektyw, tu Glenn Hicks. Jestem szefem straży w Parku Narodowym Mount Rainier.

– Czym mogę służyć? – powiedziała Tracy, przenosząc wzrok na górujący na południu masyw.

– No cóż, jeśli mam być szczery, to sam nie bardzo wiem. – W słuchawce rozległo się przeciągłe westchnienie, po czym Hicks dodał: – Ale coś mi się zdaje, że mogła się pani natknąć na jednego z moich truposzy.

Rozdział 6

Małżeństwo to błogosławieństwo.

Tak przynajmniej mówią. W moim przypadku nie widzę większej różnicy między życiem singielki a mężatki, nie licząc paru drobiazgów, jak na przykład konieczności ścieśnienia się w szafie i zrobienia miejsca na rzeczy Grahama albo tego, że jest teraz dwa razy więcej brudnych ubrań i dwa razy więcej naczyń do zmywania. Nie sądziłam, że po ślubie zamieszkamy w moim lofcie niewiele większym od kawalerki, ale Graham powiedział, że jest tańszy od jego mieszkania, więc zaoszczędzimy pieniądze, a z Pearl mamy blisko do fajnych restauracji i sklepów.

Tyle że wcale nie chodzimy do żadnych fajnych restauracji i sklepów. Minęło już sześć tygodni od wielkiego dnia i nawet weszłam w tym czasie na szczyt Mount Rainier, choć Grahamowi się nie udało. Musiał zawrócić na Disappointment Cleaver, bo dostał ataku choroby wysokościowej. Myślałam, że się ucieszy, że mnie się udało, ale on tylko się wściekł na przewodników, że go odpowiednio nie przygotowali do wspinaczki.

Graham dużo pracuje i późno wraca do domu. Mówi, że kieruje publiczną ofertą akcji klienta BSBT i jeśli mu to wyjdzie, na pewno zostanie współnikiem. Ale mnie nie przeszkadza, że go ciągle nie ma. Jak już mówiłam, przywykłam do życia w samotności i przyjęcie kogoś do mojego loftu było nie lada wyzwaniem. Nigdy nie byłam specjalnie rozmowna, a Graham lubi pogadać po powrocie do domu, przynajmniej niekiedy. Ma mnóstwo pomysłów na rzeczy, które chce robić w przyszłości, ale twierdzi, że jak dotąd nie trafił jeszcze w „magiczny punkt”.

Jego późne powroty zostawiają mi więcej czasu na czytanie, choć on wciąż mnie namawia do tego, bym znowu zaczęła chodzić do siłowni, bo już odzyskałam te dziesięć kilo, które straciłam, szykując się do wspinaczki na Mount Rainier. A może powinnam raczej powiedzieć, że to one odzyskały mnie, bo ja o nie na pewno nie zabiegałam. To chyba sprawa genetyki. Pamiętam, jak tata mówił do mamy, że nieważne, ile je ani jak często i daleko biega, nigdy nie zejdzie poniżej dziewięćdziesięciu pięciu kilogramów.

Co oczywiście nie znaczy, że ja ważę dziewięćdziesiąt pięć kilogramów.

Boże święty!

Ważę sześćdziesiąt jeden kilo, ale to wcale nie jest tak mało.

Seks zdarza się rzadziej, niż myślałam. Graham mówi, że po całym dniu pracy jest zmęczony, ale zastanawiam się, czy to przypadkiem nie jest związane z moją wagą. Przed ślubem powtarzał, że „lubi kobiety, które mają trochę ciała”, ale teraz mówi: „Kiedy siedzę do późna w pracy, powinnaś chodzić na siłownię albo na długie spacer. Nie musisz tu siedzieć kamieniem”.

Tylko że mnie się to podoba. I lubię swoje książki. Mnie moja waga nie przeszkadza. Mam odpowiednią do niej garderobę.

W środę wieczorem też siedziałam, czytając Słowika, powieść, która przeniosła mnie do Paryża lat czterdziestych i czasów niemieckich parad na Polach Elizejskich, gdy usłyszałam, że ktoś gmera przy drzwiach. Loft jest na drugim piętrze dawnego magazynu i to jedyny lokal mieszkalny na tym piętrze. Można na nie wejść schodami lub wjechać windą, ale żeby dostać się na schody lub do windy, trzeba najpierw wpisać czterocyfrowy kod przy drzwiach wejściowych. Drzwi do loftu nie mają zwykłego zamka na klucz. Sądzę, że gospodarza zmęczyły nocne wezwania od lokatorów, którym zatrzasnęły się drzwi. Przy moich jest taki sam szyfrator jak na dole i do ich otwarcia używam tego samego kodu co przy wejściu od ulicy: dnia i miesiąca moich urodzin. To całkiem sprytne, wiem.

Nie odwiedzają nas tu żadni domokrążcy, więc obecność kogoś pod drzwiami o tej porze bardzo mnie zdziwiła. Spojrzałam na zegar na ścianie obok okna, przez które widać kawałek rzeki Willamette i mostu Broadway. Osiemnasta trzydzieści. Na Grahama było o wiele za wcześnie. Ostatnio nie wracał do domu przed dwudziestą drugą.

– Hej – powiedział, wszedł do środka i nim zamknął drzwi i odłożył torbę, zmierzył mnie wzrokiem.

– Hej – odpowiedziałam, czując, że coś jest nie w porządku. Nastroje Grahama były trudne do przewidzenia. Kiedy był z czegoś zadowolony, zamieniał się w rozgadany ładunek energii. Mówił wtedy i mówił, nie zważając na to, czy włączam się do rozmowy. Potem nagle się na tym łapał i mówił: „O, przepraszam, nie dopuszczam cię do słowa”. Ale zanim zdążyłam się odezwać, znów zaczynał gadać.

Tak było w dobre wieczory. W te gorsze wracał do domu nadąsany, na granicy wybuchu złości. Początkowo dopytywałam, czy coś się stało, ale przestałam po tym, jak mi powiedział: „Nie chcę o tym rozmawiać, rozumiesz? Rozmawiam cały dzień. Potrzebuję trochę ciszy i spokoju”.

Stał w drzwiach, wodząc wzrokiem po belkach na suficie. Wyglądał niechlujnie, co było u niego nietypowe. Musiałam mu nawet oddać więcej miejsca w szafie, co mi nie przeszkadzało, bo nie mam zbyt wielu ciuchów. Pamiętacie? Szara myszka z biurowej dziupli. Graham do pracy wkładał garnitury, koszule i krawaty, wszystko kupione w Nordstromie. Miał tam swojego ekspedienta, który znał jego gust, a Grahamowi odpowiadał ich styl. W ubraniach z tego sklepu wyglądał jak z żurnala. Ja zwykle wyglądałam, jakbym dopiero co zwlekła się z łóżka, wrzuciła na siebie, co było pod ręką. Wychodziłam z domu, nawet się nie malując. I tak było przez większość dni.

Ale dziś Graham miał rozluźniony krawat i rozpięty kołnierzyk koszuli. I wyglądał na zdyszanego, jakby biegł do domu.

– Mam tego dość – rzucił.

– Czego? – spytałam.

– BSBT. – Cisnął kluczyki na blat oddzielający wnękę kuchenną od pokoju. Wewnętrzne schodki prowadziły na górny poziom, gdzie stało nasze łóżko i mieściła się łazienka.

– Zdawało mi się, że jesteś zadowolony z tej pracy – powiedziałam. – Myślałam, że z tą publiczną ofertą dobrze ci idzie.

– Ty zawsze coś pokręcisz.

Jego uwaga zaboląła. Graham westchnął, a ja zauważyłam, że ma szkliste oczy. Jakby płakał... albo pił.

– Ja się tam duszę, nie widzisz tego? – Mówił, krążąc przy drzwiach i nie oczekując odpowiedzi. – Dogorywam od tysiąca drobnych skaleczeń, od których krwawi mi całe ciało. Całkowity brak kreatywności. Nie ma jej za grosz. Wszyscy tam myślą i działają jak roboty. Nikt nie wyściubia nosa poza swoją klatkę. Nikt. A jak ktoś się odważy, to dostaje po łapach i wraca do stada trutni. – Pokręcił głową, nie przestając chodzić. – Już dłużej nie mogę. Pieprzyć to! Koniec z tym!

– I co będziesz robił?

Zatrzymał się i potrząsnął głową w ten charakterystyczny dla siebie sposób, jak zawsze, kiedy był czymś podniecony. Właśnie tak zmieniały się jego nastroje. Twarz mu się rozjaśniła, ożywił się i zaczął strzelać oczami po pokoju. A potem podszedł do kanapy i opadł na kolana.

– Od pół roku dużo o tym myślę. – Poczułam od niego alkohol. – Mówiłem ci, że szukam magicznego punktu, pamiętasz? No więc chyba go znalazłem. Przeprowadziłem rozeznanie rynku.

– Rynku na co? – spytałam.

– Na marihuanę – powiedział Graham, oczy mu zaiskrzyły, twarz rozjaśnił promienny uśmiech.

– Na co? – Zupełnie nie wiedziałam, o czym mówi.

Podniósł się z kolan i zatarł ręce.

– W Oregonie legalizują marihuanę. To będzie dojna krowa. Rozmawiałem z ludźmi w Seattle i powiedzieli mi, że ci, co się załapią od samego początku, zrobią na tym majątek.

Włożyłam zakładkę do książki, zamknęłam ją i położyłam na kanapie. Niedawno natknęłam się na to w gazecie.

– Czytałam artykuł, w którym pisali, że przy tylu aptekach z medyczną marihuaną pojedynczym sklepom będzie w Portlandzie dużo trudniej – powiedziałam. – Inaczej niż w Seattle.

– Tak mówią tylko wieczni malkontenci – burknął Graham i usiadł tak blisko mnie, że musiałam podkurczyć nogi. – Takie właśnie trutnie bez grama wyobraźni. Zaufaj mi. Dokładnie się temu przyjrzałem i forsa jest na wyciągnięcie ręki.

– Kiedy się temu przyglądałeś?

– Co?

– Pytam, kiedy się temu przyglądałeś. Byłeś w pracy do późna i we wszystkie weekendy.

Oczy znów mu pociemniały, tylko że tym razem nabrały takiego wyrazu, jakby ktoś bardzo go zaskoczył.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Ja ci tłumaczę, że mamy szansę coś dla siebie zrobić, a ty mnie zaczynasz przepytywać.

– Nie przepytuję cię. Spytałam tylko...

– No więc okaż choć odrobinę entuzjazmu. – Podeszedł do okna, ale stanął twarzą do pokoju. – Czy ja proszę o zbyt wiele? Jesteś moją żoną. Powinnaś mnie wspierać.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc milczałam. Bo tak naprawdę wcale się wzajemnie nie wspieraliśmy. Graham uważał, że najlepiej będzie zachować rozdzielną finansową – oddzielne karty kredytowe, oddzielne konta w banku, oddzielne rachunki za telefon – choć czasami pożyczał moją kartę kredytową, bo czek z wypłatą od jego pracodawcy opóźniał się lub gdzieś wychodziliśmy, a nie lubił, jak portfel wypycha mu tylną kieszeń spodni.

– Chcę odejść z BSBT i otworzyć sklep z marihuaną – oznajmił rzeczowym tonem.

– Chcesz odejść? Ale poświęciłeś tej pracy tyle wysiłku. I mówiłeś, że jesteś o krok od awansu na wspólnika.

Wrócił na miejsce obok mnie na kanapie.

– Właśnie o to chodzi. Że tak się poświęcałem... dla nich. – Wyciągnął rękę i ujął moją dłoń. – A teraz nareszcie mam szansę

pracować dla siebie... dla nas – poprawił się szybko. – Moglibyśmy razem w to wejść.

– Jak to?

Tak mi ścisnął dłoń, że aż zabolęło.

– Moglibyśmy razem otworzyć firmę, ty i ja. Mogłabyś uciec ze swojej klatki.

Tylko że ja lubiłam tę klatkę.

– Lubię swoją pracę.

– To praca bez przyszłości. Chcesz tam siedzieć do śmierci? Klatki i biura to trumny. Tam naprawdę zdolni po prostu umierają.

Znów nachylił się nade mną tak blisko, że odruchowo odchyliłam głowę, by uciec przed odorem alkoholu.

– No, nie wiem – bąknęłam. – W tym artykule było napisane, że licencja na prowadzenie sklepu z marihuaną drogo kosztuje, nie mówiąc już o kosztach na rozruch i innych. I nie mamy żadnego doświadczenia w uprawianiu... no, czegokolwiek.

– Ja też o tym czytałem.

Zerwał się z kanapy i podszedł do drzwi. Podniósł z podłogi swoją skórzaną torbę, wrócił na kanapę i wyjął segregator grubości prawie dziesięciu centymetrów. Odsunął na bok czasopisma na stoliku i otworzył go.

– Nie musimy niczego uprawiać. Będziemy kupować towar od dystrybutorów.

Byłam zdumiona bogatą wiedzą Grahama na ten temat. Wyglądało, jakby opracował już dokładny plan działania, z uwzględnieniem kosztów uruchomienia i operacyjnych.

– Nazwiemy ją Genesis – powiedział. – Tak jak pierwsza księga Biblii, bo to będzie dopiero początek.

– Początek czego?

– Korporacji. Możemy zyski z tego sklepu zainwestować w następne start-upy i firmy. Rozmawiałem z bankiem. Z naszymi dwiema pensjami nie powinno być problemu z uzyskaniem kredytu...

– Kiedy rozmawiałeś z bankiem?

Machnął ręką, jakby opędział się od mojego pytania.

- Spójrz tutaj. Mamy zdolność kredytową.
- Nie mamy żadnego zabezpieczenia.
- Powiedziałem im, że niedługo zostanę wspólnikiem i moja pensja strzeli w górę.
- Ale przecież nie będziesz już tam pracował.
- Oni tego nie wiedzą. Mogę zostać w BSBT, dopóki nie dostanę kredytu.
- Ale to się nazywa...
- To nie jest żadne oszustwo – powiedział z naciskiem. – Mają mnie awansować na wspólnika, a ja po prostu nie przyjmę propozycji.
- Już ci powiedzieli, że zostaniesz wspólnikiem?
- Nie, ale to czysta formalność.
- Nie sądzę, żebyś mógł szafować pensją wspólnika, jeśli jej nie masz.
- Tylko w celu uzyskania kredytu. – Chwycił mnie za rękę, jakby mnie chciał porwać do tańca i zakręcić mną na parkiecie. – No przestań. Więcej optymizmu zamiast tego ponuractwa. To może być niesamowity okres w naszym życiu. Kiedy będzie lepszy moment na zajęcie się czymś takim, jeśli nie teraz, zanim pojawią się dzieci?

Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy o dzieciach. Cofnęłam rękę i przyjrzałam się uważniej liczbom Grahama. Pochylił się nade mną i zaczął wyjaśniać poszczególne pozycje. Coś, co na pierwszy rzut oka wydało mi się szczegółowym planem finansowym, teraz nabrało charakteru dużo bardziej życzeniowego.

– Nie sądzisz, że mogłeś nie doszacować kosztów rozruchu? Gdzieś czytałam, że planując start-up, należy założyć, że przez pierwsze sześć miesięcy działalności nie będzie żadnych zysków, ale może to potrwać znacznie dłużej, nawet osiemnaście miesięcy. I nie widzę tu pensji dla nas obojga. Z czego będziemy żyli?

Graham jęknął, zebrał papiery i zamknął segregator.

– Przepraszam, że próbowałam coś zrobić, żeby polepszyć nasz byt. W razie gdybyś zapomniała, przypominam ci, że to ja skończyłam college, to ja mam wyższe wykształcenie i to ja przez

ostatnie trzy lata pracowałem w wielkiej kancelarii prawniczej. – Pokręcił głową i odwrócił się do mnie plecami. – Wiesz, co ci powiem? Zapomnij o wszystkim. Po prostu zapomnij, że cokolwiek mówiłem.

Rzucił segregator na stolik, podszedł do drzwi i zabrał kluczyki z kuchennego blatu.

– Gdzie idziesz? – spytałam.

– Wychodzę.

Zatrzasnął za sobą drzwi, a chwilę później usłyszałam ryk silnika jego porsche. Wyrzałam przez okno i zobaczyłam, że wyjeżdża z podziemnego garażu i rusza ulicą. Uliczne latarnie rozświetlały mdłym blaskiem czubki rosnących przy chodniku drzew, wiszący nad mostem księżyc odbijał się w nurcie rzeki.

Po chwili zastanowienia podeszłam do stolika, otworzyłam segregator i raz jeszcze zagłębiłam się w liczby.

Rozdział 7

Mieszkając od dziecka na Północno-Zachodnim Wybrzeżu, Tracy dobrze znała fakty i legendy związane z Mount Rainier. Liczący 4392 metry Rainier nie był zwykłym szczytem. Był olbrzymim, dominującym nad całą okolicą stratowulkanem. Widoczny z odległości setek kilometrów, był tak potężny i wysoki, że tworzył wokół siebie własny mikroklimat i nawet kiedy szczytu nie było widać, a cały Północny Zachód spowijały gęste mgły, czuło się obecność tego olbrzyma. Mieszkańcy Seattle mówili wówczas: „Góra sobie poszła”, jakby chodziło o żywą, ruszającą się istotę.

Był piękną górą, ale jej uroda była śmiertelnie niebezpieczna. Co roku tysiące ludzi próbowało zdobywać szczyt i więcej niż połowie się to nie udawało, a niektórzy przyplacali to życiem. Wielu śmiertelnych ofiar nigdy nie odnaleziono, a ich ciała tkwiły pogrzebane w zwałach lodu, śniegu i skał lub na dnie kilkudziesięciometrowych rozpadlin.

Dla kogoś chcącego upozorować własną śmierć Rainier był idealnym kandydatem na zabójcę.

Niecałe półtorej godziny po wyjeździe z Seattle Kins zajechał pod bramę ze spadzistym dachem, wyznaczającą północno-zachodni wjazd na teren Parku Narodowego Mount Rainier, i ruszył wijącą się w głąb drogą, która doprowadziła ich do niewielkiego parterowego baraku z drewnianych bali, ze stojącym przed nim masztem z amerykańską flagą.

Tracy wysiadła, przeciągnęła się, by rozruszać zastale kości, i od razu poczuła w powietrzu zapach golterii przywołujący wspomnienie dzieciństwa spędzonego w Górach Kaskadowych,

ale także woń popiołu i sadzy. W powietrzu wisiała podrażniająca gardło rdzawa mgiełka wywołana przez pożary szalejące na wschodzie stanu Waszyngton.

Weszli z Kinsem do strażnicy parkowej nad White River, gdzie powitał ich strażnik ubrany w szorty khaki, koszulę z krótkimi rękawami w tym samym kolorze i traperki.

– Musicie być tymi detektywami z Seattle – powiedział z uśmiechem, wyciągając rękę. – Jestem Glenn Hicks. Różne dziwne rzeczy się tu działy, ale dla mnie to przebija wszystko.

– Dla mnie również – rzucił Kins.

Hicks był kilka centymetrów niższy od Tracy – miał jakiś metr siedemdziesiąt wzrostu – ale miał muskularne ramiona i masywne łydki. Na jego głowie świeciła pokaźna łysina, co zakrawało na ironię losu, bo reszta widocznych części ciała była mocno owłosiona. Ciemna szczecina na brodzie i policzkach oraz krzaczaste brwi nadawały mu wygląd człowieka nastroszonego i wiecznie niezadowolonego.

– Chodźcie dalej – zaprosił ich, wskazując ręką kantor za drewnianym kontuarem, niewiele większy od dzieciennego pokoiku. Stojące w nim biurko przypomniało Tracy biurka nauczycieli ze szkoły w Cedar Grove. Leżała na nim pojedyncza kartonowa teczka.

– Kiedy postawiono ten budynek? – spytała Tracy.

– Naszą strażnicę? W tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym. Budowano wtedy solidnie, ale bez specjalnych wygód. – Hicks usiadł za biurkiem. – Macie jej zdjęcie? – Wyraźnie chciał jak najszybciej rozwiać wątpliwości.

Tracy otworzyła skórzaną torbę i wyjęła fotografię Lynn Hoff z prawa jazdy. Nie była to fotokopia, tylko prawdziwa odbitka, dwanaście na dwadzieścia centymetrów, na błyszczącym papierze, którą Faz dostał z wydziału komunikacji. Tracy przesunęła fotografię po biurku, Hicks włożył okulary i uniósł ją do oczu, po czym otworzył teczkę, wyjął drugą fotografię i przyłożywszy do pierwszej, zaczął się im przyglądać. Pokręcił powoli głową jak ktoś, kto nie może uwierzyć własnym oczom.

– To ona – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Nie wiem, kto to jest Lynn Hoff, ale ta tutaj to Andrea Strickland.

Podał obie fotografie Tracy. Ona i Kins przyjrzeni się im uważnie. Chociaż kobieta na zdjęciu z wydziału komunikacji miała okulary w grubych oprawkach, nie było wątpliwości, że oba przedstawiają tę samą osobę.

– Mam tu jeszcze inne – powiedział Hicks, otwierając teczkę i wyjmując z niej kilka kolorowych fotografii. – Dostaliśmy je od jej męża jakieś cztery tygodnie temu, kiedy nas zawiadomiono, że zaginęła na górze.

Na jednej z nich Andrea Strickland stała na skale w szortach i podkoszulku, wokół bioder miała obwiązaną koszulę z długimi rękawami; za jej plecami wznosiła się imponująca sylwetka Mount Rainier.

– Co pan może nam o niej powiedzieć? – spytała Tracy.

– Mogę powiedzieć tyle, że narobiła nam kupę zbędnych kłopotów i naraziła życie moich ludzi – odparł Hicks obrażonym tonem zdradzonego kochanka. – Ktoś robiący coś takiego musi być potwornym egoistą.

Ale ta kobieta nie żyje, czyli zapłaciła za to najwyższą cenę, pomyślała Tracy, lecz nie powiedziała tego głośno. Postanowiła pozwolić Hicksowi się wyżalić. Miał do tego prawo. Andrea Strickland rzeczywiście paskudnie wywiodła w pole jego i innych strażników. Zwiodła wszystkich z wyjątkiem tej jednej osoby, która w końcu ją dopadła i zabiła.

Hicks obrócił się na piszczącym i zgrzytającym fotelu i wskazał ręką wiszącą na ścianie podniszczoną mapę geologiczno-topograficzną. Przedstawiała rejon całego parku i była upstrzona czerwonymi znaczkami X, z których część obwiedziono kółkami.

– Iksy oznaczają miejsca, gdzie osoby zaginione były po raz ostatni widziane, te w kółkach oznaczają odnalezione zwłoki. Poszukiwania trwają czasem kilka dni, czasami kilka miesięcy lub lat. A niekiedy nigdy ich nie znajdujemy. W związku z upałami ostatnich lat lody bardzo szybko topnieją i znajdujemy

ciała wspinaczy, którzy zaginęli dawno temu. I wierzcie mi, do tego nie da się przywyknąć. Człowieka gnębią myśli o tych, których nie udało się odnaleźć. Wciąż ma się wrażenie, że zaginieni mogą leżeć pod śniegiem parę metrów od miejsca poszukiwań albo tkwić w jakiejś rozpadlinie tuż pod nogami.

Otworzył szufladę, wyjął marker i otoczył kółkiem jeden z iksów, po czym założył skuwkę i podniósł na nich wzrok.

– Andrea Strickland. Nie potrzebuję nazwisk. Przez sen potrafię wskazać miejsca, gdzie ostatnio widziano każdego z moich zaginionych turystów. – Sunąc palcem po mapie, zaczął wymieniać nazwy. – Niedaleko Success Cleaver, rozpadlina na lodowcu Cowlitz, okolice Carbon River. – Postukał markerem w X przed chwilą obwiedziony kółkiem. – Liberty Ridge. Wiecie, dlaczego tak nam zależy, żeby odnaleźć ciała?

Tracy wiedziała. Przez dwadzieścia lat poszukiwała Sary, choć była niemal pewna, że znajdzie tylko jej szczątki.

– Żeby zakończyć sprawę dla rodzin – powiedziała.

– Żeby zakończyć sprawę dla rodzin. – Hicks pokiwał głową. – Nie wszyscy kupują ten szajs, że to takie piękne miejsce wiecznego spoczynku dla ich bliskich. I wcale się nie dziwię. Ale to również kończy sprawę dla nas. Trzydziestego maja dwa tysiące czternastego zginęło sześcioro wspinaczy w jednym wypadku. Zeszłego lata odnaleźliśmy trzy ciała. Niekiedy, jak choćby w zeszłym roku, mamy szczęście i nikt nie ginie. Ta góra to złośliwa bestia i bardzo szybko się wścieka. Świeci słońce, a chwilę później widoczność spada do zera i zaczyna wiać z szybkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Nigdy nie da się przewidzieć, co się wydarzy danego dnia, a to znaczy, że nigdy nie można się zrelaksować. To radio może w każdej chwili zaskrzeczeć.

– Co pan nam może powiedzieć o Andrei Strickland? – spytała Tracy.

Hicks zdał sobie sprawę, że zbyttno się rozgadał.

– Przepraszam – mruknął. – Chyba mnie trochę poniosło.

– Nic nie szkodzi – uspokoił go Kins. – Myślę, że ma pan do tego pełne prawo.

Hicks jeszcze przez chwilę dochodził do siebie.

– Trzynastego maja dwa tysiące siedemnastego Andrea Strickland i jej mąż Graham wzięli przepustkę na wejście na Liberty Ridge. Droga przez Liberty Ridge to nie zwykły spacer. To jeden z najrzadziej używanych szlaków na szczyt.

– Ile jest tych szlaków? – zainteresował się Kins.

– Co najmniej pięćdziesiąt.

– A ten jest rzadko używany, bo jest trudny czy niebezpieczny? – spytała Tracy.

– Jedno i drugie. Technicznie nie stanowi większego problemu. W paru miejscach są założone poręczówki i ktoś musi ubezpieczać wspinacza, ale nie pokonuje się lodowych klifów.

– Co powoduje, że szlak jest taki niebezpieczny?

– Północna strona góry, zwana Ścianą Willisa. Czasami przypomina tor na kręgielni, zwłaszcza ostatnio w związku z wysokimi temperaturami. W miarę topnienia lodu i osuwania się śniegu po ścianie zaczynają się toczyć kamienie i całe odłamy skalne.

– Czyli na szlaku nie ma zbyt wielu ludzi – domyślił się Kins.

– Nie ma – potwierdził Hicks. – Może właśnie dlatego wybrali tę drogę.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – spytała Tracy.

– W nadziei, że ktoś mógł ich widzieć, sprawdziłem wszystkie przepustki wydane w czasie tego weekendu. Ale nikt poza nimi nie wziął przepustki na wspinaczkę tą drogą. Poszli na Liberty Ridge na samym początku sezonu, który trwa zaledwie sześć tygodni, góra dwa miesiące, zależnie od długości okna pogodowego. Pamiętam, że pytałem męża, dlaczego tak wcześnie się zdecydowali na wspinaczkę tą drogą.

– I co odpowiedział? – spytała Tracy.

– Że chcą się zmierzyć z wyzwaniem. Że wcześniej zaliczyli już drogę przez Disappointment Cleaver i lodowiec Emmons. To są dwa najczęściej wybierane szlaki. Jak się później okazało,

drogę przez Disappointment Cleaver zaliczyła tylko ona, bo on się poddał. Dostał choroby wysokościowej. A w sprawie lodowca Emmonsa skłamał, bo w ogóle na niego nie weszli. Ale o tym dowiedziałem się już po fakcie.

– Dlaczego kłamał?

– Żeby dostać przepustkę na Liberty Ridge. Żeby wyglądało, że są doświadczonymi wspinaczami. Bardzo się przechwalał, to pamiętam.

– Czyli nie byli zbyt doświadczeni – zauważyła Tracy.

– Doświadczenie to szerokie pojęcie. Wspinali się już wcześniej, ale żadnego z nich nie nazwałbym doświadczonym wspinaczem i tak im zresztą powiedziałem.

– Rozumiem, że poszli bez przewodnika – upewnił się Kins.

– Bez. – Hicks odchylił się na oparcie fotela. – Co roku dwadzieścia pięć procent śmiertelnych wypadków zdarza się na tym szlaku. Przewodnicy nie lubią tamtędy chodzić.

– I co się stało?

Parsknął śmiechem, ale w jego głosie nie było wesołości.

– Teraz to już sam nie wiem.

– Co powiedział mąż?

– Zszedł z góry zziajany i roztrzęsiony. Powiedział, że doszli do Thumb Rock. Zaraz, moment... – Hicks otworzył szufladę biurka, wyjął mapę turystyczną, rozłożył ją na biurku i obrócił tak, żeby Tracy i Kins widzieli. Wziął do ręki ołówek i pochylił się nad mapą. – No więc, jak mówiłem, trzynastego maja wzięli przepustkę tu, w Centrum Obsługi Turystów. Wspinaczka szlakiem przez Liberty Ridge może trwać od trzech do pięciu dni. Większość robi to w trzy dni, choć znam takich, którzy pokonali tę trasę w dwa. Mąż powiedział, że wyszli z kempingu nad White River i pierwszą noc spędzili w bazie pod lodowcem. – Hicks pociągnął ołówkiem kreskę, wytyczając ich trasę. – Następnego dnia dotarli tu, do Wedge. Szlak w lewo prowadzi do obozowiska Schurmana drogą przez lodowiec Emmonsa. W prawo odbija szlak na Liberty Ridge. Przeszli przez przełęcz Saint Elmo, zeszli na lodowiec Winthropa, podeszli pod Curtis Ridge i rozbili biwak

na drugą noc. Mąż twierdzi, że w nocy się obudzili, obwiązali liną i wyruszyli na Thumb Rock. – Hicks obwiodł kółkiem tę nazwę.

– Poszli w nocy? – zdziwił się Kins.

– Idzie się, kiedy jest jeszcze zimno, bo śnieg jest wtedy twardszy i istnieje mniejsze niebezpieczeństwo osuwania się kamieni. A wspinaczka po takim śniegu jest łatwiejsza. Pokonuje się różnicę wysokości od dwóch tysięcy siedmiuset metrów do mniej więcej trzech tysięcy czterystu metrów i wymaga to od czterech do pięciu godzin. Na trzecią noc rozbili obóz na Thumb Rock.

– I byli zupełnie sami? – spytała Tracy. – Nikogo innego w pobliżu?

– Nikogo – potwierdził Hicks. – Tylko że w tym miejscu opowieść męża zaczyna się rwać. – Rozprostował plecy, jakby rozboleł go kręgosłup. – Twierdzi, że zjedli lekką kolację, wypili herbatę i około ósmej poszli do namiotu, żeby odpocząć. Zamierzali wstać o pierwszej i ruszyć na szczyt. Mówił, że słyszał, jak Andrea wstała, ale nie sprawdził godziny. Podobno powiedziała mu, że wychodzi na siusiu, a on został w namiocie i usnął. – Hicks zrobił minę świadcząca o tym, że nie bardzo wierzy w tę wersję. – Twierdzi, że przespał włączenie się budzika i gdy się obudził, było już rano i żony nie było w namiocie. Wyszedł na poszukiwania, ale nigdzie jej nie było. Po siedemnastej dotarł do nas na strażnicę i zgłosił jej zaginięcie.

– Dlaczego nie zadzwonił? Dlaczego czekał ze zgłoszeniem jej zniknięcia aż do zejścia?

– Sygnał komórkowy na górze jest w najlepszym razie chimeryczny.

– Jak się zachowywał?

– Spokojnie.

– Czyli nie był spanikowany ani przejęty?

Hicks pokręcił głową.

– Powiedziałbym, że wyglądał i mówił bardziej jak ktoś zagubiony niż przejęty. Mówił, że nie rozumie, dlaczego żona gdzieś się oddaliła, i nie ma pojęcia, co się mogło z nią stać.

A potem zaczął snuć przypuszczenia, że może poszła się załatwić, straciła orientację, zgubiła się i spadła w przepaść. I tego nie rozumiem. Żona nie wraca, a on nie zaczyna natychmiast jej szukać? Na ogół w noc przed wejściem na szczyt ludzie są spięci i źle śpią, czasem w ogóle nie są w stanie zmrużyć oka. A ten facet twierdzi, że przespał dzwonienie budzika? Słuchając jego opowieści, byłem niemal pewny, że to on ją zepchnął w przepaść.

– Znaleźliście jakieś jej ślady? – spytała Tracy.

– Tak – odparł Hicks i jego twarz rozjaśnił lekki uśmiech. – Akcję poszukiwawczą prowadziło około dwudziestu ludzi, strażników górskich i ratowników z grupy Nordic Ski Patrol Search and Rescue. Na górze szukali jej ratownicy z Tacomy, Everett i Seattle, z powietrza teren patrolowały śmigłowce z Dwieście Czternastego Batalionu Lotniczego Rezerw Armii Amerykańskiej z Lewis-McChord. Jak już mówiłem, kosztowało to nas mnóstwo wysiłku i kupę forsy. Dotarliśmy na Thumb Rock następnego dnia późnym popołudniem. Z powietrza wypatrzone coś, co wyglądało na resztki obozowiska tu, u stóp Ściany Willisa.

Hicks zrobił znaczek na mapie.

– Jakie resztki? – zapytał Kins.

– Raki, plecak, butelka z wodą, ubrania.

– Mąż rozpoznał te rzeczy?

– Tak.

– Ale ciała nie było?

– Nie było.

– Jak wysoka jest ta ściana?

– Ponad pięćset metrów.

– Logicznie rzecz biorąc, jeśli były resztki obozowiska, powinno też być ciało – zauważył Kins.

– Niekoniecznie. Mogę panu powiedzieć, co wtedy pomyśleliśmy. U stóp ściany znajduje się bergschrund. – Hicks wskazał ołówkiem miejsce na mapie.

– Bergschrund? – powtórzyła Tracy.

– To niemiecki termin. Oznacza dużą rozpadlinę, do której wpadają odrywające się od ściany bryły lodu.

– I przyjęliście, że kobieta wpadła do tej rozpadliny i nigdy nie zostanie odnaleziona, tak? – zapytał Kins.

Hicks pokiwał głową.

– Nie ma szans na wydobycie stamtąd ciała. Ściana Willisa bez przerwy się kruszy. Moi ludzie nie chcą się tam nawet zbliżyć i ja im się nie dziwię.

– Czyli idealne miejsce na upozorowanie śmierci – zauważyła Tracy.

– Chyba tak, ale nie o tym wtedy myślałem.

– Pomyślał pan, że to doskonałe miejsce dla męża, który chce zabić żonę – wtrącił Kins.

– Po co wkładałaby raki i zabierała całą resztę majdanu tylko po to, żeby się wysikać? To bez sensu.

– Słusznie. – Tracy pokiwała głową.

Hicks odchylił się na oparcie fotela.

– Byłem pewny, że zepchnął ją ze ściany. Aż do chwili, kiedy wczoraj zobaczyłem w komputerze waszą informację. A ja nie zapominam osób zaginionych na górze – dodał. – Są na stałe zapisane w mojej pamięci.

– To co pańskim zdaniem mogło się wydarzyć? – zapytał Kins.

– Co mogło? Teraz to już nie wiem, co mam myśleć. Ale jedno mogę powiedzieć. Sama z tej góry nie zniknęła. Nie ma mowy. Ktoś musiał jej w tym pomóc. Cholera, może ten jej mąż był w to zamieszany dla wyłudzenia ubezpieczenia. Detektyw z okręgu Pierce powiedział mi, że mieli polisę na życie i w ich małżeństwie były problemy.

Tracy już zdążyła się porozumieć z biurem szeryfa okręgu Pierce i była umówiona na spotkanie z detektywami z ich wydziału kryminalnego.

– Rozmawiałam z nim dziś rano – powiedziała. – Potwierdził, że mają na oku męża ofiary.

– Możliwe. – Hicks wziął do ręki fotografię Andrei Strickland.

– Nie wiem tylko, czy ta historia z koszem na kraby uwalnia go od podejrzeń, czy dodatkowo obciąża. – Spojrzał na czerwone X w kółku. – Ale na szczęście to już nie moja sprawa. Mój udział

w niej dobiegł końca, ale wygląda na to, że wasz dopiero się zaczyna.

Rozdział 8

W sprawie Genesis miałam dużo wątpliwości, ale Graham był takim optymistą i tak wierzył w sukces tego pomysłu, że w końcu wbrew sobie uległam. Nie chcę przez to powiedzieć, że mnie do czegoś zmusił lub że się ugięłam pod ciężarem powtarzanych przez niego argumentów, tylko że atmosfera w naszym domu stała się nieznośna i wiedziałam, że nie ma już powrotu do dawnego życia. Graham wracał do domu i zaczynał rzucać liczbami, opowiadał o jakiejś aptece na naszym terenie i przekonywał, że my też będziemy zarabiali kokosy. Kiedy próbowałam kwestionować jego wyliczenia, odwracał się do mnie plecami albo mi zarzucał, że go nie wspieram. A potem albo wychodził obrażony i wracał późno w nocy, albo siedział w domu i słowem się nie odzywał. Ale potrzebna mu była moja pensja, żeby dostać kredyt.

Gdy w końcu się zgodziłam, oczy mu się rozjarzyły jak komuś, kto właśnie się dowiedział, że nie ma raka. Objął mnie mocno i pocałował.

– Nie pożalujesz tego! – wykrzyknął, trzymając mnie za ramiona. – To będzie nasza najlepsza inwestycja w życiu. – A potem znów mnie uściskał.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – powiedziałam, mimo niepokoju zdobywając się na uśmiech.

– Czuję to, Andrea. – Zaczął krążyć po pokoju. – Czuję, że to moja wielka szansa.

Zapaliliśmy świecę o zapachu truskawkowym i kochaliśmy się tego wieczoru na kanapie jak zaraz po ślubie, jakby stało się coś ważnego. Jakbym to ja była kimś ważnym.

Od tamtej chwili nasze łożkowe sesje powtarzały się niemal co wieczór aż do dnia, gdy pojechaliśmy do banku na spotkanie w sprawie kredytu. Musieliśmy ujawnić wszystkie nasze aktywa i zobowiązania. Jedynym zobowiązaniem, o jakim wiedziałam, była umowa leasingowa na porsche Grahama. Nie mieliśmy praktycznie żadnych oszczędności, choć Graham obiecywał, że będziemy oszczędzać dzięki mieszkaniu w moim lofcie. Było mi głupio słuchać jego kłamstw o awansie na wspólnika w BSBT i siedząc naprzeciwko pracownika banku – eleganckiego starszego mężczyzny ze srebrzystymi włosami, który zadawał nam mnóstwo pytań i wpisywał odpowiedzi do formularza – byłam naprawdę spięta.

Po jakichś trzech kwadransach rozmowy popatrzył ponuro na Grahama i powiedział:

– Ma pan duże zadłużenie na karcie kredytowej.

Nie miałam o tym pojęcia.

Graham się skrzywił.

– Miałem chorobę w rodzinie, jedno z moich rodziców, a jestem ich głównym opiekunem, ale mam to już za sobą.

Ze zdumieniem słuchałam, jak gładko kłamie.

– Ma pan jakiś pomysł na spłacenie tego zadłużenia? – zapytał pracownik banku.

– Dostanę dużą podwyżkę, gdy tylko zostanę wspólnikiem w kancelarii.

– A kiedy to będzie?

– Sądzę, że od nowego roku.

– Mógłby pan uzyskać pisemne potwierdzenie z pańskiej kancelarii?

– Oczywiście.

Może spowodowały to nerwy, ale nagle poczułam, że muszę w tym miejscu wspomnieć o funduszu powierniczym po moich rodzicach, mimo że jego zasady nie pozwalały na użycie go do zabezpieczenia kredytu.

Graham zbladł jak ściana i przysięgam, że słysząc było, jak zgrzyta zębami. Pochylił się do mnie, choć starszy mężczyzna i tak

słyszał każde słowo.

– Masz fundusz powierniczy? – syknął.

Spojrzałam na pracownika banku, który miał niewyraźną minę kogoś, kto przypadkiem został wplątany w kłótnię i próbuje się jakoś z tego wyplątać. Przeprosił, że musi pójść po jeszcze jeden formularz, i uciekł.

– O czym ty mówisz? – burknął Graham.

– Kiedy rodzice zmarli, ich majątek trafił do mnie w postaci funduszu powierniczego. Po skończeniu dwudziestu jeden lat uzyskałam ograniczony dostęp do niego.

Patrzył na mnie z niedowierzaniem, potem zerknął przez ramię, by upewnić się, że pracownika banku nie ma w pobliżu, jeszcze bardziej się pochylił i odezwał się zduszonym szeptem:

– Chryste panie, Andrea. I kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

– Nie sądziłam, że to ma jakieś znaczenie – odparłam.

– Nie sądziłaś, że to ma jakieś znaczenie? – Odchrząknął, wyjął usta i wyprostował się na krześle. – To co my tu robimy? – rzucił tym swoim protekcyjnym tonem, którego tak nie lubię, jakbym była małym dzieckiem. – Przyszliśmy pożyczyć pieniądze, od których trzeba będzie płacić odsetki, bo sądziłem, że są nam potrzebne.

– Są nam potrzebne.

– Może wcale nie. Ile jest w tym funduszu?

– To nie ma znaczenia, Graham.

– Nie ma znaczenia? – parsknął ze złością. – Jestem twoim mężem. Jakie jeszcze tajemnice ukrywasz przede mną?

– Co? Niczego nie ukrywam... Nie... nie to chciałam powiedzieć.

– A co chciałaś? Bo z całą pewnością wygląda to tak, jakbyś ukrywała przede mną wielki sekret.

– Chodziło mi o to, że to nie ma znaczenia, bo i tak nie możemy tego ruszyć. Nie możemy skorzystać z tych pieniędzy.

– Chcesz powiedzieć, że ty nie chcesz z nich skorzystać.

– Nie, nie możemy.

Twarz mu poczerwieniła, niebieskie oczy nabrały stalowej szarości.

– Dlaczego, do cholery, nie możemy?

– Bo moi rodzice tak postanowili. Fundusz stanowi moją oddzielną własność i jest obwarowany różnymi ograniczeniami. Na przykład nie mogę go zainwestować. Mogę z niego tylko czerpać na swoje potrzeby.

– Twoi rodzice nie żyją – powiedział, cedząc z naciskiem słowa.

– Wiem, ale warunki korzystania z funduszu pozostają w mocy. Od dwudziestego pierwszego roku życia mogę w pełni decydować, co chcę zrobić z odsetkami, ale kapitał zasadniczy jest obwarowany ograniczeniami aż do skończenia przeze mnie trzydziestu pięciu lat. Rodzice tak to pomyśleli, żebym była dobrze zabezpieczona.

Tak naprawdę wiedziałam, że tak to wszystko urządzili po to, by nikt nigdy nie mógł mnie wykorzystać, na przykład ożenić się ze mną i przejąć połowę majątku lub odebrać mi go przy rozwodzie.

– Czyli te pieniądze są twoje i tylko twoje, tak? – spytał.

– Praktycznie rzecz biorąc, tak.

– Co to znaczy „praktycznie”?

– A jak myślisz, skąd brałam pieniądze na życie w te miesiące, kiedy brakowało nam na opłacenie czynszu, na raty leasingowe za twoje porsche czy na inne wydatki? Ratowałam się odsetkami z funduszu.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że jestem jak gąbka, w którą wszystko wsiąka?

– Nie, niczego takiego nie powiedziałam. – Chciało mi się krzyczeć.

– Ile jest w tym funduszu?

Nie miałam ochoty na to odpowiadać.

– Ile, Andrea? – warknął przez zaciśnięte zęby.

– Kapitał zasadniczy wynosi pół miliona dolarów.

Graham jednocześnie prychnął i roześmiał się. Zabrzmiało to tak, jakby się zakrztusił.

– Żarty sobie stroisz? Siedzisz na pół miliona dolarów? To co my tu, do cholery, robimy?

– Już ci powiedziałam. Nie mogę tego ruszyć.

– Andrea, jestem prawnikiem. Każdy kontrakt da się obejść, a fundusz powierniczy to nic innego jak swego rodzaju kontrakt.

– Tego się nie da. Mój powiernik powiedział, że rodzice tak go obwarowali, że nie da się nic z nim zrobić.

Pokręcił głową i wywrócił oczami.

– To już zostaw mnie. Możesz sięgnąć do tych pieniędzy?

– Nie da się, Graham.

– Możesz je podjąć?

– Mogę podjąć, ale nie mogę ich użyć do tego celu. Dlatego proponuję zrezygnować z leasingowania porsche, tymi pieniędzmi spłacić zadłużenie na twojej karcie kredytowej i tak jak planowaliśmy, wystąpić o kredyt.

Przygryzł dolną wargę i znów wywrócił oczami.

– Mam zrezygnować z porsche? Jestem prawnikiem, Andrea. Muszę dbać o swój wizerunek.

– Już nim teraz nie będziesz.

Na szczęście pracownik banku głośno odchrząknął na znak, że do nas wraca.

– Możemy kontynuować? – zapytał.

Graham nadal wyglądał na rozzłoszczonego, ale uśmiechnął się, jakby nic się nie stało.

– Oczywiście, zaczynajmy – rzucił.

Przez następne dwa dni chodził nadąsany. Oddał porsche i odzyskanymi pieniędzmi spłacił zadłużenie na karcie kredytowej, a ja dorzuciłam jeszcze dwa tysiące dolarów ze swoich.

– Zwrócę ci to – powiedział, ale nie zrobiło to na mnie wrażenia i tak naprawdę mi na tym nie zależało. Nigdy nie zależało mi na pieniądzach. Całe życie przeżyłam praktycznie bez grosza przy duszy, a teraz się okazało, że z pieniędzmi są tylko kłopoty.

Trzeciego dnia Graham wrócił do domu z bukietem kwiatów i skruszoną miną. Właściwie to wolałabym, żeby tego nie robił. Już

myślałam, że mam go z głowy do końca tygodnia, a on nagle znów zmienił nastrój.

– Przepraszam, że zachowałem się jak ostatni palant – powiedział, wręczając mi pachnący bukiet. – Po prostu kompletnie mnie wtedy zaskoczyłaś i poczułem się bardzo niezręcznie, rozumiesz? No bo wiesz, zgłaszam się do banku po kredyt, podobno jestem prawnikiem i nawet nie wiem, że moja żona ma taki wielki fundusz powierniczy.

– Powinnam była ci powiedzieć – przyznałam, ale bardziej dla świętego spokoju. – Nie zrobiłam tego, bo jak mówiłam, nie sądziłam, że ma to jakieś znaczenie, skoro i tak nie możemy z niego skorzystać.

– To po co w ogóle o nim wspomniałaś?

– Byłam zdenerwowana. Nie chciałam, żebyś pisał nieprawdę we wniosku kredytowym. Żebyś kłamał, że wkrótce będziesz współnikiem w kancelarii.

Uśmiechnął się, ale w dość pobłażliwy sposób.

– Andrea, jesteś takim wzorem wszelkich cnót. Nikt tego nie zauważy, ale to piękne, że tak się o mnie troszczysz. I wszystko rozumiem. Nie możemy skorzystać z tych pieniędzy i ich zainwestować, ale miło wiedzieć, że są, prawda? To trochę tak jak siatka dla akrobaty.

– Co masz na myśli? – spytałam, nagle zaniepokojona kierunkiem jego myślenia.

– Chodzi mi o to, że będziemy mogli się poratować, gdyby sprawy z uruchomieniem firmy napotkały jakieś nieprzewidziane przeszkody. Albo możemy trochę poszaleć. Wiesz, zacząć podróżować, kupić jacht, nacieszyć się życiem. Czy nie byłoby wspaniale mieć jacht? Bo coś takiego można by z funduszu sfinansować, prawda?

– Pewnie tak – bąknęłam ostrożnie. – W każdym razie na pewno z odsetek.

Nachylił się ku mnie.

– Wybaczysz mi?

– Pewnie – powiedziałam. Bo co innego mogłam powiedzieć.

– Wiesz, na co mam teraz ochotę? – Zamachał gwałtownie rękami, jak to robił, gdy coś go podniecało. Modliłam się w duchu, żeby nie powiedział: „Na seks”. – Pójść na dobrą kolację i uczcić nasz nowy biznes. W jakiejś superrestauracji.

Już zdążyłam się nauczyć, że dla Grahama „super” znaczy „drogie”. I nie miałam wątpliwości, czyją kartą kredytową zapłacimy.

W ciągu następnych dwóch miesięcy bank przyznał nam kredyt i Graham zajął się szukaniem odpowiedniego lokalu do wynajęcia oraz kompletowaniem wyposażenia. Kipiał energią, był pełen entuzjazmu i przypominał Grahama, którego poznałam i za którego wyszłam. Nie mógł się też nasycić mną. Uprawialiśmy seks w różnych miejscach i na różne wymyślne sposoby. Starłam się wzbudzić w sobie optymizm, że nasz biznes wypali, ale wątpliwości opadły mnie znowu, gdy dowiedziałam się, że znalazł nieduży sklepik w dzielnicy Pearl, gdzie są najwyższe czynsze w całym mieście, a to mówi samo za siebie. Czytałam niedawno artykuł, że po roku 2015 czynsze za lokale mieszkalne i użytkowe w Portlandzie poszły strasznie do góry. Od pewnego czasu wszystkie gazety lamentują, że miasto traci swą tożsamość, bo rosnące ceny zmuszają wieloletnich mieszkańców i drobny biznes do wynoszenia się coraz dalej od centrum. Czynsz za mój loft w ciągu trzech lat podskoczył z dziewięciuset do tysiąca dwustu pięćdziesięciu dolarów miesięcznie, a czynsz za lokal, w którym Graham zamierzał otworzyć Genesis, wynosił dwieście pięćdziesiąt dolarów za metr kwadratowy. Próbowałam go namówić, żeby otworzył sklep w dzielnicy przemysłowej, gdzie można było wynająć lokal za niewiele ponad sto dolarów za metr, nie było problemów z parkowaniem i nie mielibyśmy takiej konkurencji ze strony aptek, ale Graham nie chciał nawet słuchać.

– Lokalizacja to najważniejsze kryterium przy wyborze nieruchomości – pouczał mnie. – Lokalizacja, lokalizacja i jeszcze raz lokalizacja. Tu będziemy parę kroków od wielu firm i kancelarii prawnych, a tam są pieniądze. To ci ludzie będą

naszymi klientami. A poza tym pomyśl, ile zaoszczędzimy na samym jeżdżeniu samochodem.

Po zsumowaniu wszystkich naszych zobowiązań – spłaty kredytu, czynszu za loft i lokal sklepowy oraz rat leasingowych za porsche, bo po przyznaniu kredytu Graham wznowił jego leasing – nasze miesięczne płatności wynosiły blisko sześć tysięcy dolarów. W tej kwocie nie mieściły się codzienne wydatki na życie ani opłata za licencję na handel marihuaną, a pieniądze z kredytu bardzo szybko się rozchodziły na remont lokalu i inne koszty związane z rozruchem. Graham wydawał mnóstwo pieniędzy na takie fanaberie jak podłogi z brazylijskiego drewna czy eleganckie przeszklone gabloty z wewnętrznym oświetleniem, w których chciał eksponować próbki towaru, jakby to była drogocenna biżuteria, a nie zwykła trawka.

– Chcę, żeby z każdego kąta biło klasą i żeby nasi klienci to czuli. Nie zamierzam obsługiwać byle włóczęgów.

Mnie było całkiem obojętne, kogo będziemy obsługiwać, byle klienci płacili za towar prawdziwymi amerykańskimi dolarami, ale ile razy próbowałam coś powiedzieć i namówić Grahama na tańsze rozwiązanie, tylko się uśmiechał.

– Spokojna głowa – mówił. – Jeśli w którymś momencie zabraknie nam gotówki, będziemy mogli poratować się z odsetek z funduszu.

Dodatkowo martwiły mnie doniesienia prasowe, że władze miejskie zastanawiają się nad dopuszczeniem aptek do handlu marihuaną w celach rekreacyjnych. Oznaczałoby to ogromne zyski dla istniejących aptek, które nie musiałyby ponosić kosztów rozruchu nowych sklepów i mogłyby zaniżać ceny, nie wspominając o powstaniu znacznie większej konkurencji. Ale gdy poruszyłam ten temat, Graham machnął ręką.

– Te apteki to żalotne nory. Nie dla naszej klienteli. A nasza reputacja już rośnie.

I rzeczywiście tak chyba było, przynajmniej do pewnego stopnia. W „Portland Tribune”, bezpłatnym tygodniku, ukazał się artykuł ze zdjęciem Grahama, na którym stał pod zielonym

neonem Genesis. Wyciął ten artykuł, oprawił w ramki i powiesił na ścianie sklepu.

I przez pierwsze miesiące po otwarciu wracał do domu uszczęśliwiony, nasze igraszki łóżkowe były nadal częste i pełne polotu, a ja zaczynałam nieśmiało myśleć, że może – może jednak – wszystko jakoś się ułoży.

Rozdział 9

Kins prowadził, a Tracy buszowała w internecie, znajdując sporo trafień na hasło „Andrea Strickland”. Ponieważ część Mount Rainier leżała w okręgu Pierce, biuro szeryfa tego okręgu przejęło sprawę zniknięcia Andrei Strickland. Historia ta odbiła się szerokim echem w mediach. Biuro prokuratora okręgowego pilnowało się, by nie nazywać Grahama Stricklanda podejrzanym, ale w sposób oczywisty nim był. Głównym podejrzanym, do czego przyczyniła się sławetna historia zamordowania ciężarnej Laci Peterson w Modesto w Kalifornii. Smutna prawda jest taka, że więcej ludzi ginie z rąk znajomych i członków rodzin niż przypadkowych zabójców.

Stan Fields, śledczy z wydziału kryminalnego biura szeryfa okręgu Pierce, powiedział Tracy przez telefon, że „chętnie z nią porozmawia”, a ona wyczuła, że Fields, tak jak strażnik Glenn Hicks, nie dał się omamić Andrei Strickland ani jej mężowi.

A Andrea wyraźnie go oszukała. Oszukiwała jego i wielu innych przez co najmniej sześć tygodni. Wszystkich z wyjątkiem osoby, która w końcu ją zabiła.

Duma zawodowa widać nie pozwalała Fieldsowi przyznać, że został oszukany. Żaden śledczy nie lubi się do tego przyznawać i zapewne dlatego w krótkiej rozmowie telefonicznej, podczas której mieli się tylko umówić na spotkanie, uznał za konieczne dodać, że od początku podejrzewał, że sprawy stoją „inaczej, niżby się zdawało”.

Tracy uznała, że treść materiałów w internecie nic nie wnosi do sprawy i zamknąwszy iPada, wetknęła go w szparę między fotelem a środkową konsolą. Wzięła do ręki plastikową butelkę

i pociągnęła łyk, ale woda zrobiła się obrzydliwie ciepła. Nawet w klimatyzowanym wnętrzu samochodu Tracy czuła się lepka od upału.

– Była idealną kandydatką, żeby zniknąć – powiedziała, wkładając butelkę w uchwyt. – Rodzice nie żyją, brak rodzeństwa i kogoś, kogo zaniepokoiłoby jej zniknięcie.

– Oczywiście z wyjątkiem męża – wtrącił Kins, poprawiając się na siedzeniu.

Widać było, że cierpi w dzinsach i marzy o przebraniu się w szorty, jakie miał na sobie Hicks. Dzinsy były jego codziennym ubiorem do pracy z wyjątkiem wizyt w sądzie, co było dość dziwnym wyborem. Czteroletnia kariera futbolisty w college'u i rok gry w NFL zostawiły pamiątkę w postaci nadmiernie rozwiniętych mięśni łydek i ud, choć od zakończenia jego aktywności sportowej minęło już dziesięć lat.

– Rozumiem, że nie mieli dzieci – rzucił.

– Na szczęście nie.

– A koledzy z pracy?

– Byli z mężem właścicielami sklepu z marihuaną w centrum Portlandu. Pracowali w niej tylko oni dwoje.

Oregon poszedł w kwestii legalizacji marihuany za przykładem stanów Waszyngton i Kolorado, co tych, którzy znają polityczne skłonności władz stanowych, zupełnie nie zaskoczyło. Mieszkańcy stanu są powszechnie uważani za bardziej liberalnych nawet od mieszkańców zachodniej części stanu Waszyngton, a to już nie byle co.

– Czyli, jak powiedziałem, nikt nie zauważył jej zniknięcia. – Kins spojrział w lusterko wsteczne, włączył migacz i zjechał z autostrady. – A co robili, zanim zaczęli handlować trawką?

– On jest prawnikiem, ona pracowała w firmie ubezpieczeniowej.

Kins spojrział na nią z zaciekawieniem.

– W ubezpieczeniach?

– Mam to na liście pytań, które chcę zadać.

– Wygląda na to, że oboje mieli poukładane w głowie.

– Na pewno nie byli matołami – potwierdziła Tracy i sięgnęła do kratki nawiewu. Skierowała strumień chłodnego powietrza na szyję i klatkę piersiową i zaczęła wachlować się bluzką.

Przejechali wyludnionymi ulicami Tacomy, bo kto żyw, chował się w klimatyzowanych mieszkaniach i sklepach.

– Jaki był efekt przesłuchań męża przez śledczych z okręgu Pierce? – spytał Kins.

– Ze słów śledczego i z artykułów w internecie wynika, że prokurator uznał go za „pozostającego w zainteresowaniu”, ale nie posunął się do nazwania go podejrzanym – odparła Tracy.

– Więc był podejrzanym – podsumował Kins.

– O tak, niewątpliwie.

– Ale nie postawiono mu zarzutów?

– Przy braku ciała ofiary pewnie uznali, że nie mają wystarczających dowodów – powiedziała Tracy. – Tylko dwie osoby mogły wiedzieć, co się naprawdę wydarzyło na tej górze, i jedną z nich uznano za martwą. Czyli sprawa czysto poszlakowa.

– Miejmy nadzieję, że ten Fields trochę nam ją rozjaśni.

Stan Fields zaproponował spotkanie w restauracji o nazwie Viola przy Pacific Avenue. Za ostatniego pobytu Tracy w Tacomie, dobre dziesięć lat wcześniej, Pacific Avenue należała do prostytutek i handlarzy prochów, ściany budynków były wysmarowane graffiti z symbolami ulicznych gangów, a ulice tonęły w śmieciach. Obecnie śródmieście Tacomy przechodziło generalną renowację z inicjatywy lokalnych aktywistów i biznesmenów, których zmęczyła rola bękarta Seattle dla klasy robotniczej, co głównie wynikało z wiszącej nad miastem mieszaniny przemysłowych wyziewów zwanych „aromatem Tacomy”. Renowacja najwyraźniej objęła też Pacific Avenue. Dwu- i trzypiętrowe budynki przemysłowe z gołej cegły i te otynkowane wyremontowano i odmalowano, a rozmieszczone na nich szyldy reklamowały biura specjalistów z różnych dziedzin oraz sklepy, butiki i restauracje.

Kins znalazł miejsce obok parkometru kilkadziesiąt metrów za restauracją i wrócili do niej pieszo. Gdy się zbliżali, dostrzegli pod nią mężczyznę, który stał w skrawku cienia i palił papierosa. Spotkali się wzrokiem, mężczyzna kiwnął głową i wypuścił kłęb dymu.

– To ty jesteś Crosswhite? – rzucił.

Stan Fields z siwymi włosami związanymi z tyłu w krótki kucyk wyglądał jak relikw z lat siedemdziesiątych. Jego krzaczaste wąsy opadały poniżej kącików ust, jakby omdlały z gorąca. Miał na sobie granatową koszulkę polo z emblematem składającym się z wyhaftowanego złotą nicią napisu SZERYF OKRĘGU PIERCE na tle ośnieżonego szczytu Mount Rainier.

Tracy przedstawiła siebie i Kinsa.

– Mam w środku stół – powiedział Fields i uniósł do ust rękę z papierosem, by wziąć ostatniego sztacha na najbliższe pół godziny, co dla nałogowego palacza musiało stanowić nie lada wyzwanie. Wypuścił kłęb dymu i wyrzucił żarzący się niedopałek do rynsztoka.

W Violi były rozsuwane szklane drzwi, które w pełni otwarte łączyły wnętrze z ogródkiem na chodniku, dziś jednak nikt nie siedział przy tonących w słońcu stolikach z giętego żelaza. Do środka przez rozchylone drzwi wpadało upalne, gęste jak syrop powietrze i kręcące się pod sufitem łopaty wentylatora nie dawały ani odrobiny chłodu. Tracy zdjęła okulary przeciwsłoneczne i chwilę potrwało, zanim jej wzrok przywykł do panującego wewnątrz półmroku. Stół Fieldsa znajdował się w boksie obok wejścia do kuchni; ściany z gołych cegieł obwieszane były kolorowymi reprodukcjami impresjonistów.

Tracy i Kins wsunęli się na skórzaną kanapę naprzeciwko Fieldsa. Po krótkim spacerze w ulicznym upale plecy Tracy spływały potem i bluzka kleiła się do nich.

Fields wskazał głową stojące po ich stronie stoły dwie szklanki.

– Zamówiłem dla was wodę. Pomyślałem, że po jeździe w tym upale będziecie spragnieni.

Oboje podziękowali i łąpczywie wypili po kilka łyków. Tracy najchętniej przytknęłaby zimną szklanę do czoła i szyi, ale uznała, że nie bardzo jej wypada.

– A przyjechałem do Tacomy, żeby uciec przed upałem – burknął nadąsanym tonem Fields. Większość osób przenoszących się na północny zachód Stanów Zjednoczonych narzeka na deszcz i wiecznie zachmurzone niebo. Pretensje o upał w ustach przybysza wciąż brzmiały dziwnie. Starzy mieszkańcy Seattle od razu jednak winą za zmiany klimatu obarczyli globalne ocieplenie, które Faz szybko przechrzczył na „globalne ocipienie”.

– A skąd przyjechałeś? – spytała Tracy.

Z kuchni docierały intensywne zapachy czosnku, masła i szałwii.

– Z Phoenix – odparł Fields. – Ale jako dziecko kręciłem się po całym kraju. Mój tata był wojskowym.

– Moje najgorętsze lato w życiu to była zima w Phoenix – powiedział Kins.

– Nie musisz mi mówić. – Fields miał nerwowy tik ust i jego wąsy stroszyły się niczym wąsy myszy. – Zacząłem od pilnowania granicy jako funkcjonariusz INS⁷, potem przenieśli mnie jako tajniaka do narkotyków. To oznaczało długie godziny uganiania się po pustyni za przemytnikami prochów.

Fields miał ogorzałą twarz kogoś przebywającego latami na słońcu. Z kitką z tyłu głowy i chrapliwym głosem nałogowego palacza pasował idealnie do wizerunku tajniaka do walki z narkotykami. Tracy dodatkowo wyczuwała w nim pewność siebie, wręcz zarozumiałość, co w tej pracy było niezbędne.

– Męcząca robota. – Kins pokiwał głową. – Po paru latach człowiek się wypala.

– Ty też w tym robiłeś? – spytał Fields.

– Przez dwa lata.

Kins zapuścił wtedy długie włosy i kozią bródkę i ktoś w narkotykach zaczął go nazywać Sparrow, był podobny do postaci granej przez Johnny’ego Deppa w filmach o piratach

z Karaibów. Ksywa do niego przylgnęła, tyle że w przeciwieństwie do Fieldsa Kins po odejściu z narkotyków od razu obciął włosy i zgolił brodę.

– Kiedy przeniosłeś się do Tacomy? – spytał, wodząc palcem do zaparowanym szkle szklanki. Tracy wyczuwała, że jej partner celowo daje im czas na wzajemne powąchanie się i jednocześnie stara się wyczuć Fieldsa. Ten zapewne robił to samo w stosunku do nich.

– Mniej więcej rok temu. Straciłem żonę i potrzebowałem zmiany otoczenia. Byłem zmęczony upałem i słońcem, szukałem deszczu i mgły. W Seattle nie przyjmowali nikogo nowego, ale w Tacomie tak.

– Współczuję z powodu żony.

Fields kiwnął głową.

– Też była tajną agentką. Za bardzo się zbliżyła i ktoś ją sypnął. Zastrzelili ją i zostawili na pustyni.

W oczach Tracy wiadomość ta stawiała Fieldsa w nowym świetle. W pierwszej chwili nie wzbudził w niej szczególnej sympatii, ale utrata żony zawsze jest czymś strasznym, a cóż dopiero na służbie i w tak drastycznych okolicznościach. To może człowieka kompletnie załamać. Nic dziwnego, że postanowił uciec z Arizony.

– Złapali sprawców? – spytał Kins.

Fields obrzucił ich krzywym spojrzeniem, co zapewne miało znaczyć, że zrobili coś więcej, niż tylko złapali.

– No, dopadliśmy ich.

Zjawiała się kelnerka i Fields cmoknął na widok młodej smukłej kobiety tak, jakby była pozycją w karcie z przystawkami.

– Macie służbową kartę? – zwrócił się do Tracy. Pewnie wolał się upewnić, że nie będą musieli płacić z własnej kieszeni.

– Tak, mamy – odparł Kins.

– To ja poproszę duże jasne i to wasze linguini z małżami – zwrócił się do kelnerki, nie zaglądając nawet do menu. – I powiedz, kochana, szefowi kuchni, żeby dał tyle czosnku, żeby mój kot przez tydzień się do mnie nie zbliżał. – Mrugnął

porozumiewawczo do kelnerki; ta uśmiechnęła się niepewnie i szybko przeniosła wzrok na pozostałych gości.

– Dla mnie dietetyczna cola – rzucił Kins. – I wiadro wody do polania głowy.

Kelnerka uśmiechnęła się dużo szczerzej.

Tracy powiedziała, że wystarczy jej szklanka wody.

Gdy kelnerka się oddalała, Fields obrzucił jej pośladki wymownym spojrzeniem, dając tym wyraz nie tylko braku wychowania, ale i śmieszności, bo spokojnie mógł być ojcem tej młodej kobiety. Tracy wiedziała jednak z doświadczenia, że pewnego typu mężczyzn nic nie jest w stanie zniechęcić.

Fields przeniósł wzrok na Tracy, ale jeśli nawet zdawał sobie sprawę z tego, że go przyłapała, to nie wyglądał na speszonego. Przeciwnie, odniosła wrażenie, że jest wręcz dumny ze swego zachowania. Żałosny palant.

– Nic do jedzenia? – zdziwił się. – Darmowe żarcie to największa zaleta tej roboty.

– Stanęliśmy po drodze na późny lunch. – Tracy czuła rosnącą niechęć.

Położył rękę na przegrodzie boksu.

– To znaczy, że Andrea Strickland nie żyje... znowu.

– Na to wygląda – potwierdziła Tracy.

Nastroszył wąsy.

– A ja byłem gotów postawić swoją odznakę, że mężuś pomógł jej spaść z tej góry. Od początku byłem pewny, że to on ją zabił.

– To wciąż możliwe – wtrącił Kins.

– No tak.

– Możesz nam opowiedzieć coś o swoim śledztwie? – poprosił Kins.

Kelnerka postawiła piwo Fieldsa i colę Kinsa na tekturowych podkładkach, Fields od razu pociągnął potężny łyk i otarł wąsy serwetką.

– Jego wersja mi nie pasowała. – Odstawił piwo, oparł się plecami o przegrodę i znów położył na niej rękę. – To od początku śmierdziało. Żona wstaje, żeby się wysikać, a on

spokojnie śpi dalej? I nawet nie jest ciekaw, co się z nią dzieje? Wiem od ludzi chodzących po górach, że w nocy przed wejściem na szczyt prawie nie śpią. Leżą po ciemku, a adrenalina i nerwy nie dają im zmrużyć oka. Tymczasem koleś mówi, że nie wiedział, że jej nie ma, bo tak twardo spał. No, dajcie spokój! Więc mój radar już pikał, zanim gościa zobaczyłem. – Spojrzał na Tracy i jego wzrok ześlizgnął się na jej dekolt. – A mój wewnętrzny radar rzadko się myli.

– I co ustaliłeś? – spytała, czując mimo upału zimny dreszcz na plecach.

– Że krótko przed wycieczką żona wykupiła polisę na życie, w której był beneficjentem. Na ćwierć miliona dolarów. To był mój pierwszy sygnał alarmowy.

– On też wykupił taką polisę? – wtrącił Kins.

– Właśnie nie. Powiedział, że żona miała jakiś fundusz powierniczy ustanowiony przez rodziców i wspólnie doszli do wniosku, że gdyby coś mu się stało, to ona jest zabezpieczona. W każdym razie tak twierdził. A ja uznałem, że pomyślał: Po cholere mam wydawać forszę na drugą polisę.

– Z tego, co wiem, już wcześniej się wspinali – wtrąciła Tracy.

– Raz, ale wtedy ona jeszcze nie była ubezpieczona – potwierdził Fields. – Chociaż przed otwarciem sklepu z marihuaną pracowała w ubezpieczeniach.

– Czyli doskonale znała dobre i złe strony polis – zauważyła Tracy.

– Była pionkiem w firmie, ale według jej szefowej była inteligentna i szybko się uczyła.

– Przypuszczasz, że to mógł być zaplanowany przekręt ubezpieczeniowy? – zapytał Kins.

– Od początku byłem pewny, że on ją zabił, ale tak, brałem pod uwagę taką wersję.

– Mąż zainkasował odszkodowanie z polisy?

– Jeszcze nie. Śledztwo wciąż trwa, ale on nie wahał się wystąpić o wypłatę chwilę po zejściu z góry. Sprawdziłem to. Jego

roszczenie jest nadal rozpatrywane i zanosi się, że to trochę potrwa.

Tracy spojrzała na swojego partnera.

– Jeśli oboje w tym uczestniczyli, mogli nie przewidzieć takiego opóźnienia.

– Albo on mógł jej wmówić, że to będzie ich wspólny przekręt, a potem ją zabić. Oficjalnie już nie żyła i nikt nie miał odnaleźć jej ciała w koszu, więc nikt by się nie zorientował – powiedział Kins.

– Możliwe – przyznała Tracy. – Ale jeśli tak było, to dlaczego nie zepchnął jej wtedy z góry? Dlaczego zwlekał z zabiciem jej?

– Ten gość należy do tych, których od razu nie lubisz... – Fields podniósł głos, żeby przekrzyczeć dochodzący z kuchni brzęk patelni i garnków. – Znasz ten typ, prawda?

Tracy знаła ten typ, a na jednego z jego przedstawicieli właśnie patrzyła.

– Co jeszcze wykrył twój radar? – dociekała dalej.

– Ten biznes z trawką im nie wyszedł. Praktycznie padali – odparł Fields. – I nic dziwnego. Mężuś otworzył sklep w drogiej dzielnicy z wysokimi czynszami, bo liczył na zamożniejszą klientelę. I tu ciekawostka: okazuje się, że w Portlandzie jest więcej punktów z medyczną marihuaną niż w jakimkolwiek innym mieście w kraju. Aż trudno uwierzyć, nie? Krótco po zalegalizowaniu marihuany władze miejskie wydały zgodę na sprzedaż detaliczną we wszystkich aptekach, a dwie z nich były zlokalizowane blisko sklepu Stricklandów. Poza tym w Portlandzie działa prężny czarny rynek, a to oznacza, że ulica ma łatwe i tanie źródła zaopatrzenia.

– Jak bardzo polegli? – spytała Tracy.

– Z rozmowy z dawną szefową Andrei Strickland wywnioskowałem, że wcale się do tego biznesu nie paliła, ale mąż ją namówił. Dysponowała dużym funduszem powierniczym...

– Jak dużym? – przerwała mu Tracy.

– Kapitał zasadniczy wynosił pół miliona dolarów – powiedział Fields z uśmiechem.

– Żartujesz – rzucił Kins.

– Nie żartuję. Ale fundusz był obwarowany ograniczeniami, które nie pozwalały im korzystać z niego na inwestowanie w firmę.

Kins aż gwizdnął.

– No właśnie. – Fields pokiwał głową. – Dlatego zaciągnęli w banku kredyt na ćwierć miliona dolarów i złożyli osobiste weksle na leasing i kredyt. Okazuje się jednak, że mąż skłamał we wniosku kredytowym.

– W jakiej sprawie? – spytała Tracy.

– Zapewnił, że wkrótce zostanie współnikiem w swojej kancelarii i dostanie podwyżkę. Na dowód przedstawił nawet list od współnika zarządzającego, tylko jak się później okazało, list był sfałszowany. Kancelaria już wcześniej wręczyła mu wypowiedzenie.

Kelnerka przyniosła talerz linguini, Fields zdjął rękę z przegrody i poprosił o parmezan. Tracy patrzyła, jak wlepia wzrok w piersi dziewczyny, gdy pochylała się, ścierając nad jego talerzem ser. Długie włosy i wąsy nie były jedynymi atrybutami tajniaka, jakie zostały po dawnej karierze. Nadal miał wstrętne odruchy z tamtych lat i współczucie, jakie wzbudziła w niej historia jego żony, szybko ustępowało miejsca odrazie.

– Dziękuję, słoneczko – powiedział Fields, gdy kelnerka skończyła trzecią parmezan. Odeszła bez słowa, pewnie by wejść pod gorący prysznic ze środkiem dezynfekcyjnym, i Fields przeniósł wzrok na Kinsa i Tracy. – Na pewno nie chcecie nic jeść? Fajnie tu karmią. Bywam tu co najmniej raz w tygodniu.

Pewnie kelnerka nie posiada się z radości.

– Nie, dziękujemy – odparł Kins.

Fields pokręcił widelcem w talerzu i uniósł do ust kłęb makaronu. Mógł być spokojny o kontakty z kotem. Nad stołem zawisała tak intensywna woń czosnku, że odstraszyłaby grizzly.

– Co możesz nam jeszcze o nim powiedzieć? – spytała Tracy.

Otarł wąsy serwetką i wypił łyk piwa.

– Jak już mówiłem, straszny z niego waźniak. Jeździł porsche i nosił takie garniturki, co to wyglądają na o numer za małe. Najmądrzejszy z całej wsi, wiecznie wypatrujący okazji do zrobienia wielkiego interesu i wierzący, że to tylko kwestia czasu, jak któryś wypali, a on zostanie bogaczem. Straszny picer. Musiał wmówić żonie, że to ich wielka szansa. Właściwie spieniężyli wszystko, co się dało, i wpakowali w ten sklep. Wyczerpał też limity na kartach kredytowych i wierzyciele zaczęli go ścigać. No i, jak mówiłem, bank dowiedział się o kłamstwie we wniosku kredytowym i facetowi groził proces, który mógł się skończyć odsiadką, jeśli nie spłaci całego długu.

– Czyli uznałeś, że chodziło o fundusz powierniczy żony – upewnił się Kins.

– Tak uznałem – wymamrotał Fields między kolejnymi porcjami makaronu. – Bo wygląda na to, że pieniądze z konta Andrei zniknęły.

– Co się z nimi stało? – spytała Tracy.

– Nie wiem. Mąż przysięga, że nie miał z tym nic wspólnego i nie ma pojęcia, co się z nimi stało.

– A powiernik?

– Mówi to samo. Nie ma pojęcia.

– Myślisz, że próbowali wspólnie ukryć je przed wierzycielami?

– Mhm. Wspomniałaś, że miała waszyngtońskie prawo jazdy na inne nazwisko.

– Tak, na nazwisko Hoff – potwierdziła Tracy. – Lynn Hoff.

– No to założę się, że pieniądze też tam są.

Tracy przypomniała sobie kwit kasowy z banku Emerald Credit Union, znaleziony w koszu na śmieci w pokoju motelowym.

Fields rozparł się na siedzeniu, na jego twarzy pojawił się obleśny uśmiezek.

– No i jest jeszcze sprawa damsko-męska.

– Czułem, że bez tego się nie obejdzie – mruknął Kins.

– Zawsze jest jakaś przyjaciółeczka, nie? – Fields umoczył kawałek chleba w sosie na talerzu.

– Rozmawiałeś z nią? – spytał Kins.

Pokręcił głową.

– Jeszcze na nią nie trafiłem. Andrea powiedziała swojej szefowej, że myśli, że mąż ją zdradza, ale nie powiedziała z kim.

– Są jakieś dowody na to, że tak było? – zapytała Tracy.

– Właśnie ostatnio się tym zajmowałem i wygląda na to, że nie była jedyna. Różną jakąś dupę z roboty, jeszcze zanim się pobrali, i najwyraźniej nie przestał przez wiele miesięcy po ślubie.

– Rozmawiałeś z nią? – spytała Tracy.

– To nie jest moje pierwsze rodeo, pani detektyw. – Wetknął sobie do ust kawałek chleba.

Tracy naprawdę nie podobał się ten gbur.

– Twierdzi, że z nim zerwała, jak tylko do niej dotarło, że się ożenił. Ale przez kilka miesięcy zapomniał jej o tym powiedzieć.

– Wygląda na sukinsyna – mruknął Kins.

– No. – Fields pokiwał głową. – Żona powiedziała też swojej szefowej, że wybiera się z tym do adwokata zajmującego się rozwodami.

– I zrobiła to? – spytała Tracy.

– Nic o tym nie wiem.

– Chyba zaczynam rozumieć, dlaczego wolą zniknąć – wtrącił Kins.

– Tyle że rozwód nie zwalnia z osobistych weksli na zaciągnięte długi – zauważył Fields. – A ponieważ w Oregonie obowiązuje wspólnota własności małżeńskiej, Andrea była na równi odpowiedzialna za wszystkie ich zobowiązania.

– Groziła jej utrata funduszu powierniczego – domyśliła się Tracy.

– On mógł bez trudu ogłosić bankructwo – przypomniał Fields. – Nie miał nic poza długami. Ale ona? Siedziała na kupie forsy, do której wierzyciele z radością by się dobrali.

– Dlaczego w ogóle brali ten kredyt? – zastanowił się Kins.

– Już mówiłem. – Fields powrócił do nawijania linguini na widelec. – Nie pozwoliła mu skorzystać z pieniędzy z funduszu.

Kins spojrzał na Tracy.

– No, właśnie – mruknął Fields, odczytując jego spojrzenie. – Gość miał wystarczająco dużo powodów, żeby chcieć ją zabić.

– Gdyby tak było, po prostu zepchnąłby ją w przepaść tam, na górze – powiedziała Tracy, myśląc w duchu, że coś tu jest nie tak.

– To była wymarzona okazja, żeby się jej pozbyć. – Fields wzruszył ramionami. – Co roku na tej górze giną ludzie. Chyba dlatego poszli tylko we dwójkę, bez przewodnika. Gość potem zawiadamia, że żona zginęła w nieszczęśliwym wypadku, i kto mu udowodni, że tak nie było?

– Jest z zawodu prawnikiem – dorzuciła Tracy, nadal niezbyt przekonana. – Musiał zdawać sobie sprawę, że bankructwo, polisa na życie, nieudane małżeństwo, nie mówiąc już o kochance, stanowią twarde poszlaki świadczące o tym, że to nie był wypadek.

– Twierdzi, że nic nie wiedział o polisie na życie. I że nie było żadnej kochanki.

– Zeznał, że wykupienie polisy było jej pomysłem? – spytała Tracy.

– I wspinaczka na górę też – odparł Fields. – Jak już mówiłem, początkowo byłem pewny, że to jego sprawka. Ale teraz? Hm... ona też miała powody do niezadowolenia, nie? Więc może uznała wspinaczkę za okazję do upozorowania własnej śmierci, wypłatania się z nieudanego małżeństwa i zostawienia męża z górą długów i kłopotów.

– I przy okazji może nawet do odegrania się na jego kochance – dodał Kins.

– Nawet piekło nie zna takiej furii jak wzgardzona kobieta – mruknął Fields, wycierając sobie kąciki ust serwetką.

– Być może – rzuciła Tracy. – Albo podejrzewała, że mąż zamierza nie dopuścić do tego, by weszła na tę górę, i pobiła go jego własną bronią.

– Tylko dlaczego w ogóle wybrała się na tę wycieczkę, skoro podejrzewała, że mąż będzie chciał ją zabić? – zastanawiał się głośno Kins.

– Poszła, bo chciała upozorować swoją śmierć i wypłatać się w ten sposób z małżeństwa i długów – powiedziała Tracy.

Ale jej partner pokręcił głową.

– Mogła po prostu uciec.

– Ucieczka to nie to samo co śmierć – argumentowała Tracy. – A w ten sposób ukrywa pieniądze z funduszu, podrzuca nowe poszlaki, takie jak polisa na życie, i napomyka szefowej, że mąż ją zdradza, a ona chce się rozwieść. On kładzie się spać, a ona wymyka się z namiotu, bo wie, że wszyscy będą go podejrzewać.

– Spojrzała na Fieldsa. – Strażnik parkowy twierdzi, że ktoś musiał pomóc jej w zniknięciu.

– Tak, wiem, tylko że nie mam pojęcia kto. Jej rodzice nie żyją, a jedyną krewną jest mieszkająca w San Bernardino ciotka, z którą Andrea nie utrzymywała kontaktu od wyjazdu do Portlandu. Jej numer telefonu jest w aktach. Poza tym jest mąż...

– ...którego możemy od razu skreślić – wtrącił Kins.

– ...jej szefowa i jedna koleżanka z pracy.

– Jaka koleżanka? – spytała Tracy.

– Devin Chambers. Pracowały razem w firmie ubezpieczeniowej.

– Rozmawiałeś z nią?

– Już mówiłem, że to nie pierwsze moje rodeo. Oczywiście, że ją sprawdziłem. Zeznała, że Andrea jej powiedziała, że mąż przyznał się do kochanki i ją pobił.

– Powiedziała, że mąż pobił Andreę? – upewniła się Tracy.

– Tak, ale zanim zaczniesz się podniecać, że to Chambers pomogła Andrei Strickland, to informuję cię, że w dniu wspinaczki Devin Chambers była na wybrzeżu. Pokazała wyciąg płatności kartą kredytową za hotel i restaurację.

– Udało ci się to sprawdzić?

Fields znów pogardliwie wyduł usta i Tracy zaczynała mieć już tego dość.

– Znaczy jak to sobie wyobrażasz? Miałem sprawdzić, czy weszła do tej restauracji, kupiła jedzenie na wynos, odbyła sześciogodzinną podróż do Mount Rainier, pomogła koleżance zniknąć i wróciła na wybrzeże? Miałem wyciągi potwierdzające, że tego dnia tam była.

Kins uznał, że musi się wtrącić.

– Dobra, zostawmy na razie to, kto jej pomógł, i zastanówmy się, co dalej? Mąż dochodzi do wniosku, że żona go wystawiła, i postanawia ją zabić, by zdobyć jej pieniądze? Ponieważ ona oficjalnie już nie żyje, nikt nie będzie niczego dociekał. Pod warunkiem że nie znajdą jej ciała, i stąd kosz na kraby.

– Wciąż byłby moim głównym podejrzanym – powiedział Fields. – I odpowiednio bym go przycisnął. Tylko że teraz mamy ciało, więc to chyba będzie już wasze rodeo.

– Ma adwokata?

Fields pokiwał głową.

– I to dobrego, z Portlandu.

– Jak długo byli małżeństwem? – spytała Tracy.

– Około roku. Pobrali się po paru tygodniach znajomości. Więc można się teraz zastanawiać, czy to było z góry zaplanowane. Wybrał kogoś z pieniędzmi i bez rodziny. Dobrze mówię?

– I o to go podejrzewasz – powiedziała Tracy.

– Absolutnie go o to podejrzewałem, tylko że w jego przeszłości nie znalazłem nic, co mogłoby na to wskazywać. To było pierwsze małżeństwo dla obojga. A ona chyba nie była taką niewinną panienką, za jaką chciała uchodzić. Tego rodzaju ludzie lgną do siebie, wiecie, o co mi chodzi?

– Czyli nie szukałeś innych podejrzanych? – upewniła się Tracy.

Fields dopił resztkę piwa.

– Nie było potrzeby. Było trochę tak jak po procesie O.J. Simpsona. Dziennikarze spytali Gila Garcettiego, czy będą szukać prawdziwego zabójcy, a on odpowiedział: „Prawdziwy zabójca

właśnie wyszedł tymi drzwiami”. Byłem przekonany, że mamy tu analogiczną sytuację. I nadal jestem.

– Wiemy, czy miał łódź albo lubił łowić ryby?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale nie wygląda na takiego.

– Na jakiego? – zapytał Kins.

– Takiego, co potrafi własnoręcznie założyć przynętę na haczyk.

– Ale uważasz, że potrafi zabić.

Fields odsunął pusty talerz na krawędź stołu.

– Nie wątpię, że miał taki zamiar. A wy teraz spróbujcie powiązać czyn z zamiarem.

Rozdział 10

W pierwszym miesiącu Genesis wypracowało zysk i Graham wpadł w euforię, tyle że przez to upadek tylko przesunął się w czasie i był tym boleśniejszy. W miarę jak nowość w postaci legalnej marihuany powszedniała, obroty systematycznie spadały. Do tego zmieniły się jeszcze przepisy i pozwolono aptekom handlować nie tylko marihuaną medyczną. I to był pocałunek śmierci, który spotęgował konsekwencje uporu Grahama, by wynająć lokal w dzielnicy Pearl i tak go odpicować, że król Ludwik XIV by pozazdrościł. Jak się okazało, naszej „ekskluzywnej” klienteli posadzki z brazylijskiego drewna czy podświetlane gabloty były kompletnie obojętne, bo interesowały ją tylko ceny.

Miałam ochotę powiedzieć: „A nie mówiłam”, ale podejrzewałam – nie, na tym etapie już nie podejrzewałam, tylko byłam pewna – czym by się to skończyło.

Za naszym tonącym biznesem podążył też nasz związek. Nagle skoki nastroju Grahama stawały się coraz częstsze, coraz głębsze i coraz gwałtowniejsze. Był wiecznie podminowany i zdenerwowany i z byle powodu wybuchał. Tonęliśmy w długach i nie wiedziałam, skąd weźmiemy pieniądze na zapłacenie czynszu za sklep i loft, bo nawet odsetki z funduszu nie wystarczały na pokrycie podstawowych wydatków.

Seks między nami praktycznie przestał istnieć i nawet rzadko z sobą rozmawialiśmy. Graham zaczął znosić do domu suszone owoce, ciasteczka, a nawet miśki żelki z marihuaną. Twierdził, że pomagają mu się odprężyć i dzięki nim lepiej śpi. I rzeczywiście chyba tak było, bo większość nocy przesypiał na kanapie, co było prawdziwym błogosławieństwem, ponieważ jeśli coś wcześniej

wypił – a zdarzało mu się to coraz częściej – zaczynał pleść od rzeczy lub zabierać się do rękoczynów. Czasami tak mamrotał, że nie byłam w stanie go zrozumieć. A gdy kiedyś spróbowaliśmy się kochać, okazało się, że mu nie staje, co doprowadziło go do ataku wściekłości.

– Jestem zbyt zmęczony! – wrzasnął, zrywając się z łóżka. – W pracy przeżywam ciągły stres. A ty myślałaś, że jak będzie?

– Miałam nadzieję, że ta praca cię zrelaksuje – odpowiedziałam.

– Chcesz, żebym się zrelaksował? To porozmawiaj z powiernikiem, żeby zwolnił pieniądze z funduszu na opłacenie naszych zobowiązań. Ja się zapracowuję na śmierć. Godziny pracy w sklepie mnie zabijają. – Wyskoczył z sypialni i resztę nocy przespał na kanapie.

Wracałam do domu ze sklepu z okropnym bólem głowy – takim, przy którym mruży się oczy, bo razi światło. W brzuchu mi się przewracało, jakbym stała na pokładzie łódki na wzburzonym morzu i próbowała czytać książkę. Mój lunch tkwił w zawiązanej plastikowej torebce, a przez to, że nie mogłam nic przełknąć, byłam coraz słabsza. Miałam umówioną wizytę u lekarza pod koniec tygodnia, bo chciałam, żeby sprawdził, czy nie mam wrzodów żołądka, co wydawało się coraz bardziej prawdopodobne.

Wysiadłam z windy na naszym piętrze, marząc o przebraniu się w dres, zwinięciu w kłębek na kanapie z najnowszą powieścią i zanurzeniu się w świecie fikcji.

Wcisnęłam cztery cyfry kodu na szyfratorze przy naszych drzwiach bez zamka i weszłam do loftu. Światło było zgaszone, ale przez żaluzje sączył się niebieskawy blask ulicznych latarni. Zwróciłam na to uwagę, bo sama nigdy nie spuszczałam żaluzji. Okno wychodzi na rzekę Willamette i ten widok jest największą zaletą mojego – teraz już bardzo drogiego – loftu. Tak drogiego, że zaczynałam powątpiewać, czy będzie nas na niego stać.

Graham siedział na kanapie plecami do drzwi, więc było trochę tak, jakbym patrzyła na manekina w sklepie z odzieżą. Marynarka, którą niedawno sobie kupił, w biało-czarną pepitkę, leżała

niedbale rzucona na kanapie, co było do niego niepodobne, bo w sprawach swojej garderoby był zawsze bardzo pedantyczny.

– Graham?

Jego głowa drgnęła i choć był to bardziej bezwiedny odruch, i tak poczułam ulgę, bo przez chwilę wyobraziłam sobie, że przyszedł, usiadł na tej kanapie i umarł.

– Graham? – powtórzyłam, podchodząc bliżej.

– No to już po wszystkim – powiedział cichym, chrapliwym głosem.

Położyłam klucze na blacie kuchennym i podeszłam do kanapy; stanęłam plecami do okna, tak że widziałam go z profilu. Włosy miał rozczochrane, jakby za nie szarpał. Obok niego na kanapie leżał zwinięty w kłębek krawat, rękawy koszuli miał wysoko podwinięte. Na stoliku stała otwarta butelka jacka daniel'sa i szklanka. Na szczęście butelka była niemal pełna, ale obok stał słoik z naszego sklepu z suszonymi morelami nasączonymi THC, psychoaktywną substancją chemiczną zawartą w marihuanie.

– Co się stało? Miałeś rozmowę z bankiem?

Tego popołudnia był umówiony w banku na rozmowę w sprawie przesunięcia terminu spłat kredytu lub zaciągnięcia dodatkowego. Sądząc po jego minie, spotkanie nie przebiegło po jego myśli.

Niemal niedostrzegalnie pokiwał głową i wyduł usta. A potem zerwał się z kanapy tak gwałtownie, że aż podskoczyłam. Chwycił butelkę, okrążył kanapę i pochylił się nade mną. Woń alkoholu i moreli była tak intensywna, że prawie mnie zemdliło. W żołądku mi zaburczało, ale odwróciłam głowę i wciągnęłam haust powietrza.

– Miałem. – Uśmiechnął się i podszedł do okna. Palcami rozchylił plastikowe listewki żaluzji i wyjrzał przez nie na ulicę jak ktoś ukrywający się przed wzrokiem innych.

– Co ty tu robisz? – bąknęłam.

– A według ciebie na co to wygląda? – burknął. – Zjadam zapasy towaru. – Odwrócił się do mnie i znów uśmiechnął, ale w jego uśmiechu nie było śladu radości.

– Ile już tego zjadłeś? – spytałam, spoglądając na słoik. Wiedziałam, że substancja zawarta w przekąskach działa dużo mocniej niż w spalanej trawce, jednak prawdziwy problem polega na tym, że dokładne określenie zawartości THC jest bardzo trudne. Ludzie popełniają często błąd, bo nie czują nic po zjedzeniu pierwszej przekąski i sięgają po drugą. Nie zdają sobie sprawy, że THC zawarte w pierwszej nie zdążyło jeszcze zadziałać. A efekt podwójnej dawki może być piorunujący.

– Nie wiem – odparł Graham, gmerając palcami po listewkach żaluzji jak po strunach harfy. – I mam to w dupie.

– Uważasz, że powinieneś przy tym pić?

Spojrzał na mnie kątem oka.

– A wolałabyś, żebym co robił? Czytał książkę? Żył w świecie iluzji?

– Jest aż tak źle?

Podszedł bliżej; jego uśmiezek przypominał teraz złośliwy grymas. Taki, jaki się na Halloween wycina w dyni, żeby straszyć ludzi. Kiedy się nade mną pochylił, odsunęłam się.

– Tak, jest aż tak źle – powiedział zduszonym głosem. – A spodziewałaś się, że co powie mi bank? – Obniżył głos o oktawę.

– „Nie tylko darujemy wam dług, ale mamy dla was następny kredyt. Życzymy miłego dnia”. – Zamilkł, jakby nagle coś sobie przypomniał. – A tak, spytał też, gdzie się podziła moja pensja z kancelarii prawnej. Powiedział, że bank wdroży dochodzenie w moim poprzednim miejscu pracy. Więc nie tylko będę bankrutem i stracę wszystko, ale mogę jeszcze pójść do więzienia za oszustwo. I co ty na to?

Przeszedł do naszej maleńkiej kuchenki i postawił butelkę na blacie.

– Możemy zacząć od nowa – rzuciłam, próbując się czegoś chwycić.

Roześmiał się.

– Tylko ty możesz palnąć coś takiego. Jesteś marzycielką.

– Możemy – powtórzyłam. – Możemy wynająć prawnika i uzgodnić z bankiem restrukturyzację długu. Bank nie będzie cię

ścigał. Im chodzi tylko o odzyskanie pieniędzy. Jesteś prawnikiem, możesz do tego wrócić, ja mogę wrócić do pracy i wspólnymi siłami spłacimy długi.

Obrócił się na piętach i uniósł butelkę.

– A z czego będziemy żyli?

– Możemy się przeprowadzić, znaleźć coś tańszego, zrezygnować z porsche i innych zbędnych wydatków – myślałam szybko na głos.

– Nie. – Graham pokręcił głową. – Nie ma mowy, żebym wrócił do prawa. To by był dla mnie wyrok śmierci. Tego dla mnie chcesz?

– To nie musi być na zawsze – rzuciłam. – Tylko do czasu, aż znów staniemy na nogi.

– Naprawdę? – Ruszył w moją stronę. – Naprawdę chcesz, żebyśmy stanęli na nogi?

– Jestem gotowa spróbować.

– Nie, jesteś gotowa skazać mnie na siedzenie w biurze do końca życia, ale nie jesteś gotowa użyczyć mi pieniędzy na spłacenie długów, żebym mógł z tego wybrnąć. Zastąp swoje słowa pieniędzmi, Andrea.

Byłam już zmęczona tymi rozmowami, ale próbowałam zachować spokój.

– Już to omawialiśmy, Graham. Nawet gdybym mogła, i tak nie rozwiąże to naszego problemu. Bo co byśmy zrobili w przyszłym miesiącu i w następnych?

– Potrzebuję tylko jednego miesiąca, żeby wszystko się odmieniło – oświadczył.

– To samo mówiłeś miesiąc temu – parsknęłam, nim zdołałam się powstrzymać.

– Nie wiedziałem, że zapisujesz moje słowa – warknął, wlepiając we mnie rozjarzony wzrok.

Zaczerpnęłam powietrza.

– Słuchaj, to nie była twoja wina. Moment był nieodpowiedni, lokalizacja za droga.

– Ach, czyli to wszystko moja wina, tak? – rzucił podniesionym tonem.

– Właśnie powiedziałam, że to nie była twoja wina.

– Słyszałem, co powiedziałaś, i wiem, co miałaś na myśli. Uważasz, że to wszystko przeze mnie. A ja tak nie uważam. Odrobiłem pracę domową i przeprowadziłem badanie rynku. Miałem wizję. Włożyłem w to masę wysiłku i ciężko zarobionych pieniędzy. Ale potrzebny mi był większy kapitał. I potrzebowałem wsparcia. Na dobre i na złe, Andrea. Słyszałaś takie powiedzenie „na dobre i na złe”?

Nie miał pojęcia, jak często te słowa dudniły mi w głowie niczym bicie plemiennych bębnów przed atakiem. Szybkim krokiem podszedł do drzwi, gdzie, jak zauważyłam, zostawił swoją skórzaną torbę. Wrócił z nią do kanapy, pogrzebał w środku, wyjął plik papierów i rzucił torbę na podłogę. A potem cisnął papierami we mnie.

– Przygotowałem wniosek kredytowy. Naprawdę chcesz mi pomóc? Zamień swoje słowa w pieniądze. Udziel kredytu naszej firmie.

– Z jakim zabezpieczeniem?

– Żarty sobie stroisz?! – wrzasnął. – Naprawdę znów mamy w to wchodzić?

Czułam się zagubiona i przybita. Odłożyłam papiery i zaczęłam myśleć.

– Graham, nie mogę ci pożyczyć tych pieniędzy.

– Nie. Nie pożyczysz tych pieniędzy mnie! – Podszedł jeszcze bliżej i cisnął we mnie plik papierów z taką siłą, że mnie cofnęło. – Bo wiesz, co ci powiem? Poza sfalszowaniem listu z mojej dawnej kancelarii sfalszowałem też twoje podpisy na wekslach dla banku i firmy leasingowej.

Poczułam się tak, jakbym dostała kopa w brzuch.

– Co zrobiłeś?

Jego twarz wykrzywił ironiczny uśmiešek.

– No i jak ci się to podoba? Więc albo dasz mi te pieniądze, żebym mógł zabrać się do pracy, albo oddasz je bankowi.

– Ty draniu!

Roześmiał się.

– Już nie jest tak dobrze, kiedy ma się własny tyłek w ogniu, co?
– Nie dam ci tych pieniędzy – burknęłam. – Niech bank po nie przyjdzie. Adwokat moich rodziców mówi, że nie da się złamać obwarowań funduszu.

Ruszył na mnie i zaczął napierać, a ja cofnęłam się aż pod ścianę wnęki kuchennej. Dalej już się nie dało.

– Żarty się skończyły, Andrea. Muszę dostać te pieniądze. Nie zamierzam iść do więzienia.

– Odchodzę – rzuciłam i spróbowałam go obejść, by dotrzeć do drzwi, ale zastawił mi drogę.

– Muszę dostać te pieniądze, Andrea!

– Nie! – Odepchnęłam go i ruszyłam do drzwi.

Chwycił mnie za rękę i szarpnął ku sobie. Machnęłam nogą i z całej siły kopnęłam go w goleń. Jęknął z bólu, ale nie puścił mojej ręki. Potrząsnął nią i zgiął w nadgarstku.

– Potrzebuję tych cholernych pieniędzy.

– Nie! – wrzasnęłam. – Sprawiasz mi ból!

I wtedy uderzył mnie w twarz. Z całej siły.

Tak mocno, że upadłam na podłogę.

Stało się to tak szybko, że nie byłam nawet pewna, czy naprawdę mnie uderzył, ale potem twarz mnie zapiekła, jakby stanęła w płomieniach.

W pokoju zrobiło się tak cicho, że usłyszałam tykanie zegara w piekarniku. Pochyliłam głowę i przyłożyłam dłoń do policzka, który pod dotykiem aż parzył. Nad sobą słyszałam sapanie Grahama. Siedziałam nieruchomo ze wzrokiem wbitym w podłogę, włosy opadły mi na twarz, w ustach poczułam smak własnej krwi. A potem wolno uniosłam głowę i spojrzałam na mężczyznę, z którym wzięłam ślub.

Dłoń miał wciąż zaciśniętą w pięść.

Rozdział 11

Późnym popołudniem Faz i Del wkroczyli do siedziby wydziału komunikacji przy Spring Street w śródmieściu Seattle i tak jak przewidywali, zastali tłum interesantów siedzących w poczekalni na niewygodnych plastikowych krzeselkach i wsłuchujących się w zautomatyzowany żeński głos, który wyczytywał kolejne numerki. Posiadacz wyczytanego numerka wstawał i kierował się do wskazanego okienka, poruszając się sztywno jak robot.

– To scena jak z apokaliptycznego filmu, w którym rządzą maszyny, a ludzie są dronami – powiedział Faz. – Chyba oglądałem coś takiego wczoraj w telewizji.

– Ile według ciebie osób siedzi tu tylko dla klimatyzacji? – spytał Del.

– A o co chcesz się założyć, że w bibliotece też są tłumy?

Władze Seattle wydały miliony na jedyny w swoim rodzaju jedenastopiętrowy wieżowiec ze szkła i stali w śródmieściu, ale jak każdy budynek użyteczności publicznej musiał być otwarty dla publiczności, i to bez żadnych wyjątków. Biblioteka w krótkim czasie stała się bezpiecznym azylem dla bezdomnych i umysłowo zaburzonych, a także pragnących bezpłatnie skorzystać z jednego z czterystu ogólnie dostępnych komputerów, by pooglądać w internecie pornosy lub oddać się innym podejrzanym zajęciom w domenie publicznej. Popularność biblioteki gwałtownie rosła wraz ze spadkiem temperatur w zimie i ponownie latem, kiedy Seattle smażyło się na słońcu.

– Jak tylko coś zbudujesz, to ludzie od razu to obsiadają jak muchy – powiedział Del.

– Nie tknąłbym tych komputerów gołą ręką – dodał Faz.

Na ekranach monitorów wyświetlały się numerki aktualnie załatwianych interesantów, ale cyferki budzące u wszystkich największe zainteresowanie ukazywały się na wyświetlaczu cyfrowego zegara: 4:18.

– Biuro zamykają o wpół do piątej – mruknął Del.

– Całe szczęście, że nas czekanie nie dotyczy.

– A chcesz się założyć? – spytał Del.

– O wczesną kolację?

– Przegrany funduje kanapki w Salumi.

– Podoba mi się ten zakład, bo tak czy tak będę wygrany – ucieszył się Faz. – Kupię spaghetti na wynos dla Very i będzie szczęśliwa.

– A szczęśliwa żona to szczęśliwy Faz – skwitował Del.

Przy ladzie Faz wylegitymował się urzędnicze, która nie wyglądała na zachwyconą ich wizytą.

– Jesteśmy umówieni z Henrikiem...

Zaczął szukać w pamięci nazwiska, ale urzędniczka go uprzedziła.

– ...Engvaldsonem – podpowiedziała.

– O właśnie – ucieszył się. – Można sobie język połamać.

Nie uśmiechnęła się, wskazała ręką wolne krzeselka i wzięła do ręki słuchawkę.

– Siadajcie – rzuciła.

Usiedli na wskazanych krzeselkach.

Del się uśmiechnął.

– Już czuję smak pysznej kanapki z grillowaną jagnięciną. A wiesz dlaczego będzie taka pyszna?

– Bo bezpłatna – mruknął Faz.

– Otóż to!

Del nie był skąpiradłem i nieraz już fundował koledze posiłki, tylko po prostu lubił wygrywać zakłady. Nie potrafił oglądać meczu lub walki, żeby się o coś nie założyć. Nigdy nie były to

poważne kwoty – ot, parę dolarów postawionych na to czy tamto – a Faz zgadzał się, że dzięki temu życie jest ciekawsze.

Faz miał nadzieję dowiedzieć się od Engvaldsona, na jakiej podstawie Andrea Strickland otrzymała prawo jazdy wystawione na Lynn Hoff. Na tym etapie śledztwa każdy okruch informacji był cenny.

Nie musieli długo czekać. Podszedł do nich niezwykle wysoki mężczyzna w spodniach khaki i jasnoniebieskiej koszuli i wyciągnął rękę, która zawisała w powietrzu niczym ramię dźwigu.

– Witam – powiedział. – Jestem Henrik Engvaldson. Z którym z panów rozmawiałem przez telefon?

– Ze mną – odparł Faz, czując się jak karzeł przy tej wieży, co przy jego wzroście metr dziewięćdziesiąt i wadze stu dwudziestu jeden kilogramów na golasa było niezwykle. Del był od niego o dwa i pół centymetra wyższy i pięć, sześć kilogramów cięższy, choć nigdy się do tego nie przyznawał. Ale brzuch wiedział swoje.

Przeszli za Engvaldsonem do drzwi w głębi sali i ich gospodarz schylił głowę, by się w nich zmieścić, a to znaczyło, że musi mieć dobrze ponad dwa metry. Gdy weszli w korytarz, Faz popatrzył znacząco na partnera.

– Co to za nazwisko, Engvaldson? – zapytał.

– Podobno szwedzkie – odparł wielkolud. – Dorastałem w przeświadczeniu, że mam norweskie korzenie, ale żona zajrzała na Ancestry.com i okazało się, że się myliłem. Moi przodkowie przybyli ze Szwecji.

– Jak w tej reklamie – zauważył Faz.

– Właśnie.

– A mnie moje pochodzenie w ogóle nie interesuje – powiedział Del. – Mógłbym się dowiedzieć o czymś, o czym wolę nie wiedzieć.

– Na przykład że nie jesteś człowiekiem? – rzucił Faz.

Engvaldson wprowadził ich do gabinetu typowego dla urzędu państwowego, małego i skromnego, ale w pełni użytkowego.

Usiadł za biurkiem, które wyglądało na o wiele dla niego za małe, otworzył leżącą na nim teczkę i wręczył Fazowi kopię prawa jazdy Lynn Hoff, znanej także jako Andrea Strickland.

– Zamówiła prawo jazdy...

– Zamówiła? – przerwał mu Del. – Co to znaczy?

– To znaczy, że wypełniła wniosek przez internet i potem zgłosiła się po odbiór osobiście. To oszczędza mnóstwo czasu.

– Dobrze wiedzieć – mruknął Del.

– Czym się wylegitymowała? – zapytał Faz.

– Poświadczonym duplikatem świadectwa urodzenia – odparł Engvaldson, zaglądając w papiery.

– Czyli legalnie – wtrącił Faz.

– Może. A może nie. Nasi pracownicy mają dostęp do wzorów praw jazdy ze wszystkich stanów, ale wykrycie fałszerstwa, niestety, nie jest takie proste. Władze federalne pracują nad ujednoczeniem wzorów, ale jeszcze w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku każdy stan posługiwał się własnym.

– Czyli co? Mogła mieć fałszywe świadectwo urodzenia na zmyślane nazwisko? – spytał Del.

– Mogła – potwierdził Engvaldson.

– To wasze największe biuro? – zapytał Faz.

– Tak – odparł urzędnik, wyraźnie przeczuwając, do czego zmierza pytanie. – A od czasu, kiedy władze federalne wymagają, by każdy posiadał prawo jazdy nowego typu, mamy jeszcze więcej pracy niż przedtem.

I pewnie dlatego Strickland wybrała to biuro, pomyślał Faz. Im urzędnik bardziej zajęty, tym mniej skrupulatnie wszystko sprawdza, zwłaszcza jeśli papiery wyglądają na autentyczne.

– Dała numer ubezpieczenia społecznego? – zapytał.

Engvaldson podał mu kolejny papier.

Faz porównał numer z numerem otrzymanym z rejestru ubezpieczeń społecznych na nazwisko Lynn Cora Hoff. Były identyczne.

– Czyli to prawdziwy aktywny numer. – W jego głosie pobrzmiwało zaskoczenie.

– Co to znaczy „aktywny”? Że żyje? – zapytał Del.

– Niekoniecznie – zaprzeczył Faz. – W czasach przedkomputerowych oszuści odwiedzali cmentarze i wyszukiwali nagrobek dziecka, które gdyby nie zmarło, byłoby w tym samym wieku co oni. Podawali nazwisko i datę urodzenia dziecka i uzyskiwali numer ubezpieczenia społecznego. Teraz to już niemożliwe, bo dzięki komputerom rejestry urodzeń i śmierci są ze sobą skojarzone.

– Dobra – rzucił jego partner. – Czyli gdyby Lynn Hoff nie żyła, wiedzielibyśmy o tym. No to jak zdobyła numer ubezpieczenia kogoś żyjącego?

– Przejeżdż się do Chinatown z paroma tysiącami dolców w kieszeni i możesz kupić wszystko, co chcesz. Jest też możliwe, że prawdziwa Lynn Cora Hoff była bezdomna, nie była notowana i nie miała rodziny lub przyjaciół, którzy mogliby ją zidentyfikować. Jeśli tak było, jej śmierć mogła nie być odnotowana w rejestrze ubezpieczeń społecznych. Po prostu przestała istnieć i tyle.

– Przypuszczam, że wiąże się to z bardzo skrupulatnymi poszukiwaniami – zauważył Del.

– Tak, to prawda – potwierdził Faz. – Dlatego dziwi mnie, że ten numer jest aktywny.

– Czyli to nie taka sama sytuacja jak ta, kiedy mój nieletni syn za dwadzieścia dolców zdobył fałszywy dowód, żeby móc kupować piwo – powiedział Del.

– Nie taka sama – potwierdził Engvaldson. – To dużo bardziej wyrafinowane oszustwo.

– Przynajmniej wiemy, jak to zrobiła. – Faz wstał i wyciągnął rękę. – Dziękujemy panu za pomoc.

– Nie ma za co. – Engvaldson wyplątał się zza biurka niczym pęd fasoli w dziecięcej bajce.

– Jak pan lata? – spytał Del, przyglądając się jego gimnastyce.

– Zwykle tak. – Engvaldson rozłożył ręce w pozie Supermana i wybuchnął śmiechem. – Często mnie o to pytają. Zawsze proszę o miejsce przy przegrodzie lub przy wyjściu awaryjnym. Przewoźnik musi mnie jakoś usadzić.

– Tak? A takich grubasów jak my też? – parsknął Del.

– Tego nie wiem. Odprowadzę panów.

Główna sala już opustoszała, Engvaldson otworzył szklane drzwi. Raz jeszcze podziękowali mu za znalezienie dla nich czasu i przeszli do windy.

– Więc skoro wystąpiła tu o prawo jazdy, czy możemy przyjąć, że chciała zamieszkać w tym stanie? – zastanawiał się głośno Del.

– Być może. Mogła też dlatego chcieć zmienić wygląd, ale niekoniecznie – powiedział Faz. – Mogła zdobyć numer ubezpieczenia po to, żeby wyrobić prawo jazdy i w ten sposób ułatwić sobie wyrobienie paszportu i wyjazd z kraju. Do otwarcia konta w banku też jest potrzebne prawo jazdy. Zastanów się. Bo co zamierzała zrobić ze swoim funduszem? Jak się wybierasz za granicę, to nie jedziesz z walizką pełną forsy, a nie mogła posłużyć się prawdziwym nazwiskiem. Potrzebowała prawa jazdy, żeby wpłacić forszę na konto Lynn Hoff lub jakiejś firmowej wydmuszki. Następnie przelać ją na zagraniczne konto, a potem przetrzeć ją parę razy z jednego zapewniającego dyskrecję banku do drugiego, aż w końcu forsa zniknie.

– Musiała być okropnie zdesperowana – powiedział Del.

– To się nazywa pseudobójstwo. Ktoś pozoruje swoją śmierć zwykle po to, by skasować forszę z polisy ubezpieczeniowej albo uciec przed wierzycielami, po czym wypływa w innym miejscu jako ktoś zupełnie inny. – Faz spojrział na zegarek. – Banki są już zamknięte.

– Tak, ale Salumi jest otwarty, a ja jestem głodny – rzekł Del.

* * *

Gdy Tracy i Kins wrócili na komendę, okazało się, że na biurkach czeka na nich niespodzianka: kanapki w białym

woskowanym papierze. Wszystko wyjaśniała przyklejona karteczka:

Nie mówcie, że nigdy nic ode mnie nie dostajecie.

– Czy to nie jest przypadkiem poczwórne zaprzeczenie? – spytał Kins.

– Ale i tak go kocham – rzuciła Tracy, rozrywając opakowanie.

– Umieram z głodu, a założę się, że kupili to w Salumi.

– Jeśli jesteś głodna, to czemu nie zjadłaś czegoś w Tacomie? – zdziwił się Kins.

– Straciłam apetyt, słuchając Fieldsa.

Kins zmarszczył czoło.

– Ja go aż tak źle nie odebrałem.

– Nie dziwię się.

– Jakbym słyszał swoją żonę mówiącą, że narozrabiałem, a ja nie wiem, o co chodzi. Co ci w nim przeszkadzało?

– Poza tym, że rozbierał wzrokiem kelnerkę za każdym razem, kiedy do nas podchodziła? Ile parmezanu można napakować na linguini z małżami?

– Naprawdę?

– Nic nie zauważyłeś?

– Zauważyłem kelnerkę.

Przewróciła oczami.

– Świnia – prychnęła.

– Ciekawe, bo u mnie jest jagnię – powiedział, biorąc do ręki kanapkę. – Ty masz świńską karkówkę?

– Idiota.

Kins ze śmiechem zaczął grzebać w szufladzie biurka w poszukiwaniu drobnych.

– Idę po coś do picia. Przynieść ci coś?

– Nie, dzięki.

Tracy odgryzła kawałek kanapki. Faz naprawdę kupił jej kanapkę z karkówką. Ale nie zamierzała przyznawać się Kinsowi.

– Crosswhite.

Aż się skuliła na dźwięk jęśliwego głosu kapitana Nolasco. Odłożyła kanapkę i uniosła głowę.

– Gdzie jest Kins? – spytał Nolasco, wkraczając do ich boksu.

– Poszedł po coś do picia – odparła, przełykając odgryziony kęs.

– Co się, do cholery, dzieje z tą babą w pułapce na kraby? – burknął. – Dzwonią z mediów i twierdzą, że to ta sama, która w zeszłym miesiącu zaginęła na Mount Rainier. To prawda?

– Na to wygląda – odparła Tracy, niezadowolona, że media już o tym wiedzą. Bo jeśli media, to zapewne także mąż.

– Ty je powiadomiłaś?

– No skąd! – obruszyła się. – Dlaczego miałabym to zrobić?

– Ktoś to zrobił.

– No więc nie ja i nie Kins. O tym mogę cię zapewnić.

– Co nie ja? – spytał Kins, wchodząc do Byczej Zagrody z puszką dietetycznej coli.

– Media już wiedzą o Andrei Strickland – powiedziała Tracy.

– Skąd?

– Mówili o tym w wiadomościach o szóstej – dodał Nolasco.

– Vanpelt? – spytał Kins.

– Między innymi. Telefon się urywa, dzwonią z góry, a ja nic nie wiem.

– Dowiedzieliśmy się o tym wczoraj wieczorem i pojechaliśmy w tej sprawie do parku Mount Rainier i do Tacomy – wyjaśnił Kins. – Dopiero co wróciliśmy.

Nolasco obrzucił Tracy podejrzliwym spojrzeniem.

– Naprawdę nie wiesz, skąd media się dowiedziały?

Normalnie byłby pierwszym kandydatem Tracy na źródło przecieku. Cała policja była jak dziurawe sito i wiadomości często wyciekały z samej góry, bo szefostwo próbowało w ten sposób zaskarbić sobie względy mediów. Nie była pewna, czy oburzenie kapitana jest szczere, czy próbuje tylko odsunąć od siebie podejrzenia.

– Nie mam pojęcia – powiedziała. – Mieliśmy nadzieję, że porozmawiamy z mężem, zanim się to rozniesie.

– Więc możecie o tym zapomnieć. W wiadomościach był bardzo wyeksponowany.

– I co miał do powiedzenia? – spytała Tracy.

– Dokładnie to, czego można się było spodziewać. Był głęboko wstrząśnięty, bardzo zasmucony i zupełnie nie umiał wyjaśnić, ani co mogło skłonić żonę do upozorowania śmierci, ani kto mógł chcieć ją zabić.

– Zakrawa na dobrze obmyślony i przećwiczony scenariusz – zauważyła Tracy.

– Oczywiście – zgodził się z nią Kins.

Nolasco nadal nie spuszczał wzroku z Tracy.

– Nic nikomu nie mówiłaś? – burknął.

Zaczynała podejrzewać, że chce ją w coś wrobić.

– Po co miałabym mówić?

– To dobre pytanie. Podobnie jak to, dlaczego właścicielka motelu w Renton mówi reporterowi, że ofiara mieszkała u niej blisko miesiąc i że odwiedziło ją dwoje detektywów, którzy zadali jej mnóstwo pytań.

– To akurat prawda – wtrącił Kins. – Rzeczywiście byliśmy tam i zadawaliśmy pytania, ale nie powiedzieliśmy ani słowa o ofierze.

Nolasco przez chwilę przenosił wzrok z jednego na drugie.

– Zanim stąd wyjdziecie, chcę mieć wasz raport na piśmie, z którym będę mógł pójść do szefostwa. Góra chce, żeby Lee dał jakiś komunikat dla prasy – dodał, mając na myśli Bennetta Lee, rzecznika prasowego policji.

– Nie mamy żadnego DNA. Jest jeszcze za wcześnie – zaprotestowała Tracy.

– Jeśli nawet baba z motelu umie to poskładać, to nie jest za wcześnie – burknął Nolasco.

– Dobra, Lee może ich zapewnić, że nie była prostytutką, narkomanką ani bezdomną – powiedziała Tracy.

Wlepił w nią spojrzenie.

– Coś więcej?

Kins postanowił przyjść jej z pomocą.

– Rozmawialiśmy z szefem strażników w parku Mount Rainier i dostaliśmy od niego kopię raportu. Spotkaliśmy się też ze śledczym z biura szeryfa okręgu Pierce. Coś z tego sklecimy, ale traktujemy to wszystko jako elementy śledztwa w toku.

– Chcę być dokładnie informowany o przebiegu sprawy – oświadczył Nolasco, nie odrywając wzroku od Tracy. – Czy to jest jasne?

– Absolutnie.

Wyszedł z boksu, ale po paru krokach zawrócił i stanął przed Tracy.

– A temu przyjacielowi twojego faceta, który pracuje dla Angels, możesz powiedzieć, że gównu wie. Wczoraj wieczorem Trout zaliczył bazę i skończył w czterech biegach.

Tracy wysiłkiem woli powstrzymała się, by nie wybuchnąć śmiechem.

– O kurczę. Naprawdę?

– Jasne.

Gdy Nolasco wyszedł, Kins spojrzał na nią pytająco.

– Mike Trout? Ten baseballista?

– Słyszałam, że ma uszkodzone ścięgno – powiedziała, wzruszając ramionami.

– Przecież nawet nie lubisz baseballu.

– Podobnie jak nie lubię być ignorowana przez Nolasca.

Kins pokręcił głową.

– Nie potrafisz nie pchać rąk do klatki lwa, co?

– Ale zadziałało, nie? Jak się go tylko odpowiednio wkurzy, to wychodzi.

Zabrali się do kanapek z Salumi, zastanawiając się, co umieścić w komunikacie dla szefostwa i mediów, żeby wyglądało, że się dzielą informacjami, i jednocześnie nie powiedzieć nic istotnego.

Wszystkie audycje były nagrywane i Kins zaproponował, by obejrzeli wiadomości.

– Zobaczymy, o czym już mówią, i będziemy mogli za nimi to powtórzyć. – Zgniół papier po kanapce w kulę, odwrócił się

i rzucił do kosza przytwierdzonego do ścianki działowej boksu Dela. Kula przeleciała przez siatkę i wpadła do pojemnika na śmieci.

– No proszę! – wykrzyknął. – W drodze do domu muszę kupić los na loterię. Ten jutrzejszy wyjazd do Portlandu nadal aktualny?

Tracy skinęła głową.

– Mąż jest zawsze podejrzany.

Rozdział 12

W niedzielę tuż po jedenastej wieczorem za oknem zawarczał silnik porsche. Odłożyłam książkę, podeszłam do okna i przez szparkę w żaluzji wyjrzałam na ulicę. Po uderzeniu mnie Graham wypadł z loftu i przez dwa dni się nie pokazywał. Przyglądałam się, jak wjeżdża do podziemnego garażu, i wiedziałam, że czeka go niemiła niespodzianka. Postanowiłam zaparkować samochód w swoim garażu i dla jego porsche nie było już miejsca.

Po chwili porsche wyjechało i stanęło pod latarnią na ulicy. Graham wysiadł i pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to to, że jest ubrany inaczej, niż kiedy wychodził z domu. Miał na sobie obcisłe dżinsy, tenisówki i brązową zamszową kurtkę. Byłam całkiem pewna, że od wyjścia nie było go w domu i nie mógł się tu przebrać, choć w sobotę po południu na parę godzin wyszłam, żeby pojechać do lekarza. Zapewne kupił nowe ciuchy na kartę kredytową, choć jej limit musiał być już bliski wyczerpania.

Patrzyłam, jak obchodzi samochód, zbliża się do drzwi po stronie pasażera i je otwiera. Sięgnął do środka i coś wyjął, pewnie jakiś prezent na zgodę. Jego zachowanie stało się już przewidywalne, tyle że nigdy wcześniej mnie nie uderzył. Tym razem przekroczył granicę i nie zamierzałam dać mu szansy, by mógł to zrobić jeszcze raz.

Wróciłam na kanapę, chwyciłam książkę i zwinęłam się w kłębek z nogami okrytymi kocem. Pod ręką miałam przygotowany wcześniej kubek herbaty miętowej, bo lekarz twierdził, że mięta może mi pomóc na nudności. Drzwi się otworzyły, a ja przewróciłam stronę i czytałam dalej, nie podnosząc głowy.

– Hej – powiedział i usłyszałam, jak jego kluczyki z głośnym brzękiem padają na stolik przy wejściu.

Spojrzałam na niego bez słowa. Tak jak przypuszczałam, wrócił do domu z prezentami – wypchanym misiem trzymającym w łapach książkę Dziewczyna z pociągu. Wiedziałam, że w ślad za tym pójdą przeprosiny.

Wróciłam do czytania.

Usłyszałam, jak podchodzi z tyłu kanapy, ale nie odwróciłam głowy, by popatrzeć.

– Bardzo, bardzo przepraszam – wybąkał. – Jest mi okropnie wstyd za to, co zrobiłem. – Brzmiało to całkiem szczerze, ale wszystko, co Graham mówi, brzmi szczerze. Już się przekonałam, że to jeden z jego talentów. – Czy możesz przynajmniej na mnie spojrzeć?

Prawdziwie żałosna scena. Wyglądał jak mały chłopiec, który upuścił na chodnik rozek z lodami. Położyłam książkę na nogach, ale zostawiłam otwartą na stronie, którą czytałam.

Graham obszedł kanapę, zatrzymał się przy miejscu, na którym zwykle siadał, i zawahał się, czekając, aż przesunę nogi i zrobię mu miejsce. Nie zrobiłam tego od razu, ale w końcu je przesunęłam.

Usiadł twarzą do mnie.

– Nigdy, przenigdy w życiu nie uderzyłem kobiety – powiedział.

– Zrobiłeś to – rzuciłam nieco zbity z tropu absurdalnością jego słów. – Mnie uderzyłeś.

Pokręcił głową.

– Tak, wiem, jest mi strasznie przykro i przepraszam.

– Już to mówiłeś.

– Po prostu... tamtego wieczoru wszystko się na mnie zważyło, Andrea. Nie wyobrażasz sobie ciężaru, jaki wtedy na sobie poczułem. Jakby upadło mi na pierś kowadło. Nie byłem w stanie oddychać. Czuję się tak, jakbym się dusił. Jest bardzo prawdopodobne, że pójdę do więzienia.

Milczałam. I wcale mu nie współczułam. To była jego metoda. Szukanie usprawiedliwień za swoje postępowanie, żeby nie musieć

przyjmować do wiadomości tego, co zrobił.

– Wierz mi, nawet nie wiem, kim był ten człowiek, który cię uderzył.

A ja wiem, pomyślałam. Tym, za którego wyszłam.

– Przeraził mnie swoim zachowaniem.

Przeraził go?

– Dlatego wyszedłem. Musiałem wyjść, bo nie mogłem się pogodzić z tym, co zrobiłem.

Nawet nie zapytałam, dokąd poszedł i gdzie spędził noc. Już mnie to nie obchodziło. Może poleciał do tej prawniczki ze swojej dawnej kancelarii, tej, z którą sypiał już po naszym ślubie, do czego sam się przyznał. Ale zrobiłam drobne śledztwo i dowiedziałam się, że ona też już wyszła za mąż. Więc Graham właściwie nie miał dokąd pójść. Czyli byłam mu potrzebna. A ściślej mówiąc, potrzebny mu był mój loft i fundusz powierniczy. Sądzę, że to był prawdziwy powód jego powrotu. Wiedział, że jeśli nie wybrnie z długów, grozi mu proces za oszustwo.

– Poprawię się – obiecał, ujmując moją dłoń. – Naprawdę się postaram. Mogę nawet pójść do poradni... jeśli chcesz. Chcę, żeby nam się udało, Andrea. Naprawdę chcę, żeby wszystko się dobrze ułożyło.

W przekładzie na ludzki język znaczyło to: Nie chcę iść do więzienia ani pracować jako prawnik, tylko chcę nadal jeździć swoim porsche, rznąć na boku panienki i żyć z twojego funduszu do chwili, aż wpadnę na następny pomysł wspaniałego biznesu. Bo któż inny mógł mu zapewnić tak wspaniały układ?

– Sama nie wiem, czego chcę – odparłam. Oczywiście wiedziałam, ale nie byłam w stanie mu tego powiedzieć, nie prosto w twarz.

W tej chwili byłam tak jak on zagubiona, choć miałam cały weekend na rozważanie swojej sytuacji i do paru rzeczy samodzielnie doszłam.

– Wiem, wiem – rzucił pośpiesznie, jakby chciał uprzedzić moje żądanie, żeby sobie poszedł. Patrzył na mnie szeroko otwartymi błyszczącymi oczami. – I wcale ci się nie dziwię. To, co zrobiłem,

było niewybaczalne. Zachowałem się strasznie. Ale proszę cię o jeszcze jedną szansę. Posłuchaj. Dużo o tym myślałem. Masz rację. Możemy zacząć od nowa. Mogę znaleźć pracę jako prawnik. Mam świadomość, że Genesis było błędem.

– Tak?

– Wszedłem w coś, na czym się nie znam. – Mówił takim tonem, jakby sam do tego doszedł. – Nie wiedziałem, co robię. Pomysł był dobry, ale wykonanie fatalne. Tym razem mam dużo lepszy plan.

Aż bałam się spytać.

– Jaki?

– Otworzę własną kancelarię – powiedział pompatycznie i niemal czekałam, że zakończy triumfalnym „ta-da!”. Na szczęście nie zrobił tego.

Uzmysłowiłam sobie, że Graham żyje złudzeniami i bardzo możliwe, że cierpi na zespół maniakalno-depresyjny, o istnieniu którego czytałam w internecie. Nie wspomniałam, że grozi mu więzienie, a nam obojgu bankructwo, co praktycznie wyklucza możliwość uzyskania kolejnego kredytu bankowego na pokrycie kosztów związanych z otwarciem kancelarii. Na domiar złego zupełnie realna była też groźba utraty licencji adwokackiej. Nie był głupi i musiał to wiedzieć. Starał się mnie udobruchać, bo chciał mnie naciągnąć na pokrycie kosztów rozruchu kancelarii z funduszu, który – jeśli mojemu adwokatowi nie uda się powstrzymać banku od sięgnięcia do niego – praktycznie przestawał istnieć. Wiedziałam, że byłaby to nigdy niekończąca się historia i nie mogłam do tego dopuścić.

– Nawet nie będziesz musiała wracać do pracy w ubezpieczeniach – dodał. – Chyba że sama zechcesz. Zarobię na utrzymanie nas dwojga.

Powstrzymałam się od śmiechu.

– Naszym problemem nie są pieniądze – powiedziałam. – Nigdy nie były.

– Wiem. Wiem. Musimy wrócić do punktu wyjścia, do miejsca, w którym zaczynaliśmy.

I na to czekałam.

– Coś mi przyszło do głowy – rzuciłam pełnym wahania tonem.
– Co? – Spojrzał na mnie i wyraźnie nastawił uszu.
– Co byś powiedział o następnej wycieczce na Mount Rainier? – spytałam.

– Co takiego?! – wykrzyknął zdumiony i aż się wyprostował.

Tamta wycieczka na Rainier była ciosem w jego ego. Ciosem w jego psychikę. Nie udało mu się dotrzeć na szczyt, a mnie tak. Mógł sobie zwać winę na zbyt ostrożnego przewodnika, ale oboje wiedzieliśmy, że fizycznie nie był w stanie tego zrobić. Ja weszłam na szczyt i szczerze mówiąc, to wcale nie było takie trudne. Może zahartowały mnie lata spędzone na łażeniu po górach na południu Kalifornii.

– To by nam wyznaczyło jakiś cel, coś niezwiązanego z pracą. Pomogłoby nam skierować nasz związek z powrotem na właściwe tory. Naprawdę myślę, że tego nam potrzeba, żebyśmy znów stali się ludźmi, jakimi byliśmy na początku naszej znajomości. Zanim zwały się na nas te wszystkie kłopoty. – Mój głos zabrzmiał nawet całkiem szczerze.

– Chcesz wejść na Mount Rainier? – odezwał się cicho. W jego głosie słychać było powątpiewanie.

– Pamiętasz naszą poprzednią wycieczkę? Pamiętasz, jak było fajnie i jak bardzo nas to zbliżyło? Musimy znaleźć coś, co nas połączy. – „W odróżnieniu od sypiania z twoją prawniczką”, chciałam dodać, ale nie zrobiłam tego.

– No, nie wiem – mruknął.

– Myślę, że tym razem ci się powiedzie – dodałam, łechtając jego ego. – Mógłbyś więcej poćwiczyć, bo już nie będziesz tak dużo pracował.

– Tamtym razem też by mi się udało – zaperzył się. – To wszystko przez tego przewodnika.

– No więc będziesz miał okazję udowodnić, że przewodnik się mylił.

– Wszyscy przewodnicy są zbyt ostrożni – prychnął.

– Nie musimy się tym martwić – powiedziałam. – Rozmawiałam ze znajomą, która weszła na szczyt szlakiem przez Liberty Ridge

i do tego nie potrzeba przewodnika.

– Liberty Ridge?

– Idzie się na samym początku sezonu, kiedy jest zimno i śnieg jeszcze nie topnieje. Powiedziała, że właściwie nie ma żadnych trudności technicznych, tylko jest to męcząca trasa. Ale mamy dużo czasu. – Widziałam, że wciąż się waha, więc dodałam: – Nie musiałbyś walczyć z przesadnie ostrożnym przewodnikiem.

Jego ego połknęło przynętę.

– Mogłem wejść na szczyt tamtym razem, gdyby nie on.

– No więc teraz nie będzie nikogo, kto by ci bruździł.

– Bez przewodnika? – Zamyślił się. – A jak nam się coś stanie?

Machnęłam lekceważąco ręką.

– A co ma się stać? Statystycznie szanse na jakieś problemy są poniżej pięciu procent. – Znów wyczułam jego wahanie i dodałam: – Wiem, że pomoże mi to zrzucić parę kilo. A zbliża się sezon bikini.

Graham uśmiechnął się, ale czułam, że wciąż nie jest przekonany.

– Taaa... Może moglibyśmy najpierw poćwiczyć i wiesz, zobaczymy, jak nam to pójdzie.

– Możemy zacząć choćby jutro – zaproponowałam. Im wcześniej się w to zaangażuje, tym trudniej mu będzie się wycofać.

Wziął do ręki przyniesioną książkę i uniósł ją tak, bym mogła odczytać tytuł.

– Ekspedientka w księgarni Powella powiedziała, że to bardzo dobre. Twierdziła, że na pewno ci się spodoba.

Już tę książkę czytałam i nawet mi się podobała, ale teraz patrzyłam innymi oczami. To historia niedawno rozwiedzionej kobiety, która usycha z tęsknoty za byłym mężem. Jest alkoholiczką gotową zrobić niemal wszystko, by odzyskać faceta, który naprawdę na to nie zasługuje i który wielokrotnie ją upokorzył.

Nie mogłam już być taką kobietą.

Rozdział 13

Tracy wiedziała, że Kins nienawidzi korków, a w związku z gwałtownym przyrostem liczby mieszkańców w ciągu minionej dekady narzekanie na ruch uliczny w Seattle stało się jego obsesją. Głośno wypowiadał swoje pretensje, a ich ostrze było skierowane głównie przeciwko KZK, co było skrótem od „kretynów za kierownicą”. Na poparcie swych narzekań wygłaszał też długie monologi, w których krytykował miejskie projekty w rodzaju ścieżek rowerowych, bezpłatnych wypożyczalni rowerów czy wydzielonych pojazdów z większą liczbą pasażerów; te pomysły jego zdaniem tylko pogarszały korki. Tracy cierpliwie tego słuchała, choć często miała ochotę wytknąć mu niepotrzebną stratę czasu i energii, bo przypominało jej to Stana Fieldsa narzekającego na pogodę czy Dana wrzeszczącego na telewizor, kiedy sędzia podjął błędną (jego zdaniem) decyzję na boisku. Uznawała, że widocznie mężczyźni tak muszą, i tylko starała się ich rozbierać jakimś dowcipem.

Obsesja Kinsa doprowadziła jednak do tego, że od bladego świtu tkwili w samochodzie. Tracy próbowała protestować przeciw tak wczesnemu wyruszeniu w drogę i przypominała, że tłumy dojeżdżających do pracy będą przecież blokowały I-5 w przeciwnym kierunku, na północ, w stronę Seattle, to jednak jej partnera nie przekonało.

– Nie chcę się wpakować w poranną godzinę szczytu w Portlandzie – mruknął.

Wprawdzie nie udało im się całkowicie ominąć portlandzkich korków, ale gdy stosunkowo gładko przebrnęli przez

czerwonawy most Broadway nad rzeką Willamette, na twarzy Kinsa rozlał się uśmiech wyraźnie domagający się pochwały.

– No już – rzuciła Tracy.

– Co no już? – spytał, udając niewiniątko, choć niezbyt przekonująco.

– No już powiedz: „A nie mówiłem?”. Ominęliśmy poranny korek.

– A ja tak mówiłem?

– Dobra, niech ci będzie – mruknęła Tracy, wywracając oczy.

– Wykręciliśmy dobry czas, tyle mogę powiedzieć. Nie mój najlepszy, ale...

– No to podaj mnie do sądu, że musieliśmy stanąć na moje siusiu.

– Czy ja coś mówię? – Uśmiechnął się szeroko. – Zdaje się, że się nie odzywałem.

– Nie musiałeś. Masz tak rozanieloną minę, jakbyś zaczął dziś dzień od seksu.

Kins głośno się roześmiał.

– Więc myślisz, że gość będzie chciał z nami porozmawiać? – spytał.

– Zerwałeś mnie dziś tak wcześnie, że będzie lepiej dla niego, jak porozmawia.

Zadzwoiła do Grahama Stricklanda poprzedniego dnia po tym, jak się okazało, że już go nie zaskoczą wiadomością o znalezieniu zwłok. Maria Vanpelt zrobiła to za nich, „ujawniając prawdę”, jak to lubiła nazywać. Strickland odesłał Tracy do swojego adwokata, Phila Montgomery’ego, ona jednak postanowiła odwiedzić Stricklanda w domu. Nie miała obowiązku rozmawiać z adwokatem, ale on miał prawo odmówić rozmowy, a trzygodzinna podróż nadaremno byłaby bolesną stratą czasu. Dlatego poszła na ugodę i zadzwoniła do Montgomery’ego, a ten wyraził zgodę na to, by spotkała się z jego klientem.

Kancelaria Montgomery’ego mieściła się w odnowionym budynku z czerwonej cegły, niedaleko Union Station. Znaleźli

miejsce parkingowe na ulicy pod budynkiem; kawałek dalej stało wiśniowe porsche na miejscu zarezerwowanym dla wyładunku towarów. Indywidualne tablice rejestracyjne głosiły *Genesis*, całość aż krzyczała: „Moje ego!”.

– Zaczekaj. – Kins wyjął telefon i zrobił kilka zdjęć samochodu. – Gdyby podjechał tym do motelu w Renton, trudno byłoby tego nie zauważyć.

Na tablicy informacyjnej w holu Tracy przebiegła wzrokiem nazwy kilku kancelarii prawnych, firm inwestycyjnych oraz biur projektowych i software’owych. Pojechali windą na pierwsze piętro i odnaleźli drzwi Montgomery Group. Pomieszczenie recepcyjne – z niewygodnymi siedzeniami, niskimi stołami i rzucającymi się w oczy reprodukcjami na ścianach z surowej cegły – wyglądało nowocześnie. Poinformowali recepcjonistkę, że są umówieni z Philem Montgomerym, ta gdzieś zadzwoniła i zjawił się młody człowiek, który poprowadził ich do sali konferencyjnej w końcu korytarza. Montgomery powitał ich przed drzwiami. Był sześćdziesięcioparoletnim mężczyzną ze srebrzystosiwymi włosami i okularami w grubych oprawkach, ubranym w spodnie i czarny sweter i wyglądającym bardziej na księgowego niż adwokata karnego.

– Czy mój klient jest podejrzany? – zapytał.

Większość Amerykanów zna przysługujące im prawa Mirandy i słyszała tę frazę tyle razy w filmach i serialach policyjnych i detektywistycznych, że pewnie potrafi cytować je z pamięci. Natomiast wiele osób nie wie, że prawo do adwokata gwarantuje im Piąta Poprawka, ale tylko podczas przesłuchania, i wyłącznie wtedy, kiedy delikwent został wcześniej oficjalnie zatrzymany przez policję; celem tego jest niedopuszczenie do wydobywania zeznań siłą i zastraszania zatrzymanego. Jeszcze mniej ludzi wie, że z Szóstej Poprawki wynika konstytucyjne prawo do obecności obrońcy w chwili, gdy oskarżyciel rozpoczyna postępowanie i stawia zarzuty prokuratorskie lub gdy podejrzany staje przed wielką ławą przysięgłych. W amerykańskim społeczeństwie powszechnie pokutuje mylne

przekonanie, że w chwili zatrzymania wystarczy krzyknąć „Żądam adwokata!” i od tego momentu policji nie wolno o nic pytać bez jego obecności. Tymczasem wcale tak nie jest. Do czasu postawienia zarzutów i bez zatrzymania w policyjnym areszcie Tracy i Kins mogli do woli przepytywać Stricklanda, tyle że ona postanowiła nie antagonizować Montgomery’ego i spróbować go rozbroić.

– Na tę chwilę nie – powiedziała. – Chcemy mu tylko zadać parę pytań o zmarłą żonę.

– Jak już powiedziałem przez telefon, pozwolę mu z wami rozmawiać, ale nie wolno wam nagrywać tej rozmowy. Natomiast nie pozwolę mu odpowiadać na żadne pytania dotyczące wcześniejszego śledztwa. Myślę, że wszyscy jesteśmy zgodni, że to sprawa zamknięta, a jej przebieg poważnie zakłócił życie mojego klienta.

– Myśmy go nie prowadzili – bąknął Kins.

– Wszystko jedno.

– Pańskie warunki brzmią rozsądnie – przyznała Tracy. Nie zamierzała walczyć o dominację w tej rozmowie, choć wcale nie była pewna, czy tamto śledztwo rzeczywiście było zamknięte. Jeśli Strickland przyznał się do zamiaru zepchnięcia żony ze skały, kto mógł zaręczyć, że jej później nie zastrzelił, nie wpakował do pułapki na kraby i nie spuścił na dno cieśniny Puget w roli przynęty? Ale niech się inni o to martwią. W tej chwili chciała tylko porozmawiać ze Stricklandem i wyciągnąć z niego, ile się da, by ustalić, z czym tak naprawdę mają do czynienia.

Poszli za Montgomerym do sali konferencyjnej, w której czekał już Graham Strickland. Stał przy dwóch łukowatych oknach, z których roztaczał się widok na korony klonów i ceglane budynki po drugiej stronie ulicy, i wyglądał na zdenerwowanego. Był szczupły i niski, miał niecały metr siedemdziesiąt, włosy podgolone po bokach i dłuższe na górze, na brodzie jednodniowy zarost. Był w srebrzystoszarym garniturze, który jak powiedział Stan Fields, wyglądał na

o numer za mały. Spod za krótkich nogawek wystawały beżowe skarpetki.

Usiedli po dwóch stronach stołu z wiśniowego drewna.

– Kondolencje z powodu żony – zaczęła Tracy.

Jej współczucie chyba go zaskoczyło.

– Dziękuję. – Mówił cicho, głosem o oktawę wyższym, niż się spodziewała.

Po drodze Tracy uzgodniła z Kinsem, że przejmie na siebie prowadzenie rozmowy. Miała łagodniejsze podejście, a po rozmowie z Fieldsem doszli do wniosku, że Strickland może chętniej odpowiadać na pytania zadawane przez kobietę.

– Jak pan się o tym dowiedział? – spytała.

– Zadzwoiła jakaś reporterka... była dość obcesowa.

– Maria Vanpelt? – upewniła się Tracy.

– Tak, tak się przedstawiła.

– I co panu powiedziała?

Odsunął się nieco od stołu, zostawił jednak na nim rękę i postukał w blat środkowym palcem.

– Spytała, czy wiem, że kobieta znaleziona w koszu na kraby w cieśninie Puget to moja żona.

– I co pan odpowiedział?

Uciekł ze wzrokiem w bok. Zwykle takie zachowanie Tracy odczytałaby jako przejaw zdenerwowania, ale ruchy Stricklanda wydawały się dobrze przećwiczone. Powrócił do niej wzrokiem i zaczął mówić:

– W pierwszej chwili nic. Reporterka kompletnie mnie zaskoczyła. Pomyślałem, że musiała się pomylić. I to jej powiedziałem. „Myli się pani. Moja żona zginęła na Mount Rainier sześć tygodni temu”. Dodałem, że to chory żart i że wcale mi się on nie podoba.

– Próbowła pana przekonywać?

– Rozłączyłem się, zajrzałem do internetu i wtedy znalazłem zdjęcie Andrei. Z prawa jazdy.

– I co pan wtedy poczuł?

Strickland zmarszczył brwi. Chyba tego pytania też się nie spodziewał i widać było, że zastanawia się nad odpowiedzią. Jak aktor, który się dopiero uczy tekstu i szuka właściwej interpretacji.

– Było mi smutno. Poczułem mętlik w głowie. I złość. Zrobiło się jakby surrealistycznie. Cała sprawa była trochę surrealistyczna.

– Rozumiem, że od chwili zniknięcia nie miał pan z żoną żadnego kontaktu, czy tak?

– Oczywiście, że nie. – Skrzywił się. – Byłem przekonany, że nie żyje.

– I nie wiedział pan, że zmieniła tożsamość i zamieszkała w Seattle jako Lynn Hoff?

– Nie miałem pojęcia. To było dla mnie ogromne zaskoczenie.

– Czy żona kiedykolwiek wspominała o zamiarze zmiany tożsamości?

– Mnie nie.

– Czy wie pan, jak zdobyła papiery na nazwisko Lynn Hoff?

– Nie wiem.

– Słyszał pan kiedyś to nazwisko?

– Nigdy.

– Popadliście w poważne długi. – Strickland nie zareagował. Był adwokatem i czekał na pytanie. – Czy pan i żona kiedykolwiek rozmawialiście, choćby zupełnie luźno, o zmianie tożsamości i zaczęciu wszystkiego od nowa?

Strickland spojrzał pytająco na Montgomery'ego, ale jego adwokat nie zgłosił sprzeciwu.

– Nie. Wierzyłem, że uda mi się spłacić długi.

Znów zabrzmiało to jak wyuczona kwestia i pewnie nią było.

– A jednak wystąpił pan o ogłoszenie bankructwa, prawda? – zauważył Kins.

– Jaki to pytanie ma związek ze sprawą, detektywie? – wtrącił Montgomery.

– Jestem ciekaw, czy któryś z wierzycieli mógł poczuć się oszukany – odparł Kins. Chciał lekko podrażnić

przesłuchiwanego i skłonić go do żywszych reakcji na pytania Tracy.

Montgomery skinął przyzwalająco głową.

– Tak, wystąpiłem o bankructwo – powiedział Strickland. – Po zniknięciu Andrei i uznaniu mnie przez szeryfa okręgu Pierce za osobę pozostającą w zainteresowaniu nie miałem innego wyjścia. To kompletnie rozwalilo moje życie prywatne i zawodowe. Nie miałem z czego żyć.

– Czy któryś z pańskich wierzycieli groził panu? – spytała Tracy.

– Zostawiłem wszystko w rękach mojego adwokata.

– Czyli nie wie pan, czy któryś z nich był na tyle zdesperowany, żeby odgrywać się na panu lub żonie?

– Odgrywać?

– Żeby odzyskać należne pieniądze.

– Nie.

– Bank powiadomił pana, że wystąpią przeciwko panu na drogę sądową z zarzutem oszustwa?

– Wiedziałem, że się odgrażają, tak. Ale jak wspomniałem, zostawiłem wszystko w rękach mojego adwokata.

– Czyli znalazł się pan pod poważną presją finansową.

– Owszem. To był trudny moment.

– Pożyczył pan pieniądze od kogoś, kto był szczególnie natarczywy w sprawie spłaty długu?

Strickland pokręcił głową i burknął znużonym tonem:

– Nie.

– Był pan przeświadczony, że żona nie żyje? – spytała Tracy.

– Tak, byłem pewny i powiedziałem to strażnikom w parku i szeryfowi okręgu Pierce. Poza mną nikogo tam wtedy nie było. Żona wyszła z namiotu i już nie wróciła. Więc co innego mogłem myśleć?

– A jak to się stało, że nie wstał pan razem z nią tamtej nocy? – zapytał Kins.

– Nie – włączył się Montgomery. – Do tego nie będziemy teraz wracać, detektywie. Pan Strickland już odpowiedział na

wszystkie tego typu pytania i w tej chwili to nie jest tematem naszej rozmowy. Jeśli interesują was szczegóły śledztwa, proponuję skontaktować się z biurem szeryfa okręgu Pierce.

– Ja tylko odniosłem się do słów pana Stricklanda – powiedział Kins.

– Czy zna pan kogoś, kto był gotowy zrobić krzywdę Andrei... pańskiej żonie? – spytała Tracy.

– Nie, nikogo, tylko że...

Strickland zawiesił głos i Tracy znów pomyślała, że zrobił to celowo, jak aktor pragnący wyeksponować dramatyzm swych słów.

– Tylko że co?

– Wygląda na to, że nie znałem zbyt dobrze żony, prawda?

– Mielście małżeńskie problemy?

– Raz jeszcze powtórzę, pani detektyw – odezwał się Montgomery. – Śledztwo w tych sprawach już się odbyło i zostało zakończone. Chyba że uznajecie mojego klienta za podejrzanego o spowodowanie śmierci żony, tylko że wówczas nie będziemy odpowiadać na żadne pytania.

– Nie szkodzi, Phil – wtrącił Strickland. Nim zaczął mówić, Tracy już wiedziała, co od niego usłyszy. – Nie mam nic do ukrycia, pani detektyw. Powiedziałem śledczemu z biura szeryfa okręgu Pierce, że Andrea i ja mieliśmy niesnaski spowodowane moją niewiernością w początkach naszego małżeństwa.

– Co pan rozumie pod słowem niesnaski?

– Nie rozumiem pytania.

– Powiedział pan, że mieliście „niesnaski”. Czy kiedykolwiek pan ją uderzył?

– Nigdy – zachnął się Strickland. – Nigdy nie uderzyłbym kobiety. Po prostu przeżywaliśmy trudny okres.

– Kto wpadł na pomysł wspinaczki na Mount Rainier?

– Andrea.

– Nie pan?

– Nie. Ja nie miałem czasu, żeby myśleć o czymś takim. Byłem tak zajęty próbami uratowania naszego biznesu, że prawie

straciliśmy ze sobą kontakt. Żyliśmy w potwornym stresie. Mieliśmy nadzieję, że wspólnie podjęta wspinaczka pomoże nam przypomnieć sobie, że kiedyś się w sobie zakochaliśmy.

– A czy wykupienie polisy na życie i ustanowienie pana jej beneficjentem też było jej pomysłem? – zapytał Kins.

Strickland przeniósł wzrok na niego i uśmiechnął się kwaśno.

– Niech pan sobie wyobrazi, detektywie, że też.

– I nie podejrzewał pan, że żona zamierza pana opuścić? – W tonie Kinsa był taki ładunek ironii, jakby chciał sprowokować Stricklanda do wybuchu.

– Nie podejrzewałem. Oczywiście myślałem o tym. Dużo o tym myślałem.

Tracy zastanowiła się, jak to możliwe, skoro dopiero poprzedniego dnia dowiedział się, że jego żona potajemnie uciekła z góry.

– I do jakich wniosków pan doszedł? – spytała.

– Że Andrea musiała mieć wszystko zaplanowane. Żeby samodzielnie zejść z góry, musiała mieć zapasowe raki i komplet ubrania.

– Czyli nie wierzyła, że ta wspólna wspinaczka naprawi wasze małżeństwo – znowu wtrącił się Kins, drążąc natrętnie temat.

Montgomery wyprostował się na krześle. Był gotów interweniować przy każdym pytaniu Kinsa, który jak Tracy dobrze wiedziała, świadomie starał się go prowokować, odwracając w ten sposób uwagę adwokata i ściągając na siebie jego niechęć. W rezultacie Montgomery powinien słabiej reagować na pytania Tracy.

– Mój klient nie będzie spekulował, co jego żona myślała lub w co wierzyła – oświadczył.

– Odpowiedź wydaje się oczywista – mruknął Kins i wzruszył ramionami.

– Czy żona miała jakichś krewnych? – spytała Tracy.

– Nie, oboje rodzice nie żyli.

– A przyjaciół, którzy mogliby jej pomóc?

– Nie wiem, czy był ktoś taki – odrzekł Strickland.

– Musiała się jakoś dostać z Mount Rainier do Seattle – zauważyła Tracy.

– Mogła wynająć samochód i gdzieś go ukryć.

– Czy śledczy z biura szeryfa sugerowali, że mają na to jakieś dowody?

– Nie, ale mogła to zrobić pod fałszywym nazwiskiem. – Uśmiechnął się, jakby właśnie na to wpadł. Fields miał rację: Strickland uważał się za najsprytniejszego z całej wsi.

Tracy uznała pomysł z wynajęciem samochodu za mało prawdopodobny, ale zanotowała sobie w głowie, że trzeba to będzie sprawdzić.

– A jeśli nie, to czy przychodzi panu do głowy ktoś, kto mógł żonie pomóc?

– Andrea była introwertyczką. To ja z nas dwojga byłem bardziej otwarty.

– Nie miała żadnych przyjaciół? – spytał Kins.

– To nie tak. Chodzi mi o to, że większość jej przyjaciół to byli moi... nasi przyjaciele.

– Nie miała przyjaciółki od serca, która mogłaby jej pomóc? – cisnęła Tracy, zastanawiając się, dlaczego Strickland nie wspomina o Devin Chambers.

– Nikt taki nie przychodzi mi do głowy... znaczy nikt, kto byłby gotów to zrobić... Bo to straszne, żeby zrobić komuś coś takiego.

– Ma pan na myśli Andreę czy siebie? – spytał Kins.

– Siebie. Ten ktoś musiałby mnie naprawdę nienawidzić, żeby mnie skazywać na takie katusze. Mogłem resztę życia spędzić w więzieniu.

– A co pan wie o niejkiej Devin Chambers? – spytała Tracy.

– Andrea i Devin razem pracowały – odparł spokojnie Strickland.

– Były zaprzyjaźnione?

– Nie wiem. Myślę, że to była czysto zawodowa znajomość.

– Czy rozmawiał pan z Devin Chambers po zniknięciu żony?

– Po co miałbym to robić?

– A rozmawiał pan z nią teraz, wiedząc już, że żona zeszła z góry?

– Nie.

– A z kimś innym?

– Tylko z Philem.

– Pańska żona miała fundusz powierniczy, prawda?

– Tak – potwierdził Strickland.

– Na ponad pół miliona dolarów?

– Zgadza się.

– Czy po zniknięciu żony na górze przejął pan te pieniądze?

– Nie i nic o nich nie wiem.

– Zniknęły?

– Na to wygląda.

– I nie wie pan, co się z nimi stało? – drążyła Tracy.

– Nie wiem.

– Wspomniał pan, że oboje z Andreą lubiliście życie w plenerze.

– Tak było – potwierdził Strickland, choć Tracy pomyślała, że zupełnie na takiego nie wygląda.

– Co jeszcze robiliście poza wspinaczkami górskimi?

– Trekking. W zimie jeździliśmy na nartach.

– Na wodnych też?

– Czasami.

– Potrafi pan pływać łodzią? – zapytał Kins.

Strickland wzruszył ramionami i obrzucił Kinsa spojrzeniem na tyle długim, by było jasne, że wie, do czego detektyw zmierza, i nie da się w to wpuścić.

– Chyba każdy umie pływać łodzią – mruknął.

Po następnych trzydziestu minutach pytań i odpowiedzi Tracy spojrzała znacząco na partnera, a ten lekko wzruszył ramionami. Widać było, że nie wyciągną ze Stricklanda już nic więcej.

Tak jak mówił Fields, wił się jak piskorz i miał do pomocy Montgomery’ego. Tracy wręczyła obu swoje wizytówki.

– Jeśli przypomną sobie panowie coś, co mogłoby się przydać w śledztwie, znajdziecie mnie pod tym numerem.

Wyszli z klimatyzowanego budynku na słoneczną spiekotę.
– Przecież wiedziałeś, że nie ma łodzi – prychnęła Tracy.
– Chciałem tylko się dowiedzieć, czy potrafi nią pływać –
powiedział Kins.

Rozdział 14

Wyszłam z wydziału komunikacji i zaczęłam powtarzać swoje nowe nazwisko, ćwicząc je w takich zdaniach jak: „Cześć, jestem Lynn Hoff”. Po drodze do Portlandu zboczyłam do Renton, gdzie była siedziba banku o nazwie Emerald Credit Union, którą poprzedniego wieczoru znalazłam w sieci. Zatrzymałam się na stacji benzynowej i w toalecie zrobiłam sobie pełny makijaż – z tuszem do rzęs, kredką do oczu i szminką. Rozpuściłam też włosy i zdjęłam obrączkę.

W banku podeszłam do lady i oświadczyłam, że chcę założyć konto. Kobieta skierowała mnie w stronę czterech boksów z biurkami na tyłach sali. Dwa stały puste, przy trzecim siedziała trzydziestoparoletnia kobieta, przy czwartym zobaczyłam mężczyznę mniej więcej w moim wieku, z meszkiem nad górną wargą. Na tabliczce na biurku miał napisane Kierownik oddziału; bez wahania skierowałam się do niego.

– Dzień dobry – powiedziałam, radośnie się uśmiechając. – Mam nadzieję, że pomoże mi pan otworzyć konto w waszym banku.

Oderwał wzrok od ekranu komputera i z uśmiechem otaksował mnie wzrokiem od góry do dołu. Byłam spokojna o swój wygląd, bo dzięki ćwiczeniom przed wspinaczką na Mount Rainier zrzuciłam sporo kilogramów.

– Z przyjemnością – odparł.

– Niedawno zostałam tu przeniesiona – wyjaśniłam i usiadłam tak blisko, że mogłam oprzeć rękę na krawędzi biurka. – Dlatego mam tylko tymczasowe prawo jazdy.

– Wystarczy. – Nadal się uśmiechał. Jego wzrok na moment zatrzymał się na dekolcie mojej bluzki, po czym powrócił na twarz.

– Co panią sprowadza do naszego stanu?

– Praca – odparłam. – Moja firma przeniosła mnie tu, bo chcę otworzyć oddział w stanie Waszyngton. – Podałam mu rękę. – Lynn Hoff – przedstawiłam się, z ulgą słysząc, jak gładko to wypowiadam.

– Kevin Gonzalez – powiedział. – Jestem kierownikiem tego oddziału. W jakiej branży pani działa?

– Produkujeśmy odzież dla miłośników świeżego powietrza. To nowy start-up.

– Jak się nazywa? – zapytał. – Może o nim słyszałem.

– Running Free. – Wymyśliłam to poprzedniego wieczoru.

– Świetna nazwa. – Otworzył szufladę i wyjął formularz. – Ile chce pani wpłacić dzisiaj?

– Na to konto? – Zastanowiłam się. – Na razie tylko kilkaset dolarów. Firma przekaże mi dodatkowe fundusze, jak tylko podam im numer konta. Będę też dokonywała częstych wpłat internetowo, być może nawet codziennie.

– Nie ma problemu. Zauważyłem, że powiedziała pani: „na to konto”. Czy to znaczy, że otworzy pani także inne konta?

– Chcę też otworzyć konto osobiste. Mam do zdeponowania pokaźną kwotę, odszkodowanie po wygranej sprawie sądowej. Kilka lat temu byłam ofiarą wypadku. Ale skoro przeprowadziłam się do tego stanu, to chcę tu przelać swoje pieniądze.

– Oczywiście, z przyjemnością to pani umożliwimy. Mam nadzieję, że zbytnio pani nie ucierpiała w tym wypadku?

– Poleżałam trochę w szpitalu, potem przechodziłam długą rehabilitację.

– Widzę, Lynn, że efekty tej rehabilitacji są znakomite – powiedział i lekko się zarumienił.

Pochyliłam się niżej nad biurkiem, by mu udostępnić głębsze wejrzenie w mój dekolt.

– To bardzo miłe z twojej strony, że tak mówisz, Kevin – zaszczebiotałam.

Rozdział 15

Uzbrojony w sądowy nakaz dostępu do historii kont bankowych Lynn Hoff, Faz otworzył w czwartek rano drzwi samochodu, wsunął się na miejsce pasażera i zderzył ramieniem z Delem, gdy jednocześnie sięgnęli do zapięcia pasów.

Ktoś kiedyś powiedział, że Faz i Del na przednich siedzeniach forda wyglądają jak dwa niedźwiedzie grizzly wtłoczone do samochodziku na arenie cyrkowej, na co Faz tylko się roześmiał. Obaj wiedzieli, jak ważny oddech w pracy w Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych daje poczucie humoru, i bez oporu przyjęli na siebie role wesołków. Zapewniali oderwanie się na moment od często trudnych i przygnębiających zadań. Po dwudziestu latach pracy w zawodzie Faz wiedział, że śledczy bywają świadkami najokropniejszych wynaturzeń ludzkiej natury i prawdziwych koszmarów, jednocześnie nie mając prawa przysługującego całej reszcie społeczeństwa do zamknięcia oczu lub odwrócenia wzroku. Wręcz przeciwnie: mieli obowiązek szczegółowo babrać się w najgorszych okropieństwach ze świadomością, że gdy w końcu uda im się doprowadzić do zamknięcia sprawcy w więzieniu, będą na nich czekały kolejne – równie odrażające – zbrodnie. Jak mawiała matka Faza, ludzie zawsze będą mordować, tak jak zawsze będą płacić podatki i umierać. Zabijają się wzajemnie od czasu, gdy Kain zabił swego brata Abła. Ponieważ ci dwaj byli pierwszymi ludźmi w historii – przynajmniej według Starego Testamentu – i ponieważ przeżył tylko Kain, Faz uważał, że skłonność do zabijania jest zakodowana w DNA każdego człowieka.

Kiedy jego dzieci były jeszcze małe, często się zastanawiał, co ma im mówić o swojej pracy i o tym, czym się zajmuje całymi dniami. Starał się jak mógł separować synów od okropieństw swojej pracy, nie mógł jednak sam się odseparować. Do jego obowiązków należało drobiazgowo analizowanie przebiegu zbrodni i próba przeniknięcia w głąb umysłów zbrodniarzy. Ścigał seryjnych zabójców, morderców rozczłonkowujących swoje ofiary, zazdrosnych mężów i bandziorów pozbawiających życia za działkę narkotyku. A potem wracał do domu, gdzie czekały na niego obowiązki ojca rodziny, i chłopcy, którym trzeba było pomóc w lekcjach i których należało przypilnować, by umyli ręce przed kolacją. Niekiedy wracał z pracy i długo siedział w samochodzie zaparkowanym kawałek od domu, szukając w tym wszystkim jakiegoś sensu. Niektórzy pytali, jak on i Del są w stanie żartować. Jak mogą się śmiać z takich spraw. Nie umiał odpowiedzieć. Wiedział tylko, że gdyby nie żartował i nie potrafił czasami wybuchnąć głośnym śmiechem, już dawno by zwariował.

Zdarzały się dni, że tylko dzięki takiemu podejściu mógł nadal uważać się za człowieka.

Del wjechał na parking centrum handlowego, w którym mieściła się japońska restauracja, siłownia, biuro UPS i oddział banku Emerald Credit Union.

– I do kompletu bank – zauważył. – Możesz tu zjeść, poćwiczyć i podjąć pieniądze.

– Zakupy z przystawkami – prychnął Faz.

Jego partner zaparkował na miejscu częściowo osłoniętym przez okap dachu, zarezerwowanym dla klientów banku. Byli dziesięć minut przed umówionym spotkaniem i Del nie wyłączył silnika, by działała klimatyzacja.

– Po co ona otworzyła konto firmowe? – zastanawiał się głośno. – Do czego było jej potrzebne?

Poprzedniego dnia Faz sprawdził konto podane na kwicie znalezionym przez Tracy w koszu na śmieci i od kierownika oddziału banku dowiedział się, że Lynn Hoff miała dwa konta:

jedno na firmę Running Free, drugie osobiste. Faz sprawdził nazwę Running Free sp. z o.o. w rejestrze firm i okazało się, że firma o tej nazwie rzeczywiście istnieje i została zarejestrowana w Delaware w marcu 2017 roku, dwa miesiące przed wyprawą Stricklandów na Mount Rainier. Dowodziło to niezbicie, że Andrea Strickland zaplanowała swoje zniknięcie i bardzo skrupulatnie zadbała o szczegóły.

– Żeby utrudnić sprawę komuś, kto by jej szukał – odparł Faz.
– Rejestrację firmy da się załatwić przez internet, więc człowiek pozostaje anonimowy.

– Rozumiem, że wybrała Delaware, bo rejestruje się tam wiele firm.

– Więcej, niż gdziekolwiek indziej na świecie – potwierdził Faz. – Wystarczy podać nazwę, określić typ jednostki gospodarczej, wybrać z listy zarejestrowanego w Delaware agenta, wnieść opłatę, i już masz zarejestrowaną firmę.

– Czyli na zasadzie „w tłumie najbezpieczniej”.

– Może. Choć dzięki komputeryzacji i tak łatwo jest odnaleźć poszukiwaną firmę. Pewnie dlatego nie występuje w papierach jako członek zarządu ani udziałowiec.

– Myślisz, że zmyśliła podanych członków zarządu? – spytał Del.

– Na pewno. Jak chcesz podpisać umowę najmu lub otworzyć konto w banku, mówisz, że zostałeś przeniesiony służbowo i firma pokrywa za ciebie wszystkie koszty. W ten sposób umowy najmu i rachunki za usługi komunalne, które ludzie pomysłowi jak my sprawdzają, gdy kogoś szukają, nie są wystawiane na nazwisko. To kolejny stopień zamotania. A poza tym umowa zawarta z firmą daje właścicielowi nieruchomości dodatkowe poczucie bezpieczeństwa, że na pewno dostanie swoje pieniądze, zwłaszcza jeśli firma ma konto w miejscowym banku.

Del popatrzył przez okno na oszklone drzwi do oddziału Emerald Credit Union.

– Może jest miejscowy, ale ja nigdy o nim nie słyszałem. To pewnie też zamierzone, co?

– Przy małym banku łatwiej o osobistą relację z kierownikiem oddziału i kasjerką.

– Ale zdawało mi się, że tu chodzi o zachowanie anonimowości, a nie nawiązywanie relacji osobistych.

– Chodzi o niezwracanie na siebie niepożądaney uwagi, na przykład przy przejściu przez punkt kontrolny lub stanowisko celne na lotnisku z torbą pełną gotówki – wyjaśnił Faz.

– I dlatego zostawia się ją na koncie w banku.

– Ale to też nie jest takie proste. Przepisy bankowe są tak skonstruowane, że nie pozwalają ukrywać wielkich sum. Przy każdej wpłacie przekraczającej dziesięć kawałków bank ma obowiązek wypełnić specjalny formularz i wysłać go do władz federalnych.

Del pokiwał głową.

– Czyli Lynn Hoff musiała pilnować, żeby jej wpłaty nie przekraczały każdorazowo dziesięciu tysięcy dolarów.

– Władze federalne na to też znalazły sposób w postaci Ustawy o Tajemnicy Bankowej – dodał Faz. – Ustawa zobowiązuje banki do raportowania, jeśli podejrzewają, że klient dokonuje wielu wpłat po to, by uniknąć zawiadomienia o jednej dużej wpłacie.

– Chcesz powiedzieć, że ona wybrała mały lokalny bank i zaprzyjaźniła się z personelem po to, by zmniejszyć jego chęć raportowania w jej sprawie?

– Założę się, że wymyśliła jakąś historyjkę uzasadniającą zdeponowanie dużej kwoty bez obawy o zawiadomienie władz federalnych.

– I co dalej? – spytał Del. – Sukcesywnie podejmowała z konta niewielkie kwoty i przelewała na konto firmowe?

– Otóż to! A jednocześnie wyprowadzała pieniądze z konta firmowego, jakby opłacała nimi koszty firmowe, podczas gdy w rzeczywistości przelewała je na inne konto w innym banku i na inne nazwisko. I stopniowo pieniądze znikają.

– Jakim cudem kobieta ze średnim wykształceniem może wymyślić coś takiego? – Del pokręcił głową.

– Żartujesz! Możesz kupić książkę, która krok po kroku poinstruuje cię, jak to zrobić.

– Zbyt skomplikowane – mruknął Del.

– No, to prawda, trzeba umieć czytać.

– Jedyne, co czytam, to książki o wojnie secesyjnej.

Faz wiedział, że jego partner ma zbiór książek o tej tematyce, który mógł wywołać zazdrość u każdego bibliotekarza.

– Szkoda, że nie ma tej kategorii w teleturnieju *Jeopardy*, bo leżałbym sobie teraz na plaży w Grecji – powiedział Del.

– Grecja zbankrutowała.

– Właśnie. Więc byłbym tam potentatem. – Spojrzał na zegarek i zgasił silnik. – Chodźmy się temu przyjrzeć.

Weszli do banku, minęli okienka kasowe i skierowali się ku czterem biurkom przegrodzonym cienkimi przepierzeniami. Del zatrzymał się przy nieodzownym w każdym banku stole ze styropianowymi kubkami, ekspresem do kawy i talerzem ciasteczek dla gości. Sięgnął po dwa z kawałeczkami czekolady i włożył do ust.

Przy jednym biurku siedziała pracownica banku i rozmawiała z klientem, pozostałe trzy stały puste. Na jednym z nich widniał plastikowy uchwyt z wyjmowaną tabliczką z napisem *Kierownik oddziału*.

– Dlaczego ta tabliczka nie jest tu umieszczona na stałe? – zdziwił się Del.

– Może ten, kto tu siedzi, tak się nazywa? – zażartował Faz, przyciągając wzrok partnera. – Kurczę, ale by można zaoszczędzić na wizytówkach. – Rozejrzał się i dostrzegł stojącego za kasami wysokiego młodego mężczyznę, który się im przyglądał. – Założę się, że ten tam ma na imię Kierownik, a na nazwisko Oddziału – dodał.

Mężczyzna przejął od kasjerki plik papierów i ruszył przejściem za kasami. Po chwili drzwi prowadzące do boksów otworzyły się i podszedł do biurka z tabliczką.

– Panowie są z policji? – zapytał głośno, przyciągając tym uwagę klienta siedzącego przy sąsiednim biurku. Ściszył głos, ale

musiałyby się posługiwać językiem migowym, aby tamten go nie słyszał, bo biurka stały tuż obok siebie. – Kevin Gonzalez, kierownik oddziału.

Musiał być koło trzydziestki, ale jego młodzieńcza twarz ze śladami trądziku i meszek pod nosem powodowały, że wyglądał bardziej jak szesnastolatek.

Faz przedstawił siebie i partnera i wszyscy trzech usiedli.

– Macie panowie nakaz sądowy? – spytał służbowym tonem Gonzalez, po czym niemal przepaszajaco dodał: – Dzwoniłem do naszego działu prawnego i powiedzieli mi, że powinniście mieć nakaz.

– Do którego? – spytał Faz w nadziei, że rutynowe pytanie pomoże Gonzalezowi się odprężyć. Chłopak starał się jak mógł sprawiać wrażenie profesjonalisty, ale nie był w stanie opanować drżenia rąk i głosu.

– W Centralii – odparł Gonzalez, wymieniając nazwę miasteczka leżącego półtorej godziny drogi na południe od Seattle.

– Od jak dawna działa oddział banku w Renton?

– O ile wiem, od jakichś pięciu lat.

– A od jak dawna jest pan jego kierownikiem?

– Od dziewięciu miesięcy.

– Gratuluję.

Gonzalez zamilkł, jakby nie bardzo wiedział, co powiedzieć, po czym bąknął:

– Dziękuję.

– Pracował pan w tym oddziale przed awansem na kierownika? – spytał Faz.

– Przez dwa lata byłem tu kasjerem. Mogę zaproponować panom kawę?

– Nie, dziękujemy – odparł Faz.

– W takie upały i tak się pocę – dodał Del. – Więc wolę nie pogarszać tego kawą.

Faz wręczył Gonzalezowi nakaz. Wątpił, by ten młody człowiek widział kiedyś taki dokument, ale Gonzalez zaczął go

studiować z miną starego wyjadacza.

– Troszczymy się o ochronę prywatności naszych klientów – oświadczył.

– Może się pan już nie troszczyć. Ta klientka nie żyje.

– Och! – Gonzalez wyglądał na zaskoczonego i zasmuconego.

– Znał pan osobiście Lynn Hoff? – spytał Faz.

– Tak. – Gonzalez na moment zamilkł, po czym jakby się otrząsnął i dodał: – Kurczę, przykro mi. Otwierałem jej konto.

– Oba jej konta, firmowe i osobiste?

– Tak.

– Proszę mi opowiedzieć o jej koncie osobistym.

– Zdeponowała na nim duże odszkodowanie po wypadku samochodowym, ponad pięćset tysięcy dolarów.

– Pamięta pan ten dzień, kiedy tu była? – spytał Faz.

– Dwunastego marca.

– Nie, chodzi mi o to, czy pan coś z tego dnia zapamiętał. – Faz zauważył, że Gonzalez nie ma na palcu obrączki, i przypuszczał, że wizyta atrakcyjnej młodej kobiety mogła mu zapaść w pamięć.

– Aha... hm... tak. Mniej więcej.

– To proszę nam powiedzieć, co pan zapamiętał. – Del wyjął z kieszeni nieduży notes i długopis.

Wzrok kierownika banku prześlizgnął się po notesie i piórze i wrócił do Faza.

– Tylko tyle, że chciała otworzyć dwa konta. Powiedziała, że została tu przeniesiona służbowo przez swoją firmę.

– Mówiła, czym ta jej firma się zajmuje? – spytał Faz.

– Odzież turystyczną, jeśli dobrze pamiętam.

– A skąd ją przeniesiono?

– Chyba z południa Kalifornii. Zapamiętałem to, bo zażartowała, że firma będzie tu miała więcej klientów, ponieważ częściej pada deszcz.

– Co jeszcze pan pamięta?

Gonzalez przymknął oczy, jakby szukał w pamięci.

– Powiedziała, że jest świeżo po rozwodzie i ma dość mężczyzn z Kalifornii. Że są zbyt powierzchowni jak na jej gust.

Wspomniała też, że na razie mieszka u przyjaciółki i dopiero szuka lokum.

Faz nie wątpił, że ten strzęp rzuconej mimochodem informacji żywo zainteresował Gonzaleza, dokładnie tak jak Andrea Strickland – występująca jako Lynn Hoff – tego chciała. Może miała tylko średnie wykształcenie, ale z całą pewnością była inteligentna i umiała manipulować ludźmi.

– Osobiście otwierał pan jej te konta? – spytał Faz.

– Tak.

– Ile wpłacała na firmowe?

Młody człowiek nie musiał nawet zaglądać do papierów na biurku.

– Kilkaset dolarów.

– Czy później wpływały na to konto jakieś kwoty?

– Niemal codziennie.

Faz dostrzegł triumfalną minę Dela, który bardzo lubił mieć rację.

– Można? – spytał, wyciągając rękę.

Gonzalez podał mu plik wydruków, Del przechylił mu się przez ramię. Zgodnie z przewidywaniem Strickland dokonała wielu wpłat, by nie zwracać niczyjej uwagi: 1775 dolarów, 1350 dolarów, 2260 dolarów. W ciągu następnego półtora miesiąca te niewielkie wpłaty i wypłaty z konta firmowego znacząco wzrosły i łączna kwota operacji wyniosła 128 775,42 dolara. Widać konta w Emerald Credit Union nie były jedynymi, jakie otworzyła. Nasuwało się pytanie, do jakiego banku przelała resztę pieniędzy i na jakie nazwisko? Faz był gotów się założyć, że wytransferowała je gdzieś za granicę, do banku nieujawniającego tożsamości klientów.

Jego uwagę zwróciła ostatnia linijka w ostatniej kolumnie, z której wynikało, że łączne saldo na obu kontach wynosi 0,00 dolarów.

– Oba konta są puste – odezwał się Faz, przenosząc wzrok na Gonzaleza. – Zamknęła konto?

– Na to wychodzi.

- Pan ich nie zamykał?
- Już więcej się nie pokazała.

W celu otwarcia konta klient musiał stawić się w banku osobiście i okazać dokument potwierdzający tożsamość. Wymóg ten nie obowiązywał przy zlecaniu przelewów ani przy zamykaniu konta. Jedno i drugie można było zrobić elektronicznie, trzeba było tylko znać numery kont i hasła.

Faz spojrzał na partnera.

- Opróżniła konta dwudziestego szóstego czerwca - powiedział i nie dodał nic więcej. Ale Del wiedział, że był to poniedziałek po dniu, w którym Kurt Schill wyciągnął ciało Andrei Strickland z głębin cieśniny Puget.

Rozdział 16

Wróciłam do pracy w ubezpieczeniach w dziale Brendy i zaraz w pierwszym tygodniu szefowa zaprosiła mnie na lunch, żeby „nadrobić zaległości”. Myślę, że czując się moją matką zastępczą, martwiła się o mnie i uważała za swój obowiązek sprawdzić, czy u mnie wszystko w porządku. Oczywiście nie było w porządku. Dopiero teraz zdawałam sobie w pełni sprawę, za kogo wyszłam za mąż – za hochsztaplera i drania, prawdopodobnie cierpiącego na zespół maniakalno-depresyjny. Wiedziałam, że tak długo będzie mnie nękał, aż dobierze się do moich pieniędzy w funduszu powierniczym. W tym czasie był jak do rany przyłoż, ale tylko dlatego, że musiał. Nie miał co ze sobą zrobić. Szukanie pracy nie szło mu najlepiej, bo BSBT odmówiło mu referencji, czemu trudno się było dziwić. Gdy zwracali się do nich potencjalni pracodawcy Grahama, dział personalny BSBT „odmawiał komentarza”, co tak naprawdę znaczyło, że uważali swojego byłego pracownika za niekompetentnego lub nieuczciwego, ale nie chcieli narazić firmy na proces o zniesławienie. Wszyscy w branży o tym wiedzieli. Graham oczywiście się wymigiwał, twierdząc, że nie chce pracować u nikogo, bo prawdziwe pieniądze można zarobić, tylko „pracując u siebie”. Ignorowałam jego słowa. Ostatnio rozmawiał ze swoim współlokatorem z czasów studiów, który otworzył własną kancelarię i szukał prawników, którzy mogliby stawać w sądzie.

Brenda wybrała Port House – modną knajpę z małym browarem, będącą kwintesencją Portlandu, z podłogą z desek, drewnianymi belkami na suficie i ścianami z gołej cegły.

Wcześniej była umówiona z kimś na mieście i zaproponowała mi spotkanie kwadrans po pierwszej, kiedy tłum jedzących lunch już się przerzedzi. W środku zdjęłam okulary przeciwsłoneczne, ale i tak jej nie dojrzałam. Hostessa zaprowadziła mnie do stolika na patiu od strony ulicy, tak bym czekając, mogła przyglądać się przechodniom. Wyjęłam telefon i już się zabierałam do czytania nowej powieści, gdy usłyszałam męski głos:

– Przepraszam panią?

Pomyślałam, że to pewnie jakiś żebrak, który chce mnie naciągnąć na parę groszy, ale ku mojemu zaskoczeniu mężczyzna stojący za płotkiem z żelaznych prętów miał na sobie elegancki garnitur.

– Przepraszam, że pani przeszkadzam – powiedział z uśmiechem. – Normalnie nigdy tego nie robię, ale jeśli nie czeka pani na kogoś, to chciałbym spytać, czy mógłbym postawić pani piwo?

Kompletnie mnie to zaskoczyło i nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć.

Nikt nigdy mnie nie podrywał i nawet nie byłam pewna, czy facetowi chodzi właśnie o to. Wiem, że nie ocenia się książki po okładce, ale nieznajomy sprawiał bardzo dobre wrażenie i wyglądał nawet na lekko zmieszanego, jakby nigdy wcześniej nie zaczepiał w ten sposób dziewczyny. Pewnie wiecie, że od niektórych ludzi płyną wyczuwalne fluidy.

– Przykro mi – rzuciłam i to całkiem szczerze. – Jestem umówiona ze znajomą na lunch, ale dziękuję za propozycję.

Kiwnął głową, jakby rozumiał moją sytuację, choć jestem pewna, że nie mógł rozumieć. Może ja też wysyłałam jakieś fluidy. Może w moim fluidzie dało się wyczuć smutek i żal.

– Nie ma sprawy. – Zrobił krok do tyłu. – Po prostu zauważyłem, że siedzi pani sama, i pomyślałem...

Do stolika podeszła hostessa, a za nią Brenda.

– No cóż... – Nieznajomy skinął głową, patrząc na mnie i Brendę. – Przepraszam, że przeszkodziłem. Życzę smacznego.

Brenda obrzuciła mnie pytającym spojrzeniem i uniosła brew.

– Twój znajomy?

– Nie – odparłam, odprowadzając wzrokiem oddalającego się mężczyznę. Właściwie jakaś część mnie była gotowa wstać i pobiec za nim. Powiedzieć mu, że z przyjemnością zjem z nim lunch, a potem wdać się w rozmowę i stwierdzić, że jest moją pokrewną duszą. Ale wiedziałam, że to bajeczka stara jak świat, opowiedziana na milion sposobów w książkach i filmach. – Chciał mi tylko postawić piwo.

– Wcale mu się nie dziwię. – Brenda się uśmiechnęła. – Wyglądasz świetnie. Zrzuciłaś trochę kilogramów i prezentujesz się bardzo stylowo.

Znów zaczęłam się mieścić w to, co nazywałam moimi „chudymi ciuchami”, i czułam się w nich dobrze.

Brenda była ubrana swobodnie, w każdym razie jak na nią – spodnie, wzorzysta bluzka i brązowy żakiet, który szybko zdjęła i powiesiła na oparciu krzesła. Jak na kobietę, która dopiero co urodziła swoje pierwsze dziecko, miała rewelacyjną figurę, ale przy jej obsesji na punkcie ćwiczeń i sprawności fizycznej trudno się temu dziwić. Wiedziałam, że chodzi do klubu sportowego YMCA i biega, jeśli tylko pozwala na to pogoda. Razem z mężem brali udział w zawodach crossfit.

Podszedł kelner, Brenda zamówiła dla siebie piwo Mac&Jack's i kelner spojrzał na mnie.

Miałam jeszcze wrócić do pracy, a Brenda była moją szefową.

– Poproszę mrożoną herbatę – powiedziałam.

– Bzdura – obruszyła się. – Wypijesz to samo co ja.

Kelner odszedł, a ona wyjaśniła, że lekarz zalecił jej picie piwa, bo zwiększa to produkcję mleka u kobiet karmiących piersią.

– Więc nie będę się z nim kłóciła – dodała. – No, mów, co robisz, że tak świetnie wyglądasz.

– Trochę ćwiczę – odparłam i korzystając z okazji, dodałam: – Graham chce, żebyśmy znów poszli na Mount Rainier. Uważa, że powinniśmy mieć wspólne hobby, które pomoże w naszym związku.

– Jest trochę lepiej?

Kiedy zwróciłam się do Brendy o przyjęcie mnie z powrotem do pracy, przyznałam się do tego, że wystąpił o ogłoszenie bankructwa i że wynikający z tego stres źle wpływa na nasze małżeństwo.

– Staramy się – odparłam. – A tak przy okazji, to chciałabym wykupić polisę.

– Polisę?

– Ubezpieczyć się na życie. Graham uważa, że powinnam to zrobić w związku z naszą wspinaczką. Mogłabyś w tym pomóc?

– Oczywiście. Chodzi o łączną polisę dla was dwojga?

– Nie, tylko dla mnie.

Zmrużyła lekko oczy.

– Tylko dla ciebie?

– Nie bardzo nas stać na wykupienie dwóch polis, a Graham mówi, że gdyby coś mu się stało, to ja i tak jestem zabezpieczona, bo mam fundusz powierniczy po rodzicach.

– Czyli chce ubezpieczyć tylko ciebie, z sobą jako beneficjentem?

– Właśnie tak.

Zamilkła, jakby się nad tym zastanawiała. Kelner przyniósł piwo, Brenda uniosła szklanekę i spojrzała na mnie.

– Zdrówko – powiedziała. – Fajnie, że jesteś znów z nami.

Zamówiła sałatkę Cezar, ale mnie na samą myśl o zapachu anchois zrobiło się niedobrze i niewiele brakowało, żebym się przechyliła przez płotek i zwymiotowała.

– Zjem firmową sałatkę z dodatkową oliwą i octem – zdecydowałam.

– Cieszę się, że wasze stosunki uległy poprawie – powiedziała Brenda po odejściu kelnera.

Odwróciłam wzrok.

– Andrea? Poprawiło się, tak?

– Trochę – bąknęłam i zaraz potem wybuchłam. – Tylko coś mi się zdaje, że znów mnie zdradza.

Najsmutniejsza w tym wszystkim była jej reakcja. Nie wyglądała na zaskoczoną. Odstawiła szklanekę i wyciągnęła do mnie rękę, podzwaniając bransoletkami na nadgarstku.

– Od jak dawna? – spytała.

– Hm... zaczęło się to jeszcze przed naszym ślubem.

– Co?!

– Miał romans z prawniczką ze swojej kancelarii. Spotykali się, zanim mnie poznał, i potem mówił, że było mu trudno z nią zerwać, bo nie chciał jej skrzywdzić. Idiotka ze mnie, co?

Patrząc na to z perspektywy czasu, muszę przyznać, że ignorowałam wszystkie sygnały – jego późne powroty, woń alkoholu w oddechu, brak zainteresowania mną, chyba że akurat mu to pasowało. Byłam wtedy idiotką, ale teraz już z tym koniec. Obmyśliłam zupełnie nowy plan i wtajemniczenie Brendy było jego częścią.

– Nie – rzuciła, patrząc na mnie tak żalonym wzrokiem, jakbym była skrzywdzoną ptaszyną. – Nie wiń siebie za to. Powiedziałaś mu to prosto w twarz?

Pokręciłam głową.

– Wszystkiemu zaprzeczy i jeszcze mnie oskarży, że mu nie ufam.

– Jak się dowiedziałaś?

– Nie szpiegowałam go. To nie w moim stylu.

– Oczywiście, że nie.

Odsunęłam się od stolika i odchyliłam na oparcie krzesła.

– Po prostu nasz sklep padał, Graham zajmował się całą stroną finansową, postanowiłam więc przyjrzeć się wyciągom z firmowej karty kredytowej. Nie wiedziałam, gdzie się rozchodzą pieniądze i z czego zapłacimy miesięczne rachunki. Koszty dramatycznie przekraczały przychody.

– I natknęłaś się na coś w wyciągach z karty?

Pokiwałam głową i pociągnęłam łyk piwa.

– Graham często wyjeżdżał służbowo do Seattle, do Vancouveru i Victorii. Płacił za hotele firmową kartą kredytową. Na wyciągach pojawiały się też rachunki z restauracji i kilku barów.

– To na pewno były wyjazdy służbowe? – Brenda nie wyglądała na zbytnio zdziwioną.

– On tak twierdził.

- Więc jednak rozmawialiście na ten temat.
- Nie. Poinformował mnie tylko, że znów musi wyjechać na parę dni i że jak zwykle to wyjazd służbowy.
- Ale tak nie było?
- Zadzwoiłam do dystrybutorów i hurtowni w Seattle, które rzekomo miał odwiedzić. Okazało się, że nigdy nie widzieli go na oczy. W ogóle go nie znali i nie mieli pojęcia, o czym mówię. W dodatku wyjeżdżał też do Kanady, gdzie marihuana nie była zalegalizowana.
- Domyślasz się, o kogo chodzi? – spytała Brenda.
- Nie – odparłam, upijając kolejny łyk ze szklanki. – Do tego wszystkiego on może trafić do więzienia.
- Brenda odstawiła szklankę.
- Co?!
- Skłamał we wniosku kredytowym. Podał w nim, że wkrótce zostanie współnikiem i dostanie podwyżkę. Poprosili o pismo z kancelarii, które by to potwierdzało, a on napisał je na papierze firmowym kancelarii i sfałszował podpis jednego ze współników.
- I bank się o tym dowiedział?
- Pokiwałam głową.
- Tak naprawdę nie tylko nie zamierzali zrobić z niego współnika, ale dali mu sześćdziesiąt dni na znalezienie sobie innej pracy. Widziałam wypowiedzenie. To było mniej więcej wtedy, kiedy wrócił do domu i zaczął się zachwycać pomysłem otwarcia Genesis. Powiedział, że chce odejść z kancelarii, bo tłamszą tam jego kreatywność, a on chce mieć własną firmę. Kolejne łgarstwo.
- Mówił, że zaproponowali mu, by został współnikiem, ale ma dość pracy u kogoś i chce zacząć pracować dla siebie. Nic z tego nie było prawdą.
- Bardzo mi przykro. – Brenda wyprostowała się i obrzuciła mnie pełnym współczucia spojrzeniem, które tak dobrze pamiętałam z czasów, gdy ciotka mówiła ludziom, że oboje rodzice nie żyją. – Wiem, że to dość świeża sprawa, ale wiesz już, co zrobisz?
- Nie – odparłam.

– Chcesz się poradzić adwokata?

Już to przemyślałam.

– Nie stać mnie na rozwód – oświadczyłam.

Brenda uniosła brwi.

– Nie rozumiem – rzuciła. – Przecież to powinna być prosta sprawa. Nie macie dzieci ani domu i nie będzie majątku do podziału.

– Graham sfałszował mój podpis na wekslu do umowy najmu sklepu i pożyczki z banku.

– Dlaczego to zrobił?

– Bo był wściekły, że nie chcę mu udostępnić środków z funduszu powierniczego po moich rodzicach. Występujemy o ogłoszenie bankructwa i naprawdę boję się, że mogę wszystko stracić i zostać bez grosza.

– Ile jest w tym funduszu?

– Kapitał podstawowy wynosi pół miliona dolarów – powiedziałam.

Wytrzeszczyła oczy.

– I Graham nie może tego tknąć?

– Dopóki żyję, to nie. – Zaśmiałam się. – I to go tak złości. Mnie najbardziej martwią wierzyciele, którzy powołując się na weksel, mogą się dostać do funduszu.

– Konsultowałaś się w sprawie tego weksla z jakimś adwokatem?

– Nie. Graham wszystkim sam się zajmował. Uznał, że nie ma sensu wyrzucać pieniędzy na adwokata, skoro sam nim jest. Nie wiem, z czego bym żyła, gdyby wierzyciele dobrali się do funduszu.

Machnęła lekceważąco ręką.

– O to się nie martw. Możesz zawsze pracować u mnie.

– Dzięki, Brendo. Paskudnie się czuję, że ci tym wszystkim zawracam głowę.

Wyciągnęła rękę przez stolik i ujęła moją dłoń.

– Wszystko będzie dobrze – uspokoila mnie. – Znajdę ci adwokata.

Rozdział 17

Gdy Tracy zadzwoniła, by się umówić na spotkanie, Brenda Berg wyjaśniła, że nie będzie jej w biurze, bo ma małe dziecko i przez kilka dni w tygodniu pracuje z domu. Niemniej ani chwili się nie wahała, kiedy Tracy poinformowała ją, że ona i jej partner chcieliby porozmawiać o Andrei Strickland. Berg powiedziała, że śledzi doniesienia o znalezieniu ciała Andrei i zabójstwie.

Tracy zadzwoniła do niej po wyjściu z kancelarii Phila Montgomery'ego i usłyszała, że Berg właśnie wybiera się z córeczką na przebieżkę, by ją uspić, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby porozmawiały w czasie spaceru. Ustaliły, że spotkają się obok pomników w parku nad brzegiem rzeki, tuż poniżej Steel Bridge w centrum Portlandu.

– Będę w stroju do biegania i z wózkiem spacerowym – oznajmiła Berg.

Tracy i Kins dotarli pod pomniki jako pierwsi. Brzeg rzeki Willamette był pełen biegaczy i przechodniów w strojach biurowych, dostrzegli też kilka kobiet z wózkami.

– Miejmy nadzieję, że nie jest jedną z tych sportsmenek, które szybciej chodzą, niż ja biegam – mruknął Kins, wkładając na nos okulary przeciwsłoneczne. – Od tego siedzenia w samochodzie rozboleło mnie biodro.

– Daj spokój, jest piękna pogoda. Spacer dobrze ci zrobi.

– Jeszcze lepiej by mi zrobiło klimatyzowane wnętrze baru.

Tracy wypatrzyła atletycznie zbudowaną kobietę w białym topie, króciutkich szortach i butach sportowych, która biegła, jedną ręką popychając wózek spacerowy. Kobieta zwolniła i zatrzymała się obok nich.

– Witam, pani jest detektyw Crosswhite? – Nie wyglądała na ani trochę zdyszana.

Tracy przedstawiła jej swojego partnera.

Berg była wyraźnie zaprawiona w biegach. Miała kościste ramiona, smukłe i dobrze umięśnione nogi i opalenizną biegaczki. Usłyszawszy, że niedawno urodziła dziecko, Tracy spodziewała się zobaczyć kogoś młodszego. Kurze łapki przy kącikach oczu Berg świadczyły o tym, że zbliża się do czterdziestki lub niedawno ją przekroczyła i jest w podobnym wieku co Tracy.

– Przepraszam, że was na to narażam – Berg nachyliła się i zajrzała do wózka – ale mała ma swoje cykle snu i bieganie jest jedynym sposobem uśpienia jej po południu.

– Nic nie szkodzi – rzuciła Tracy i też zajrzała pod daszek ocieniający buzię dziecka. Dziewczynka leżała owinięta w różowy kocyk i miała na główce jasnoniebieską czapkę. – Ile ma miesięcy?

– Wczoraj skończyła pięć.

– Śliczna.

– Dzięki. Ma na imię Jessica. To mój aniołek.

Tracy uśmiechnęła się do małej buzi, która wywoływała w niej osobiste wspomnienia. Zawsze myślała, że będzie miała dzieci. Wyobrażała sobie, że zamieszkają z Sarą blisko siebie i będą razem wychowywały swoje potomstwo.

– Ma pani jeszcze inne dzieci? – spytała.

– Nie – odparła Berg, nie odrywając wzroku od córeczki. – Poświęcałam czas zdobywaniu doświadczenia w ubezpieczeniach i zarabianiu na życie. Męża poznałam dopiero parę lat temu i trochę potrwało, nim zdecydowaliśmy się pociągnąć za spust. A teraz nie wyobrażam sobie życia bez niej. Ma pani dzieci?

– Nie.

– Pewnie wyszła pani za swoją pracę, co?

– Coś w tym rodzaju. – Tak naprawdę wyszła za potrzebę odkrycia, kto zabił Sarę, i zrobiła to kosztem życia prywatnego.

Rozstała się z mężem, porzuciła karierę nauczycielki w Cedar Grove, wstąpiła do policji w Seattle i rzadko znajdowała czas na randkowanie. Całymi latami spędzała wieczory, ślęcząc nad ręcznymi zapiskami i różnego rodzaju materiałami i próbując rozwiązać zagadkę zniknięcia siostry, aż w końcu zabrnęła w ślepy zaułek i zmusiła się do spakowania wszystkiego w kartonowe pudła. Była wtedy już dobrze po trzydziestce i jej krąg znajomych ograniczał się do gliniarzy i prokuratorów, a nie miała ochoty jeszcze bardziej niż dotąd przenosić pracy do domu.

– Znam ten ból – powiedziała Berg. Jak na dany sygnał, Jessica zakwiliła i jej mama szybko dodała: – Lepiej chodźmy. Ruch jest dla niej jedynym środkiem usypiającym.

Ruszyli ścieżką, Tracy obok Berg, Kins krok za nimi.

– Wciąż jeszcze jestem w szoku – powiedziała Berg. – Już za pierwszym razem przeżyliśmy koszmar. Mam na myśli ten moment sprzed dwóch miesięcy, kiedy myśleliśmy, że zginęła na górze. A teraz się dowiadujemy, że przeżyła. Już nie wiem, co mam myśleć. – Popatrzyła na Tracy. – Więc nie żyje, tak? Na pewno jest tą kobietą znaną w koszu na kraby?

– Na to wygląda. – Tracy usunęła się, by przepuścić dwóch biegaczy z naprzeciwka.

– Jestem tym kompletnie rozbita. – Berg bezradnie pokręciła głową.

– Z pani słów wnioskuję, że nie miała pani w tym czasie żadnych wiadomości od Andrei.

– Nie, ani słowa.

– Jak długo z panią pracowała?

– Jakieś dwa i pół roku. Z mniej więcej siedmiomiesięczną przerwą, kiedy prowadziła z mężem własną firmę. Po tym, jak firma padła, Andrea wróciła do pracy u mnie.

– Czy wasze kontakty ograniczały się do czysto służbowych?

Berg pokiwała głową.

– Andrea była dużo młodsza i istniała między nami ta wyraźna linia demarkacyjna między pracodawcą

a pracownikiem, choć od czasu do czasu wyskakiwałyśmy razem na lunch. Ale nic ponadto. Po prostu czułam, że ona potrzebuje towarzystwa. Wie pani, bardzo wcześnie straciła oboje rodziców.

– Tak, wiemy – przyznała Tracy.

– To była straszna tragedia. Nie mówiła o tym, ale sprawa wyszła podczas rozmowy kwalifikacyjnej i potem sprawdziłam w dokumentach. Oboje rodzice zginęli w wypadku samochodowym w wigilię Bożego Narodzenia. Staranował ich pijany kierowca. O ile wiem, Andrea była długo uwięziona w samochodzie. Dlatego starałam się być pod ręką, kiedy mnie potrzebowała.

– Jakim była człowiekiem?

– Małomówna, ale to nie znaczy, że nieśmiała. Ludziom się zdawało, że kryje się po kątach, bo dużo czytała. Początkowo ja też tak myślałam.

– Co czytała? – spytała Tracy.

– Powieści – odparła Berg. – Na biurku leżały stosy książek w kieszonkowych wydaniach, miała też powieści w telefonie i na czytniku. Wciąż coś czytała, ale jak się ją poznało, to człowiek orientował się, że nie wynikało to z nieśmiałości. Po prostu nie lubiła być w centrum zainteresowania. Wolą trzymać się na uboczu. Mówię z sensem?

– Może pani podać jakiś przykład? – poprosiła Tracy.

Berg chwilę się zastanawiała.

– Mieliśmy w firmie imprezę, czyjeś urodziny. Zauważyłam, że Andrea siedzi pod ścianą i tylko się przygląda. Gdyby człowiek jej nie znał, pomyślałby, że to wszystko jej nie interesuje, ale kiedy się jej przyjrzał, widział, jak się uśmiecha albo unosi brwi, albo dyskretnie wywraca oczami. Nigdy nie robiła tego ostentacyjnie czy dla okazania braku szacunku. Ale czułam, że uczestniczy w tym, co się wokół niej dzieje.

– Była inteligentna?

– Bardzo. – Berg z przekonaniem pokiwała głową.

– Wydaje się, że jest pani tego pewna.

– Jak na kogoś bez wyższego wykształcenia była wyjątkowo bystra i wszystko w lot łapała. Nie była zwykłą asystentką. Zlecałam jej różne trudne zadania, a ona zawsze wywiązywała się z nich doskonale i w terminie. Myślę, że była przykładem osoby z wrodzoną inteligencją i bardzo rozgarniętej. Może dzięki książkom, które czytała. Nic nie trzeba było powtarzać jej dwa razy. Zachęcałam ją, by poszła do college’u lub przynajmniej zrobiła licencję brokera ubezpieczeniowego.

Dotarli do drugiego mostu zwodzonego. Po wodzie śmigały motorówki pełne młodych ludzi w kostiumach kąpielowych.

– Poznała pani jej męża, Grahama? – zapytał Kins.

Berg odwróciła ku niemu głowę.

– Tak. W pewnym sensie byłam odpowiedzialna za tę znajomość.

– Tak?

– Jak już wspomniałam, Andrea była introwertyczką. Najbardziej lubiła wracać po pracy do domu i czytać. Wzięłam sobie za punkt honoru wzbogacenie jej życia towarzyskiego. Mieliśmy firmową imprezę na mieście i praktycznie zmusiłam Andreę, żeby na nią poszła. I właśnie tam poznała Grahama. Ani się obejrzałam, jak się pobrali.

– Jak szybko po poznaniu się? – spytała Tracy.

Berg głośno wypuściła powietrze.

– Bardzo szybko, to na pewno. Miesiąc, może dwa. Nie jestem pewna.

– Wyglądała na szczęśliwą?

– O Andrei trudno było cokolwiek powiedzieć. Wszystko tłamsiła w sobie, ale chyba tak.

– Wiemy, że dorastała na południu Kalifornii. Czy wie pani, czy ma tam jakąś rodzinę? – wtrącił Kins.

– Chyba ciotkę, ale nie utrzymywały bliskich kontaktów.

– Poznała pani bliżej Grahama?

– Właściwie nie – odparła Berg. – Andrea cały czas konsekwentnie nie mieszała życia biurowego z prywatnym.

Z tonu Berg Tracy wywnioskowała, że nie była specjalną fanką Grahama Stricklanda i tylko starała się dyplomatycznie odpowiadać.

– Ale znała go pani? – upewniła się.

– Spotkaliśmy się kilka razy. Przychodził na nasze imprezy promocyjne i czasami przyjeżdżał do biura po Andreę.

– Jaki był? – spytał Kins.

Berg uśmiechnęła się, ale jej uśmiech bardziej przypominał grymas kogoś, kto ma ukształtowaną opinię, ale nie chce się nią dzielić.

– Rozumiemy, że nie znała go pani za dobrze – pośpieszyła jej z pomocą Tracy. – Chodzi nam tylko o pani ogólne zdanie o nim.

– Szczerze? Nie podobał mi się. – Berg ponownie się zawahała.

– Należał do ludzi, którzy zbyt się starają. Wiecie, co mam na myśli?

– Za bardzo chciał być lubiany? – odrzucił Kins.

Znów się obejrzała i tym razem się zatrzymała.

– Tak. To trafne określenie.

– W czym się to przejawiało?

– We wszystkim. W ubiorze, fryzurze, zaroście. Wszystko było takie... afektowane, jakby chciał przekazać swój wymyślony wizerunek. No i to porsche. – Uśmiechnęła się i pokręciła głową na myśl o samochodzie. – Wiśniowe porsche carrera. Wszystko w sumie było okropne. Myślę też, że na naukowca od lotów kosmicznych się nie nadawał.

– Dlaczego pani tak uważa? – spytała Tracy.

– Na podstawie różnych okruczeń słyszanych od Andrei, jak choćby ta historia z ich sklepem. Andrea próbowała mu uzmysłwić, że to nie jest dobry pomysł, ale usłyszała, że przeprowadził dogłębne badanie rynku i to będzie kopalnia złota.

Tracy starała ściekające po twarzy kropelki potu. Czowała też wilgoć między łopatkami, bo słońce prażyło ją prosto w plecy.

– Czy Andrea wspominała coś o problemach małżeńskich? – spytała.

Berg zamyśliła się.

– Kiedyś, po tym, jak padła ich firma i Andrea wróciła do pracy u nas, poszliśmy razem na lunch. Wyznała mi wtedy, że Graham ją zdradza.

– Powiedziała z kim?

– Nie wiedziała, ale najwyraźniej nie był to pierwszy raz. Wcześniej miał romans z kimś z jego kancelarii.

– Mówiła, jak się o tym dowiedziała? – spytała Tracy.

– Kiedy zaczęły się kłopoty z firmą, zainteresowała się kosztami i natknęła się na płatności firmową kartą kredytową za hotele i restauracje w Seattle. Graham twierdził, że to wydatki służbowe, ale ona zadzwoniła w parę miejsc i okazało się, że to nieprawda.

– Czyli była zaradna – zauważył Kins.

– Jak było trzeba.

– Co jeszcze pani powiedziała podczas tego lunchu? – dopytywała się dalej Tracy.

Berg pokręciła głową.

– Teraz żałuję, że nie zrobiłam wtedy czegoś więcej.

– Czego?

– Andrea wspomniała, że mimo ich problemów małżeńskich Graham chce się wybrać na wspinaczkę na Mount Rainier.

– To był jego pomysł? – zdziwił się Kins.

– Tak mi powiedziała. Graham podobno uznał, że pomoże im jakieś wspólne hobby, coś, co będą mogli robić razem. I zaproponował, żeby wykupiła polisę na życie, ale tylko dla siebie.

– Tylko dla niej? – powtórzyła Tracy i zerknęła porozumiewawczo na partnera.

– Tak, wiem – rzuciła Berg. – Też wtedy pomyślałam, że to dziwnie brzmi, ale Andrea wytłumaczyła mi, że nie stać ich na kupno dwóch polis, a mąż doszedł do wniosku, że jeśli coś mu się stanie, ona będzie mogła żyć z funduszu powierniczego. Wiecie o tym jej funduszu, tak?

– Owszem – potwierdziła Tracy.

– Trochę mnie to zdziwiło, ale o takich sprawach nie myśli się długo.

– Więc co pani pomyślała, kiedy pani usłyszała, że Andrea zniknęła podczas wspinaczki na Mount Rainier? – zapytał Kins.

Berg się zawahała. Niemowlę zakwiliło i chwilę zajęło jej wetknięcie smoczka do buzi dziecka.

– Chyba podeszłam do tego z rezerwą – powiedziała, gdy w końcu ruszyli w dalszą drogę.

– Miała pani wątpliwości, czy to był wypadek? – upewnił się Kins.

Pokiwała głową.

– Ujmę to tak: Nie zdziwiło mnie, że podejrzewają męża, i nie byłabym zaszokowana, gdyby się okazało, że to on zabił Andreę. To samo powiedziałam wtedy śledczemu.

– Stanowi Fieldsowi? – spytała Tracy.

– Nie pamiętam jego nazwiska. Miał siwe włosy związane w kitkę. Powiedziałam mu, że wszystko aż zanadto pasuje. I było jeszcze coś, o czym Andrea napomknęła w związku z funduszem po rodzicach. Podobno Graham chciał skorzystać z tych pieniędzy do uruchomienia sklepu i zrezygnować z kredytu bankowego, ale Andrea się nie zgodziła. Zresztą fundusz i tak był obwarowany ograniczeniami, które to uniemożliwiały.

– Mówiła, że to wywołało niesnaski w ich małżeństwie? – spytała Tracy.

– To dość oczywiste.

– Ale powiedziała o tym pani?

– Tak.

– Powiedziała wprost, że odmówiła mu tych pieniędzy? – wtrącił się Kins, który wyglądał już na lekko zasapanego.

Berg skinęła głową.

– Twierdziła, że Grahama bardzo to zdenerwowało i że sfałszował jej podpis na wekslach. Obawiała się, że stanowi to zagrożenie dla funduszu. Ale alarm powinien był mi się włączyć po tym, co odpowiedziała na pytanie, czy Graham ma dostęp do funduszu.

– Co takiego? – rzuciła Tracy.

– Powiedziała: „Dopóki żyję, to nie”. – Berg pokręciła głową na to wspomnienie. – Roześmiała się przy tym, ale zabrzmiało to bardzo dramatycznie. Zrobiło mi się strasznie przykro, że mówi takie rzeczy.

Przeszli pod kolejnym mostem.

– Kiedy widziała się pani z nią ostatni raz? – spytała Tracy.

– W tym tygodniu, w którym wyruszyli na wspinaczkę.

– W jakim była nastroju?

– Nigdy nie było łatwo wyczuwać jej nastroje – przyznała Berg. – Chcę przez to powiedzieć, że była bardzo zamkniętą osobą. Myślę, że tragedia przeżyta w tak młodym wieku nauczyła ją dość stoickiego podejścia do życia. Jakby za wiele po nim nie oczekiwała.

– Jakby była znużona życiem? – podsunął Kins.

– To niezłe określenie. – Berg spojrzała do tyłu i kiwnęła głową. – Nawet gdy wychodziła za Grahama, nie wyczuwałam w niej specjalnej radości. Bardziej pogodzenie się z faktem.

– Miała jakieś przyjaciółki? Kogoś, z kim się spotykała, chodziła dokądś po pracy?

– Jedyń, jaka przychodzi mi do głowy, była Devin Chambers. Pracowała w naszym biurze w zespole jednego z moich wspólników i trzymały się z Andreą dość blisko. Poza nią nikt mi nie przychodzi do głowy.

– Devin Chambers nadal u was pracuje?

– Nie. Odeszła mniej więcej w tym czasie, gdy zginęła Andrea... ściślej mówiąc, kiedy wszyscy myśleliśmy, że zginęła.

– Odeszła w związku z jej zaginięciem?

– Tego nie wiem. Ze mną o tym nie rozmawiała. Wspólnikowi powiedziała, że przenosi się gdzieś na wschód. Chyba miała tam rodzinę.

Tracy spojrzała pytająco na Kinsa, a ten pokręcił głową, że nie ma więcej pytań.

– Raz jeszcze dziękuję za poświęcenie nam czasu – powiedziała. – Pozwolimy już pani i córeczce spokojnie

dokończyć spacer. – Wręczyła Berg wizytówkę i dodała: – Jeśli coś się pani przypomni, proszę o telefon.

Tracy i Kins zawrócili w stronę pomników.

– Czy nie wydaje ci się dziwne, że kobieta, zdradzana przez męża co najmniej po raz drugi, wybiera się z nim na wspinaczkę na Mount Rainier? – zwróciła się do partnera, gdy szli nabrzeżem.

– Zwłaszcza że chwilę wcześniej radziła się adwokata od rozwodów – potwierdził Kins. – Wygląda to tak, jakby zaplanowała zniknięcie, by zacząć życie od nowa.

– Może jest tak, jak powiedziała Berg – mruknęła Tracy, zatrzymując się. – Może w Andrei było coś więcej, niż ludzie widzieli na pierwszy rzut oka?

– Na to wygląda. – Kins pokiwał głową. – Choć na razie nie bardzo wiem, co z tego wynika?

– A jeśli nie chodziło tylko o zniknięcie i zaczęcie od nowa?

– Sugerujesz, że próbowała w ten sposób wyrównać rachunki? Że postanowiła tak to zaaranżować, by padło na niego podejrzenie, że chciał ją zabić?

– Berg powiedziała, że Andrea podejrzewała go o zdradę i że nie był to pierwszy raz.

– Czyli jak to widzisz? Mąż uświadamia sobie, że żona próbowała go wrobić w swoją śmierć, odnajduje ją i z zemsty zabija?

– Nie tylko z zemsty. Przede wszystkim po to, by zdobyć to, na czym od początku mu zależało.

– Jej forszę.

– Żona oficjalnie już nie żyje, a on dochodzi do wniosku, że jeśli ją odnajdzie, odnajdzie też jej pieniądze. A ponieważ ona nie żyje, nikt go nie przyłapie. Musi tylko pozbyć się jej ciała tak, żeby nikt go nigdy nie znalazł.

– No dobra, ale jak zamierzasz to udowodnić? – spytał Kins.

– Chyba trzeba odnaleźć tę Devin Chambers. Jeśli Andrea komukolwiek się zwierzyła, to najprędzej jej.

– Sądysz, że Chambers dlatego wyniosła się z miasta, że mogła być osobą, która ułatwiła przyjaciółce sfingowanie zniknięcia?

– Strażnik Hicks był pewny, że Andrea Strickland nie zrobiła tego sama – przypomniała mu Tracy.

– Chyba powinniśmy też porozmawiać z jej ciotką – zasugerował Kins. – Udawanie martwej to bardzo samotne zadanie, a ciotka była jej jedyną krewną.

* * *

Po drodze do komendy Tracy zadzwoniła do Stana Fieldsa, by porozmawiać o Devin Chambers. Połączyła się i przełączyła telefon na tryb głośnomówiący.

– Wiedziałaś, że wyniosła się z miasta? – spytała.

– Nie, ale to żadne przestępstwo. A co, myślicie, że były lesbami?

Tracy zrobiła cierpiętniczą minę, Kins stłumił parsknięcie.

– Nie, ale możliwe, że jeśli Andrea jej się zwierzyła, to pozostały w kontakcie po jej zniknięciu.

– Chambers zeznała, że o niczym nie wie.

– Natknąłeś się na jakieś dowody, że mąż Andrei miał romans na boku?

– Wspomniała o tym jej szefowa. Powiedziała, że Andrea była przekonana, że mąż ją zdradza, ale nie podała żadnych szczegółów. Rozmawiałem z prawniczką, którą rznął... z jego kancelarii. Ale to nie była ona. Ta powiedziała, że jej romans był błędem i że nie wiedziała, że Graham się ożenił. Sama też wkrótce wyszła za mąż i było po sprawie. Nie spotkali się ani nie rozmawiali od wielu miesięcy.

– Dobra. Czyli nie poszedłeś dalej śladem Devin Chambers, tak?

– Już mówiłem, że nie miałem powodu. Pokazała rachunki świadczące o tym, że w dniu wspinaczki nie było jej w mieście. A wy wiecie coś innego?

– Jeszcze nie – rzuciła Tracy.

– To już wasze rodeo, pani detektyw. Jeśli uważacie, że coś kręci, to się nią zajmijcie.

Tracy rozłączyła się bez słowa.

– Naprawdę nie lubię tego gnoja – mruknęła.

– Jest kowbojem – rzucił z uśmiechem Kins.

– Jest gnojem.

Przez następne parę kilometrów jechali w milczeniu. Tracy myślała o Brendzie Berg i jej niemowlęciu. Kins miał trzech synów.

– Cieszysz się, że masz dzieci? – spytała po dłuższej chwili partnera.

Zmierzył ją spojrzeniem.

– Zabolało cię to, co? Tak myślałem.

– Co? – rzuciła zaczepnym tonem.

– Jesteście z Berg w podobnym wieku i jest między wami wiele podobieństw.

– Nie aż tak wiele.

– Daj spokój.

– No więc cieszysz się?

Chwilę się zastanawiał.

– Nie cieszę się, kiedy rozwalają mi samochód. Albo jak wieczorem mi mówią, że na jutro muszą mieć wypracowanie do szkoły. – Uśmiechnął się. – Ale przez pozostałe dziewięćdziesiąt procent czasu? Tak, cieszę się. Dan chce mieć dzieci?

– Mam czterdzieści trzy lata – powiedziała. Mogła już przegapić swoje okienko.

– Znam jedną panią, która swoje pierwsze dziecko urodziła w wieku czterdziestu dwóch lat. Teraz ma już dwójkę.

– I są zdrowe?

– O ile wiem, tak. Rozmawialiście o tym z Danem?

– Trochę. W głębi duszy zastanawiam się jednak, czy jego gotowość nie bierze się stąd, że go o to pytam. Oboje nie jesteśmy już młodzi.

Kins zmarszczył czoło.

– Ludzie przykładają zbyt dużą wagę do tego, żeby mieć dzieci w młodym wieku. Więc ci powiem, że to nie zawsze jest takie dobre. Mam teraz dużo więcej cierpliwości niż wtedy, kiedy miałem dwadzieścia pięć lat, a cierpliwość to niezwykle ważna cecha rodzica.

– Myślałam, że urodzę dzieci w wieku dwudziestu paru lat, ale teraz wydaje mi się, że mając dwadzieścia parę lat, byłam jeszcze dzieckiem. W każdym razie takie miałam plany, dopóki nie zaginęła moja siostra. Potem wszystko się zmieniło. Rodzenie dzieci nie byłoby wobec niej uczciwe. Za bardzo byłam zajęta dociekaniem, co się z nią stało. – Spojrzała z ukosa na partnera, który poza Danem był jej najbliższą osobą. – Czyli nie myślisz, że byłabym za stara? Nie sądzisz, że przyszłabym na wywiadówkę do szkoły, a rodzice innych dzieci wzięliby mnie za babcię?

– A jeśli nawet, to co?

– Kiedy moje dziecko skończyłoby dwadzieścia lat, ja byłabym już po sześćdziesiątce.

– Tak, ale mnie nie cieszy to, że moje gniazdo opustoszeje, gdy będę miał zaledwie czterdzieści kilka lat. Nie mam pojęcia, czym Shannah i ja będziemy się wtedy zajmować. Dzieci to najlepsza część mojego życia.

– Mam nadzieję, że Shannah tego nie powiedziałaś.

– Słuchaj, jestem stary, ale nie głupi. I powiem ci, co myślę. Możesz o mnie powiedzieć: „Kins, wersja sto jeden”. Kiedy nie mieliśmy dzieci, godziliśmy się z tym, prawda? Kiedy mieliśmy dzieci, godziliśmy się z tym. Kiedy dzieci dorosną i wyfruną z domu, też się z tym pogodzimy. Wiek nie ma tu nic do rzeczy. Jeśli kochasz Dana i oboje chcecie mieć dzieci, nie zastanawiaj się. Będziecie lepszymi rodzicami od większości tych cymbałów za oknem.

Tracy się uśmiechnęła.

– Babciu – dodał Kins.

– Ale z ciebie świnia – parsknęła.

* * *

Gdy weszli do Byczej Zagrody, grzebiący widelcem w plastikowym pojemniku Faz zerwał się z fotela na ich widok. Zwykle w kwestii przynieszonego z domu jedzenia zachowywał się jak pies nad kością i bez istotnego powodu nie dawał się od niego oderwać, musiał więc dla nich mieć coś ważnego.

– Rozmawialiście z bankiem?! – spytał, przekrzykując hałasy dochodzące z pozostałych trzech Byczych Zagród.

Kładąc torebkę na swoim fotelu, Tracy poczuła zapach czosnku bijący z jedzenia jego żony, Very, i wiedziała, że będzie przez resztę dnia wisiał w powietrzu.

– Lynn Hoff powiedziała kierownikowi oddziału, że pracuje w firmie produkującej ubiory turystyczne i że na jej konto będą regularnie wpływały wpłaty – powiedział Faz. – Otworzyła też konto osobiste i wpłaciła na nie ponad pół miliona dolarów. Twierdziła, że to pieniądze z odszkodowania za wypadek. Przez kilka następnych tygodni dokonywała codziennych operacji: wpłat i wypłat z konta firmowego, które pasowały do wypłat z jej konta osobistego.

Kins uśmiechnął się do Tracy.

– Chyba znaleźliśmy pieniądze z jej funduszu powierniczego – odezwał się Kins.

– Prała je i pewnie wyprowadzała za granicę – skwitował Faz.

– Zakładam, że mąż wiedział o funduszu, nie? – rzucił Del ze swojego boksu. – Czyli mamy poważny motyw.

– Niewątpliwie – potwierdził Kins.

– Ale nie w tym rzecz – powiedział Faz z miną człowieka, który trzyma w zanadrzu sensacyjną wiadomość. – Rzecz w tym, że ktoś opróżnił konto z samego rana w poniedziałek po tym, jak Schill wyciągnął jej ciało z kosza na kraby.

Kins popatrzył na Tracy, po czym przeniósł wzrok na Faza.

– Jak to możliwe? – zapytał.

– Osobista wizyta w banku jest potrzebna do otwarcia konta, ale nie do jego zamknięcia – wyjaśnił Faz. – Ktoś zrobił to przez internet. Oznacza to, że musiał znać nazwę banku, nazwisko właściciela konta i wszystkie hasła.

Tracy spojrzała na swojego partnera. Wszystko zaczynało do siebie pasować i wszystko wskazywało na Grahama Stricklanda.

– Mąż – rzuciła.

– Devin Chambers? – zasugerował Kins.

– Kto to jest Devin Chambers? – zdziwił się Faz.

– Przyjaciółka Andrei Strickland – odparła Tracy. – Trzeba będzie ją odnaleźć.

– Możemy sprawdzić, co się stało z tymi pieniędzmi? – zapytał Kins.

– Już poprosiłem chłopaków z oszustw, żeby się tym zajęli – oznajmił Faz. – Ale jestem gotów się założyć, że forsa od razu trafiła do jakiegoś miłego małego banku za granicą, który nie zadaje wielu pytań.

– Jeśli ten ktoś wiedział, jak to zrobić – wtrąciła Tracy, zastanawiając się jednocześnie, jak dałoby się dowieść, że tym kimś był Graham Strickland. Rejestry komputerowe? Billingi telefoniczne?

– Najwyraźniej wiedział – prychnął Faz. – W każdym razie wiedziała ona, kiedy jeszcze żyła. I gdyby nie data zlikwidowania konta, uznalibyśmy, że to ona za tym stała. Że obmyśliła wszystko od początku do końca.

– Z wyjątkiem tego, że ktoś ją po drodze zabije – bąknął Del.

– No, tak – zgodził się z nim Faz.

Do Zagrody wkroczył Johnny Nolasco.

Zareagowali tak jak nastolatki, gdy do pokoju zniecka wpada rodzic: wszyscy gwałtownie zamilkli.

– Nie dostałem komunikatu dla szefostwa i rzecznika prasowego – warknął, mierząc Tracy wściekłym wzrokiem.

– Byliśmy od rana w Portlandzie i rozmawialiśmy ze świadkami.

– Mogliście oszczędzić sobie trudu. Prokurator okręgu Pierce zmienił jurysdykcję tej sprawy.

– Co?! – zawołała Tracy. Zaczynali wreszcie robić postępy, a prokuratura chce im zabrać sprawę?

– Zadzwonili niecałą godzinę temu.

- Kto tak postanowił?
- Ktoś dużo wyżej ode mnie.
- Jak to uzasadnili? – spytał Kins.
- Mają otwarte śledztwo i doszli dużo dalej niż my.
- Prowadzili śledztwo w sprawie zaginięcia – zauważyła Tracy. – A tu mamy zabójstwo w naszej jurysdykcji.
- Oni tego tak nie widzą. Ich zdaniem mąż był głównym podejrzanym i nadal nim pozostaje.
- Tylko że nie zrobili nic, żeby tego dowieść. A ciało znaleziono na naszym terenie – powiedziała. – Z jakiej racji mamy im to oddawać?
- Ciało znaleziono z kulką w głowie, a to może oznaczać, że na naszym terenie tylko się go pozbyto – wyjaśnił kapitan. – Do zabójstwa mogło dojść gdzie indziej, a u nas tylko porzucono ofiarę.
- Tracy aż kipiała ze złości. Czuła, że Nolasco nie walczył o zatrzymanie tej sprawy w swojej gestii. Często się zdarzało, że policja, na której terenie znajdowano zwłoki, skwapliwie pozbywała się kłopotu, jeśli sprawa wyglądała na trudną i mogła trafić do rejestru spraw niewyjaśnionych.
- A co to za różnica? – rzuciła. – Ciało znaleziono na naszym terenie, leży w naszej kostnicy i to my się nim zajmujemy.
- A już przynajmniej powinno to być wspólne śledztwo – wtrącił się Kins.
- Nie pieprz, Sparrow – burknął Nolasco. – Była mieszkanką Portlandu i zniknęła w okręgu Pierce. Wszelkie istotne informacje o ofierze muszą się znajdować w ich jurysdykcji.
- To kompletna bzdura – syknęła Tracy. – Ona nie zniknęła w okręgu Pierce, tylko została wyciągnięta w koszu w okręgu King.
- Pójdiesz to powiedzieć szefostwu?
- A może ty byś to zrobił? – Tracy nie starała się ukrywać złości. – To należy do ciebie.
- Zmrużył oczy i rozdął nozdrza.

– Proponuję, żebyś przestała traktować wszystkie sprawy młodych kobiet jak swoją osobistą znieprawę. To zniekształca obraz.

– Mojemu obrazowi nic nie brakuje. Ja tylko walczę o naszą sprawę.

– Zaraz, chwila – wtrącił się znowu Kins. – Spróbujmy się zastanowić. Myślę, kapitanie, że Tracy chodzi o to, że osiągnęliśmy już pewien postęp w śledztwie i żal się tego pozbywać.

– To opisz wszystko, Sparrow, i prześlij notatkę służbową do okręgu Pierce. To już nie nasz ból głowy. Zbierzcie do kupy, co tam macie, i wszystko im przekażcie. – Kapitan przerwał i potoczył wzrokiem po bokach. – Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?

– Taaa – mruknął Kins.

Nolasco przeniósł wzrok na Dela i Faza, a ci niechętnie skinęli głowami. Na koniec spojrzął na Tracy.

– Rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem, ale słyszę, co mówisz.

– Więc dokończ to, co robisz, i więcej się tym nie zajmuj.

* * *

Przez resztę popołudnia w Tracy narastała złość. Wyszła z biura tuż po końcu zmiany i ruszyła do domu, a korek na moście West Seattle dodatkowo ją zezłościł. Zastała Dana przed domem w szortach, T-shircie i butach do biegania. Trzymał dwie smycze, Rex i Sherlock obskakiwały go, radośnie poszczekując. Tracy ucieszył jego widok. Dan potrafił z nią tak postępować, że zapominała o pracy.

Podjechała bliżej i opuściła szybę.

– Wychodzisz, czy wracasz? – spytała.

– Chyba żartujesz. Czy wyglądałbym tak świeżutko po powrocie? – Dan podszedł do samochodu i pocałował ją. – Nie spodziewałem się, że tak wcześnie wrócisz.

– Ja też nie.

– O! – Cofnął się o krok. – Co się stało?

– Daj mi pięć minut. Przebiorę się, pobiegnę z tobą i wszystko ci opowiem. Muszę spalić trochę złości.

Wpadła do domu, przebrała się w sypialni w strój sportowy i wybiegła. Dan uwiązał obie smycze do żelaznego ogrodzenia i robił rozgrzewkę.

– Jestem gotowa – oświadczyła.

– Chcesz się najpierw trochę pogimnastykować?

Odwiązała smycz Sherlocka i bez słowa ruszyła.

– Rozumiem, że nie – powiedział Dan, ruszając za nią.

Zeszli z boczem wzgórze na biegnącą w dole Harbor Way, bo zbieganie było męczące dla psów i ich własnych kolan. Na dole puścili się biegiem wzdłuż plaży w stronę latarni Alki Point; minęli po drodze restauracje i sklepy. Było piękne popołudnie, temperatura spadła do trzydziestu stopni i na ulice wyległy tłumy. Plaże i restauracje były pełne ludzi, Zatoka Elliotta bielila się żaglami.

– Nie żartowałaś z tym spalaniem – wysapał Dan, z trudem łapiąc oddech. – Rex i Sherlock mogą wyzionąć ducha.

Tracy zerknęła na zegarek. Utrzymywała tempo czterech minut dwudziestu sekund na kilometr. Po tym, jak skończyła czterdzieści lat, rzadko jej się zdarzało schodzić poniżej pięciu minut.

– Przepraszam – rzuciła, zwalniając. – Chcesz odpocząć?

– Nie, tak może być – odparł Dan. – Odpoczniemy przy latarni.

Przed latarnią morską Alki Point zatrzymali się i rozejrzeli po okolicy, której widok nie przestawał zachwycać Tracy, ile razy się tu znalazła: głęboki błękit Zatoki Elliotta, lśniące w słońcu wieżowce centrum Seattle, białe punkciki promów w zatoce. Widok był tak piękny, że niemal jej przeszła złość na Nolasca. Przynajmniej na tyle, by nie chcieć wydrapać mu oczu.

Dan otarł koszulką pot z twarzy i ciężko dysząc, starał się wyrównać oddech.

– Nie powiedziałaś, dlaczego wcześniej wróciłaś, ale domyślałam się, że to nic przyjemnego.

– Zabrali nam kobietę z pułapki na kraby.

– Zabrali?

– Władze okręgu Pierce powołały się na swoją jurysdykcję i musieliśmy im oddać tę sprawę.

– Współczuję.

– Najbardziej mnie złości to, że Nolasco na pewno nie ruszył nawet palcem w naszej obronie.

Dan chwilę odczekał, po czym powiedział:

– Posłuchaj, nieczęsto nam się zdarza taki wczesny piękny wieczór razem. Postarajmy się nim cieszyć.

– Tak, chyba masz rację – mruknęła.

Przyjrzał się jej.

– Tak łatwo ci to nie przejdzie, co?

– Nie od razu – przyznała.

– Tracy, wiem, że śmierć Sary zmienia ci perspektywę patrzenia na takie sprawy...

– Dan, proszę... To nie tak, rozumiesz?

– Nie tak?

– Nie. – Podreptała kilka kroków. – No dobrze, może trochę, ale... ona miała trzynaście lat, kiedy jej rodzice zginęli w wypadku. Potem wychodzi za faceta, który ją traktuje jak wycieraczkę pod nogi, może nawet strzela jej w głowę i wrzuca ciało do zatoki jak przynętę. Udaje nam się osiągnąć postęp w śledztwie i wtedy ludzie z okręgu Pierce, którzy z tego, co wiem, nie zrobili nic, kiedy sprawa należała do nich, nagle się budzą i zabierają ją nam, a my na to pozwalamy. To nie jest w porządku.

– Na pewno nie jest w porządku, ale czasami trzeba machnąć ręką, Tracy. Jak mawiał mój tata, jeśli będziesz brał do serca byle gówno, umrzesz z sercem pełnym gówna.

– Piękna myśl, Dan, bardzo poetycka. – Przestała dreptać i zapatrzyła się w panoramę wieżowców za wodą.

– Prosty człowiek, więc proste słowa. – Dan uśmiechnął się. – Ale nie da się podważyć ich logiki.

W czasie jazdy do domu coś Tracy przyszło do głowy i teraz ta myśl wróciła. Nolasco powiedział, żeby dokończyli to, co robią, i dopiero wtedy przestali się tym zajmować.

– Nadal wybierasz się jutro rano do Los Angeles? – spytała.

– Z samego rana.

– Pomyślałam, że mogłabym wziąć wolne i polecieć z tobą. Moglibyśmy zostać na cały weekend.

– Jestem zdecydowanie za – powiedział Dan. – Tylko że całe przedpołudnie będę zajęty w sądzie.

– O mnie się nie martw. Znajdę sobie jakieś zajęcie.

– Widzisz, już zaczynasz korzystać z życia.

– A ty mówisz jak ten facet z *Annie*. Tylko nie zacznij śpiewać: „Jutro wszędzie słońeczko...”

Dan roześmiał się i zanucił: „Jutro wszędzie słońeczko...”

– Boże, zlituj się nad nami – jęknęła Tracy i ruszyła biegiem w drogę powrotną.

W domu nalali wody do misek Rexa i Sherlocka i wsadzili im do pysków po kości na zupę od rzeźnika, by czymś je zająć. A potem wskoczyli pod prysznic i urządzili sobie drzemkę.

Kiedy Dan się obudził, okazało się, że w ogóle nie usnęła.

– Chcesz gdzieś pójść na kolację? – zapytał.

Tracy obracała w myślach fragmenty rozmowy z Brendą Berg. Berg stwierdziła, że zainwestowała w karierę zawodową, ale że teraz nie wyobraża sobie życia bez córeczki. Kins miał rację. To naprawdę ją poruszyło. Oczywiście. Po zniknięciu Sary i rozwodzie z Bennym zainwestowała w karierę detektyw w wydziale zabójstw głównie po to, by rozwiązać zagadkę zniknięcia siostry. Zanim się obejrzała, przeleciało wiele lat, miała ich już czterdzieści trzy i optymalny wiek na rodzenie dzieci dawno minął.

Przekręciła się na bok, odwracając się plecami do Dana, i zapatrzyła w szklane drzwi na taras.

– Żałujesz czasami, że nie masz dzieci? – wymamrotała.

– Skąd ci to nagle przyszło do głowy?

– Rozmawiałam dziś z kobietą, która niedawno urodziła swoje pierwsze dziecko, mając czterdzieści lat. Powiedziała, że całe życie myślała o karierze zawodowej, ale potem poznała właściwego mężczyznę i teraz nie wyobraża sobie życia bez córeczki.

Dan oparł brodę na jej ramieniu i objął ją.

– Nie wiem. Zawsze sobie wyobrażałem, że będę miał dzieci, więc życie bez nich nie jest chyba tym, o czym marzyłem. A co? Żałujesz, że nie mamy dzieci?

– Czasami. Tak, czasami żałuję.

– Do czego to wszystko zmierza, pani Crosswhite?

Przekręciła się na plecy i spojrzała na niego.

– Sama nie wiem. Po prostu myślę, że gdybym miała zdecydować się na dziecko, to szybko zbliża się chwila „Teraz albo nigdy”.

– Tak zwany tykający zegar?

– Właśnie.

– A co z pracą?

– Mogłabym pójść na urlop macierzyński. I pracuję już dość długo, żeby nie musieć potem wracać na pełny etat. Mogłabym pracować na pół etatu.

– Nadal w wydziale zabójstw?

– Pewnie nie. Ale mogłabym się zajmować sprawami dawnymi. Czasami mi się zdaje, że już się nimi zajmuję.

– Czy to wszystko z powodu tego, co się dziś wydarzyło? Bo odebrano ci sprawę?

– Nie. Myślałam o tym, wracając z Portlandu.

– W związku z rozmową z tą kobietą?

– Częściowo.

Przez chwilę leżeli w milczeniu.

– A zastanawiałaś się, kto mógłby być ojcem twojego dziecka?
– odezwał się w końcu Dan.

Tracy usiadła i walnęła go poduszką.

– Właśnie się zastanawiam – prychnęła.

Chwycił poduszkę i spojrzał na nią ze smutnym uśmiechem.

– Wiesz, że przeszedłem zabieg wazektomii. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że moja pierwsza żona nie chciała mieć dzieci, a nie lubiła prezerwatyw. Chyba ci opowiadałem.

– Czytałam gdzieś, że wazektomia jest odwracalna – powiedziała z wahaniem w głosie.

– A ja czytałem, że to tak boli, jakby go odcinali. To nie jest jak zdjęcie gumowej opaski zaciskowej.

– Tak, wiem. Przepraszam.

Znowu zapadło milczenie.

– Ale jestem gotów to rozważyć, jeśli będziesz chciała – odezwał się w końcu Dan.

– Zrobiłbyś to?

Skinął głową.

– Tak, ale chyba pomijamy coś ważnego, nie uważasz? Rex i Sherlock już teraz mają wystarczający kociokwik w głowie, bo nie wiedzą, jak się nazywają: O’Leary, Crosswhite czy O’Leary-Crosswhite?

– O’Leary. Jestem dziewczyną staroświecką.

– Czy ty mnie prosisz o rękę, Tracy Crosswhite?

– A w życiu! Może z pozoru wyglądam na twardą gliniarę, ale w środku jestem sentymentalną dziewczyną, która przy oświadczeniach chce być wzięta na rękę.

– Naprawdę? Dobrze wiedzieć. Muszę się pilnować, żeby cię nie zawieść.

Wtuliła się w niego, czując bijące od ich ciał ciepło i jego narastającą twardość.

– Och, panie O’Leary. Pan mnie jeszcze nigdy nie zawiódł.

Rozdział 18

Patrząc na słuszną posturę Delma Castigliano, można było pomyśleć, że ten wielkolud niczego się nie lęka, ale Vic Fazzio znalazł słaby punkt swego partnera supermana. Del panicznie bał się wody. Kilka lat wcześniej prowadzili śledztwo w sprawie zabójstwa, w trakcie którego zabójca załamał się i przyznał, że wrzucił ciało ofiary do jeziora Washington. Podczas jazdy na posterunek straży portowej Del milczał jak zaklęty, a potem Faz zauważył, z jakimi oporami podchodził do policyjnej motorówki. W końcu do niej wsiadł, ale na twarz wystąpiły mu krople zimnego potu, rękami uchwycił się relingu i już do końca kurczowo się go trzymał.

Faz przypomniał sobie to zdarzenie, gdy obaj podeszli do wąskiej kładki prowadzącej do pomostu, przy którym stały zacumowane pływające domy na jeziorze Union, w tym dom łowcy głów, którego mieli odwiedzić. Del stanął jak skamieniały i zbladł. Jego strach nie miał nic wspólnego ze złamaniem zakazu kontynuowania śledztwa. Tracy uświadomiła im, że Nolasco kazał im dokończyć to, co aktualnie robią, a Faz miał to spotkanie już wcześniej umówione.

– Dobrze się czujesz? – spytał Dela.

– Mówiłeś, że idziemy do niego do domu.

– Bo idziemy.

– Tu nie ma domów. Tu jest jezioro. Kiedy wspomniałeś, że ma dom na jeziorze Union, myślałem, że chodzi o widok z okien na jezioro.

– Del, powiedz mi szczerze. Czy ty się boisz wody?

Del przełknął głośno ślinę i wlepił wzrok w kładkę. Miała raptem trzy metry długości i była przerzucona nad wąską szparą między lądem a pomostem, on jednak wpatrywał się w nią takim wzrokiem, jakby miał przed sobą chybotliwy most linowy nad kanionem rzeki Kolorado.

– Nie umiem pływać – jęknął cicho.

– Co to znaczy, że nie umiesz pływać?

– To znaczy, że w wodzie tonę – odparł Del tonem, w którym słychać było wstyd i zdenerwowanie. – Idę na dno jak kamień.

– Nigdy nie uczyłeś się pływać jako dziecko?

– Rodzice próbowali, ale ja się bałem zbliżyć do wody.

– Bałeś się rekinów czy czegoś takiego?

– Nie. Tylko wody je otaczającej.

Faz nie miał żadnych fobii, ale jego matka dostawała spazmów na samą myśl o węzach.

– Chcesz poczekać w samochodzie?

Del przeniósł wzrok z kładki na Faza i wyglądało to tak, jakby poważnie rozważał tę propozycję. Faz wiedział jednak, że partner nie zostawi go samego do przeprowadzenia nie w pełni legalnej rozmowy ze świadkiem.

– Zapewnij mnie tylko, że w środku jest bardziej jak w domu niż jak w łodzi – poprosił Del, ciężko wzdychając.

– Absolutnie. Są normalne podłogi, ściany i cała reszta. Nie będziesz musiał w ogóle patrzeć na wodę.

– Nie licząc pokonania tej kładki i przejścia pomostem – mruknął Del, ponownie wlepiając wzrok w kładkę.

– Pójdę pierwszy, chcesz? A ty się nie śpiesz. – Faz wkroczył na metalową kratkę kładki i paroma krokami ją przemierzył, po czym obejrzał się na partnera na znak, że nie ma w tym nic trudnego.

Del poszurał nogami jak człowiek sprawdzający grubość lodu na sadzawce, by się upewnić, że lód utrzyma jego ciężar, i zatrzymał się w miejscu, z którego należało zrobić krok na pływający pomost. Patrząc na niego, Faz pomyślał, że jest

całkiem możliwe, że partner jednak zawróci, on jednak zebrał się na odwagę i przeniósł najpierw jedną nogę, potem drugą.

Na szczęście łódź oszalowana ciemnymi deskami cedrowymi stała zacumowana dwa stanowiska przed końcem pomostu, bo Faz pomyślał, że pewnie nie udałoby mu się zaciągnąć Dela ani o krok dalej.

Przed drzwiami stało kilka doniczek z roślinami, które w panującym upale zupełnie zwiędły. Pływające domy na jeziorze Union nie przypominały tego, co ludzie zwykle kojarzą z nazwą „łódź mieszkalna”. Stały na podłożu z masywnych belek przymocowanych do pomostu i wprawdzie domy nie były zbyt obszerne, jeśli chodzi o powierzchnię w metrach kwadratowych, ale wyposażone luksusowo, a niektóre wręcz z przepychem. Ich największą wartością był jednak roztaczający się z nich spektakularny widok i niektóre znajdowały nabywców gotowych zapłacić parę milionów dolarów.

– Chcesz się zabawić? – zapytał Faz.

– Oj, chyba nie. – Głos Dela zataczającego się jak pijany, który stara się utrzymać równowagę, brzmiał chrapliwie.

Faz załomotał pięścią w drzwi.

– Otwierać, policja! – wrzasnął i ponownie załomotał. – Policja! Otworzyć drzwi!

Dosłyszał dochodzące ze środka dudnienie kroków i stłumione głosy, zrobił krok w prawo i spojrzał w odstęp między tym i sąsiednim domem. Na górny pokład wypadł mężczyzna z wiadrem w ręce i wyrzucił zawartość do wody, zapewne karty SIM i kredytowe. Faz wyobraził sobie, jak jednocześnie żona Iana Nikolica nerwowo przystępuje do niszczenia laptopa. Zawrócił do drzwi, znów w nie walnął i na cały głos wrzasnął:

– Prima aprilis!

Parę sekund później drzwi się otworzyły, stanął w nich Nikolic i obrzucił ich wściekłym spojrzeniem. Był boso i wyglądał tak, jak go Faz zapamiętał, był tylko trochę starszy. Chudy jak patyk, w szortach i podartym T-shircie, z szopą zmierzwionych

siwych włosów na głowie, wyglądał jak wypłosz trafiony piorunem.

– Kurwa, Fazzio, odbiło ci?

Faz się roześmiał.

– Masz trochę czasu? – spytał. – Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem ci w niczym nielegalnym, co, Nik?

Nikolic obrzucił Dela podejrzliwym spojrzeniem.

– Właśnie wrzuciłem do wody trzy zupełnie dobre telefony, a Marta już się zabierała do rozwalania laptopa.

– Stać cię na nowe.

Nikolic opowiedział kiedyś Fazowi, jak policja dostała cynk, że pomógł uciekinierowi zniknąć, i załomotała do jego drzwi. Każdy, kto go znał, wiedział, że to była ustawka. Nikolic odmawiał zajmowania się zbiegami, ludźmi związanymi z przestępczością zorganizowaną czy podejrzewanymi o stalking. Miał wielu znanych klientów i posiadał masę tak zwanych wrażliwych informacji na ich temat. Jego roczne dochody były sześciocyfrowe, przy czym pierwsza cyfra nie była jedynką.

– Stać mnie też na ferrari, ale to nie znaczy, że mam go wrzucić do jeziora. Czego, do diabła, chcesz?

– Muszę z tobą porozmawiać o tej kobiecie, którą wyciągnęliśmy z cieśniny Puget w koszu na kraby.

– To żadna z moich, jeśli o to ci chodzi.

– Od tego chciałem zacząć. Słyszałeś coś o tej sprawie?

– Odczep się. Wyciągnąłeś mnie z łóżka, nie wypilem jeszcze kawy, a bez kofeiny nie umiem myśleć. – Nikolic spojrzał ponownie na Dela. – To twój ochroniarz?

– Partner. Del, poznaj Nika.

Del niepewnie wyciągnął rękę, jakby każdy ruch mógł wytrącić go z równowagi. Nikolic podał swoją, po czym wycofał się do środka, zostawiając otwarte drzwi.

– Co mu jest? – burknął.

– Niespecjalnie kocha wodę – wyjaśnił Faz.

Na dolnym poziomie domu Nikolica mieściło się jego biuro, górny pokład zajmowały pomieszczenia prywatne. Przeszli do

końca wąskim, wyłożonym boazerią korytarzem i znaleźli się w pokoju z trzema biurkami, kilkoma terminalami komputerowymi, drukarkami i innym sprzętem. Całą tylną ścianę zajmował rząd szafek na dokumenty, nad nimi wisiała kolorowa rycina mężczyzny stojącego w wejściu do latarni morskiej na skale sterczącej pośród wzburzonego oceanu, którego ogromna fala miała za chwilę rozbić się o skałę. Napis pod latarnią głosił: *Chcesz stąd spłynąć?*

Przez rozsunięte drzwi wpadał podmuch lekkiej bryzy niosącej ze sobą lekki zapach oleju napędowego, warkot silników dieslowskich i skrzeczenie mew. Pod sufitem wolno obracały się ramiona wentylatora, pod nim stała bosa kobieta z papierosem w ustach i kubkiem kawy w ręce, na którym widniał napis: *Mam cię!*

– Przepraszam, Marta, że tak wcześnie zrywam cię z łóżka – zwrócił się do niej Faz.

Miała na sobie top na ramiączkach i szorty.

– Fajnie wiedzieć, jaki z ciebie wciąż gnojek, Fazzio – rzuciła.

– Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają – odparł pogodnie.

– Gdzie twoje maniery, Faz? – Marta skłoniła przed Delem głowę, jakby to on był głównym gościem. – Rozumiem, że jak zostałeś ważnym łapiduchem w zabójstwach, to masz partnera.

– Del, przedstawiam ci Martę Nikolic. Państwo Nikolic to jedna z najznamienitszych par w Seattle.

– Jak pan może pracować z tym gnojkiem?

Del westchnął.

– Czasami nie jest łatwo – przyznał.

– To czego dwóch ważnych śledczych z wydziału zabójstw życzy sobie od dwojga uczciwych obywateli jak my? – spytała.

Ian Nikolic nalał sobie kawy z dzbanka i wyłuskał papierosa z paczki cameli żony.

– Chodźmy usiąść na pokładzie – powiedział.

Del zrobił taką minę, jakby ktoś kazał mu skakać z samolotu bez spadochronu.

– Na zewnątrz jest za gorąco – mruknął Faz. – Znasz mnie. Ja się nie opalam. Ja gotuję.

Nikolic i Marta zaczęli karierę jako łowcy głów. Klienci płacili im grubą forszę za znajdowanie ludzi, którzy nie chcieli być znalezieni, lub za odzyskiwanie skradzionych pieniędzy. Stali się takimi specjalistami w odnajdywaniu ludzi, że nawet policja korzystała czasem z ich usług i stąd znajomość z Fazem. Byli tak dobrzy w swoim fachu, że w pewnym momencie rozszerzyli działalność o ukrywanie tych, którzy chcieli zniknąć – kobiet uciekających przed przemocą domową, bojących się o swoje bezpieczeństwo informatorów, kapusiów i donosicieli, którzy zamiast poddawać się federalnemu programowi ochrony świadków, woleli spędzać resztę życia gdzieś na Środkowym Zachodzie jako anonimowi Smithowie. W zasadzie nie robili nic nielegalnego, ale zdobywanie potrzebnych informacji często wymagało działań na granicy prawa.

– Chce nas spytać, czy wiemy coś o tej kobiecie, która zginęła na Mount Rainier i potem wypłynęła w koszu na kraby w cieśninie Puget – wyjaśnił żonie Nik.

– Ciekawi nas, czy ktoś jej szukał – dodał Faz.

– Ktoś szukający kobiety, która zginęła. – Nikolic pokiwał głową. – Niezły punkt wyjścia. – Wydmuchał dym kącikami ust w stronę otwartych drzwi. Jego żona zrobiła to samo. – Jeśli ktoś jej pomógł, to się tym nie chwali i wcale mu się nie dziwię.

– Dlaczego? – spytał Del.

– Bo to zła reklama, jeśli klient zostaje odnaleziony, a jeszcze gorsza, jak go ktoś zabija – wyjaśnił Nikolic. – Takie coś nie tylko rujnuje reputację firmy, ale do drzwi walą gliniarze i cała reszta.

– A jeśli to mąż poszukuje zaginionej żony? – Faz zwrócił się do partnera: – Jak on się nazywał?

– Graham – odparł Del. – Graham Strickland.

– Słyszałeś to nazwisko albo o mężu szukającym zaginionej żony? – zapytał Faz Nikolica.

– Nie słyszałem, ale mogę popytać.

– Byłbym wdzięczny.

– Aż tak, żeby mi zapłacić?

– W przeciwieństwie do ciebie mnie nie stać na ferrari. – Faz się uśmiechnął. – Spłacam raty za subaru z dwa tysiące dziesiątego roku.

Nikolic pokręcił głową.

– Żona używała fałszywego nazwiska – dodał Del. – Lynn Cora Hoff.

Gospodarz wygrzebał z rupieci na biurku długopis i zapisał nazwisko na skrawku papieru.

– Jak się naprawdę nazywała? – zapytał.

– Andrea Strickland. – Del przeliterował nazwisko. – Z domu Moreland.

– A jak już będziesz pytał, to spytaj też o Devin Chambers – wtrącił Faz.

– Zaraz, zaraz – rzucił Nikolic. – Powtórz to nazwisko.

– Chambers. Devin Chambers.

– Też fałszywe? – Nikolic znowu wydmuchnął dym w stronę otwartych drzwi.

– Nie, przyjaciółka Strickland, która mogła pomóc jej zniknąć.

– Faz otworzył aktówkę. – Miałem nadzieję, że rzucisz okiem na papiery i podzielisz się z nami fachowymi uwagami. – Próbował polechtać rozbuchane ego Nikolica. Położył teczkę na jednym z biurek, wyjął zdobyte w wydziale komunikacji fotokopie świadectwa urodzenia Lynn Hoff i jej prawa jazdy i podał Nikolicowi.

Ten, nie przestając siorbać kawy i pociągać papierosa, zaczął studiować. Marta zdusiła niedopałek w popielniczce, wypuściła z ust kłęb niebieskiego dymu i brała do ręki te papiery, które mąż odkładał.

Nik uniósł poświadczony duplikat świadectwa urodzenia.

– To wygląda na autentyk – powiedział.

– Tak wygląda – przyznał Faz.

– Czyli pewnie ktoś, kto żyje. Tak jest lepiej, niż podszywać się pod zmarłego, bo teraz sprawdzają rejestry zgonów. – Nikolic nie przestawał studiować świadectwa urodzenia. – Wklęśły druk, co

pasuje do urzędowego dokumentu. Pieczęć też wygląda na prawdziwą. Na podstawie fotokopii nie mogę nic powiedzieć o gatunku papieru. – Odstawił kubek i podszedł do jednego z biurka, do którego blatu była przyczepiona lampa na ruchomym ramieniu. Włączył ją i podłożył fotokopię pod lupę.

– Wygląda, że użyto właściwego papieru. Gdyby ktoś próbował coś wymazać lub zmienić, na fotokopiach byłoby to widoczne.

– Chcesz powiedzieć, że to prawdziwe świadectwo urodzenia, tak?

– Chcę powiedzieć, że na takie wygląda.

– Nie znaleźliśmy nigdzie adnotacji, że Lynn Cora Hoff nie żyje.

– Może żyje, może nie, tylko nikt nigdy tego nie zgłosił. – Nikolic potwierdził swoimi słowami podejrzenia Faza.

– Czyli mamy do czynienia ze skradzionym świadectwem urodzenia? – upewnił się Del.

– Skradzionym, kupionym, otrzymanym w zamian za jakąś przysługę.

– Jakiego rodzaju przysługę? – dążył dalej Del.

– Na przykład za przywilej zachowania palca – odparł Nikolic.

– Mafia robi to na okrągło. Biorą na cel kogoś, kto jest im winien kasę, i przejmują jego dokumenty w zamian za to, że nie obetną mu palca. A potem je sprzedają i w ten sposób odzyskują dług.

– Ale dlaczego świadectwo urodzenia akurat z Kalifornii? – zdziwił się Del.

– Większy stan, więcej ludzi. Jeśli osoba posługująca się tymi dokumentami nie popełniła żadnego przestępstwa, prawdziwa Lynn Hoff może w ogóle nie wiedzieć, że się ktoś pod nią podszywa. – Nikolic odłożył papiery i pstryknął przez drzwi palący się niedopałek. – Mogę popytać, ale jeśli się czegoś dowiem, to nie wiecie tego ode mnie.

– Nawet nie wiemy, że istniejesz – rzucił Faz.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo bym chciał, żeby tak było – mruknął Nikolic.

- Zażęskniłbyś za mną.
- Jak za ciężkim atakiem grypy. Ale mimo to popytam. Wokół tej sprawy zrobiło się trochę szumu i pewnie ktoś nie wytrzyma i zacznie się przechwalać.

Rozdział 19

Tracy podjechała pod budynek sądu miejskiego w centrum Los Angeles.

– To jakie masz plany na dziś? – spytał Dan tonem świadczącym niezbitcie o tym, że nie podejrzewa jej o spędzanie dnia w muzeum.

– Mam spotkanie.

– Powiniennem wiedzieć, z kim to spotkanie?

– Z ciotką kobiety z kosza na kraby.

– Chcesz powiedzieć, że w sprawie, która już nie jest twoja?

– Coś koło tego.

– Jak to uzasadnisz?

– Policyjną skrupulatnością – odparła i Dan spojrzał na nią tak, jakby nie bardzo jej wierzył. – Nolasco powiedział, że mamy dokończyć to, czym się zajmujemy. Ja zajmowałam się przygotowaniem do rozmowy z ciotką ofiary. Porozmawiam z nią, spiszę protokół i prześlę do Tacomy.

– Jak myślisz, ile czasu to potrwa, zanim Nolasco się kapnie?

– Miejmy nadzieję, że nie tak mało, żebym musiała się tłumaczyć. Ale poważnie mówiąc, zawsze mogę powiedzieć, że byłam w Los Angeles prywatnie i z Patricią Orr rozmawiałam nieoficjalnie, nie jako funkcjonariuszka policji z Seattle.

– Miejmy nadzieję, że tego też nie będziesz musiała tłumaczyć. Uśmiechnęła się.

– Powinnam być z powrotem około czwartej – powiedziała.

– Życz mi powodzenia. – Dan ją pocałował.

– To ja będę jeździła po Los Angeles, więc to mnie trzeba życzyć szczęścia.

Wjechała na I-10 w kierunku wschodnim i zatonała w nieprzerwanym strumieniu pojazdów. Jeszcze dziesięć lat wcześniej byłaby przerażona taką intensywnością ruchu, ale zmaganie się z gęstym ruchem ulicznym w Seattle – najszybciej rosnącym mieście w kraju – stało się już codziennością. Podobnie jak codziennością była susza nękająca całe zachodnie wybrzeże, zwłaszcza mocno odczuwalna na południu Kalifornii, w rejonie, który znów dotknęła fala upałów. Wzgórza zmieniły kolor na rudobrazowy, niebo zasnuła rdzawa mgiełka. Tracy ten widok kojarzył się ze zdjęciami z Marsa przesyłanymi na Ziemię z łazika. Wyglądało to tak, jakby wystarczyła jedna iskra, aby wszystko stanęło w ogniu.

Niecałą godzinę później skręciła na północ w I-215 w kierunku na San Bernardino, jednego z większych miast na południu Kalifornii, które w roku 2012 przeszło do niechlubnej historii jako największe miasto w Stanach Zjednoczonych, które ogłosiło bankructwo, i ponownie w roku 2015, gdy dwóch radykalnych islamistów pozbawiło życia czternaścioro niewinnych ludzi.

Zjechała na East Orange Show Road i skręciła w prawo w South Waterman Avenue. GPS doprowadził ją do Trzeciej Ulicy i Tracy przyhamowała, kiedy głos ją powiadomił, że po prawej znajduje się cel jej podróży – otynkowany na beżowo budynek. Wjechała na parking i stanęła pod ogrodzeniem z żelaznych prętów, za którym widać było basen w kształcie nerki. Rosnące nad nim dwie palmy nie zapewniały wiele cienia.

Włożyła okulary przeciwsłoneczne i wysiadła z samochodu. Gdy wchodziła po zewnętrznych schodach na galerijkę pierwszego piętra i szła nią wzdłuż budynku, towarzyszyła jej dobiegająca z otwartego okna meksykańska muzyka. Dotarła do przedostatnich drzwi i zapukała. Wewnątrz umilkł telewizor, po czym usłyszała charakterystyczny brzęk zdejmowanego łańcucha na drzwiach.

Otworzyła kobieta w średnim wieku.

– Pani Orr? – upewniła się Tracy.

– Pewnie jesteś tą detektyw z Seattle – rzuciła kobieta. – Mów mi Penny.

Tracy się przedstawiła. Orr wyglądała na pięćdziesięciolatkę w dobrej formie fizycznej, była szczupła i miała umięśnione ręce, ale Tracy wyczuwała w niej jakąś ociężałość, typową dla ludzi, którzy wiedli ciężkie życie. Miała urodę Irlandki – bladą piegowatą twarz okoloną burzą ciemnych włosów z kosmykami siwizny.

– Proszę, wchodź. Szybko dojechałaś – powiedziała. – Chyba ruch na drodze nie był najgorszy.

– Nie najgorszy – przyznała Tracy. Zadzwoiła do Orr poprzedniego dnia i zapowiedziała swą wizytę.

Weszła do skromnego, ale lśniącego czystością mieszkania z meblami obitymi kremową skórą, kilkoma figurkami z brązu na półkach i dużymi reprodukcjami na ścianach. Na jednej z nich trzech Elvisów Presleyów w kowbojskich strojach celowało z sześciostrzałowych coltów prosto w patrzącego, na innej bardzo kolorowa i wiecznie młoda Marilyn Monroe uwodzicielsko puszczała oko spoza liści paproci w doniczce.

– Andy Warhol – powiedziała Tracy. – Ten Elvis to jeden z moich ulubionych obrazów.

– Jesteś jego fanką? – spytała Patricia Orr.

– Bardziej strzelania – odparła Tracy. – Razem z siostrą uczestniczyłyśmy w turniejach strzeleckich na całym Północno-Zachodnim Wybrzeżu.

– I wciąż to robicie?

– Ja jeszcze dość często strzelam. Siostra od wielu lat nie żyje.

– Współczuję. Proszę, siadaj. – Orr wskazała kanapę w kształcie litery L ustawioną przed dużym, płaskim telewizorem. Przez znajdujące się po prawej drzwi balkonowe roztaczał się widok na rozpalone słońcem wzgórze. Sięgnęła po stojący na stoliku dzbanek. – Napijesz się mrożonej herbaty?

– Chętnie, dziękuję.

Chwilę jeszcze pogawędziły o niczym, po czym przeszły do rzeczy.

– Bardzo mi przykro z powodu twojej siostrzenicy – powiedziała Tracy.

– Kompletnie mnie zaskoczyłaś swoim telefonem. Już opłakałam śmierć Andrei i nagle się dowiaduję, że przeżyła... – Orr pokręciła bezradnie głową – ale po chwili znów słyszę, że nie żyje. Trudno uwierzyć, że ktoś mógł być tak okrutny. Mam tylko nadzieję, że nie cierpiała.

– Nic na to nie wskazuje – zapewniła ją Tracy. Tak naprawdę tego nie wiedziała, ale czuła, że Orr chciałaby to usłyszeć. Wyniki sekcji zwłok nie wskazują na tortury lub inny rodzaj fizycznego cierpienia, a kula w tył głowy musiała spowodować natychmiastową śmierć.

– Wiesz dokładnie, co się stało? – spytała Orr.

– Właśnie to ustalamy. Nie ulega wątpliwości, że Andrea nie zginęła podczas wspinaczki. W jakiś sposób udało jej się zejść z góry, ale na razie nie wiemy, co się z nią działo potem.

– Dlaczego ona to zrobiła?

– Wygląda na to, że mieli problemy małżeńskie. Mąż doprowadził ich do zapaści finansowej, a poza tym wszystko wskazuje na jego niewierność.

– Ale jej nie maltretował?

– Nie mamy dowodów na fizyczną przemoc – zapewniła Tracy, choć Brenda powiedziała, że Andrea coś o tym wspominała.

– Detektyw, z którym rozmawiałam wcześniej, twierdził, że podejrzewają męża. Wciąż tak jest?

– Kiedy tak powiedział? – spytała Tracy.

– Zadzwoił... To już było jakiś czas temu, może z miesiąc. Jeszcze kiedy wszyscy myśleli, że Andrea zginęła na Mount Rainier.

– Potem już z nim nie rozmawiałaś?

– Nie.

Brak świeżych kontaktów Fieldsa z Orr dowodził, że nie zajmuje się sprawą.

– Rozważamy kilka możliwych scenariuszy – powiedziała. – Liczyłam, że dowiem się od ciebie więcej o przeszłości twojej siostrzenicy. Rozumiem, że trafiła pod twoją opiekę w wieku trzynastu lat.

Orr odstawiła szklankę z mrożoną herbatą.

– Krótco przed jej czternastymi urodzinami.

– Siostra i szwagier zginęli w wypadku samochodowym.

– Tak. – Orr kiwnęła głową. – W wigilię Bożego Narodzenia. To było straszne.

– Andrea była w tym samochodzie, tak?

Znów pokiwała głową.

– To się zdarzyło późnym wieczorem przy niezbyt dużym ruchu. Andrea siedziała na tylnym siedzeniu i wyszła z tego prawie bez szwanku, natomiast moja siostra i jej mąż zostali zmiażdżeni i zginęli na miejscu. Policjant z drogówki powiedział, że to był najstraszniejszy wypadek, jaki widział w czasie swojej dwudziestoletniej służby.

– Przykro mi. Jak długo Andrea była uwięziona w tym samochodzie?

– Prawie dwie godziny – odparła cicho Orr. – Nie potrafię sobie wyobrazić, co musiała przeżywać.

– W jakim stanie emocjonalnym do ciebie trafiła?

Chwilę się zastanowiła.

– Była wyciszona. Wycofana. Często męczyły ją nocne koszmary.

– I mieszkaliście tu, w San Bernardino?

– W San Bernardino, ale nie w tym mieszkaniu. Do rozwodu mieszkałam w domu u podnóża gór. – Wzięła szklankę i upiła łyk, nie patrząc Tracy w oczy.

– Andreę poddano psychoterapii?

Orr odchyliła się na oparcie kanapy, nie odstawiając szklanki. Wydawała się teraz gorzej nastawiona do Tracy i jakby nastroszona.

– Tak.

– U miejscowego psychoterapeuty?

- Tak, niedaleko stąd.
- Jak on się nazywał?
- Townsend. Alan Townsend.
- Myślisz, że jeszcze praktykuje?
- O ile wiem, to tak. Ale pewna nie jestem.
- Psychoterapia pomogła Andrei?

Orr wlepiała wzrok w podłogę i przymknęła oczy, po jej policzku wolno spłynęła łza. Tracy chwilę odczekała.

– Przepraszam, Penny, jeśli sprawiam ci przykrość tymi pytaniami – powiedziała.

Jej rozmówczyni pokiwała głową, ale łzy nie przestawały cieknąć. A potem jej klatką piersiową wstrząsnął gwałtowny dreszcz.

– Ona tak strasznie się wycierpiała – wymamrotała. – Myślałam, że te jej nocne koszmary biorą się z wypadku. Nic nie wiedziałam.

Tracy poskładała w całość rozwód i niechęć do mówienia o terapii Andrei.

– Chodzi ci o męża? – spytała. Niestety, aż za dobrze znała takie historie.

– Molestował Andreę. Wyszło to w trakcie jej psychoterapii. On wszystkiemu zaprzeczył i oskarżył ją o zmyślanie. Powiedział, że dziewczyna żyje w świecie fantazji.

– A co na to terapeuta?

– Jego zdaniem Andrea mówiła prawdę. Jej oskarżenie było na tyle poważne, że powiadomił Towarzystwo Opieki nad Dziećmi i zabrano Andreę z naszego domu. Ja też się wyprowadziłam, bo tak było szybciej, niż czekać na uprawomocnienie się rozwodu. Znalazłam sobie nieduży domek w mieście. Andreę wysłano do innej rodziny, ale ostatecznie wróciła i zamieszkała ze mną.

– Doszłaś prawdy? – spytała Tracy.

– Ona mówiła prawdę.

– Współczuję. Wtedy zostałam prawną opiekunką Andrei?

– Tak. Siostra i szwagier zapisali to w swoim testamencie, rzecz trafiła do sądu rodzinnego i sędzia wyznaczył mnie.

– Czyli możesz wystąpić o udostępnienie akt z psychoterapii Andrei?

– Mogę. Ale do czego ci są potrzebne?

– Badamy możliwe przyczyny, które mogły skłonić Andreeę do ucieczki z góry. Staramy się zrozumieć, co nią kierowało. Zapisy psychoterapeutyczne mogłyby w tym pomóc. W jakim stanie umysłu była w chwili, gdy ponownie z tobą zamieszkała?

– Gorszym. Zrobiła się jeszcze bardziej zamknięta w sobie i bardzo nerwowa. Rozdrapywała sobie skórę i nałogowo obgryzała paznokcie, czasami aż do krwi. I wciąż czytała. Wszystko, co jej wpadło w ręce.

– Powieści? Jakiś konkretny rodzaj?

– Nie, wszystko jak leci. Westerny, romanse, popularnonaukowe, fantastyczne, kryminały, thrillery. Wszystko. Co miesiąc woziłam całe pudła książek do antykwariatu i wymieniałam na inne.

– Co mówił psychoterapeuta na to, że Andrea tak dużo czyta?

– Stwierdził, że porzuciła prawdziwy świat, bo okazał się dla niej zbyt bolesny. Uważał, że w książkach znajduje ukojenie.

– Polepszyło się jej?

– W wyniku terapii? Trochę, ale jak tylko skończyła osiemnaście lat, wyjechała z San Bernardino. Któregoś dnia wróciłam do domu i jej nie było. Zostawiła tylko liścik, w którym mi podziękowała i napisała, że potrzebuje zmiany otoczenia.

– Nie napisała, że odchodzi na stałe?

Orr pokręciła głową.

– Ale ja ją rozumiałam – dodała cicho. – Musiała sama urządzić sobie życie. Musiała stąd uciec, od wszystkich złych wspomnień. Rozumiałam to.

– Napisała, dokąd się wybiera?

– Często mówiła, że chciałyby mieszkać w Portlandzie lub w Seattle, bo tam wciąż pada i mogłyby spokojnie czytać. Powiedziała, że się do mnie odezwie, jak się urządzi.

– Rozmawiałaś z nią po jej wyjeździe?

– Tak. Dotrzymała słowa i zawiadomiła mnie, że mieszka w Portlandzie. Zapewniła, że u niej wszystko w porządku. Potem zadzwoniła jeszcze kilka razy, ale niezbyt często. – Orr przerwała. – Naprawdę starałam się robić to, co najlepsze dla niej i mojej siostry.

– Nie wątpię.

– Kiedy się dowiedziałam, że mój mąż ją molestował, poczułam się tak, jakbym zawiodła je obie. Myślę, że Andrea miała zbyt głębokie emocjonalne blizny i bycie ze mną wciąż jej o tych bliznach przypominało. Byłam częścią jej złych wspomnień. Chyba musiała od tego uciec.

– Jestem pewna, że postąpiłaś najlepiej, jak to było możliwe – powiedziała Tracy.

– Starałam się.

– Czy po skończeniu osiemnastu lat Andrea automatycznie przejmowała kontrolę nad swoim funduszem powierniczym?

– Nie. Po skończeniu dwudziestu jeden lat przejmowała kontrolę nad odsetkami. Siostra i szwagier chcieli, żeby fundusz pozwolił jej sfinansować studia w college’u. Kiedy zginęli, reszta ich majątku przeszła automatycznie do funduszu, ale korzystanie z niego było obwarowane różnymi warunkami. Mógł być wykorzystywany tylko dla jej dobra.

– Ty byłaś powiernicą?

– Nie, był wyznaczony profesjonalny powiernik. Cała sprawa była dość skomplikowana. Dopóki mieszkała ze mną, pilnowałam, żeby dopisywał odsetki do kapitału. Sama nie tknęłam ani centa. Chciałam, żeby wszystko przypadło jej, żeby z tej tragedii wynikło coś dobrego. Wiesz może, co się z tym stało?

– To jedna z tych rzeczy, które próbujemy ustalić. Wygląda na to, że Andrea próbowała ukryć te pieniądze.

– Przed kim?

– Przypuszczamy, że przed mężem. Sądzymy, że właśnie to było jednym z powodów napięć w ich małżeństwie. Najwyraźniej

mąż chciał wykorzystać fundusz na pokrycie długów biznesowych, a Andrea się temu sprzeciwiała.

– Bo warunki funduszu na to nie pozwalały – powiedziała Orr.

– I chyba to było powodem napięć.

– Czyli sądzisz, że mógł ją zabić po to, żeby dostać się do tych pieniędzy?

– Tego jeszcze nie wiemy. – Tracy zmieniła temat. – Penny, czy kiedykolwiek słyszałaś nazwisko Lynn Hoff?

Orr zmarszczyła czoło.

– Nie sądzę. A kto to jest?

– Wygląda na to, że Andrea ukrywała się pod tym nazwiskiem. Czasami ludzie używają do tego jakichś znajomych nazwisk, na przykład zmarłej koleżanki z dzieciństwa lub kogoś z rodziny.

– Nie. – Orr pokręciła głową. – Nigdy nie słyszałam tego nazwiska. Może to jakaś postać z książki?

– Może. Czy Andrea z kimś się tu zaprzyjaźniła? Z którąś z koleżanek ze szkoły?

Orr znów pokręciła głową i wzruszyła ramionami.

– Właściwie nie. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Nie lubiła szkoły. Nie była tępą, nie zrozum mnie źle. Odziedziczyła inteligencję po ojcu i była bardzo ciekawa świata. Chyba dlatego tak lubiła czytać. Zapamiętywała wszystko, co przeczytała. Na wywiadówkach nauczyciele powtarzali to samo. Andrea była wybitnie inteligentna, z niektórych przedmiotów jej wiedza nie mieściła się w skali ocen, ale nie garnęła się do nauki. Cóż miałam robić? Karać ją? – Otarła łzy i zrobiła taką minę, jakby to było nie do pomyślenia. – Życie dość ją już pokarało.

Tracy chwilę odczekała, aż Orr dojdzie do siebie.

– Rozumiem, że nie miała chłopaków?

– Nie.

– Ani wrogów.

– W każdym razie o żadnych nie wspominała. Generalnie była zamknięta w sobie.

– Nie wiedziałaś, że wyszła za mąż?

Orr skrzywiła się.

– Nie.

– Poznałaś jej męża?

– Nie. Ale z tego, co o nim mówisz, nie wygląda na dobrego człowieka.

– Czy Andrea wspomniała kiedyś o kimś takim jak Devin Chambers?

– Devin Chambers? Nie. A co to za jeden?

– Akurat jedna. Wygląda na to, że była przyjaciółką Andrei.

Orr uśmiechnęła się, ale w jej uśmiechu było więcej smutku niż radości.

– To dobrze, że miała kogoś bliskiego. Życie nie szczędziło jej smutku i bólu.

Tracy często myślała podobnie o Sarze. O tym, że w ostatnich dniach swego życia była ofiarą obłąkanego psychopaty, i na myśl o tym aż ją mdliło z żalu i wściekłości. I teraz nagle zdała sobie sprawę z czegoś, co nigdy nie miało miejsca przy żadnym z wcześniejszych śledstw. Uświadomiła sobie, że do sprawy Andrei Strickland zaczyna mieć osobisty stosunek nie z powodu podobieństw do losu Sary, ale do losu jej samej. Ona też wiodła beztroskie życie, które zostało zniszczone przez tragedię. Ona też była córką lekarza, mieszkała w pięknym domu z matką i ukochaną siostrą. I też tak samo nagle straciła rodzinę: siostrę porwano, ojciec krótko potem się zastrzelił, mąż ją opuścił i nagle całe jej życie nieodwracalnie się zmieniło. Potem całymi latami zmagala się z depresją, ćwicząc i dużo strzelając, ale zdarzało jej się siadać w pustym mieszkaniu i popadać w zadumę nad tym, dlaczego życie tak brutalnie się z nią obeszło.

– Czy twój były mąż wiedział o funduszu Andrei? – spytała.

– Tak, ale jego już nie ma. Zmarł trzy lata temu na raka okrężnicy.

– A co z powiernikiem Andrei? Co to za człowiek?

– Kryształowy. Gdyby chciał oszukać Andreę, miał do tego mnóstwo okazji.

– Czy przychodzi ci do głowy ktoś jeszcze, kto wiedział o tym funduszu?

Orr chwilę się zastanawiała.

– Jeśli Andrea komuś nie powiedziała, to nie.

To skierowało myśli Tracy ku Brendzie Berg, Devin Chambers i psychoterapeucie.

– Chciałabym zajrzeć do akt z terapii Andrei – powiedziała. – Będzie mi do tego potrzebne twoje pisemne upoważnienie. Podpiszesz je?

– Tak, ale z jednym zastrzeżeniem.

– Jasne.

– Nie chcę, żeby cokolwiek z tego przeciekło do publicznej wiadomości. Andrea dość się wycierpiała za życia. Nie ma powodu, żeby miała jeszcze cierpieć po śmierci.

Tracy przyznała jej rację.

Orr zadzwoniła do gabinetu doktora Alana Townsenda, połączyła się z jego pocztą głosową i zostawiła wiadomość. Zanim Tracy opuściła jej mieszkanie, oddzwonił i potwierdził, że może przyjąć Tracy w swoim gabinecie. Ustalili godzinę i Orr podpisała upoważnienie do wglądu w zapisy z sesji psychoterapeutycznych Andrei.

Tracy podziękowała jej za jej czas i wręczyła swoją wizytówkę.

– Wiesz może, do kogo mogę się zwrócić w sprawie ciała? – spytała Orr, odprowadzając ją do drzwi. – Chciałabym pochować Andreę obok jej rodziców.

Tracy zapisała na odwrocie swojej wizytówki numer biura koronera okręgu King.

– Myślę, że są już gotowi do wydania zwłok – powiedziała.

* * *

Tracy otworzyła drzwi samochodu i z wnętrza buchnęła na nią fala gorąca. Chwilę odczekała, potem przechyliła się do środka i uruchomiła silnik, ale nie wsiadła od razu. Postanowiła

poczekać, aż klimatyzacja nieco ochłodzi wnętrze. Czekając, aż piekarnik stanie się z powrotem samochodem, zaczęła myśleć o Andrei Strickland i jej wuju. Jakim trzeba być draniem, żeby wziętą pod dach dziewczynkę, której rodzice zginęli w tak potwornych okolicznościach, wykorzystywać do zaspokajania zboczonych fantazji? To kolejny dowód na to, że psychopaci tego świata nie zawsze pasują do stereotypu potwora, który w dzieciństwie torturował koty i zawsze trzymał się na uboczu.

Gdy w samochodzie nieco się ochłodziło, usiadła za kierownicą, wyjechała z parkingu i skręciła w North Waterman Avenue – czteropasmową arterię biegnącą tuż obok Centrum Medycznego Świętej Bernardyny. Jak w większości miast południa Kalifornii, droga, przy której rosły palmy, ciągnęła się pośród bezładnej mieszaniny wolno stojących domów, apartamentowców, centrów handlowych i zabudowań przemysłowych, jakby gospodarka przestrzenna była dla miejscowych urbanistów nic nieznaczącym frazesem.

Zaparkowała na ulicy i podeszła do piętrowego budynku w kolorze piasku. Gabinet doktora Alana Townsenda mieścił się na pierwszym piętrze, wchodziło się po zewnętrznych schodach. Gabinet wyglądał jak zwykłe trzypokojowe mieszkanie, które adaptowano do potrzeb lekarskich i w głównym pokoju urządzono poczekalnię. Umeblowanie było stare i podniszczone, na podłodze leżał włochaty dywan, meble z laminatu miały tekstylne obicia, na ścianach wisiały jakieś ryciny. Za pustym kontuarem recepcyjnym widać było dwoje drzwi: ramka na prawych była pusta, w ramce na lewych tkwiła tabliczka: *A. Townsend*.

Tracy pacnęła dłonią w dzwonek na kontuarze, a ten wydał z siebie świrdrujący dźwięk. Chwilę później lewe drzwi się otworzyły i stanął w nich mężczyzna w średnim wieku z siwymi włosami, ubrany w luźne szorty, T-shirt i klapki na nogach. Karnację miał bardziej pomarańczową niż opaloną i był łudząco podobny do aktora George'a Hamiltona. Czyli: witajcie w Los Angeles.

– Doktor Townsend? – upewniła się Tracy.

Wyciągnął rękę i obdarzył ją uśmiechem tak promiennym, że Tracy niemal poczuła chęć zakrycia oczu ciemnymi okularami.

– Pani jest zapewne tą detektyw z Seattle. Zapraszam – powiedział i zawrócił do gabinetu. – Zwykle w piątki nie przyjmuję, więc nie ma dziś recepcjonistki. Proszę mi wybaczyć, jeśli sprawiam wrażenie ciut niezorganizowanego.

– Przepraszam, że zawracam panu głowę w dzień wolny od pracy.

– Nic nie szkodzi. Rozumiem okoliczności. A poza tym i tak już od rana miałem zajęcie. W piątki surfuję i trochę medytuję. Pomyślałem, że popracuję w klimatyzowanym wnętrzu i przeczekam najgorszy upał. Wieczorami gram w tenisa.

– Surfuje pan tutaj?

– Do oceanu mam stąd półtorej godziny. Dlatego robię to tylko raz w tygodniu i wyruszam bardzo wcześnie. To wspaniała zabawa.

– Czyli spędza pan piękny dzień.

– Każdy dzień życia jest piękny! – wykrzyknął radośnie Townsend.

Aktorzy z *Ulicy Sezamkowej* byli przy nim ponurakami.

Tylną ścianę gabinetu tworzyło okno wychodzące na wschód ku wzgórzom San Bernardino, po lewej była ściana próżności z oprawionymi w ramki dyplomami i cytatami, które wyglądały spod zieleni doniczkowych paproci, kaktusów, palm i lilii. Pod dyplomami stało skromne biurko ze skórzanym fotelem, na którym Townsend teraz usiadł, zostawiając Tracy miejsce na dwuosobowej kanapie. Na ścianie obok wisiał oprawiony w ramki cytat.

KTO PATRZY NA ZEWNĄTRZ, ŚNI;
KTO PATRZY DO ŚRODKA, BUDZI SIĘ.

Karl Jung

W gabinecie pachniało kadzidłem.

Tracy podała Townsendowi podpisane przez Patricię Orr upoważnienie do wglądu w dokumentację Andrei. Było niezbędne, bo podczas terapii Andrea była osobą niepełnoletnią, a Orr jej prawną opiekunką.

– Liczę też na pański komentarz – powiedziała Tracy.

– Zacznę od tego, że nie zaskoczyła mnie wiadomość, że Andrea zginęła w wypadku na Mount Rainier.

Najwyraźniej nie wiedział, że Andrea nie poniosła śmierci na górze, i Tracy postanowiła wy badać jego rozumowanie.

– Nie? A dlaczego?

– Bo nie byłem przekonany, że był to „wypadek”.

– Uważał pan, że zginęła z ręki męża?

– Nie. Byłem przekonany, że odebrała sobie życie.

– Na czym pan opierał to przekonanie?

– Na trzech latach psychoterapii. To by było wielką manifestacją, jakiej mogłem się po niej spodziewać. Ostentacyjne pożegnanie z życiem po to, by świat mógł się dowiedzieć, że na nim żyła.

– Ostentacyjne? Pani Orr powiedziała, że Andrea była introwertyczką i kryła się przed światem.

– Bo tego wymagał jej mechanizm obronny. W ten sposób unikała problemów, chowała je do szafy, mówiąc obrazowo. Ale w rzeczywistości wcale taka nie była.

Tracy doskonale to знаła po sobie. Miała taką obsesję znalezienia zabójcy Sary, że gdy w końcu musiała się poddać, to aby móc w miarę normalnie funkcjonować, wszystkie papiery dotyczące śmierci siostry schowała – dosłownie – do szafy w sypialni.

– Jak by ją pan opisał? – spytała.

– Przed wypadkiem, w którym zginęli jej rodzice, i przed molestowaniem przez wujka wszyscy nauczyciele i lekarze opisywali ją jako inteligentną, powszechnie lubianą i psotną dziewczynkę.

– Psotną?

– Lubiała robić psoty rówieśnikom, w szkole i nie tylko.

– Jakiego rodzaju psoty?

– Drobiazgi w rodzaju schowania komuś drugiego śniadania, podłożenia czegoś w łóżku przed popołudniową drzemką czy zrobienia dziurki w kartonie mleka, przez co mleko lało się po brodzie przy próbie wypicia.

Sara też była psotnicą. Uwielbiała się chować i nagle wyskakiwać z ukrycia, strasząc Tracy i jej niespodziewające się niczego koleżanki.

– Niewinne psikusy – mruknęła Tracy.

– Na ogół.

– Czy to znaczy, że zdarzały się też nie całkiem niewinne?

Townsend pokiwał głową.

– Niekiedy.

– Na przykład jakie?

– Przecięła oponę w rowerze kolegi, który jej zdaniem źle się zachował wobec jej koleżanki.

Tracy chwilę się zastanawiała.

– Czy jej psoty mogły się stopniowo stawać coraz bardziej mściwe? – spytała w końcu.

– Chyba tak właśnie było – potwierdził Townsend.

– Jaką pan postawił diagnozę?

– No cóż, wyjechała stąd w wieku osiemnastu lat, więc nie mam pewności.

– Czy to znaczy, że pan nie wie?

– Moim zdaniem Andrea mogła cierpieć na zaburzenia dysocjacyjne, wynikające z przeżytej traumy i molestowania seksualnego.

– Co to są zaburzenia dysocjacyjne?

– Mogą oznaczać wiele różnych rzeczy. W przypadku Andrei przejawiały się nieuświadomioną i niezdrową ucieczką od rzeczywistości.

– Stąd jej obsesyjne czytanie?

– Właśnie. To mechanizm pozwalający odciąć się od traumatycznych wspomnień. U pacjenta występuje albo utrata

pamięci... nie pamięta, co zrobił lub kim są pewni ludzie w jego życiu... albo zmiana tożsamości.

– Podwójna osobowość?

– W pewnym sensie. Pacjent zmienia tożsamość. Ktoś cierpiący na dysocjacyjne zaburzenie osobowości będzie utrzymywał, że czuje w głowie obecność obcych, którzy w niej mieszkają lub rozmawiają, i że nie jest w stanie kontrolować tego, co robią czy mówią.

– Powiedział pan, że Andrea „mogła cierpieć” na zaburzenia dysocjacyjne. Czy to znaczy, że nie jest pan tego pewny?

– Pewności nie mam. Typowy wiek, gdy takie zaburzenia się pojawiają, to dwadzieścia lat. A wtedy nie miałem już z nią kontaktu.

– Gdyby się pojawiły, to jak by się one objawiały?

– Na różne sposoby. Po pierwsze, taka osoba może być podatna na nagłe zmiany nastroju i zachowania impulsywne.

– Czy przykładem zachowania impulsywnego może być wyjście za mąż po zaledwie paru tygodniach znajomości?

– To możliwe.

– Czy tacy ludzie są zdolni do działań przestępczych?

– Często zdarzają się próby samobójcze.

– Miałam na myśli działania przestępcze wobec innych.

– Oczywiście.

– I co może je wyzwalać?

– Przyczyny znów mogą być różne. Jakaś nowa trauma, na przykład napastowanie, poczucie porzucenia, zdrada lub po prostu ogólne zniechęcenie.

Tracy nie musiała nawet prosić o uszczegółowienie tych kategorii. Już na pierwszy rzut oka Andrea Strickland pasowała jak ulał.

– Czy wiedział pan, że Andrea miała fundusz powierniczy? – spytała Tracy.

– Coś mi o tym mówiła... – Townsend przerwał i spojrzał na nią niepewnie. – A może to jej ciotka wspomniała o tym przy jakiejś okazji... Tak, to chyba ciotka powiedziała, że jest

wdzięczna rodzicom Andrei, że siostrzenica będzie do końca życia zabezpieczona finansowo. Pamiętam, jak pomyślałem wtedy, że to niekoniecznie musi być dla niej takie dobre.

– Czemu pan tak pomyślał?

– Z uwagi na niepewny stan umysłu Andrei. Posiadanie funduszu mogło ją zniechęcić do pracy i skłonić do niezdrowego trybu życia.

– Ma pan na myśli narkotyki? – Pamiętała o Genesis, drogerii sprzedającej trawkę.

– Na przykład.

– A jednocześnie fundusz mógł ją uczynić podatną na wpływy ludzi pragnących ją wykorzystać, prawda?

– Owszem – potwierdził lekarz. – Oczywiście pod warunkiem, że o nim wiedzieli.

– Oczywiście.

Rozdział 20

W piątek Devin namówiła mnie, żeby wyskoczyć dokądś po pracy. Popęłniłam błąd, przyznając się, że Graham wyjechał na cały weekend na męską balangę w Las Vegas, bo przez to nie mogłam się nim posłużyć jako wymówką. Bezrobotny Graham całe dni i większość wieczorów przesiadywał w lofcie. Powrót do dawnej pracy był dla mnie jak ułaskawienie od wyroku spędzania czasu w jego towarzystwie. Wychodziłam do biura wcześniej rano i wracałam późnym wieczorem. Często zabierałam ze sobą aktualnie czytaną książkę i laptop i siadałam w jakiejś kawiarni z bezpłatnym dostępem do sieci. Wracając wystarczająco późno, zastawałam Grahama już śpiącego, unikałam więc pustej gadaniny i wślizgiwałam się do łóżka, a on przesypiał noc na kanapie.

I w myślach odliczałam dni do wycieczki na Mount Rainier.

Z mężem balangującym w Las Vegas miałam loft przez cały weekend wyłącznie dla siebie. Dlatego marzyłam o powrocie do domu i poświęceniu czasu na obmyślanie wszystkiego bez potrzeby krycia się przed Grahamem, uznałam jednak, że jestem Devin winna spędzenie z nią paru godzin. Zwalałam na nią mnóstwo prywatnych kłopotów, a ona zawsze znajdowała czas, by mnie wysłuchać. Nie mówiąc o tym, że była moją jedyną prawdziwą przyjaciółką w całym Portlandzie i że wkrótce już mnie tu nie będzie.

Wybrała bar sportowy w pobliżu naszej pracy, w którym rozwieszono wiele ekranów telewizyjnych, a na ścianach i suficie rozmieszczono pamiątki po sportowcach. Bar musiał być popularny, bo szybko się zapełnia. Dostrzegłyśmy, jak jakaś para

wstaje od stolika z dwoma krzesłami o wysokich oparciach, w bezpiecznej odległości od najbliższego telewizora, i szybko go zajęłyśmy. Kelnerka w czarno-białej koszuli sędziego piłkarskiego i opinających pośladki czarnych szortach nie dała na siebie czekać; podeszła od razu, by przyjąć zamówienie na drinki. Położyła na stoliku serwetki koktajlowe i oświadczyła, że właśnie jest happy hour i przekąski kosztują tylko po parę dolarów. Devin zamówiła hummus, pitę i oliwki, ale mnie na samą myśl o jedzeniu zrobiło się niedobrze.

– I dwa Lemon Dropsy – powiedziała do kelnerki, podnosząc głos, by przekrzyczeć hałas telewizorów.

– Ja dziękuję! – wykrzyknęłam, kręcąc głową. – Dla mnie tylko woda.

– Daj spokój, przecież musimy to opić – obruszyła się Devin, oddając kartę drinków kelnerce.

Ta bez słowa odeszła.

– A co my właściwie opijamy? – spytałam.

– Twój powrót do pracy.

– Wróciłam, bo musieliśmy ogłosić bankructwo.

– Wiem, ale i tak się cieszę, że znów jesteś z nami. Bez ciebie nie było już tak samo. Nie wiem, jak wytrzymałam tę nudę.

– Devin, posłuchaj. Dziękuję za to, że jesteś. Że mam się komu wyżalić.

– Nie ma o czym mówić. – Machnęła lekceważąco ręką.

– Jest, bo to dla mnie bardzo ważne. Przepraszam, że nie odzywałam się po odejściu z pracy. Jesteś moją jedyną prawdziwą przyjaciółką.

– To nieprawda.

– Prawda. Jesteś jedyną osobą, na którą zawsze mogłam liczyć.

– Mnie też bardzo cię brakowało.

Uśmiechnęłam się.

– Kogoś, kto co wieczór wraca do domu i nie odrywa nosa od książek?

Roześmiała się.

– No dobra, to mi teraz coś powiedz. Odezwali się do ciebie twoi prawnicy w sprawie funduszu powierniczego? Wierzyciele mają szansę się do niego dobrać?

Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby jej powiedzieć. Może chęć zwierzenia się komuś, bo trzymanie wszystkiego w tajemnicy zjadało mnie od środka.

– Nie czekam na prawników – powiedziałam.

– Jak to?

– Nie mogę ryzykować utraty funduszu.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ukryłam go.

– Jak?

– Otworzyłam konto w banku na inne nazwisko.

– Jak to zrobiłaś?

– Tego nie mogę ci zdradzić. Przepraszam, ale nie mogę.

– Nie szkodzi. O kurczę! I myślisz, że teraz jest bezpieczny?

– Powinien być. Ale mam jeszcze parę spraw do załatwienia.

– Gdzie się nauczyłaś robić takie rzeczy?

Parsknęłam śmiechem.

– Z książek oczywiście.

– Czyli wymyśliłaś sobie nazwisko?

– Niezupełnie.

– To znaczy, że masz teraz coś w rodzaju pseudonimu.

– Na to wychodzi.

– I nowe prawo jazdy? – spytała Devin z podnieceniem w głosie.

– Musiałam mieć, żeby móc otworzyć konto.

Devin pochyliła się nad stolikiem i wpatrzyła we mnie błyszczącym wzrokiem.

– Użyłaś jakiegoś znanego nazwiska? – spytała.

– Nie. Tak naprawdę to całkiem zwyczajnego.

Do naszego stolika podeszło dwóch młodych mężczyzn w garniturach, z rozpiętymi kołnierzykami koszul i lekko rozluźnionymi krawatami, i Devin wypięła pierś. Wyglądali nawet całkiem fajnie. Jeden miał jasne włosy w piaskowym odcieniu i nieśmiały uśmiech, drugi – modny dwudniowy zarost i wyglądał

na pewnego siebie. Zupełnie jak Graham w dniu, kiedy go poznałam. Zaczynało się lato i wiele firm zatrudniało praktykantów z college'ów. Ci dwaj właśnie na takich wyglądali.

– Przyjaciel i ja mieliśmy nadzieję, że zechcecie rozsądzić nasz zakład – odezwał się Dwudniowy Zarost, na co Devin rzuciła mi spojrzenie i wywróciła oczami.

– W jakiej sprawie? – Podjęła grę.

– Ja postawiłem na to, że przyjechaliście do miasta na zawody Nike CrossFit. – Dźgnął palcem sobowtóra Brada Pitta. – A kolega się upiera, że jesteście stąd i wpadliście na drinka.

– A co będzie, jeśli obaj macie rację? – spytała Devin.

– To obaj stawiamy wam drinki – odparł chłopak i parsknął śmiechem.

Blondyn spojrzał na mnie z nieśmiałym uśmiechem.

– Bierzesz udział w zawodach CrossFit? – zapytał.

– Ja?! – wykrzyknęłam, mając nadzieję, że się nie zaczerwieniłam. – Boże święty, skąd.

– Bo wyglądasz na zawodniczkę. – Błysnął chłopięcym uśmiechem, który przeszył mnie na wskroś.

Kelnerka przyniosła nasze Lemon Dropsy.

– Jak widzicie, dostałyśmy już drinki, a nie widziałyśmy się od dawna i chcemy pogadać. Mamy duże zaległości. Ale dzięki.

Byłam zdziwiona, że ich odpuszcza, bo to do niej nie pasowało. W przeciwieństwie do mnie lubiła brylować w towarzystwie i nie była mężatką. Ale pomyślałam, że jest chyba trochę wkurzona tym, że to mnie wzięto za zawodniczkę CrossFit. Rzeczywiście byłam w świetnej formie, najlepszej w życiu. Musiałam być.

– Życzymy miłego wieczoru – powiedział Dwudniowy Zarost i obaj odwrócili się, by odejść, ale blondyn zdążył jeszcze obdarzyć mnie kolejnym uśmiechem.

Devin parsknęła śmiechem, lecz wyczuwałam w niej lekkie napięcie.

– No proszę! – rzuciła. – Jakie masz powodzenie!

– Chyba byli bardziej zainteresowani tobą. – Chciałam dyplomatycznie wybrnąć z sytuacji.

– Gówno prawda. Podobałaś mu się. I rzeczywiście świetnie wyglądasz. – Komplement dorzuciła jakby od niechcienia.

– Ćwiczę pięć dni w tygodniu, żyję w ciągłym stresie i oto rezultat.

– Czyli ta wycieczka na Mount Rainier nadal aktualna?

– Tak – potwierdziłam, czując ukłucie winy.

– Za nasze powodzenie u młodszych mężczyzn – powiedziała, unosząc szklankę.

Uniosłam swoją i stuknęłyśmy się, a potem udałam, że piję, ale zliziałam tylko trochę cukru z krawędzi szklanki.

Odstawiła drinka i spojrzała na mnie.

– Czyli ty i Graham dogadaliście się, tak? – spytała.

– Jeszcze nie wiem.

– Mogę być z tobą szczerą?

– Oczywiście. – Nigdy nie słyszałam Devin mówiącej nieszczercze.

Odwróciła głowę i popatrzyła na dwóch chłopaków, którzy nas podrywali.

– Niestety, tak to wygląda – powiedziała. – Albo za młodzi smarkacze, którzy chcą sobie pobzykać, albo za starzy rozwodnicy, którzy chcą sobie pobzykać. Wiem, że ty i Graham macie swoje problemy, ale jeśli on chce powalczyć o wasze małżeństwo, to powinnaś się zastanowić. Co najmniej wybrać się na tę wycieczkę i zobaczyć, co z tego wyjdzie. Jeśli nic dobrego, zawsze będziesz mogła zdecydować, co dalej.

Nie miałam czasu, żeby dłużej się zastanawiać nad jej słowami, bo kelnerka wróciła z przystawkami i dwoma Lemon Dropsami.

– Nie zamawiałyśmy drugiej kolejki – rzuciła Devin.

Kelnerka wskazała głową stolik naszych dwóch podrywaczy.

– To od nich.

Blondyn i jego kolega unieśli kufle z piwem i się uśmiechnęli.

– Jak myślisz? – spytała Devin. – Powinniśmy ich tu zaprosić?

– Jasne. Czemu nie? – odparłam.

Okazali się stażystami w firmie inwestycyjnej. Obaj byli na ostatnim roku studiów, jeden na nowoorleańskim Tulane, drugi

w należącym do Ligi Bluszczowej Dartmouth. Devin nazwała ich zabawnymi mądralami. Blondyn zdecydowanie wybrał sobie mnie, a ja wdałam się z nim w tak długie rozmowy, że jego kolega musiał się zainteresować Devin. W pewnej chwili Devin zauważyła, że nie wypitałam nawet pierwszego drinka, i skończyła go za mnie. A potem wypita też drugi. W sumie cztery Lemon Dropsy.

Około jedenastej ten z dwudniowym zarostem zaproponował, żeby opuścić lokal, a Devin się zgodziła. Ja wyjaśniłam jego koledze, że muszę wracać do domu. Nawet nie próbował oponować; pewnie zauważył moją obrączkę. Powiedział, że było mu bardzo miło, i przesiadł się do kolegów przy innym stoliku.

Devin obiecała swojemu adoratorowi, że za chwilę do niego dołączy, i on też się przeniósł do kolegów. Spojrzała na mnie z uśmiechem i spytała, czy dam sobie radę z powrotem do domu. Język jej się trochę plątał i widziałam, że jest nieźle urznięta.

– Jasne – zapewniłam ją. – A ty?

– U mnie wszystko okej. Seks jest nawet lepszy, jak trochę szumi w głowie.

– Tylko uważaj.

– Mam uważać? Idę się rznąć. Ale najpierw muszę się wysikać.

– Zdjęła torebkę z oparcia krzesła i położyła na stoliku obok swojej komórki. – Popilnujesz mi rzeczy?

– Jasne.

– Zaraz wracam.

Zsunęła się z krzesła i zatoczyła, ale utrzymała równowagę.

– Ua – jęknęła. – Może nie powinnam pić tej trzeciej cytrynki.

Czwartej, pomyślałam, ale nic nie powiedziałam.

– Na pewno dasz sobie radę? – upewniłam się.

Puściła do mnie oko i ruszyła między stolikami, zostawiając mnie samą. Byłam bliska wyjęcia książki z torebki, ale uznałam, że wyglądałabym z nią trochę głupio. Rozejrzałam się po sali, obrzucając wzrokiem pary przy stolikach i kończąc na grupie pijących piwo przy bufecie i głośno się śmiejących mężczyzn. Dwudniowy Zarost odprowadził Devin czujnym wzrokiem mogącym świadczyć o zaniepokojeniu lub podnieceniu. Nie byłam

pewna. Moje spojrzenie zawisło na Bradzie Pitcie i wyobraziłam sobie, że on też na mnie patrzy, a ja nie odwracam wzroku. W wyobraźni wetknęłam palec do szklanki i zamieszałam nim drinka, a potem lubieżnym gestem uniosłam go do ust i oblizałam.

W tym momencie zabrzączał telefon Devin.

Spojrzałam na niego, lecz ekran się nie podświetlił, a telefon nie zawibrował. Chwilę trwało, nim sobie uprzytomniłam, że brzęczenie dochodzi z rozpiętej torebki Devin. Trochę rozkojarzona zajrzałam do środka i zobaczyłam drugi telefon, którego ekran świecił zielonkawoniebieskim blaskiem. Wyświetlił się tylko numer, ale imię i nazwisko nie były mi potrzebne.

Wiedziałam, do kogo należy. Doznałam takiego szoku, że nóżki mojego krzesła aż zadrżały. Zrobiło mi się niedobrze, jakbym dostała cios w żołądek, i z trudem udało mi się nie wymiotować.

Spojrzałam raz jeszcze.

Graham.

Co, u diabła?

Po co dzwonił do Devin? Z tego, co wiedziałam, ledwo się znali. I po co jej drugi telefon? Starłam się opanować oddech, odzyskać choćby pozory równowagi i spokojnie przeanalizować całą sytuację, znaczenie i prawdziwość tego wszystkiego. Przypomniałam sobie płatności kartą kredytową w hotelach i restauracjach w Seattle, kiedy Graham rzekomo wyjeżdżał służbowo. Czy mógł być wtedy z Devin? Czy to z nią miał romans? Na płatnościach kartą były daty, kiedy Grahama nie było. Na billingu telefonicznym można było sprawdzić rozmowy wychodzące i daty połączeń, nie znałam jednak numeru telefonu w torebce Devin.

Ale ustalenie go nie będzie zbyt trudne.

Spojrzałam za siebie, nie dostrzegłam ani śladu Devin, sięgnęłam do jej torebki i wyjęłam telefon. Szybko się zorientowałam, że dostawała wiele SMS-ów z tego samego numeru. Z numeru komórkowego Grahama. W wykazie widać było tylko początkowe wyrazy wiadomości.

Hej, miałem nadzieję, że...

Przed chwilą dotarłem...

Czy rozmawiałaś z...

Nie znając hasła do tej komórki, nie mogłam odczytać całych wiadomości. Nie mogłam również odczytać numeru telefonu, ale nie musiałam.

Obejrzałam się przez ramię w stronę toalet i zobaczyłam wychodzącą Devin, która chwiejnym krokiem ruszyła przez salę. Wrzuciłam telefon do jej torebki, wstałam i włożyłam żakiet.

– Wychodzisz? – zapytała Devin, sięgając po torebkę i swój żakiet.

– Taaa – mruknęłam. – Jestem zmęczona.

Wyciągnęła rękę, by zasunąć zamek na torebce, i ręka jej znieruchomiła. Niewątpliwie dojrzała na wyświetlaczu drugiego telefonu komunikat o ostatnim nieodebranym połączeniu. Zachowując pokerową twarz, spokojnie wrzuciła do torebki telefon, który leżał na stoliku, i zasunęła zamek. A potem objęła mnie i przytuliła. Aż zesztyniałam.

– Niech zgadnę – powiedziała. – Wracasz do domu, żeby wsadzić nos w książkę.

– Znasz mnie – odparłam.

– Czytam w tobie jak w otwartej książce. – Odwróciła się i ruszyła do stolika, przy którym czekał jej adorator.

– Tylko że czytujesz niewłaściwe książki – mruknęłam do jej pleców.

Już nie wybierałam się do domu. Wybierałam się do biura, żeby wsadzić nos w komputer Devin Chambers.

Rozdział 21

Początkowo Vic Fazio miał wrażenie, że męczy go nocny koszmar, w którym wszystko zdawało się większe i groźniejsze niż w rzeczywistości. Wokół jego głowy krążył wielki owad, uparcie bzycząc, a on nie mógł się od niego opędzić. Ale potem podświadomość dała za wygraną, ustąpiła miejsca szlifowanemu od dziesięcioleci instynktowi i Fazio znów stał się gliniarzem, przywykłym do zrywania się o różnych porach dnia i nocy. Zdał sobie sprawę, że natrętne bzyczenie dobywa się z jego telefonu komórkowego. Na noc wyłączał dzwonek, żeby nie budzić mającej lekki sen Vera, ale leżący na stoliku nocnym telefon i tak uporczywie drgał i brzęczał.

Faz nie musiał nawet otwierać oczu, by wiedzieć, że jest środek nocy. Informował go o tym wewnętrzny zegar, wytrenowany w nocnych bojach z dwoma synami. Poczul, jak Vera, zaprawiona do bycia żoną detektywa z wydziału zabójstw, przez sen odwraca się na drugi bok. Tylko że w tym momencie zaświtało mu coś jeszcze. On i Del nie byli ujęci w grafiku nocnych dyżurów telefonicznych. Zajmowali się zabójstwem Andrei Strickland, a tę sprawę w miniony czwartek im odebrano.

Sięgnął po omacku i przy pierwszej próbie nie namacał telefonu. W końcu go odnalazł i uniósł do twarzy, ale bez okularów nie był w stanie odczytać numeru i dojrzał tylko tyle, że zaczynał się od cyfr 206. Dzwonił ktoś z Seattle. Faz nacisnął zielony guzik.

– Halo? – Jego głos zabrzmiał tak chropowato, jakby mówił przez rurę kanalizacyjną zapchaną zwirem i wodą. Odchrząknął i powtórzył: – Halo?

- Cześć, Faz. Jak leci?
- Co?
- Jak leci?
- Kto mówi, do cholery?
- Kto to dzwoni? – spytała Vera, obracając się w jego stronę i siadając na łóżku. – Coś się stało któremuś z dzieci?
- Nik – rozległ się głos w słuchawce. – Twój ulubiony łowca głów.
- Faz zaczął się wyplątywać z pościeli, Vera zapaliła lampkę po swojej stronie łóżka i oboje zmrużyli oczy przed nagłym zalewem światła.
- Nik? – powtórzył Faz, zerkając na zegar na radiu na stoliku nocnym.
- Co za Nik? – spytała Vera.
- Która, do diabła, jest godzina? – warknął Faz.
- Trzecia trzydzieści dwie.
- Rano?
- Hej, Fazzino, prima aprilis! – parsknął Nik.
- Ty sukinsynu – wychrypiał Faz. – Pojebało cię? Żona się przeraziła, że coś się stało któremuś z chłopaków.
- A moja żona wciąż jest wściekła, że wyrzuciłem jej cholerne komórki do jeziora. Więc możemy ogłosić remis.
- Faz westchnął głęboko i spojrzał na Verę.
- Przepraszam, to służbowa sprawa – mruknął.
- W środku nocy?
- Wiedział, że zasłużył sobie na telefon o tej porze.
- Dzwonisz tylko po to, żeby się zemścić? – rzucił do słuchawki.
- Daj spokój, Faz. Może jestem sukinsynem, ale nie aż takim. Mam dla ciebie wiadomość w tej twojej sprawie... i to za darmo.
- Strickland.
- Mhm.
- Dobra. – Faz sięgnął po okulary, długopis i bloczek z karteczkami, które trzymał na nocnym stoliku. – Wal.

– Fazzio, kurwa, jest wpół do czwartej rano. Zadzwoń do mnie o ludzkiej porze, to się umówimy i pogadamy.

– Zaraz, czekaj, chcesz powiedzieć, że zadzwoniłeś tylko po to, żeby mnie obudzić?

– To by wskazywało na mściwość, Faz. – Nik zawiesił głos. – A w razie gdyby ci strzeliło coś do głowy, to należę do nocnych marków – dodał i rozłączył się.

– Kto to był? – spytała Vera, wciąż lekko podenerwowana.

– Pamiętasz, jak mi wciąż powtarzasz, że nie jestem aż tak dowcipny, jak mi się zdaje?

– No.

– Chyba masz rację.

* * *

Gdy Faz zadzwonił kilka godzin później, Ian Nikolic chciał się spotkać na lunchu w Duke's Chowder House. Knajpa mieściła się na końcu moła na jeziorze Union.

– Czy ten facet nie robi nic, co nie wiąże się z wodą? – jęknął Del, idąc za kelnerką, która poprowadziła ich przez salę na pomost za restauracją.

Nik siedział pod jednym z białych parasoli ocieniających stoliki i rozmawiał przez komórkę. Wszystkie pozostałe stoły były zajęte przez gości w letnich strojach, którzy rozkoszowali się wietrzykiem dmuchającym od jeziora i czyniącym temperaturę powietrza bardziej znośną, choć Faz i tak już czuł strużki potu ściekające pod koszulą.

– Zadzwonię później – rzucił Nikolic do trzymanego przy uchu telefonu i lekko się uniósł z wyciągniętą na powitanie ręką. – Goście, których zaprosiłem na lunch, właśnie się zjawili. Tak, tak, dzisiaj. Powiedziałem, że dziś się tym zajmę. Cześć, Fazzio, wyglądasz na zmęczonego. Czyżbyś źle spał w nocy?

Del parsknął śmiechem i zdjął marynarkę.

– No dobra, dopadłeś mnie i jesteśmy kwita. Vera tak się wściekła, że omal nie wykopała mnie z łóżka.

Usiedli przy stoliku. Z trzech krzeseł roztaczał się piękny widok na błękitną taflę jeziora, upstrzoną białymi punkcikami żaglówek i jachtów, ale Del powiesił marynarkę na oparciu czwartego, które stało tyłem do wody.

– Masz coś przeciwko naturalnemu pięknu? – zwrócił się do niego Nik.

– To samo powiedział lekarz do jego matki, kiedy go urodziła – powiedział Faz.

– Tu mi jest dobrze – mruknął Del.

– Zamówcie zupę rybną – poradził im Nik, nie zaglądając do menu. – Nie zawiedziecie się.

Faz i Nik zamówili zupy rybne.

– I parę kromek chleba – dodał Faz. – Uwielbiam maczać.

– Ja poproszę ravioli z przegrzebkami – zdecydował Del po przejrzaniu karty. – Wyobrażasz sobie, Faz? Mają tu owoce morza po włosku. – Popatrzył na kelnera. – Dobrze to ravioli?

Kelner zapewnił, że jest wyśmienite.

Gdy odszedł, Faz łyknął wody.

– No to co masz dla mnie, Nik? – spytał.

– Ktoś już szukał osoby o tym nazwisku.

– Andrei Strickland?

– Nie, Lynn Hoff.

– Naprawdę? – Faz spojrział na partnera. Tylko ten, kto wiedział, że Andrea posługiwała się fałszywym nazwiskiem, mógł pytać o Lynn Hoff. – Wiemy kto?

– Nie. A facet, od którego to wiem, był mocno zestresowany tym, co się z nią stało. Był gotowy powiedzieć mi wszystko, ale tylko pod warunkiem, że nie wyjawię jego nazwiska.

– To zależy, co od niego usłyszałeś, Nik. Przecież wiesz, że nie mogę ci nic zagwarantować – odparł Faz.

– Ja to wiem, ale on nie. Powiedziałem mu to samo, ale jednocześnie obiecałem, że postaram się go do tego nie mieszać. Że wystąpię jako pośrednik między nim a wami. To jedna z tych sytuacji, kiedy informacja jest cenniejsza niż źródło. Mam rację?

– I co od niego usłyszałeś? – spytał Del.

– Ktoś użył partyzanckiego adresu mailowego do kontaktu z nim. Normalnie nie godzi się na takie warunki współpracy.

– Co to jest partyzancki adres mailowy? – spytał Del.

– To tymczasowy adres – wyjaśnił Faz. – Na tej samej zasadzie co jednorazowy telefon: używasz go i wyrzucasz. Ludzie korzystają z takich adresów, kiedy nie chcą ujawnić swojego nazwiska czy prawdziwego adresu mailowego. Przy każdym zalogowaniu tworzony jest przypadkowy jednorazowy adres, który po godzinie ulega automatycznemu skasowaniu. – Przeniósł wzrok na Nikolica. – I czego ten ktoś chciał od twojego znajomego?

– Chciał, żeby mu znalazł Lynn Hoff. Twierdził, że jest jej krewnym.

– Mówisz o nim „on”, ale nie wiadomo, czy ten ktoś był kobietą, czy mężczyzną – zauważył Del.

Nikolic pokręcił głową.

– Tego się nie da ustalić.

– To jak ten twój znajomy miał przekazać odpowiedź na adres znikający godzinę po utworzeniu? – zapytał Del.

– Ustalili kalendarz kontaktów. Facet napisał, że za siedemdziesiąt dwie godziny przyśle mu następnego maila i jeśli mój znajomy będzie miał dla niego wiadomość, to w ciągu godziny będzie mógł ją wysłać na ten nowy adres. Ja lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia, i nie godzę się na takie warunki, ale nie każdy jest tak prawomyślny jak ja. – Nik się uśmiechnął.

– I czego się ten twój człowiek dowiedział?

– Wpuścił nazwisko w zwykłe kanały informacji i natknął się na to samo prawo jazdy ze stanu Waszyngton, które wyście znaleźli. Sprawdził też rejestr kredytobiorców i okazało się, że nazwisko ma związek z mieszkaniem w Oklahomie, umowami na usługi komunalne i wnioskiem o instalację telefonu pod tym adresem.

– Domyślam się, że trop okazał się fałszywy – powiedział Faz.

– Owszem.

– Czyli facet wiedział, co robi, tak? – rzucił Del.

– Cholera, teraz wszystko można wyczytać w książkach albo obejrzeć na YouTube – obruszył się Nikolic. – Internet wszystkich nas pozbawi roboty. Komputery przejmą rządzenie światem. Ale tak, ta osoba zrobiła rozeznanie albo wiedziała, jak to się robi.

– Twój znajomy przekazał tę informację klientowi? – spytał Faz.

– Przekazał. A klient oznajmił, że ta osoba może się posługiwać jeszcze innym nazwiskiem i podał mu je. – Nikolic zajrzał do kieszonkowego kołonoatnika. – Devin Chambers. Powiedział też, że powinien zacząć poszukiwania od Portlandu.

– Devin Chambers? – powtórzył Del.

– Takie nazwisko podał mu ten klient.

– Czy nie tak nazywała się przyjaciółka Strickland? – zwrócił się Del do partnera.

– I czego się dowiedział? – spytał Faz.

– Przepuścił nazwisko przez system i natknął się na prawo jazdy i adres w Portlandzie. Znajomy pojechał do Portlandu i pogadał z sąsiadami. Dowiedział się, że rzeczywiście tam mieszkała, ale od paru tygodni nikt jej nie widział. Dwie osoby twierdziły, że Chambers ich poinformowała o swoim wyjeździe z kraju na dłużej.

– Ale z mieszkania nie zrezygnowała? – spytał Faz.

– Płaciła co miesiąc. Kiedy za kolejny nie zapłaciła, gospodarz zerwał umowę.

– A co zrobił z jej rzeczami?

– Umieścił wszystko w przechowalni. Ale ona nie zgłosiła się po nic.

– Czyli jej nie zależało – mruknął Faz.

– Na to wygląda.

Na moment się zamyślił.

– Czy Chambers powiedziała któremuś z sąsiadów, dokąd się wybiera? – zapytał w końcu.

– Jednemu z nich się zdawało, że wspominała coś o Europie. Od dawna planowanej włączędze z plecakiem. W każdym razie

poprosiła go o odbieranie poczty. U faceta do tej chwili leży cała sterta listów do niej.

– Nie poprosiła go o przesyłanie ich na jakiś inny adres?

– Nie.

Faz spojrział na partnera.

– Wygląda na to, że nie zamierzała wracać, ale nie chciała, żeby inni o tym wiedzieli – powiedział.

– Zdecydowanie – zgodził się z nim Del.

Nikolic ponownie zajrzał do notatnika.

– Mój człowiek odszukał jej krewną w New Jersey. Zamężną siostrę, niejaką Alison McCabe. – Przeliterował nazwisko. – Zadzwoił do niej, przedstawił się jako gospodarz domu i powiedział, że ma meble, rzeczy osobiste i stertę listów Devin Chambers i nie wie, co z nimi zrobić.

– I co siostra na to?

Nikolic się uśmiechnął.

– Oświadczyła, że od lat nie ma kontaktu z siostrą i nie wie, co z tym zrobić. Siostra zerwała z nią wszelkie stosunki. Trochę ją przycisnął i wydobył z niej, że Devin Chambers ma słabość do środków odurzających i związane z tym problemy z kasą. Najwidoczniej pożyczala od siostry pieniądze i ich nie zwracała. W końcu siostrze się znudziło i odmówiła dalszych pożyczek. Mój człowiek twierdzi, że duża część czekających na nią listów to stare żądania zapłaty od wierzycieli i różnych firm windykacyjnych.

– Znikanie jest kosztowne – zauważył Faz.

– Fundusz powierniczy – mruknął Del, patrząc na niego znacząco.

– O tym samym pomyślałem. Jestem tylko ciekaw, czy ten ktoś, kto jej szukał, wiedział o nim. Jeśli te dwie były przyjaciółkami, to może Andrea pomagała Chambers wykaraskać się z długów.

Del pokręcił głową.

– Gdyby tak było, to dlaczego po prostu nie dała jej pieniędzy? To znacznie prostsze niż ucieczka ich obu.

- Tyle że Andrea chciała uciec – przypomniał partnerowi Faz.
- Chciała, by ludzie myśleli, że nie żyje.
- Wygląda na to, że Chambers też miała powody do zniknięcia
- dodał Del.
- Może obmyśliły wspólny plan. – Faz spojrzął na Nikolica. – Czy twój człowiek dowiedział się jeszcze czegoś?
- Kazał jednej ze swoich pracownic zadzwonić do ostatniego pracodawcy Chambers i poprosić o rozmowę z osobą odpowiedzialną za płace. Podszyła się pod Chambers, oświadczyła, że nie dostała ostatniego czeku, i poprosiła o sprawdzenie, na jaki adres go wysłali.
- Podali jej? – spytał Faz.
- Adres skrytki w drugistorze Bartella w Renton w stanie Waszyngton, tylko że skrytka nie była na nazwisko Devin Chambers. – Kolejny szeroki uśmiech. – Była na Lynn Hoff.
- Nie żartuj! – wykrzyknął Faz.
- Nie żartuję. Mój człowiek kazał więc tej samej kobiecie zadzwonić do części aptecznej, przedstawić się jako Lynn Hoff i spytać, czy mają jej dane ubezpieczeniowe w dokumentacji. Farmaceuta w odpowiedzi podał ten sam adres skrytki pocztowej. Potem spytała, czy jej lekarz przekazał do apteki ostatnią receptę, na co farmaceuta stwierdził, że od recepty na oxycodon sprzed tygodnia nie mieli nic nowego.
- Co potwierdza, że Lynn Hoff przebywa na tym terenie. I twój człowiek przekazał to wszystko swojemu klientowi na jego partyzancki adres mailowy?
- Owszem.
- Więc jeśli komuś bardzo zależało, mógł wziąć na oko skrytkę w drugistorze i liczyć na to, że zjawi się tam Devin Chambers albo Andrea Strickland, on za nią pójdzie i ustali jej miejsce zamieszkania.
- Nikolic podniósł do ust szklanekę i odchylił się na oparcie krzesła.
- W każdym razie ja bym tak zrobił – mruknął, sącząc drinka.

* * *

Tracy i Kins byli w samochodzie, gdy zadzwonili Faz i Del z wiadomością, że mają nowe informacje, ale nie chcą się nimi dzielić w biurze. Tracy zaproponowała spotkanie w części gastronomicznej centrum handlowego w gmachu Bank of America przy Piątej Alei.

Siedząc przy kawie, Tracy i Kins wysłuchali relacji Faza i Dela o spotkaniu z Nikolikiem.

– To niezwykle zbieg okoliczności, że Devin Chambers pojawia się w tym samym mieście, w którym Andrea Strickland przechodzi rekonstrukcję twarzy i zakłada konta w banku – zakończył Faz.

– Bardziej niż niezwykle – zgodziła się z nim Tracy.

– Były przyjaciółkami – przypomniał Kins. – Czyli to Devin Chambers musiała pomóc Strickland zniknąć z góry i być może to także ona opiekowała się nią po operacji.

– I Strickland na pewno potrzebowała recept na środki przeciwbólowe – dodał Faz.

– Albo Chambers chciała się dostać do pieniędzy z jej funduszu – zauważyła Tracy.

Wszyscy na nią spojrzeli.

– Według słów siostry problem Devin Chambers polegał zarówno na nadużywaniu środków odurzających, jak i braku pieniędzy, prawda? – powiedziała.

– Tak twierdził człowiek Nika – potwierdził Faz.

– Czyli mogło jej chodzić o jedno i drugie. A jeśli Devin Chambers pomagała Andrei Strickland, to musiała wiedzieć, że ta używa fałszywego nazwiska. Mogła też znać nazwę banku, numery kont i hasła.

– Sugerujesz, że to ona mogła ją zabić? – odezwał się Kins. – I potem podjąć pieniądze?

– Strickland już nie żyła i Chambers by o tym wiedziała. – Tracy wzruszyła ramionami. – Zbrodnia doskonała, pod warunkiem że nigdy nie odnaleziono by ciała.

– Czyli może powinniśmy szukać Devin Chambers? – zastanawiał się głośno Faz.

– To już nie nasza sprawa – przypomniał wszystkim Kins, dopijając kawę.

Tracy nie przyznała się do wizyty w San Bernardino; nie podzieliła się z nikim informacjami uzyskanymi od Penny Orr i terapeuty Alana Townsenda. Chodziło jej o to, że jeśli wyjdzie na jaw, że nadal miesza się do śledztwa i wybuchnie awantura, jej koledzy będą mogli z czystym sumieniem zapewnić, że nic o tym nie wiedzieli.

– Zadzwoń do Stana Fieldsa i powiem, że zajmowaliśmy się tym w chwili odebrania nam śledztwa – powiedziała. – Że informacje dopiero do nas dotarły i teraz je przekazujemy.

– Nik nie ujawni swojego źródła – wtrącił Faz.

– To już nie nasz problem – rzucił Kins. – Niech się Fields tym martwi, jeśli obierze tę drogę.

Rozdział 22

Tracy zadzwoniła do Stana Fieldsa, powiedziała, że powinien się z nią zobaczyć, i zaproponowała spotkanie w środę piątego lipca, w swój wolny dzień. Fields zaczął się dopytywać w jakim celu, ale nie zdradziła nic konkretnego i zapewniła tylko, że przejazdka na północ do Seattle mu się opłaci. Zasugerowała spotkanie w restauracji Cactus na Alki Beach. Uznała, że w razie czego spotkanie na lunchu w dniu wolnym od służby, w restauracji w pobliżu jej domu, będzie łatwiejsze do wytłumaczenia niż wyjazd do Tacomy w sprawie śledztwa, którym nie powinna się już zajmować.

W środę, parę minut po dwunastej w południe, usiadła pod markizą w zielono-czerwone pasy w ogródku restauracji Cactus i zaczęła chrupać chipsy maczane w salsie i sączyć mrożoną herbatę. Chodnik ciągnący się po drugiej stronie ulicy wzdłuż plaży i sama plaża były tak zatłoczone, że osoby uprawiające jogging musiały co chwila wybiegać na jezdnię, by ominąć przechodniów, a na ulicy wciąż się korkowało, bo zjeżdżali się kolejni amatorzy plaży lub lunchu w jednej z nadmorskich restauracji z cudownym widokiem na zatokę. Turyści gromadzili się przy obelisku upamiętniającym umowne miejsce narodzin Seattle, czyli dotarcia tam jesienią 1851 roku członków wyprawy Denny'ego, którzy założyli tu pierwszą osadę. Mieszkający w tych okolicach rodowici Amerykanie oczywiście kwestionowali sens odkrywania i zasiedlania ich terenów przez osadników ze Wschodu.

Tracy wypatrzyła Fieldsa, który zbliżał się od strony Sześćdziesiątej Trzeciej Alei, przecznicy Alki Avenue. Szedł

chodnikiem, paląc papierosa, wierny swemu stylowi z lat siedemdziesiątych. Był w lotniczych okularach przeciwsłonecznych, szarym prążkowanym garniturze, a spod koszuli z rozpiętym kołnierzykiem wyglądał złoty łańcuch. Tracy miała na sobie szorty, niebieski podkoszulek bez rękawów i białą bluzkę.

Fields po raz ostatni pociągnął papierosa, rzucił niedopałek na chodnik, rozgniół butem i wszedł do restauracji.

– Ruch tu macie piekielny. Nie ma gdzie zaparkować – burknął, witając się z Tracy, która mieszkała niedaleko stąd i знаła różne sekretne miejsca, jak choćby podziemny parking tuż obok budynku z restauracją. – Czy ci ludzie, kurwa, w ogóle nie pracują? – Fields obrzucił złym spojrzeniem tłum płynący chodnikiem po drugiej stronie ulicy.

– Pora lunchu – przypomniała Tracy. – A mieszkańcy Północnego Zachodu wiedzą, że należy korzystać z każdej chwili słońca. Jesień i zima są tu bardzo długie.

Zdjął marynarkę, odsunął krzesło i usiadł. Cuchnął dymem papierosowym.

– W Arizonie latem siedzi się w domu, a wychodzi jesienią i zimą.

Zdjął okulary, złożył i schował do kieszonki koszuli.

– Przynieś mi, słoneczko, coronę z limonką – powiedział do kelnerki, która podeszła do stolika i Tracy musiała się ugryźć język, by go nie ofuknąć. – To po co te tajemnice? – zwrócił się do Tracy.

– Nie ma żadnych sekretów – odparła. – Po prostu mam dla ciebie nowe informacje w sprawie Strickland, które dotarły do nas już po przeniesieniu jurysdykcji.

– Nie ma tajemnic? – Końce jego wąsów zadrgały, gdy uśmiechnął się złośliwie. – Sadząc po twoim wyglądzie, masz dziś wolne. Chcesz mi przekazać informacje, których nie ma w przesłanych aktach, ale nie chcesz o nich mówić przez telefon, więc mnie tu ściągasz. Nie jestem w tej robocie nowicjuszem.

– Tak, wiem. To nie twoje pierwsze rodeo. Więc dostałeś akta?

Fields skinął głową.

– I przeprowadziłem następną rozmowę z Grahamem Stricklandem. Czy, ściślej mówiąc, próbowałem przeprowadzić.

– Przyszedł z adwokatem?

Wąsy znów drgnęły.

– Wszystko musi się odbywać z udziałem adwokata. Postraszyłem go, że oskarżymy jego i klienta o utrudnianie śledztwa.

Tracy wyobraziła sobie, jak bardzo Montgomery się tym przejął.

– Powiedział mi: „Albo gryź, albo nie szczekaj” – ciągnął Fields. – Poszliśmy więc na kompromis. Udostępni Stricklanda na przesłuchania. – Rozparł się na krześle, odprowadził wzrokiem dwie młode kobiety w szortach i spojrzął na Tracy. – Tylko nie mam pojęcia, co nam to da, skoro i tak nie wiemy, kiedy dokładnie popełniono to zabójstwo, a słona woda wyzarała wszelkie ślady na klatce i ciele ofiary. I nawet gdybyśmy znaleźli broń, co jest bardziej niż wątpliwe, to nie mamy pocisku. Próbujemy ustalić na podstawie wyciągów z karty kredytowej Stricklanda i jego billingów telefonicznych, czy przypadkiem nie wynajął łodzi do połowu krabów. Ale to mało prawdopodobne. – Fields wziął chipsa, umoczył go w salsie i wsunął do ust. – Innymi słowy, sprawa pozostaje czysto poszlakowa, a ten kutas ma tego świadomość.

Kelnerka postawiła przed nim piwo ze sterczącą z szyjki butelki częstką limonki.

– Są państwo gotowi zamówić? – zapytała.

– Dla mnie ten wasz firmowy stek – rzucił Fields. – Jak to się nazywa? Carne asada czy jakoś tak?

Kelnerka się uśmiechnęła.

– Jak wysmażony? – spytała.

– Bardzo krwisty. Powiedz kucharzowi, że jak w niego wbiję widelec, to ma zamuczeć. I niech dorzuci ze dwie zielone papryki z grilla.

Tracy zamówiła tostadę.

– Tylko bez śmietany i guacamole – zastrzegła.

Fields wepchnął cząstkę limonki do butelki.

– Dbasz o figurę? – rzucił i łyknął piwa. – No więc co dla mnie masz?

Umoczyła chipsa w salsie i wsunęła do ust.

– Rozmawiałam z ciotką Andrei Strickland w San Bernardino.

– Taaa? – W tonie Fieldsa pobrzmiwało zaskoczenie i irytacja. – Znaczy... jak to? Przypadkiem do niej wpadłaś, tak jak przypadkiem poświęcasz wolny dzień na zajmowanie się sprawą, która już do was nie należy? Nie ma tu, w Seattle, żadnej pracy dla was? – Ściągnął brwi.

– Rozmawiałam też z jej terapeutą – dodała Tracy, ignorując jego złośliwości.

– Strickland czy ciotki?

– Strickland. Ciotka zaprowadziła do niego Andreę po wypadku, w którym zginęli jej rodzice. I kontynuowała terapię, kiedy się okazało, że wujek ją molestuje.

– Pieprzysz! – Fields wykrzyknął to tak głośno, że głowy siedzących przy kilku stolikach osób zwróciły się w ich stronę.

Łyknęła mrożonej herbaty.

– Dziewczynka traci rodziców w strasznym wypadku samochodowym, a potem jeszcze przeżywa coś takiego.

– Nie każdy może dorastać w takich warunkach jak te dzieciaki z serialu *Brady Bunch* – mruknął Fields, pociągając kolejny łyk piwa.

– Ona na pewno nie.

– Znaczy miała spieprzone życie.

– Terapeuta powiadomił Towarzystwo Opieki nad Dziećmi, które zabrało ją z tego domu. Wróciła do ciotki dopiero po jej rozwodzie i przeprowadzce w nowe miejsce.

– Postawiono mu zarzuty?

– Nie sprawdzałam.

– I co było potem?

– Terapeuta nie jest pewny, ale twierdzi, że u Andrei mogło wystąpić coś, co nazwał zaburzeniem dysocjacyjnym. Tendencja

do przybierania różnych osobowości w celu uniknięcia konfrontacji ze światem rzeczywistym.

– Coś jak w tym filmie *Sybil*.

– Nie widziałam.

– Zidentyfikował te inne osobowości?

– Na przykład Lynn Hoff? Nie. Ale stwierdził, że Andrea obsesyjnie czytała i mogła przybierać postaci z czytanych książek.

– Miejmy nadzieję, że nie czytała *Carrie* – parsknął Fields. – Wygląda na to, że była jak katastrofa, która musi się wydarzyć.

– Może. Powiedział też, że mogła mieć skłonności do aktów przemocy.

– Był świadkiem czegoś takiego?

Tracy pokręciła głową.

– Wyjechała zaraz po skończeniu osiemnastu lat. Według terapeuty te objawy nasilają się dopiero w wieku dwudziestu kilku lat.

– Czyli mogła być jak bomba zegarowa, która tylko czeka, żeby wybuchnąć. Powiedział, co mogło spowodować taki wybuch?

– Wspomniał o paru możliwościach: kolejna trauma, ponowne molestowanie, poczucie porzucenia, poddanie się rozpacz.

Kelnerka wróciła z tostadą i carne asada.

Fields od razu wbił widelec w mięso.

– Nie słyszę żadnego muczenia – burknął i kelnerka zrobiła niepewną minę. – Nic się nie przejmuj, słoneczko. Tylko tak się z tobą droczę. Za to przynieś no mi jeszcze jedną coronę, dobrze?

Gdy zabrała ze stolika pustą butelkę i odeszła, chwycił nóż, zaczął odkrawać kawałki mięsa i wkładać je do ust, jednocześnie nie przestając mówić:

– Powiedziałaś „poczucie porzucenia”. Na przykład jakby mąż ją zdradzał albo planował zabicie, a ona się o tym dowiedziała?

– Na przykład.

– Dobra. Ale dlaczego mówisz mi to wszystko?

Tracy nałożyła trochę salsy na tostadę.

– Bo to może pomóc zrozumieć, jak z pozoru introwertycznej młodej kobiecie udało się zniknąć z tej góry i posunąć do tak skomplikowanych intryg, żeby wyglądało, że to on ją zamordował – odparła.

– Jakich skomplikowanych intryg?

– Z twojego raportu wynika, że mąż nie wiedział, że został wpisany do jej polisy ubezpieczeniowej jako beneficjent.

– Tak twierdził, ale oboje wiemy, że plecie bzdury.

– A może nie plótł. Nie ma żadnych dowodów na istnienie „kochanki”, o której Andrea była przekonana. Wiemy, że zeszła z góry, ale zostały tam jej ciuchy i ekwipunek, a to znaczy, że musiała mieć zapasowy komplet, żeby zejść. A przecież nie wniosła tego na górę. Załatwiła też sobie fałszywe prawo jazdy. To wszystko świadczy o tym, że każdy szczegół był skrupulatnie przygotowany.

– Chcesz powiedzieć, że wykupiła polisę ubezpieczeniową po to, żeby wyglądało, że mąż chciał ją zabić?

– Albo naprawdę chciał ją zabić, a ona się o tym dowiedziała. Ale tak, wykupienie polisy, rozmowa z adwokatem rozwodowym, zwierzenie się szefowej, że mąż znów ją zdradza... to wszystko mogły być elementy planu. Zostawienia wyraźnego tropu wiodącego wprost do jej męża.

– Nie wygląda mi na aż taką spryciarę. Zwłaszcza jeśli była tak pokręcona, jak to wynika ze słów jej psycholca.

– Bundy też był strasznie pokręcony. – Tracy odczekała chwilę, by dotarło to do Fieldsa. – Szefowa Andrei twierdzi, że była bardzo inteligentna.

Fields odłożył nóż i widelec i wytarł serwetką kąciki ust.

– No dobra, ale wciąż zostaje pytanie, kto ją potem zabił? A zakładając, że jest tak, jak mówisz, że jakimś cudem dowiedziała się, że mąż chce ją zabić, i postanowiła go zrobić w to zabójstwo, stanowiłoby to dodatkowy bodziec dla niego, by się jej pozbyć. Czyli wracamy do męża jako głównego podejrzanego.

– Niewykluczone, ale nadal uważam, że jego główną motywacją, jeśli to on jest zabójcą, były pieniądze z jej funduszu. Co prowadzi do następnej sprawy, o której chciałam z tobą porozmawiać. Ktoś naprawdę szukał Lynn Hoff i Devin Chambers.

– Skąd wiesz?

– Poprosiłam znajomego, który zajmuje się zawodowo znajdowaniem ludzi, żeby się dowiedział, czy ktoś nie szukał Lynn Hoff. I rzeczywiście ktoś szukał.

– Kto?

– Tego nie wie. Klient użył partyzanckiego adresu mailowego, by zachować anonimowość.

– Czyli ślepy zaułek.

– Niekoniecznie.

Kelnerka wróciła z drugim piwem Fieldsa i dołąła Tracy mrożonej herbaty, a ta zamilkła, czekając, aż kelnerka odejdzie.

– Znajomy powiedział, że klient początkowo prosił o znalezienie Lynn Hoff, ale poza prawem jazdy wydanym w stanie Waszyngton, które my też znaleźliśmy, facet nie natknął się na żaden inny ślad.

Fields wycisnął sok z limonki na stek i wepchnął cząstkę do butelki.

– Dobra, czyli wiemy, że ktoś inny też jej szukał, ale poza tym to ślepy zaułek.

– To znaczy, że ktoś wiedział, że Andrea Strickland zmieniła tożsamość na Lynn Hoff. – Tracy miała wrażenie, że karmi Fieldsa łyżeczką z kawałkami śledztwa. Już jej nie dziwiło, że wstępne dochodzenie utknęło w martwym punkcie. – A gdy nasz znajomy łowca głów powiedział swojemu klientowi, że szukanie Lynn Hoff zwykłymi kanałami nie daje żadnych rezultatów, ten dorzucił nazwisko Devin Chambers.

– Znał je?

– Najwyraźniej.

– A ta Devin Chambers zniknęła mniej więcej w tym czasie co Strickland – przypomniał sobie Fields. – Tak powiedziała jej

szefowa, prawda?

Tracy zawarła tę informację w raporcie z rozmowy z Brendą Berg.

– Chambers poinformowała sąsiadów, że wyjeżdża do Europy – dodała. – Poprosiła któregoś z nich o odbieranie jej poczty, ale nie wykonała żadnego ruchu, żeby ją przejąć lub zabrać swoje rzeczy. Jej siostra z New Jersey powiedziała, że Devin miała problemy z gospodarowaniem pieniędzmi, co mogło wynikać z zażywania środków odurzających.

– Myślisz, że chodziło jej o pieniądze Andrei?

– Łowca głów znalazł adres skrytki pocztowej w drugistorze w Renton, zarejestrowanej na Lynn Hoff. W części aptecznej też był ślad po co najmniej jednej recepcie na to nazwisko. I właśnie w Renton Andrea Strickland jako Lynn Hoff przeszła operację twarzy i założyła konta w banku.

– Sądzisz, że działały w zмовie, Chambers i Strickland?

– To jedna z możliwości. Ale jest też inna. Strażnik parkowy, z którym rozmawiałam, był przekonany, że ktoś musiał pomóc Strickland w ucieczce z góry. A dwa dni po tym, jak Kurt Schill wyciągnął kosz z ciałem ofiary, ktoś wyczyścił konta bankowe Lynn Hoff, czyli musiał znać nazwę banku, numery kont i hasła.

– Jasne – rzucił Fields. – Więc myślisz, że to Devin Chambers pomogła jej uciec z góry, bo albo była z nią w zмовie, albo ją zwiodła i w końcu zabiła, tak?

Tracy nie była gotowa posunąć się aż tak daleko. Zwłaszcza że nie chciała wyciągać wniosków z dowodów, którymi nie powinna dysponować w ramach odebranego jej śledztwa.

– Myślę, że rozmowa z nią może być ciekawa i powinieneś ją przesłuchać.

Fields wziął do ręki piwo i odchylił się na oparciu krzesła.

– No to dlaczego nic z tego nie ma w twoich raportach? – burknął.

Tracy wzruszyła ramionami.

– Jak już mówiłam, wtedy jeszcze tego nie mieliśmy. Dostaliśmy to dopiero teraz.

– W twoich papierach nie ma słowa ani o ciotce, ani o psycholcu. I ani słowa o tym, że sprawdzasz, czy ktoś nie szukał Lynn Hoff. Ani słowa, że nad tym pracujecie.

– Kazano nam zamknąć śledztwo i przekazać wszystko wam, i tylko dokończyć to, czym się aktualnie zajmujemy. Ale co za różnica? Wszystko już teraz masz.

Fields odstawił piwo, po czym zdjął serwetkę z kolan i rzucił na niedojedzone do końca carne asada. Najwyraźniej nie był zachwycony tym, że Tracy wtrąca się do jego śledztwa. Ale jej było to najzupełniej obojętne. Miała w nosie jego fochy. Zależało jej tylko na tym, by znaleźć zabójcę.

Wypatrzył kelnerkę, ściągnął na siebie jej wzrok i gestem ręki poprosił o rachunek.

– Dzięki za informacje – rzucił, przenosząc wzrok na Tracy. – I dzięki za lunch.

Ale ona pokręciła głową.

– Twoje rodeo, twoja karta kredytowa – powiedziała.

* * *

Po powrocie z lunchu z Fieldsem Tracy zastała Dana siedzącego na tarasie na jednym z dwóch rozkładanych foteli ogrodowych; rozłożysty parasol chronił go przed lejącym się z nieba żarem. Dan wyglądał na w pełni zadowolonego z życia. Gdy wyszła na taras, uniósł głowę znad pisma procesowego, upstrzonego poprawkami naniesionymi czerwonym długopisem, który wciąż trzymał w ręce. Rex i Sherlock wyglądali, jakby obaj zdychali z gorąca i przy życiu trzymał ich tylko cień parasola. Zareagowali na nią otwarciem oczu, ale tylko Sherlock raczył się podnieść i machnąć ogonem na powitanie. Tracy nie miała żalu do Rexa, że tego nie zrobił. Uznała, że wystarczy jej jego leniwe wytrzeszczenie oczu.

Dan spojrzał na nią znad okrągłych okularów w drucianych oprawkach, które nadawały mu profesorski wygląd, ale już na zawsze kojarzyły się z Harrym Potterem. Pojechał do biura

wcześnie rano, żeby przejrzeć papiery i upewnić się, że żaden nagły pożar nie zepsuje im spędzanego razem popołudnia.

– Skąd się to wzięło? – spytała, wskazując na parasol, który był nie tylko ogromny, ale aż kłuł w oczy intensywną czerwienią, tego jednak głośno nie powiedziała.

– Wspaniały, nie? Kupiłem po drodze z biura. Pomyślałem, że przy takiej pogodzie to grzech pracować w zamkniętym pomieszczeniu, a nie powinnaś siedzieć na słońcu.

– Powinnam się smarować kremem i chronić przed słońcem. Nigdy nie sądziłam, że dożyję takiego dnia, że w Seattle będzie się kupowało parasole słoneczne, a nie deszczowe.

– To przez globalne ocieplenie. Lodowce topnieją, poziom wody w oceanach podnosi się, panuje susza, głód, psy i koty żyją razem...

– To Bill Murray zajmuje się teraz meteorologią? – Była niemal pewna, że słowa Dana pochodzą z któregoś z filmów z tym aktorem.

– Gdzie byłaś? Na spacerze? – zapytał Dan.

Wypiła parę łyków wody z lodem.

– Nie, miałam spotkanie.

– W dniu wolnym od pracy?

Usiadła na brzegu drugiego fotela i zwróciła się twarzą do Dana.

– Spotkałam się ze śledczym z okręgu Pierce, który przejął od nas sprawę kobiety z pułapki na kraby.

– W dniu wolnym od pracy? – powtórzył. – Zdawało mi się, że go nie cierpisz.

Przeniosła spojrzenie na zatokę.

– Chciałam mu przekazać pewne informacje i zrobić to nieoficjalnie.

– W dniu wolnym od pracy? – powtórzył po raz kolejny.

– Czy znów zmierzamy do rozmowy o mojej obsesji ścigania zabójców młodych kobiet z powodu tego, co się stało z moją siostrą?

– Nie.

– To czemu to powtarzasz? – burknęła ze złością.

Odłożył pismo procesowe i westchnął.

– Powiedziałaś, że świat się wypiął na tę młodą kobietę. Że zaczęła życie jako córka zamożnego lekarza, potem była sierotą molestowaną przez wujka i skończyła jako żona dręczona przez męża.

– Bo tak było.

– Więc zastanawiam się, czy twój wyjazd do San Bernardino oznacza, że czujesz się w jakiś sposób podobna do niej.

– A co? Zamierzasz mnie dręczyć?

– To ja się ciebie boję, przecież wiesz. – Uśmiechnął się dla złagodzenia swych słów. – Słuchaj, przecież oboje wiemy, że życie nie obeszło się z tobą najlepiej. Twój tata był lekarzem, straciłaś jego i siostrę w bardzo krótkim odstępie czasu.

– Nie będę się nad sobą rozczulała.

– Nie twierdzę, że powinnaś.

– Miałam w tej sprawie swój sekretny zamysł – powiedziała, mając na myśli Nolasca. – To było moje śledztwo i to prawda: zdarza się, że człowiek miewa bardziej osobisty stosunek. Czy pewne twoje sprawy nie angażują cię bardziej od innych?

– Oczywiście, ale jak często te twoje osobiste śledztwa dotyczą śmierci młodych kobiet?

– Często – przyznała. – Bo często ofiarami uprowadzeń i zabójstw bywają młode kobiety i nic nie mogę na to poradzić.

– Kiedy sprawa jest twoja, nie musisz nic z tym robić i jestem pewny, że to motywuje cię do jeszcze lepszej pracy. Ale nie ty prowadzisz sprawę i podejmujesz złe decyzje, powinnaś się zastanowić nad swoją motywacją.

– Ja tylko pociągnęłam pewne wątki. Czy to może być zła decyzja?

– Nie byłaś upoważniona do wyjazdu do San Bernardino.

– To nie była podróż służbowa.

– Czyżby?

– Rozmawiałam z tą kobietą w czasie, kiedy ty byłeś zajęty w sądzie, a teraz przekazałam informacje detektywowi, który

przejął ode mnie to śledztwo. Ma wszystko wyłożone na talerz. Zdobędzie uznanie za dobrą robotę policyjną. Nie uważam tego za złą decyzję.

– Czyli teraz dasz już sobie z tym spokój?

– Muszę, nie mam innego wyjścia.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– No dobra – odezwał się w końcu Dan, wstając. – Mam parę rzeczy do zrobienia.

Wiedziała, że zachowuje się nierozważnie i że Danowi chodzi tylko o nią. Wiedziała też, że trudno jej się pogodzić z odpuśzczeniem tej sprawy. Wstała i objęła Dana.

– Przepraszam, nie chcę się kłócić – szepnęła. – Tak, masz rację, mam osobisty stosunek do tej kobiety i chciałam doprowadzić jej sprawę do końca. Zdecydowanie widzę tu pewne tropy i jestem zła, że już się tym nie zajmujemy. I przykro mi, że odbija się to na tobie.

– Tym się nie przejmuj, jestem już dużym chłopcem. Słuchaj, muszę dokończyć parę spraw i zajmie mi to większość popołudnia, ale wieczorem, jak się ochłodzi, moglibyśmy razem wyjść z psami.

– Jasne, z przyjemnością.

Ruszył do wnętrza domu, ale w pół kroku zatrzymał się i odwrócił.

– Aha, rozmawiałem z lekarzem o tej sprawie, o której mówiliśmy podczas bieganina.

– O wazektomii?

– Potwierdził, że to się da odwrócić.

Wiedziała, że dla Dana byłoby to poświęcenie. Nie tylko sam zabieg, który oznaczałoby dla niego kilka dni bólu, ale także przyjęcie na siebie na resztę życia obowiązków ojca. Nie chciała wywierać na niego presji tylko dlatego, że nagle sobie uświadomiła, że może nigdy nie mieć dziecka.

– Wykreśl mnie na moment z tego równania – powiedziała. – Czy sam z siebie chciałbyś mieć dzieci?

– Nie mogę cię wykreślić. Jestem w tobie zakochany i nie zrobiłbym tego z nikim innym. To pytanie, na które tylko ty możesz sobie odpowiedzieć. Nie chciałbym wyjść na szowinistę, ale skoro Pan Bóg nie wyposażył mnie w macicę ani nawet w piersi, dźwiganie tego ciężaru musi spaść na ciebie, w każdym razie co najmniej przez pierwszy rok. Jesteś pewna, że wszystko dobrze przemyślałaś?

– Zawsze zakładałam, że będę miała dzieci.

– Tak, wiem. I że będziesz mieszkała w Cedar Grove po sąsiedzku z Sarą, w niedziele będziemy się wszyscy spotykać na grillu, a nasze dzieci będą chodziły do tej samej szkoły.

Uśmiechnęła się, ale z kącika jej oka wypłynęła łza.

– Ty też tak myślałeś?

– Byliśmy paczką najlepszych przyjaciół i to był nasz świat – powiedział, obejmując ją. – To dobre wspomnienia, Tracy. Nie muszą być smutnymi wspomnieniami. A teraz mamy szansę stworzyć razem własne wspomnienia.

– Nie jestem pewna, czy na to zasługuję.

Odsunął ją od siebie i zajrzał jej prosto w oczy.

– Skąd ci się biorą takie myśli? Z powodu Sary?

– Ona już się nigdy nie zakocha, Dan – odparła, walcząc ze łzami. – Nigdy nie wyjdzie za mąż i nigdy nie będzie miała dzieci.

Ponownie ją przytulił.

– To nie twoja wina, Tracy, że stało się z nią to, co się stało. Przecież wiesz.

Tak, wiedziała, ale ani trochę jej to nie pomagało. Sara zawsze tkwiła w zakamarku jej głowy, była jej częścią.

– Wciąż o niej myślę. Że nie powinnam była pozwolić jej wracać samej do domu.

– Jak sądzisz, co ona chciałaby dla ciebie?

Otarła łzy, ale natychmiast pojawiły się nowe.

– Chciałaby, żebym była szczęśliwa – szepnęła.

– No właśnie.

Oparła głowę na piersi Dana i zaczęła płakać. Opanowała się dopiero po dłuższej chwili.

– Chyba jest tak, jak powiedziałaś – wymamrotała, odsuwając się od niego. – Nie należy robić drugiego kroku, zanim zrobi się pierwszy.

Dan puścił jej rękę.

– Znów mi się oświadczasz? – Zrobił głupią minę. – Wiem, że ze mnie ogier i w ogóle, ale będziesz musiała wziąć mnie na ręce.

Tracy parsknęła śmiechem i stuknęła go pięścią w pierś.

– No dobra, więc niech będzie krok po kroku – powiedział i zerknął na zegar na ścianie. – Mam pracę na parę godzin i muszę załatwić kilka spraw, ale jak wrócę, weźmiemy Rexa i Sherlocka na spacer po plaży, zgoda?

– Z przyjemnością – odparła z uśmiechem.

* * *

Tuż po siódmej, kiedy trochę się ochłodziło i powiał lekki wietrzyk z północy, Dan zapakował Rexa i Sherlocka do bagażnika swojego SUV-a.

– Nie idziemy na spacer? – zdziwiła się Tracy.

– Myślę, że są jeszcze obolałe po tamtym bieganiu. Wiem, bo mnie też wszystko boli.

– Nie wyglądają na obolałe.

Rex i Sherlock aż pojękiwały z podniecenia, skakały i kręciły się w kółko z wywalonymi jęzorami.

– Bo mogą biegać tak długo, aż padną – powiedział Dan. – Kawalek podjedziemy i potem przejdziemy się po plaży. Chciałbym dojść do latarni.

– Niech ci będzie – rzuciła Tracy, sadowiac się na miejscu pasażera.

Dan zjechał ze wzgórza. Z powodu trudności z parkowaniem w lecie zwykle trzymali się wydzielonego środkowego pasa, dziś jednak ruszył wzdłuż ciągu sklepów i restauracji ku latarni morskiej.

– To w końcu bierzemy psy na spacer czy na przejażdżkę? – spytała Tracy.

Skreślił w prawo na parking osiedla ciągnącego się aż po latarnię morską Alki Point. Wjazd był zamknięty przesuwaną bramą na kółkach, a napis na wielkiej tablicy głosił, że parking jest tylko dla mieszkańców i nieuprawnieni użytkownicy będą karani.

– Tu jest zamknięte – rzuciła, nie bardzo rozumiejąc, na co Dan liczył.

– No to zobaczmy, czy nie uda się jakoś wjechać – mruknął.

– Czy próbujemy dać się aresztować, żeby dodatkowo urozmaicić sobie dzień? – spytała.

Tabliczki na parkingu ostrzegały, że samochody pozostawione bezprawnie na miejscach zarezerwowanych dla mieszkańców zostaną odholowane.

– Nigdy tu nie byłem i chcę się tylko rozejrzeć. Najwyżej każą nam odjechać. – Dan wysiadł i otworzył klapę bagażnika; psy radośnie wyskoczyły i pobiegły za nim do bramy. Pociągnął i brama przesunęła się w lewo.

– No proszę, już otwarte – powiedział.

– Nie, jest zamknięte – burknęła, nie ruszając się z miejsca. – To ty ją otworzyłeś.

– Chodź, tylko się rozejrzemy. Jakby chcieli, żeby nikt tu nie wjeżdżał, zamknęliby bramę na kłódkę.

– Koniecznie chcesz, żeby nas aresztowali?

– Nie bądź taką marudą.

– Czy ja niedawno nie słuchałam przypadkiem pouczeń, że nie powinnam robić tego, co może mnie wpędzić w kłopoty?

– To było co innego. Tamto groziło ci utratą pracy. Co nam mogą zrobić za to, że się rozglądamy?

– Aresztować. Oskarżyć o terroryzm. Wysłać do Guantanamo. Poddać podtapianiu.

– Nie wygłupiaj się – prychnął i ruszył wzdłuż uliczki.

– Dobra. – Tracy otworzyła drzwi i wysiadła. – Rozumiem, że idziemy na całość.

Zasunęła za nimi bramę i podbiegła, by go dogonić. Wyłożona płytami dróżka biegła między dwoma domami – białymi

z czerwonymi dachami i drewnianymi gankami – które wyglądały jak z filmu z lat pięćdziesiątych. W „Seattle Times” ukazał się niedawno artykuł z okazji setnej rocznicy budowy latarni morskiej, w którym była mowa o dwóch domach tuż przy plaży zamieszkiwanych przez starszych rangą funkcjonariuszy straży przybrzeżnej. Kawałek dalej minęli zabudowania gospodarcze – również białe z czerwonymi dachami – od których wysypana białym żwirem dróżka wiodła wprost do latarni stojącej na końcu cypla wyznaczającego południowy przesmyk między cieśniną Puget i Zatoką Elliotta.

Tracy szła za Danem po chrzęszczącym żwirze, niemal oczekując, że za chwilę wyskoczą uzbrojeni strażnicy i każą im paść na ziemię. Drzwi do latarni były otwarte i Dan wszedł do środka. Tracy podążyła za nim. W pomieszczeniu na dole urządzono muzeum, w którym rozwieszono fotografie i rozłożono elementy dawnego wyposażenia latarni. Dan bez wahania skierował się ku wąskim kręconym schodkom i zaczął się nimi wspinać. Tracy, chcąc nie chcąc, poszła za nim. Uznała, że skoro dotarła już tak daleko, może równie dobrze iść dalej. Do komory lampowej prowadziła metalowa drabinka i dla Rexa i Sherlocka potrzebny by był dźwig towarowy.

– Leżeć – rozkazał Dan i wszedł na drabinkę, Tracy posłusznie poszła w jego ślady.

Oba psy zadarły łby i Rex zaczął cicho skomleć.

– Cisza – rzucił Dan.

Wspinając się po drabince, Tracy widziała tylko nogi Dana, który wypełniał sobą cały prześwit i dopiero gdy zniknął we włazie, zauważyła, że komora lampowa jest skąpana w złocistym blasku. Dotarła do końca drabiny, Dan podał jej rękę i pomógł przejść przez właz. Znalazła się w ciasnym ośmiokątnym pomieszczeniu z lampą w środku, ale złocisty blask nie pochodził od lampy, która jeszcze się nie świeciła. Brał się z dwunastu migocących świec, które rozświetlały dywan z czerwonych róż. Promienie zachodzącego za oknami słońca odbijały się w wodach zatoki niczym tysiące diamentów.

Poczuła, jak miękną jej kolana, a oczy napełniają się łzami. Ani na moment nie puszczaając jej ręki, Dan uklęknął na jedno kolano, sięgnął do kieszeni szortów i wyciągnął czarne pudełeczko.

– O Boże – jęknęła Tracy, czując, jak łzy zaczynają płynąć ciurkiem po policzkach.

– Tracy Ann Crosswhite... – Otworzył pudełeczko i wyjrzał z niego pierścionek z dużym brylantem.

Zaczęła gwałtownie dyszeć, nie mogła nabrać powietrza do płuc. Zakryła usta dłonią.

– Wyjdiesz za mnie?

* * *

Siedzieli przy stoliku w ich ulubionej włoskiej knajpce przy Beach Drive, kawałek na południe od końca cypla. Przez okna wpadały promienie zachodzącego za wyspami słońca, a w dali widać było Góry Olimpijskie. Czerwone róże zebrane w ogromny bukiet stały w wazonie pośrodku stołu, ale Tracy nie mogła oderwać wzroku od pierścionka zdobiącego jej lewą dłoń i od mężczyzny, który go na nią włożył.

– Jest taki piękny – powtarzała. – Wszystko jest takie piękne. Jak ty to zrobiłeś?

– No cóż... Żeby nie zaczynać naszego związku od kłamstwa, przyznam się, że w ogóle nie byłem dziś w pracy.

– Tak się domyśliłam. Ale jak ci się udało załatwić zgodę na wejście do latarni?

– Znajomy pracuje w straży przybrzeżnej i ma dobre układy z szefostwem. Umówił się z jednym ze strażników, że ten zostawi niezamknięty wjazd na parking, a po zamknięciu latarni dla zwiedzających przyjdzie i rozrzuci na górze kwiaty. Zadzwoiłem do niego i poprosiłem też o rozstawienie świec. Paru osobom jestem winien po butelce dobrego wina. To jak? Dobrze się sprawiłem?

Swoim pomysłem kompletnie ją oszołomił. Myślała o tym, że mogliby się pobrać, ale wyobrażała to sobie jako wspólnie podjętą decyzję i wspólną wizytę w urzędzie. Nie przyszło jej nawet do głowy, że Dan mógłby się po staroświecku oświadczyć, i zrobić to w takim stylu. Nie mogła przestać się uśmiechać. Nie pamiętała, kiedy ostatnio mięśnie twarzy tak ją bolały od uśmiechów.

– Sprawileś się świetnie – potwierdziła.

Poruszyła pierścionkiem w blednącym świetle zachodzącego słońca, wpatrując się, jak diamenty okalające duży centralny brylant iskrzą i połyskują. Za oknem łagodne fale marszczyły wody cieśniny Puget, po której żaglówki ślizgały się z wiatrem lub mozolnie halsowały. Sceneria była wręcz idealna. Cały wieczór był idealny. I wtedy nagle uświadomiła sobie, że z takim zachwytem patrzy niemal dokładnie na miejsce, z którego Kurt Schill wydobył kosz z ciałem Andrei Strickland.

Rozdział 23

W czwartek rano Tracy przysła do pracy zmęczona po źle przespanej nocy. Po kolacji wrócili do domu, kochali się i z zaśnięciem nie było problemu, lecz obudziła się w nocy tuż po trzeciej cała złana potem i z trudem łapiąc oddech – zupełnie jak w czasach, gdy gnębiły ją nocne koszmary w związku z Sarą. Tej nocy jednak senny koszmar nie miał nic wspólnego z siostrą. Tym razem śniło jej się, że siedzi w łodzi Kurta Schilla w cieśninie Puget i ze wszystkich sił ciągnie za linkę na wysięgniku, by wyciągnąć z wody kosz na kraby. Linka zdawała się nie mieć końca i tylko układała się zwój po zwoju wokół jej nóg, aż w końcu kosz wychynał nad powierzchnię wody. Uwiązała linkę do zaczepu i przesunęła się na ławeczce, czując, jak cała łódź się chwieje. Gdy ostrożnie wyciągnęła rękę, łódź jeszcze bardziej się przechyliła, a ona rozczapierzyła palce, by uchwycić krawędź klatki.

Spomiędzy metalowych prętów wyskoczyła dłoń z polakierowanymi paznokciami, chwyciła ją za rękę i wciągnęła w mroczną toń.

Potem przez długi czas Tracy wierciła się na łóżku, nie mogąc usnąć. Roztrząsała w myślach dowody w sprawie Andrei Strickland, uwierało ją też coś z jej nocnego koszmaru, choć nie umiała tego nazwać. Do szóstej rano czytała coś na kindle’u, potem wstała i podała Danowi śniadanie do łóżka, co stanowiło mizerną próbę odwdzięczenia się za wysiłek włożony w organizację wczorajszego wieczoru. Po śniadaniu wstała, ubrała się i pojechała do pracy.

Wysiadła z windy i ze świadomością, że jedyna bieżąca sprawa o zabójstwo została jej odebrana i przekazana do okręgu Pierce, bez pośpiechu ruszyła w stronę swego boksu. Zespół A powrócił do standardowego harmonogramu zajęć: dwa miesiące pracy dziennej, potem miesiąc zmian nocnych. Zajmie się innymi przestępstwami i skupi na tych, które nie były jeszcze gotowe trafić do sądu. Zbliżając się do swojego boksu, poczuła gorzko-słodki aromat kawy i usłyszała rozmowy kolegów zmieszane z głosem prezentera czytającego poranne wiadomości w telewizji. Nastawiona psychicznie na spędzenie poranka na luzie, z tym większym zaskoczeniem ujrzała żółtą karteczkę przyklepioną do ekranu monitora na jej biurku w Byczej Zagrodzie.

*Zgłoś się
do sali konferencyjnej
zaraz po przyjściu.*

Sprawa Strickland już do niej nie należała i znając Nolasca, Tracy czuła, że wymyśli dla niej jakieś gówniane zadanie administracyjne w rodzaju porządkowania pudeł ze starymi aktami, które leżały nietknięte od niepamiętnych czasów, lecz nagle staną się niezwykle pilne.

Żaluzje na szybach sali konferencyjnej były zamknięte i z korytarza nie było widać, co się w niej dzieje. Już miała zapukać w otwarte drzwi, lecz powstrzymał ją widok ludzi siedzących przy stole. W sali najwyraźniej trwała odprawa. Nolasco siedział przy końcu stołu obok swojego bezpośredniego zwierzchnika, Stephena Martineza, zastępcy naczelnika dochodzeniówki; przy drugim końcu, bliżej wejścia, siedzieli Stan Fields i jeszcze ktoś. Tracy bez trudu domyśliła się, że to jego szef. Facet o bladej nalanej twarzy wyglądał na przeświadczonego o swojej ważności i miał taką minę, jakby cisnęły go za ciasne majtki.

Domyślała się, co ich wszystkich tu sprowadziło. Stan Fields widać na nią naskarżył.

– Proszę siadać, detektyw Crosswhite – powiedział ponurym głosem Martinez, wskazując krzesło po dalszej stronie stołu. Najwyraźniej nie do niej należał wybór strony. Nolasco i Martinez znaleźli się po jej prawej, Fields i jego kapitan po lewej. Faz przezwał kiedyś Martineza pitbulem w związku z jego krótkimi nogami i krępy tułowiem. Krótko ostrzyżone szpakowate włosy uwypuklały wystającą szczękę i czujne jasnoniebieskie oczy. Martinez zawsze chodził w mundurze, co pomagało mu w kreowaniu wizerunku sumiennego gliniarza.

Tracy wyczuwała panujące w sali napięcie, jakby najmniejsza iskra mogła doprowadzić do wybuchu zebranego w niej gazu.

Po jej wejściu Fields na moment uniósł wzrok, ona jednak odpowiedziała twardym niechętnym spojrzeniem. Miał na sobie elegancką popielatą koszulę i brązową zamszową marynarkę. Tracy pomyślała, że facet spóźnił się z modą o dobre dziesięć lat.

Gdy usiadła, Martinez skinął głową kapitanowi Nolasco, a ten poprawił się na krześle tak energicznie, że skóra aż zaskrzypiała.

– Detektyw Crosswhite, od razu przejdę do rzeczy. Otrzymałaliśmy skargę od kapitana Jessupa z Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych okręgu Pierce, że ingerowała pani w przebieg ich śledztwa w sprawie Andrei Strickland. Co nam może pani powiedzieć na ten temat?

Tracy z trudem panowała nad sobą, by nie stać się iskrą, która spowoduje wybuch. Była wściekła na Nolasca, który mógł załatwić to po cichu, on jednak postanowił nadać temu rozgłos, by popisać się przed Martinezem. Zwróciła się twarzą do Fieldsa i wlepiła w niego wzrok. Nie zamierzała pozwolić mu chować się za jego kapitanem. Wyraz twarzy Fieldsa w dużej mierze zasłaniały sumiaste siwe wąsy, ale w jego oczach kryła się niepewność jak u uczniaka, który wie, że narozrabiał, i musi jakoś z tego wybrnąć. Jej pierwotna ocena Fieldsa okazała się tylko częściowo trafna. Tak, był seksistowskim, leniwym dupkiem, ale również zakompleksionym, mściwym palantem,

zbyt głupim lub zbyt aroganckim, by docenić to, że wykonała za niego pracę, która mogła mu tylko pomóc w prowadzonym śledztwie. Była gotowa przekazać mu jej wyniki całkowicie bezinteresownie, a on mógł przypisać sobie całą zasługę, cokolwiek się wydarzy. On jednak skierował uwagę na nią, Tracy, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że w ten sposób podkreśla własny brak kompetencji. No to trudno. Skoro on życzy sobie konfrontacji w obecności swojego przełożonego, to ona z przyjemnością uświadomi temu drugiemu, że jego podwładny nie potrafi znaleźć nawet własnego tyłka.

– Co mogę powiedzieć? – powtórzyła. – Mogę powiedzieć, że wczoraj zjadłam lunch ze śledczym Fieldsem i przekazałam mu szereg informacji ważnych dla jego śledztwa.

– Jakich dokładnie informacji? – zapytał Nolasco.

Oczywiście znał już odpowiedź, bo Fields poleciał do swojego kapitana ze skargą zaraz po powrocie do Tacomy, a ten natychmiast zadzwonił do Seattle.

– Przekazałam mu to, czego dowiedziałam się z rozmów z ciotką i dawnym psychoterapeutą Andrei Strickland. Powiedziałam mu również, czego dowiedzieliśmy się od łowcy głów, do którego zwróciłam się z pytaniem, czy ktoś w jego świecie nie poszukiwał Lynn Hoff. – Przeniosła wzrok na Jessupa i dodała takim tonem, jakby się obawiała, że ten nie nadaża za jej wyjaśnieniami: – Jeśli nie wie pan, o czym mówię, bo w aktach detektywa Fieldsa nie znalazł pan wzmianki o tych ludziach, to chętnie panu wyjaśnię.

Policzki Jessupa zapłonęły, a zmieszanie we wzroku Fieldsa jeszcze się pogłębiło.

– Kiedy miały miejsce te rozmowy z ciotką i psychoterapeutą? – spytał Nolasco.

– W ubiegły piątek – odparła Tracy, przenosząc na niego wzrok.

– Czyli po przekazaniu sprawy pod jurysdykcję okręgu Pierce – podkreślił Jessup, w razie gdyby ktoś z obecnych był zbyt głupi, by samodzielnie do tego dojść.

– Tak – potwierdziła.

– Zatem odbyła pani podróż służbową do Los Angeles już po tym, jak policja w Seattle przekazała sprawę Andrei Strickland komuś innemu? – zdziwił się Nolasco.

– Nie, poleciałam do Los Angeles prywatnie i rozmawiałam z ciotką w dniu wolnym od pracy. O istnieniu psychoterapeuty dowiedziałam się dopiero w tej rozmowie. To ciotka Andrei zaaranżowała moje spotkanie z psychoterapeutą i wyraziła zgodę na wgląd w historię choroby siostrzenicy. Na tym polega policyjne śledztwo – dodała, przenosząc wzrok na Jessupa i Fieldsa. – Wszystko to przekazałam śledczemu Fieldsowi.

– Poleciała pani prywatnie? – powtórzył Jessup, nie próbując kryć sarkazmu w głosie.

– Tak jest. Poleciałam do Los Angeles na długi weekend z moim partnerem życiowym. Z własnych pieniędzy opłacałam bilet, hotel i wyżywienie. – Spojrzała na Nolasca. – Skorzystałam z okazji, by zgodnie z pańskim poleceniem odbyć wcześniej umówioną rozmowę z ciotką Andrei Strickland.

– Zgodnie z moim poleceniem? – prychnął Nolasco, mrużąc oczy.

– Tak jest, panie kapitanie. Polecił pan nam dokończyć to wszystko, nad czym pracujemy, i sporządzić pisemne sprawozdanie dla detektywów z okręgu Pierce, tak by nie tracąc ani chwili, mogli przejąć śledztwo. Rozmowa z ciotką Andrei Strickland była wcześniej umówiona telefonicznie, a ponieważ i tak leciałam do Los Angeles, postanowiłam skorzystać z okazji i porozmawiać z nią osobiście.

– No cóż, jak było, tak było – wtrącił Martinez, głośno odchrząkując i przybierając niski i groźny ton czarnego charakteru z komiksu. – W każdym razie pani rozmowa z ciotką dotyczyła zniknięcia ofiary, tak?

– Nie, dotyczyła zabicia ofiary – odparła Tracy spokojnym, zrównoważonym głosem. – Jej zniknięciem zajmowali się detektywi z okręgu Pierce. My prowadziliśmy śledztwo w sprawie zabójstwa.

– I ta rozmowa miała miejsce po tym, jak policja w Seattle oddała już to śledztwo – powiedział Martinez.

– Moja rozmowa z ciotką ofiary? Technicznie rzecz biorąc, tak.

– Czyli stwierdzenie, że pani wyjazd do Los Angeles nie był służbowy, to lekkie nadużycie językowe.

– Rozumiem, że ktoś mógłby tak do tego podejść, ale w moim przypadku tak nie było.

– A jak pani do tego podchodzi, pani detektyw? – warknął Jessup, wyraźnie z trudem panując nad nerwami.

Tracy zdążyła już dojść do wniosku, że czuje do Jessupa taką samą antypatię jak do jego podwładnego, a ponieważ nie był jej przełożonym, nie czuła się w obowiązku mu odpowiadać. Zrobiła to jednak, bo mogła w ten sposób przyłożyć Fieldsowi.

– Podchodzę do tego jak odpowiedzialna funkcjonariuszka policji, która czuje się w obowiązku doprowadzić temat do końca, zgodnie z poleceniem otrzymanym od przełożonego, tak by jednostka przejmująca śledztwo otrzymała komplet informacji potrzebnych do osiągnięcia wspólnego celu, jakim jest ujęcie zabójcy, panie kapitanie.

– Czyli chce pani powiedzieć, że powinniśmy jeszcze pani podziękować. – Jessup uśmiechnął się ironicznie.

– Nie miałabym nic przeciwko temu.

Jessup znów się zaczerwienił i spojrzał przez stół na Nolasca i Martineza, którzy starali się tłumić uśmiechy.

– Zatem dlaczego nie przekazała pani tego kontaktu śledczym z okręgu Pierce, tak by mogli sami się tym zająć? – spytał Nolasco.

– Bo już wcześniej nawiązałam kontakt z ciotką ofiary i uznałam, że wycofanie się z umówionego spotkania byłoby brakiem profesjonalizmu. – Tracy przeniosła wzrok na Fieldsa. – A także dlatego, że detektywi z okręgu Pierce prowadzili to śledztwo od sześciu tygodni, ale z ciotką ofiary nikt dotąd nie rozmawiał.

– To było inne śledztwo – obruszył się Fields. – Chodziło w nim o zaginioną osobę.

– Tyle że sam wielokrotnie stwierdziłeś, że mąż ją zabił – odpaliła Tracy.

– Nie było pewności, że Andrea Strickland została zamordowana – warknął Fields podniesionym głosem.

– A jednak z góry przyjąłeś takie założenie, tym samym zawężając pole poszukiwań. Do tego stopnia, że nigdy nie przesłuchałeś najlepszej przyjaciółki Strickland ani jej ciotki i nawet nie wiedziałeś o istnieniu jej psychoterapeuty ani o tym, że jej przyjaciółka zniknęła mniej więcej w tym samym czasie co ona na Mount Rainier. Gdybyś właściwie wykonał swoją pracę, natknąłbyś się na dowody kierujące śledztwo w zupełnie inną stronę, taką mianowicie, że Andrea Strickland nie zginęła na górze, tylko zeszła z niej cała i zdrowa, a to prawdopodobnie zapobiegłoby...

Fields walnął dłonią w stół i zerwał się z krzesła.

– No tak, świetna jesteś w przewidywaniu przeszłości, Crosswhite.

– Nie chodzi o żadne przewidywanie przeszłości! – odcięła się Tracy, wstając z miejsca i przekrzykując gwar głosów przy stole.

– Gdybyś zrobił, co do ciebie należało, następnym logicznym krokiem byłoby podjęcie poszukiwań Lynn Hoff.

– To tylko twoja opinia! – wrzasnął Fields.

– Nie, to właściwe postępowanie śledcze.

– To nie była już pani sprawa i nie wolno pani oceniać, jak ktoś inny prowadzi śledztwo – wtrącił Jessup, który też się zerwał z miejsca z twarzą czerwoną jak burak. – Nie ma pani prawa krytykować pracy moich ludzi ani wtrącać się do cudzego śledztwa, bo tak się pani podoba. Nie należało w ogóle rozmawiać z ciotką ofiary.

– Niby w jaki sposób przeszkodziło to waszemu śledztwu?

Jessupa na moment zatkało, po czym użył szczeniackiego argumentu ze szkolnej kłótni z gatunku „Bo tak”.

– Bo to już nie było pani śledztwo – prychnął.

Tracy spojrzała na Martineza.

– Przed nikim nie kryłam, że z kimś rozmawiałam. Co więcej, umówiłam się ze śledczym Fieldsem w swoim dniu wolnym od pracy, by móc od razu podzielić się z nim uzyskanymi informacjami. I nie pouczałam go, co ma z nimi zrobić.

– Sam zamierzałem porozmawiać z ciotką i przyjaciółką – wtrącił Fields.

– Nawet nie znałeś nazwiska tej przyjaciółki. W twoich aktach śledztwa nie było słowa o ciotce i przyjaciółce.

– Dość tego – uciął cichym, lecz zdecydowanym tonem Martinez. – Siadajcie wszyscy. – Odczekał chwilę, aż złapią oddech, po czym zapytał: – Czy sporządziła pani raporty z rozmów z ciotką i psychoterapeutą?

– Tak. Miałam je przekazać dziś rano.

– Chcemy też dostać raport z rozmów z tym łowcą głów – dodał Fields.

Martinez spojrzał pytająco na Tracy.

– Przekażę treść, ale nie zdradzę żadnych nazwisk – odparła. – Nie mogę tego zrobić.

– Nie może pani czy nie chce? – burknął Jessup.

Tracy znalazła się w trudnym położeniu. Jeśli powie „nie mogę”, wyciągną z niej, że to nie ona rozmawiała z łowcą głów, tylko Faz.

– Uzyskane informacje miały charakter poufny. Nie ma znaczenia, od kogo pochodzą. Liczy się treść.

– To od nas zależy, co ma znaczenie, a co nie – rzucił Jessup i spojrzał na Martineza. – Chcemy znać to nazwisko.

Martinez miał opinię lojalnego szefa, który zawsze staje po stronie swoich ludzi, i to do niego Tracy skierowała następane słowa:

– Nie chcę spalić naszego źródła informacji dla śledztwa, które już do nas nie należy.

– Jeszcze o tym porozmawiamy – powiedział Martinez. – Coś jeszcze? – Nikt się nie odezwał, więc wstał od stołu. – W takim razie zechcą panowie nam wybaczyć.

Jessup i Fields wstali, podali przez stół ręce kapitanowi Nolasco i Martinezowi, obrzucili Tracy nienawistnymi spojrzeniami i ruszyli do drzwi. Nolasco i Martinez ponownie usiedli.

– Do południa oba raporty mają być na biurku kapitana – oświadczył Martinez. – I chcę dostać raport z rozmów z łowcą głów, łącznie z nazwiskiem. To my zdecydujemy, czy przekazać je dalej, bo to już nie pani sprawa.

– Mogę im dać wszystko, co mam, panie naczelniku, ale nie nazwisko.

– To nie prośba, pani detektyw, to polecenie służbowe. Chcę także, aby pani ustnie poinformowała kapitana Nolasco o wszystkich podjętych przez panią działaniach, łącznie z datami, godzinami i nazwiskami. Chcemy wiedzieć o wszystkim, czym się pani zajmowała w ramach tego śledztwa od przejęcia jurysdykcji przez okręg Pierce.

– Czy powinnam zwrócić się o pomoc do radcy prawnego naszego związku zawodowego? – spytała.

– To już zależy od pani. – Martinez wstał i odsunął krzesło. – Osobiście uważam, że wykonała pani dobrą policyjną robotę i nie mam z tym problemu. – Po twarzy przemknął mu cień uśmiechu, ale szybko zniknął i Martinez wyszedł z sali.

Nolasco nie ruszył się z miejsca.

– Nie potrafisz nie wdeptywać w gówno, co? – prychnął.

– Proszę wybaczyć, kapitanie, ale czasami, jak się chce postąpić słusznie, trzeba wdepnąć w gówno.

– No cóż, rzeczywiście masz do tego wyjątkowy talent. – Włożył na nos okulary, wziął do ręki długopis i wlepił wzrok w notatnik. – Kto jeszcze wiedział, że wciąż ciągniesz to śledztwo?

Tracy pokręciła głową.

– Nikt.

– Nikt? – Wpatrywał się w nią znad okularów.

– Robiłam to w dniu wolnym od pracy. Nie dzielę się z kolegami z pracy tym, co robię w wolne dni. Nikogo nie

obchodzi, czym się wtedy zajmuję.

– O tym zdecydują już ludzie z Biura Odpowiedzialności Zawodowej. A co z tym łowcą głów?

– Co mianowicie?

– Wygląda mi to bardziej na Faza niż ciebie.

Tracy wzruszyła ramionami.

– Nie tym razem. Moje śledztwo, mój kontakt.

– Muszę znać jego nazwisko.

– Nie podam go, nie mając gwarancji, że ci z okręgu Pierce go nie rozgłoszą i przez swój brak kompetencji nie spalą doskonałego źródła informacji.

– To nie twoja sprawa. – Nolasco odłożył długopis i odchylił się na oparcie krzesła. – Mogę ci zadać prywatne pytanie poza protokołem?

Znowu wzruszyła ramionami.

– Dlaczego ty to robisz? – rzucił Nolasco.

Tracy przypomniały się słowa Penny Orr: Bo Andrea Strickland dość się wycierpiała za życia i nie ma powodu, by miała cierpieć też po śmierci. Ktoś ją zabił i wpakował jej ciało do pułapki na kraby, a ci dwaj klauni, którzy przed chwilą stąd wyszli, nigdy nie dojdą prawdy.

– Chcesz wiedzieć, co o tym myślę? – spytał.

– Nie bardzo.

Uśmiechnął się.

– Więc dam ci profesjonalną radę jako twój przełożony, bo włączę ją też do mojej opinii dla BOZ-u. – Na moment zawiesił głos, po czym ciągnął: – Ta praca jest wystarczająco trudna nawet bez osobistego zaangażowania. A ty się angażujesz i to musi się odbić nie tylko na tobie, ale także na otoczeniu. Jak myślisz, dlaczego jestem dwukrotnie rozwiedziony?

Istotniejsze pytanie, jakie często sobie zadawała, brzmiało: Dlaczego jakaś kobieta w ogóle zdecydowała się za niego wyjść.

– Dlaczego według ciebie tak wiele osób w tym zawodzie się rozwodzi? – kontynuował. – Myślisz, że w trakcie mojej kariery policyjnej nie miewałem okazji do osobistego stosunku do

sprawy, kiedy za mocno się angażowałem i płaciłem za to psuciem relacji małżeńskich i z dziećmi? Nie jesteś jedyną policjantką, która się przejmuje. Tobie może się tak zdawać, ale tak nie jest. Ludzie wokół ciebie nauczyli się zamykać w sobie i odcinać. Jeśli ty się tego nie nauczysz, w końcu wyrządzisz krzywdę sobie i swoim najbliższym.

Tracy nie odpowiedziała, bo słowa Nolasca po raz pierwszy brzmiały sensownie. Po raz pierwszy musiała się z nim zgodzić. Pomyślała o Danie i pierścionku na swoim palcu. I o dziecku w wózek, może małej dziewczynce.

– Kiedy prowadzę jakąś sprawę, to za nią odpowiadam – odezwała się cicho.

– Ale ty jej nie prowadziłaś – odparł Nolasco równie cichym tonem. – Już nie.

– To była moja sprawa i powinna była zostać moja. Zwłoki znaleziono na naszym terenie, pod naszą jurysdykcją. Nie należało jej oddawać.

– Wiem, co myślisz: że o was nie walczyłem. A ja nie będę tracił czasu na przekonywanie cię, że było inaczej. To nie była ani twoja, ani moja decyzja. Czasami trzeba zagryźć zęby i robić, co ci każą.

– Jak myślisz, dlaczego ludziom z Pierce tak zależało, by odzyskać tę sprawę? – spytała.

Nolasco wyglądał na zaskoczony tym pytaniem.

– Bo to od początku była ich sprawa, bo poświęcili jej czas i wysiłek.

– A może doszli do wniosku, że sprawa wzbudzi duże zainteresowanie i będą mogli wypłynąć na niej na szersze wody, czego tak bardzo im brakuje.

Mina kapitana świadczyła o tym, że w ogóle o tym nie pomyślał i zaczyna żałować, że oddał tę sprawę.

– Ale to już nie ma znaczenia – dodała Tracy. – Teraz to już od nich zależy, co z tym zrobią.

* * *

Tracy przekazała kapitanowi Nolasco dodatkowe informacje dla Martineza i nim wróciła do swojego boksu, wśród kolegów w wydziale już rozeszły się plotki, że jest jakiś smród. Zapewniła, że spotkanie było poświęcone gładkiemu przekazaniu śledztwa do okręgu Pierce; nikt jej nie uwierzył, ale wszyscy zrozumieli, że nic więcej z niej nie wyciągną.

Chwilę potem zaproponowała Kinsowi, Fazowi i Delowi, by na chwilę wyszli z nią na dwór. Poprowadziła ich za róg budynku na patiu częściowo osłoniętym występem elewacji, gdzie po kilku marmurowych stopniach ciurkała udająca strumyk woda, i dopiero tu poinformowała ich o przebiegu spotkania w sali konferencyjnej.

– Nie chcę, żebyś brała na siebie odpowiedzialność za moje pomysły – powiedział Faz.

– Za nasze pomysły – poprawił go Del.

– To było na moje polecenie – przypomniała im Tracy.

– Gówna prawda – parsknął Faz. – Nikt mi nie może polecić czegoś, czego nie chcę zrobić.

– Jesteśmy już dużymi chłopcami – dodał Del. – I siedzimy w tym dłużej od ciebie. Nie mogą nas wszystkich zawiesić.

– Słuchajcie, doceniam wasze wsparcie, ale to ja zdecydowałam o wyjeździe i spotkaniu z ciotką ofiary, zdając sobie sprawę z możliwych konsekwencji.

– Co za palant z tego Fieldsa! – burknął Kins.

– Mówiłam ci, że mi się nie podoba – przypomniała mu Tracy.

– Zadzwoń do Nika i powiem mu, co się stało. Dowie się o nazwisko tego kolesia, z którym rozmawiał – zaproponował Faz. – Nie możesz się narazić na zarzut niewykonania polecenia służbowego. Oskarżyliby cię o niesubordynację, a w ich pojęciu to poważne wykroczenie. Cała reszta to bzdury. BOZ trzepnie cię po ręce i na tym się skończy. Może nawet nie trzepnie.

– Doceniam twoją troskę, Faz.

– Kurczę... Co to jest? – Kins podszedł bliżej. – Masz na palcu pierścionek? – Ujął jej dłoń. – I to prawdziwy brylant!

Tracy uniosła rękę.

– Wczoraj wieczorem Dan mi się oświadczył.
– No i najwyższa pora – zauważył Del.
– A ty następnego dnia rano musiałaś się taplać w tym gównie? – nie mógł uwierzyć Kins.
– Jest, jak jest. – Tracy wzruszyła ramionami, czując zaskakujący spokój, nawet na myśl o Fieldsie.
Może wciąż jeszcze żyła wspomnieniem najpiękniejszego wieczoru w jej życiu, a może perspektywą poślubienia Dana. A może był to efekt rozsądnych słów z ust człowieka, po którym najmniej by się ich spodziewała. Raz w życiu Nolasco miał rację. Może powinna się nauczyć wyłączać z pracy. Może za dużo myśli o sobie. Bo rzecz nie dotyczy już tylko jej. Jej decyzje będą miały także wpływ na Dana, a być może również na ich dzieci.

* * *

Resztę dnia Tracy spędziła na zajmowaniu się zwyczajnymi przestępstwami przeciwko mieniu i zdrowiu. W końcu wyłączyła komputer i odsunęła się od biurka.

– Jedziesz do domu? – spytał Kins.
– Tak. Pomyślałam, że dla odmiany ja coś upichcę dla Dana.
– Rozmawiałem z Shannah. Chcemy zaprosić ciebie i Dana na uroczystą kolację.
– Mam lepszy pomysł – wtrącił Faz, wstając z fotela i wkładając marynarkę. – Wieczór na zaproszenie niższej podpisanego i najlepszej włoskiej kucharki na świecie, czyli mojej żony.
– Jestem za – wtrącił bez wahania Del. – Vera coś ugotuje?
– Brzmi wspaniale – powiedziała Tracy. – Ale może powinienes ją uprzedzić?
– Żartujesz? Jedyne, co Vera kocha bardziej od gotowania, to dzielenie się jedzeniem z przyjaciółmi. Co powiesz na jutro wieczór?
– Jutro mam wolne, ale pozwól, że spytam Dana.
– Ja jutro mogę – oznajmił Kins.

– Na jedzenie Very mogę każdego dnia – dodał Del.

Tracy wróciła do domu okrężną drogą, bo chciała zrobić parę zdjęć latarni Alki Point i restauracji, w której wczoraj jedli. Chciała mieć na pamiątkę fotografie miejsc, w których Dan się jej oświadczył, a wczoraj zostawiła telefon w domu, bo myślała, że idą tylko na spacer z psami.

Zatrzymała się pod restauracją i zrobiła kilka ujęć z chodnika. Wsiadając do pick-upa, zauważyła w zatoce aluminiową łódź i to jej przypomniało o Kurcie Schillu. Chłopak musiał przeżyć chwilę największej grozy w życiu, gdy z jego kosza na kraby wyrzała ludzka ręka.

To z kolei przypomniało jej niedawny sen i nagle to coś, co ją uwierało w jego treści, walnęło w nią jak obuchem.

Rozdział 24

Zespół A spotkał się następnego wieczoru w domu Faza w Green Lake – zamieszkaney przez klasę średnią dzielnicy Seattle na północ od centrum, której nazwa brała się od ciągnącego się pośrodku naturalnego jeziora. Faz wyznał kiedyś Tracy, że w latach siedemdziesiątych pożyczyci od rodziców Very trzydzieści tysięcy dolarów jako udział własny i wzięli kredyt na zakup piętrowego domu o powierzchni stu osiemdziesięciu pięciu metrów kwadratowych, po czym gwałtowny skok oprocentowania w latach osiemdziesiątych omal nie doprowadził ich do bankructwa. Teraz jednak, dzięki szybkiemu wzrostowi cen nieruchomości w rejonie Seattle, Faz liczył na to, że aktualna wartość domu sfinansuje ich życie na emeryturze.

Drugą poza gotowaniem pasją Very był ogród. Urządziła go w stylu angielskim, z kamiennymi ścieżkami, krzakami pnących róż i innych pnących roślin oraz bogactwem roślin wieloletnich, które wzbudziłyby zazdrość u angielskiej królowej. Tracy nigdy wcześniej nie widziała tego ogrodu, ale Faz często się nim chwalił, podkreślając, że jego główną zaletą jest to, że nie musi kosić trawnika.

Vera uległa namowom Dela i przygotowała swą popisową potrawę, lasagne. Cała siódemka – Del był rozwodnikiem – zasiadła wokół prostego stołu w jadalni pod żyrandolem zwisającym z belkowanego sufitu. Tracy trochę się obawiała, że Dan poczuje się obco w towarzystwie trzech gliniarzy i ich małżonek, ale rozmowa przy stole rzadko zbaczała na tematy zawodowe. Chianti i merlot lały się obficie, a boazeria z ciemnego drewna i bordowe zasłony na oknach dodatkowo

kojarzyły się Tracy z wnętrzem domu na włoskiej prowincji. Spodziewała się zastać Verę zdyszana od przygotowań dla tylu osób, lecz ze zdumieniem stwierdziła, że to Faz zajmował się wieloma sprawami: podawaniem do stołu i dolewaniem wina do kieliszków z białą serwetką przewieszoną przez prawą rękę. Widać było, że jest dumny z żony i domu i uważa za przywilej, że może ich wszystkich gościć.

Nie usiadł nawet wtedy, gdy na talerzach znalazły się duże porcje lasagne, sałata i kawałki pieczywa czosnkowego.

– Mógłbyś już usiąść, Fazzio – rzucił Del. – Czuję się jak pies, który dostał kość i nie może zacząć jej obgryzać.

– Zaczekaj. Zaczekaj. Vera i ja chcemy najpierw coś zrobić – oznajmił Faz i zwrócił się twarzą do Tracy i Dana. – Kiedy się pobieraliśmy, ojciec Very udzielił nam błogosławieństwa i my chcemy je teraz przekazać wam.

Vera sięgnęła za siebie i wzięła do ręki koszyk z bochenkiem domowego chleba, szklaną solniczką i butelką wina.

– Chleb jest po to, byście nigdy nie zaznali głodu – powiedziała. – Sól, by w waszym małżeństwie nie zabrakło smaku. Wino, byście zawsze mieli co świętować.

Faz uniósł kieliszek, oczy mu zwilgotniały.

– Obyście przeżyli wiele lat razem i niech Bóg błogosławi was szczęściem i dostatkiem. Za pomyślność!

Wszyscy unieśli kieliszki i spełnili toast. Kins też musiał wytrzeć oczy serwetką.

– Popatrzcie na tych groźnych detektywów od zabójstw, jak im się oczy pocą! – zawołała Shannah, choć sama też wycierała kąciki oczu.

Tracy odsunęła krzesło i wstała.

– Ryzykując tym, że Del umrze z głodu... – zaczęła.

– Mów, mów – przerwał jej Del z uśmiechem.

Zaczerpnęła powietrza, walcząc z emocjami wywołanymi przez wydarzenia dwóch ostatnich dni.

– Jak wszyscy wiecie, w bardzo młodym wieku straciłam całą najbliższą rodzinę. Wiele lat przeżyłam sama i często czułam się

samotna, aż w końcu trafiłam na szóste piętro. Byliście dla mnie jak rodzina i przyjęliście mnie jak członka rodziny. Nie wiem, gdzie bym teraz była, gdybym nie miała was. Dlatego chcę wznieść toast i powiedzieć po prostu: „Dziękuję”.

Przez chwilę wszyscy milczeli. W końcu Vera uniosła kieliszek i zawołała:

– Za pomyślność!

– Za pomyślność – powtórzyli inni.

– Możemy już zacząć jeść? – jęknął Del, co wywołało wybuch śmiechu.

Zjedli wszystko, co Vera i Faz postawili na stole, a było tego całkiem sporo. Gdy dotarli w końcu do deseru – domowych cannoli – Tracy nie była już w stanie nic przełknąć.

– Dziękuję. Dzióbnę tylko kawałek z porcji Dana – powiedziała, gdy Faz wręczył jej talerzyk.

– Radzę ci się do tego przyzwyczać, Dan – parsknął Faz. – Najpierw ci powie, że tylko dzióbnie, a potem zje ci cały deser.

– Kiedy ci zjadłam cały deser? – oburzyła się Vera.

– Żartujesz chyba. Ile razy słyszałem „Tylko spróbuję” i nim się obejrzałem, mój talerzyk był pusty. W zeszłym tygodniu zamówiłem tiramisu. Udało mi się zjeść łyżeczkę.

– Tiramisu to mój ulubiony deser – przyznała się Vera, mrugając porozumiewawczo do Dana. – Kto ma ochotę na kawę?

– Pomogę ci zebrać ze stołu – zaofiarowała się Shannah.

– Ja też – dołączyła do niej Tracy, ale Dan ją ubiegł.

– Ja to zrobię – rzucił. – Ty pogadaj sobie z przyjaciółmi.

Vera gwizdnęła z uznaniem.

– Podoba mi się twój chłop, Tracy. Mężczyzna, który pomaga w kuchni, zwykle jest jeszcze lepszy w łóżku – powiedziała, wywołując kolejny wybuch śmiechu.

Gdy zostali w czwórkę, Tracy potoczyła wzrokiem po kolegach.

– Bardzo mi się nie chce rozmawiać o pracy, ale coś się wydarzyło.

– Mam nadzieję, że nie rezygnujesz z pracy – zaniepokoił się Kins.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Nie, skąd! Skąd ci to przyszło do głowy?

– Hm... wiem, że Dan dobrze zarabia i nie musiałabyś się dłużej zмагаć z tym całym szajsem.

– Nigdzie się nie wybieram. Chodzi o Andreę Strickland.

– Co się stało? – spytał Faz.

– Myślę, że to nie ona była w koszu na kraby.

Całą trójkę wręcz zatkało.

– Dlaczego nie? – bąknął Kins. – To kto w nim był?

– Kiedy pierwszy raz przyjechałam w tej sprawie na plażę, chłopak, który wyciągnął kosz...

– Kurt Schill – przypomniał jej Kins.

– Właśnie, Kurt Schill. Powiedział, że pomyślał, że w koszu jest ciało kobiety, chociaż widział tylko fragment ręki. Spytałam go wtedy, na jakiej podstawie tak myśli, a on wyjaśnił, że zobaczył pomalowane paznokcie.

– Na jasnoniebieski kolor – dorzucił Kins.

– Tak. Ale od ciotki Strickland dowiedziałam się, że Andrea nałogowo obgryzała paznokcie, często aż do krwi.

– Mogła mieć tipsy – zauważył Faz. – Albo przestała obgryzać.

Tracy pokręciła głową.

– Pytałam o to Funka. Paznokcie były prawdziwe. A jeśli spotkałeś kogoś, kto nałogowo obgryza paznokcie, to wiesz, że to równie trudno rzucić jak palenie.

– Miałem ciotkę, która nałogowo obgryzała – powiedział Del. – Skończyło się na tym, że ukruszyła sobie przedni ząb.

Wszyscy zamilkli, przetrawiając w myślach ten nowy szczegół.

– No to jak nie Strickland, to kto tam mógł być? – odezwał się Kins.

– Myślę, że ta jej przyjaciółka, Devin Chambers. Zniknęła w tym samym czasie co Andrea, były podobnego wzrostu i wagi ciała, miały podobny kolor włosów.

- Cholera – zaklął Del. – To strasznie wszystko komplikuje.
- Nic jeszcze nie wiemy na pewno – zastrzegł Faz. – Ale jeśli tak, to co? Czy to znaczy, że trup Andrei Strickland jednak leży gdzieś na tej górze?
- Tego nie wiem – przyznała Tracy.
- Myślisz, że to jej mąż zabił Chambers? – zapytał Del.
- Za wcześniej, żeby coś powiedzieć. Na razie wiemy tyle, że kobieta w pułapce zmieniła sobie wygląd i zrobiła to za pieniądze z konta. Jeśli Chambers wiedziała o istnieniu pieniędzy, to by tłumaczyło, dlaczego chciała zmienić wygląd.
- Czyli co? Ona i mąż są w zмовie, po czym on ją robi w konia i zabija? – spytał Del.
- To możliwe – potwierdziła Tracy. – Jeśli skorzystał z usług prywatnego detektywa do odszukania jej, wyjaśniałoby to, dlaczego podał mu nazwisko Devin Chambers i zlecił wytropienie jej, a także to, dlaczego zmieniła wygląd i najwyraźniej starała się ukryć.
- Bo chodziło jej o pieniądze – skonstatował Del.
- Ucieczka nie była konieczna, żeby je zdobyć – powiedziała Tracy. – Jeśli to ona jest kobietą w pułapce na kraby, musiała znać fałszywe imię i nazwisko Strickland: Lynn Hoff. Wiedziała, że konta bankowe są na to nazwisko i znała hasła. Musiała uciekać z jakiegoś innego powodu.
- Bała się, że mąż Strickland ją zabije – podrzucił Faz. – To musiało być to.
- Może. – Tracy pokiwała głową. – Ale pamiętaj, że Andrea Strickland zwierzyła się swojej szefowej, że podejrzewa męża o następny romans. A jeśli miał go właśnie z Devin Chambers?
- Zdawało mi się, że były przyjaciółkami – wtrącił Kins.
- No właśnie. A jeśli Andrea Strickland odkryła, że najlepsza przyjaciółka sypia z jej mężem? Psychoterapeuta, z którym rozmawiałam, twierdził, że miała skłonności do mściwych zachowań, być może nawet gwałtownych. A jeśli ofiara wcale nie jest ofiarą? Jeśli to ofiara jest zabójcą?

Znów wszyscy się zamyślili nad możliwym znaczeniem słów Tracy.

– Tylko że to już nie jest nasza sprawa – przypomniał po chwili Faz.

– I jeżeli teraz zwróciłabym się do Fieldsa, zwłaszcza bez konkretów, znów poleciałby na skargę do swojego szefa, że mu po raz kolejny ukradłam zabawki z piaskownicy – powiedziała Tracy.

– Czyli musimy mieć pewność – skonkludował Kins.

– Funk pobrał z ciała próbkę DNA, a Melton przepuścił ją przez CODIS. – Tracy mówiła o Mike’u Meltonie, szefie laboratorium kryminalistycznego stanu Waszyngton. Poprzedniego wieczoru obmyśliła sposób, w jaki mogą uzyskać pewność.

– Czyli mają jej profil w systemie – zauważył Faz.

– A Strickland ma ciotkę w San Bernardino – dodała Tracy.

– A siostra Chambers mieszka gdzieś w New Jersey – przypomniał Faz, prostując się na krześle wyraźnie podniecony.

– Cholera, może nam się udać. Melton sprawdzi DNA?

– Jeśli uda nam się uzyskać próbki od ciotki i siostry, możemy je wysłać do prywatnego laboratorium – powiedziała Tracy.

– Mam wujka, który przez czterdzieści pięć lat służył w Trenton – wtrącił Faz. – Mogę go poprosić o przysługę.

– A ja zaprzyjaźniłam się z ciotką – dodała Tracy.

– Hm... ale i tak musiałabyś namówić Mike’a, żeby przekazał profil DNA ofiary prywatnemu laboratorium badawczemu – powiedział Del.

Tracy pokręciła jednak głową.

– Nie, wystarczy, jak przekaże go mnie, a ja go wyślę do laboratorium.

– Tylko co dalej? – Kins się zasępił. – Bo założmy, że wynik testu potwierdzi, że ofiarą nie jest Strickland, tylko Chambers. I co wtedy? Co z tym robimy?

– Jeśli zdobędziemy potwierdzenie, że to nie Strickland, tylko Chambers, pójdę do Martineza i Nolasca i ich o tym poinformuję.

– Bez obrazy, Profesorko – Faz użył biurowej ksywy Tracy – ale ta metoda nie dała ostatnio najlepszych rezultatów.

– Jeśli kobieta w pułapce nie jest Andreą Strickland, to sprawa wzbudzi jeszcze większe zainteresowanie mediów. Stanie się ogólnokrajowym newsem. Nie sądzę, by szefostwo było gotowe zrezygnować z rozgłosu, jaki im da opowieść o pełnych zaangażowania detektywach policyjnych, którzy stają na głowie, by rozwiązać tajemnicę strasznej zbrodni. Nie zaryzykują ukarania nas – powiedziała Tracy.

– Zwłaszcza jeśli będziemy mieli rację – dodał Kins. – Piarowo byłoby to samobójstwo.

– A poza tym – Tracy, nie mogąc powstrzymać uśmiechu, obrzuciła kolegów promiennym spojrzeniem – jeśli kobieta w pułapce na kraby nie jest Andreą Strickland, to sprawa nie podlega już jurysdykcji okręgu Pierce.

Kins pokręcił wolno głową i parsknął śmiechem, po chwili dołączyli do niego Faz i Del i wkrótce cała czwórka zaczęła się głośno śmiać.

– Jesteś niesamowita, wiesz o tym? – wydusił Kins. – Kiedy na to wpadłaś?

– Dziś w nocy.

Faz uniósł swój kieliszek porto.

– I co, robimy to? – zapytał.

Del też uniósł kieliszek.

– Kurczę, jasne! Ja w to wchodzę.

– Ja też. – Kins stuknął się kieliszkiem z kolegami. – Jeśli to może przynieść rozgłos, to waszemu uniżonemu słudze bardzo się on przyda.

Tracy popatrzyła na nich, ale nie uniosła kieliszka. Nie chciała narażać przyjaciół na kłopoty przez swoje poczynania.

– Faz, zostało ci niedużo do emerytury. Del, masz alimenty do płacenia. Kins, masz trzech chłopaków.

– Sama powiedziałaś, że jesteśmy jak rodzina. A rodzina tak postępuje – oświadczył Faz. – Jak wpadniemy w szambo, to razem.

Rozdział 25

Uzyskanie próbek DNA okazało się nie tak proste, jak Tracy to sobie wyobrażała. Gdy następnego dnia zadzwoniła do Penny Orr, ta zareagowała na jej telefon z wielką rezerwą.

Wcześniej Tracy dokładnie obmyśliła taktykę rozmowy. Nie mogła przecież powiedzieć tej kobiecie wprost, że siostrzenica, która w jej mniemaniu umarła – i to nie raz, ale dwa razy – może jednak żyć. Nie wolno dawać członkom rodziny fałszywej nadziei, jeśli nie ma się pewności. Tracy wbrew logice i wszelkim znakom na niebie i ziemi przez dwadzieścia lat żyła nadzieją, że któregoś dnia znajdą Sarę żywą i zdrową. Nawet kiedy już rozpoczęła pracę w wydziale zabójstw i wiedziała, że szanse na to, by Sara żyła, są niemal zerowe, z uporem trzymała się myśli, że siostra przezwycięży wszelkie przeciwności losu i jednak się odnajdzie. Tak bardzo, że gdy w końcu znaleziono szczątki Sary, była kompletnie zdruzgotana.

Powiedziała Penny Orr, że chce dokonać stuprocentowej identyfikacji ofiary za pomocą zbadania DNA i do tego celu potrzebuje próbki od jej krewnej.

Ku zaskoczeniu Tracy Orr odniosła się do tej prośby bardzo nieufnie.

– I co musiałabym zrobić? – spytała.

– To zabieg zupełnie nieinwazyjny – wyjaśniła Tracy, podejrzewając, że kobieta wyobraża to sobie jako coś w rodzaju pobrania szpiku kostnego czy krwi. – Wyślę ci zestaw do pobrania próbki razem z bardzo prostą instrukcją. Dołączę też opakowanie zwrotne, tak że będziesz mogła bez niczego mi to

odesłać. – Opakowanie było zaadresowane na prywatną skrytkę pocztową, do której trafiała cała korespondencja Tracy.

Orr westchnęła, wciąż nieprzekonana, i Tracy pomyślała, że zupełnie nie rozumie jej oporów.

– No bo chodzi mi o to, że jak się okaże, że to nie ona – wydusiła w końcu Orr – to znów nie będzie wiadomo, co się z nią stało. A ja nie wiem, czy byłabym w stanie znów przez to wszystko przechodzić.

– Rozumiem, co by to dla ciebie znaczyło – przyznała Tracy. – Ale jeśli to nie Andrea, to znaczy, że jakaś inna rodzina przeżywa taki sam dramat, nie wiedząc, co się stało z ich córką. A oni też mają prawo poznać prawdę.

Argument okazał się trafny, bo po chwili zastanowienia Orr powiedziała:

– No dobrze. To przyślij mi ten zestaw.

Alison McCabe, siostra Devin Chambers, też miała opory, ale i ona w końcu uległa. Kłótnie kłótniami, lecz więzy krwi między siostrami pozostają więzami.

* * *

Kilka dni później próbki DNA obu kobiet dotarły na miejsce i Tracy pojechała z nimi do rozłożystego betonowego baraku przy Airport Way South, w którym mieściło się laboratorium kryminalistyczne stanu Waszyngton. Budynek znajdujący się w przemysłowej dzielnicy na południe od centrum miasta wyglądem przypominał bardziej hurtownię artykułów spożywczych niż siedzibę wyspecjalizowanego laboratorium stanowego, w którym ważyły się losy zabójców, gwałcicieli i innych przestępców.

Mike Melton siedział w swoim gabinecie, tym razem nie śpiewając i nie brzdąkając na gitarze. Gdy Tracy zapukała i otworzyła drzwi, akurat jadł przyniesioną z domu kanapkę, która przypomniała jej kanapki szykowane przez mamę dla niej i Sary – dwie kromki białego chleba, w środku plaster topionego

sera Velveeta i majonez. Na biurku leżało jabłko, otwarta papierowa torebka i stała napoczęta butelka wody.

– Chyba wybrałam nie najlepszy moment – powiedziała Tracy od drzwi.

Melton wykonał zapraszający gest ręką, przełknął jedzenie i przepłukał gardło łykiem wody.

– Właśnie jem spóźniony lunch – wyjaśnił. – Cały dzień spędziłem w sądzie na ostatnich przygotowaniach do procesu Lipinsky’ego.

– Kins twierdzi, że może się zacząć już w przyszłym tygodniu.

– Wszyscy tak mówią. – Melton wytarł serwetką usta ukryte pod gęstym rudobrazowym zarostem, w którym z biegiem lat pojawiała się coraz więcej siwizny. Tracy знаła wyrażenie „niedźwiedzia postura” na określenie zwalistych mężczyzn, ale do Meltona pasowało ono nie tylko z powodu jego gabarytów. Poza brodą, która przy każdym ich kolejnym spotkaniu wydawała się dłuższa i gęściejsza niż poprzednio, Melton miał bujne, zaczesane do tyłu włosy, które sięgały długimi strąkami aż na kołnierz koszuli. Miał też sylwetkę drwala z muskularnymi rękami i wielkimi dłońmi, które wyglądały tak, jakby mogły rozedrzeć książkę telefoniczną, a jednocześnie jego palce były na tyle zwinne, że mógł nimi bez trudu przebierać po strunach gitary. Gliniarze z wydziału zabójstw przezywali go Grizzly Adams, co nawiązywało do jego niezwykłego podobieństwa do Dana Haggerty’ego, gwiazdy serialu *Niedźwiedź pana Adamsa*.

– Wchodź i siadaj – rzucił, okrążając biurko i zrzucając skórzaną torbę z jednego z dwóch krzeseł. Na drugim leżała sterta fachowych książek.

– Lektura dla rozrywki? – zażartowała Tracy.

– Staram się być na bieżąco.

Usiadła, a Melton nie wrócił na swój fotel, tylko przysiadł na krawędzi biurka.

– Słyszałem, że ci z okręgu Pierce odebrali wam sprawę z koszem na kraby.

Melton nie był głupcem i nie plótł byle czego. Był kierownikiem laboratorium kryminalistycznego i miał kilka tytułów naukowych, choć na ścianie gabinetu nie wisiał żaden z jego dyplomów. Zamiast nich wieszał na niej pamiątki z dawnych ciekawych spraw – młotek, piłę, kij bejsbolowy. Wiedział też, że nagłe pojawienie się śledczego w jego gabinecie zwykle znaczy, że czegoś od niego potrzebują.

– To prawda – potwierdziła Tracy. – I zostawili nam parę luźnych nitek, które próbuję powiązać.

– Na przykład? – Wrócił na swoją stronę biurka i wziął do ręki kanapkę.

– Test DNA. Z uwagi na stan zwłok to jedyny sposób na pewną identyfikację.

– Słyszałem, że rodzice ofiary nie żyją i nie miała rodzeństwa – mruknął, odgryzając kawałek kanapki.

– Znalazłam ciotkę w San Bernardino. Siostrę matki.

– Aaa. – Melton odłożył kanapkę i łyknął wody.

Tracy nie wiedziała, jak opakować swoją prośbę, i postanowiła nie bawić się w ceregiele.

– Chcę cię prosić o udostępnienie profilu DNA ofiary, bym mogła go przekazać innemu laboratorium do celów porównawczych.

Oparł się o plecy fotela.

– A co, nie odpowiada ci to, co tu robimy?

– W tej sytuacji byłoby lepiej zlecić to komuś na zewnątrz.

– A co na to Nolasco i Martinez? – spytał, unosząc kąciki ust w lekkim uśmiechu.

– Już słyszałeś?

– Ja zawsze wszystko słyszę. Przecież wiesz.

– Pewnie spodoba im się to jeszcze mniej niż moja rozmowa z ciotką ofiary – przyznała, również się uśmiechając.

Melton na moment się zamyślił.

– No cóż, często wysyłamy profile do innych laboratoriów, kiedy zatykamy się od nawалу pracy. Właściwie przygotowania do procesu Lipinsky'ego zajmują nam tyle czasu, że uznałem, że

dobrze byłoby wysłać ten profil do kogoś innego i przyspieszyć sprawę.

Tracy się uśmiechnęła.

– Dzięki, Mike.

– Nie dziękuj. Po prostu robię, co do mnie należy. Czy byłoby lepiej nie pytać, dlaczego chcesz skorzystać z innego laboratorium?

– Pewnie tak.

– Bo podejrzewasz, że to nie ona? – Melton pokiwał głową. – Podejrzewasz, że to nie ta kobieta, która uciekła z Mount Rainier.

– Jak wspomniałam, w Kalifornii jest ciotka, która chciałaby mieć pewność.

– Czyli... bez trudu będzie można sprawdzić.

Tracy skinęła głową.

– Bez trudu.

Melton znów się zamyślił. Jego podejście było pełne rozwagi.

– No cóż... na tym polega nasza praca, nie? Na ustalaniu faktów tak, by rodziny mogły mieć pewność i ostatecznie zakończyć sprawę.

– Zawsze tak uważałam.

– Czyli porównanie DNA byłoby krokiem na drodze do tego celu, prawda?

– Byłoby, gdyby sprawa nadal do nas należała.

– Może nie należy do was, ale do nas tak. I to ja kieruję tą służbą. – Miał na myśli to, że podlegają mu wszystkie laboratoria kryminalistyczne w całym stanie, łącznie z laboratorium w Tacomie w okręgu Pierce.

– Troszkę się skłóciłam z ludźmi z Pierce – powiedziała Tracy.

– Tak, słyszałem.

– Nie będą zachwyceni, kiedy się dowiedzą, że staram się rozwiązywać ich problemy. Byłoby najlepiej, gdybyś zszedł im z linii strzału.

– A co mi zrobią? – prychnął Melton. – Zwolnią mnie? – Wszyscy wokół wiedzieli, że ze swoją wiedzą i doświadczeniem mógłby od ręki znaleźć dużo lepiej płatną pracę w którymś

z prywatnych laboratoriów. Trzymał się stanowego laboratorium kryminalistycznego z poczuciem obowiązku wobec rodzin ofiar.

– Wolałabym, żebyś nie musiał przeze mnie się narażać.

– Które laboratorium wybrałaś?

– ALS.

Melton skinął głową.

– To dobra firma. Znam Tima Lane’a. Od lat próbuje ściągnąć mnie do siebie. Zadzwoń do niego i powiem, żeby cię odpowiednio potraktowali i docisnęli gaz do dechy.

Tracy wstała z krzesła i wyciągnęła dłoń.

– Jestem ci bardzo wdzięczna.

– Wiem – powiedział, podając jej rękę. – Dlatego to robię.

* * *

Przez resztę tygodnia każde jej wejście do Byczej Zagrody koledzy – w trzyosobowym lub okrojonym składzie – witali z takim oczekiwaniem na twarzach, jakby była położną, a oni przyszłymi ojcami w poczekalni kliniki położniczej, ale Tracy tylko kręciła głową na znak, że z laboratorium jeszcze nie zadzwoniono. I dopiero w piątek, gdy ślęczała nad sprawą zadźganego nożem bezdomnego, zadzwoniła jej komórka. Telefon nie rozpoznał dzwoniącego, ale pierwsze cyfry wskazywały, że to ktoś z Seattle.

– Detektyw Crosswhite? – Słyszając męski głos, poczuła lekki skurcz w żołądku.

– Przy telefonie.

– Mike Melton powiedział, że mam panią odpowiednio potraktować, a zważywszy na jego posturę, wolę mu się nie narażać.

* * *

Biuro ALS mieściło się w Burien, niedaleko siedziby akademii policyjnej w Seattle i pół godziny drogi z komendy. Tim Lane zaproponował, że wyśle wyniki mailem, żeby Tracy nie musiała specjalnie przyjeżdżać, ale ona wolała nie zostawiać śladu w komputerze. Powiedziała, że i tak musi w pobliżu przesłuchać świadka i przy okazji wstąpi do ALS i odbierze wyniki osobiście. Ku zaskoczeniu Lane'a nie chciała też poznać wyników przez telefon, a on nie nalegał. Być może, w chwili gdy do niego dotarło, że dzwoni nie na numer służbowy, tylko na jej prywatną komórkę, wyczuł, że coś jest nie tak.

Wsiedli z Kinsem do jego bmw, rezygnując z samochodu ze służbowej floty. Rzeczywiście mieli świadka do przesłuchania w Des Moines, parę kroków od Burien, i postanowili się z nim spotkać, na wypadek gdyby ktoś chciał im zarzucić, że marnują służbowy czas na sprawę, która już do nich nie należy.

Laboratorium ALS mieściło się w parku biznesowym, w którym poza nim znajdował się browar, siłownia i klub koszykówki. Liczba prywatnych laboratoriów analitycznych ostatnio gwałtownie wzrosła wraz ze zwiększeniem zapotrzebowania na testy DNA na zlecenie ludzi, którzy pragnęli w ten sposób dowiadywać się czegoś więcej o przodkach, swej genetycznej strukturze i szansach, że w przyszłości zachorują na coś, co zagrozi ich życiu.

– A ty już to zrobiłaś? – spytał Kins, parkując na jednym z miejsc zarezerwowanych dla gości ALS.

– Co? Czy zbadalam swój profil DNA? Nie. A ty?

– Też nie. Po co mi to wiedzieć? – rzucił, wysiadając z samochodu równocześnie z nią. – Ojciec mojego taty miał alzheimera. Martwię się tym wystarczająco bez tego, żeby ktoś mi mówił, że mam się tym martwić. Kiedy ogłoszą, że wiedzą, jak to leczyć, będę chciał wiedzieć.

Zeszli się przed maską i razem ruszyli do wejścia.

– A przodkowie i genealogia? Nie jesteś ciekaw?

– Przez całe życie dorastałem w przekonaniu, że jestem Anglikiem, i próbowałem polubić herbatę, pozbawione smaku

mdłe jedzenie i mglistą zimną pogodę. I jak bym się teraz poczuł, gdyby się okazało, że jestem Włochem i całe życie mogłem jeść jak Fazzio? A poza tym wystarczy cofnąć się odpowiednio daleko w przeszłość, żeby wszyscy spotkali się w jednej rodzinie. Bo musiało się zacząć od pierwszej pary, nie?

– Boże, czy to znaczy, że jesteśmy spokrewnieni z Nolaskiem?

– przeraziła się Tracy, otwierając drzwi.

– Jestem pewny, że on jest z rodziny gadów.

Tracy poinformowała recepcjonistkę, że są umówieni z Timem Lane'em, a ta wskazała im miejsca w poczekalni ze świetlówkami na suficie, kafelkami na podłodze i planszami na niebieskich ścianach, prezentującymi bogaty program usług oferowanych przez laboratorium.

– Tu jest jak w przedszkolu, do którego chodzili moi chłopcy – zauważył Kins.

W poczekalni siedziały już dwie pary i Tracy przypomniała sobie, że niektórzy rodzice sprawdzają swoją zgodność genetyczną przed podjęciem decyzji o spłodzeniu dzieci. Chodzi o ustalenie, czy ich potomstwu nie grożą genetyczne zaburzenia w rodzaju dziedzicznej anemii hemolitycznej czy zespołu Downa. U matek w wieku czterdziestu trzech lat istnieje większe prawdopodobieństwo wystąpienia tego typu przypadłości niż u tych młodych.

Drzwi w rogu pomieszczenia otworzyły się i wyszedł z nich mężczyzna z nieco przeredzonymi blond włosami, ubrany w biały fartuch laboratoryjny, spod którego wystawała różowa elegancka koszula z czerwonym krawatem.

– Witam państwa – powiedział, promiennie się uśmiechając. – Jestem Tim Lane. Proszę za mną.

Tracy i Kins ruszyli za nim pokrytym wykładziną dywanową korytarzem i weszli do pustawej salki konferencyjnej z jednym oknem wychodzącym na niegdyś zielony kawałek trawnika, na którym teraz więcej było brązu niż zieleni. Lane podszedł do końca stołu, gdzie leżały dwie kartonowe teczki.

– Mike mnie uprzedził, że mam państwa traktować jak VIP-ów
– oznajmił głębokim barytonem.

– Słyszałam, że próbuje pan go ściągnąć tu do pracy.
W wydziale zabójstw wybuchłaby rewolta – powiedziała Tracy.

– Kiedyś, bardzo dawno temu, pracowaliśmy razem
w laboratorium kryminalistycznym. Ale wytrzymałem tylko pięć
lat.

– Jak pan trafił do sektora prywatnego?

– Skończyłem chemię i poszedłem na studia MBA. Zawsze
byłem dość przedsiębiorczy i chciałem mieć własną firmę.
W związku z rozwojem badań DNA i długich kolejek
w większości dużych miejskich laboratoriów otworzyła się nisza
dla mniejszych firm w rodzaju tej. Byliśmy jednym z pierwszych
prywatnych laboratoriów. Teraz, jeśli wejdzie pani
w Google'a i wpisze „prywatne testy DNA”, będzie pani miała
kilka tysięcy linków.

– Jaką część badań wykonujecie na zlecenie prywatnych
klientów z ulicy?

– Obecnie około sześćdziesięciu procent. Kiedy startowaliśmy,
byliśmy praktycznie doczepką do laboratoriów
kryminalistycznych i zajmowaliśmy się głównie ustalaniem
ojcostwa. Z biegiem lat, dzięki postępowi w technikach badania
DNA i rozwojowi urządzeń analitycznych, laboratoria
kryminalistyczne zaczęły mieć dużo większą przepustowość niż
wtedy, gdy tam pracowałem, i już tak bardzo nie potrzebują
pomocy z zewnątrz. Kiedyś w ogóle przestaniemy być potrzebni.
Pobierzecie próbkę DNA przestępcy, wprowadzicie ją do chmury,
ta przepuści ją przez wszystkie znane bazy danych i w ciągu
paru minut uzyskacie wynik.

Lane usiadł za stołem, Tracy i Kins zajęli miejsca naprzeciwko
niego.

– Mike powiedział, że nie muszę was prowadzić za rączkę,
więc od razu przejdę do meritum, zgoda?

– Oczywiście – rzuciła Tracy.

Lane otworzył pierwszą teczkę.

– Użyliśmy profilu od Mike’a jako odniesienia do porównania profili DNA dostarczonych przez was. Pytanie dotyczące pierwszego brzmiało, czy ta osoba może być ciotką ofiary.

– Zgadza się – powiedziała Tracy.

– Z dużo większym stopniem pewności jesteśmy w stanie ustalić, czy dwie badane osoby są ze sobą spokrewnione – oświadczył Lane, wkraczając na dobrze sobie znany grunt.

Tracy i Kins mieli niejakie pojęcie o testach i analizie DNA, bo zetknęli się z nimi podczas kilku wcześniejszych procesów sądowych, ale Tracy postanowiła Lane’owi nie przerywać. Pamiętała, jak ojciec zabrał ją do sklepu z bronią, by kupić jej pierwszego w życiu sześciostrzałowca, i choć całe życie miał do czynienia z taką bronią, cierpliwie wysłuchał zachwytów sprzedawcy nad zaletami rewolweru, a na końcu podziękował za wyczerpujące informacje. Po wyjściu ze sklepu Tracy spytała taty, dlaczego mu nie przerwał.

„Jak przerywasz człowiekowi mówiącemu o swojej pasji, to tak jakbyś mu powiedziała, że jego pasja jest nieważna. A poza tym jeśli będziesz mówiła zamiast słuchać, nigdy niczego się nie nauczysz”.

– Ale bez próbki DNA przynajmniej od jednego z rodziców – ciągnął Lane – nie możemy mieć stuprocentowej pewności.

– Oboje rodzice nie żyją – bąknęła Tracy.

– I co się udało panu ustalić? – spytał Kins.

– Przeprowadziliśmy statystyczną analizę typowych zgodności występujących w potwierdzonych relacjach ciotka-siostrzenica, co pozwala uzyskać tak zwany współczynnik pokrewieństwa. Wartość tego współczynnika dla biologicznie spokrewnionych ciotki i siostrzenicy przekracza liczbę jeden. I odwrotnie, jeśli nie występuje biologiczne pokrewieństwo, współczynnik ten wynosi poniżej jednego. Im mniej lub bardziej zmierzony współczynnik odbiega od wartości jeden, tym prawdopodobieństwo, że badane osoby są ze sobą spokrewnione, jest większe lub mniejsze.

– A w tym przypadku? – spytała Tracy.

– W tym przypadku współczynnik pokrewieństwa wyniósł dużo poniżej jeden.

Tracy poczuła nagły przypływ adrenaliny, ale wysiłkiem woli zachowała spokój.

– Czyli brak pokrewieństwa, tak? – powiedziała.

– Statystycznie rzecz biorąc, zachodzi małe prawdopodobieństwo pokrewieństwa.

– Powiedział pan: „statystycznie rzecz biorąc” – wtrącił Kins. – Co to znaczy w praktyce? O jakim procentowym prawdopodobieństwie pokrewieństwa mówimy?

– Na tyle małym, że można go pominąć. Jeśli musiałbym wyrazić to liczbowo, powiedziałbym, że na dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięćdziesiąt pięć setnych procent te dwie osoby nie są ze sobą spokrewnione.

Kins spojrzał na Tracy i też powstrzymał się od komentarza, ale znała go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że trybiki w jego głowie aż furczą.

– A test dotyczący siostr? – spytała Tracy.

Lane zamknął pierwszą teczkę, przesunął ją po stole ku Tracy i otworzył drugą.

– W takich przypadkach również zalecaną metodą ustalenia pokrewieństwa biologicznego jest pobranie próbek od rodziców. Testy na ojcostwo i na to, czy dana kobieta jest czyjąś matką, dają zawsze stuprocentowo pewne wyniki. Nie mając takiej możliwości, tu też musieliśmy się uciec do określenia stopnia prawdopodobieństwa. W tym przypadku, bazując na materiale genetycznym dziedziczonym przez siostry, zmierzylśmy tak zwany współczynnik rodzeństwa.

– I co się okazało? – spytała Tracy.

– Wartość współczynnika rodzeństwa zdecydowanie była większa od jeden. Istnieje duże prawdopodobieństwo statystyczne, że te kobiety są rodzonymi siostrami.

* * *

Kins i Tracy wyszli z budynku laboratorium z teczkami pod pachą.

– Nie będę kłamał i przyznam – odezwał się Kins, wkładając na nos okulary, by ochronić oczy przed oślepiającym blaskiem promieni słonecznych – że w głębi duszy miałem nadzieję na odwrotne wyniki.

– Byłoby dużo łatwiej – przyznała Tracy.

– Ale nie tak ciekawie. A pojęcie „łatwiej” jakoś nigdy mi się z tobą nie kojarzyło.

Tracy zatrzymała się przy drzwiach samochodu i dłonią osłoniła oczy od słońca.

– Co to niby miało znaczyć? – burknęła.

Wcisnął przycisk na kluczyku i drzwi odblokowały się z głośnym piknięciem.

– Nie strosz się. Mówię tylko, że jeśli w twojej sprawie coś może pójść źle, to tak jak ostatnio, zwykle idzie źle. Byłoby miło od czasu do czasu dostać łatwą piłkę.

Wsiedli do samochodu i Kins od razu uruchomił silnik, by zadziałała klimatyzacja, ale nie śpieszył się z odjazdem.

– To co się według ciebie stało? – zapytał.

– Myślę, że wdawanie się w spekulacje byłoby błędem. Uważam, że powinniśmy jeszcze raz przeanalizować materiał dowodowy.

– W tej chwili jestem gotów uwierzyć w niemal każdy sensowny scenariusz – powiedział Kins.

– Wiemy już na pewno, że kobietą w koszu na kraby nie jest Andrea Strickland. I że jest nią Devin Chambers.

– Bez wątpienia.

– Wiemy też, że Andrea i Graham Stricklandowie przeżywali małżeńskie i finansowe kłopoty. Firma okazała się totalnym niewypałem i do ich drzwi dobijał się bank, właściciel lokalu i inni wierzyciele wymachujący weksłami, których Strickland nie był w stanie spłacić. Wiemy też, że Andrea siedziała na górze pieniędzy, których nie dawała mu tknąć, i że bała się, że wierzyciele mogą się do nich dostać.

– Wszystko prawda.

– Jeśli wierzyć temu, co Andrea powiedziała swojej szefowej, wiemy także, że mąż nadal ją zdradzał, i to być może z jej najlepszą przyjaciółką.

– Pytanie tylko, czy rzeczywiście ją zdradzał, czy chciała, by ludzie w to wierzyli, bo to pasowało do obrazu mężczyzny gotowego zabić żonę? Podobnie jak polisa ubezpieczeniowa na życie, o której podobno nic nie wiedział.

– Założmy, że ją zdradzał – powiedziała Tracy. – A jeśli jego kochanką była Devin Chambers? To mogłoby być dla niego motywem zabicia jej.

– Dla jego żony też – zauważył Kins. – Zakładając, że nadal żyje, a myślę, że tak, bo ktoś przecież podjął z banku pieniądze. – Wrzucił bieg i wyjechał z parkingu. – Chodźmy coś zjeść. Może z pełnym żołądkiem lepiej nam się będzie myśleć.

– Znam dobre miejsce. Chodziliśmy tam całą grupą z akademii policyjnej.

Pokierowała nim do Tin Room Baru przy Południowo-Zachodniej Sto Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy w centrum Burien. Kiedyś, gdy przy tej ulicy kwitł handel artykułami przemysłowymi, mieścił się tu warsztat blacharski, potem cały budynek został kupiony przez przedsiębiorcę, który jedną połowę przebudował na kino, drugą na eklektyczny bar z restauracją. Taborety z warsztatu wmontowano w ściany, stoły warsztatowe przerobiono na stoły barowe. Dało to początek nowemu życiu ulicy i obecnie funkcjonowało przy niej kilka restauracji i barów.

Tracy i Kins usiedli przy stoliku pod impresjonistycznym obrazem przedstawiającym Micka Jaggera. Tracy zamówiła rybne tacos i mrożoną herbatę, Kins zdecydował się na hamburgera i dietetyczną colę. Z głośników sączyło się *Modern Love*, jeden z przebojów zmarłego niedawno wielkiego Davida Bowie, przy barze siedziało kilka osób oglądających na wielkich płaskich ekranach mecz Mariners.

– Zatoczyliśmy koło i wróciliśmy do punktu wyjścia, co? – odezwał się Kins. – Mamy do wyboru trzy możliwości. Albo Strickland zabił żonę i upozorował zabójstwo na wypadek, albo zginęła na górze i to naprawdę był wypadek, albo go przechytrzyła, zeszła z góry i stworzyła pozory, że ją zabił, a w rzeczywistości żyje i się ukrywa.

– Zacznijmy od pierwszej – zaproponowała Tracy. Łyknęła mrożonej herbaty, odstawiła szklankę na bok i zaczęła rysować na papierowej serwetce diagram. – W obliczu finansowego krachu zrzuca żonę w przepaść w nadziei, że dostanie pieniądze z polisy ubezpieczeniowej i jakoś się dobierze do pieniędzy z jej funduszu powierniczego. Ale prokurator okręgowy w Pierce uznaje go za pozostającego w zainteresowaniu, firma ubezpieczeniowa odmawia wypłacenia pieniędzy z polisy na życie, a pieniądze z funduszu gdzieś znikają. W tym scenariuszu osobą, która dobrała się do tych pieniędzy, jest oczywiście Devin Chambers, prawda?

– Na to wygląda. Zapłaciła gotówką za operację zmiany wyglądu i przejęła od Strickland jej fałszywe nazwisko.

– Dobra, czyli w tym scenariuszu to mąż wynajmuje łowcę głów – ciągnęła Tracy. – Ten odnajduje Devin Chambers, mąż Andrei ją dopada, zabija i opróżnia konto w banku.

– Jak dotąd się zgadzam.

– Scenariusz numer dwa. Może Graham Strickland zamierza zabić żonę, może nie, ale tak czy inaczej Andrea ginie w wypadku.

– Moim zdaniem to najmniej prawdopodobny scenariusz z tych trzech, ale nawet jeśli tak, to cała reszta pozostałaby bez zmian.

– Zgoda – rzuciła Tracy. – Pozostaje jeszcze scenariusz numer trzy.

– Andrea go przechytrzyła. Zorientowała się, że zamierza ją zabić, zainscenizowała własną śmierć, zeszła z góry, przejęła pieniądze z funduszu i gdzieś się ukrywa – rzekł Kins. – Ale w którym momencie mąż orientuje się, że został wystrychnięty

na dudka? Kiedy budzi się rano w tym namiocie? – zastanowił się Kins.

– Być może, choć wydaje się bardziej prawdopodobne, że wtedy, gdy do jego drzwi puka Fields i zaczyna wypytywać o polisę ubezpieczeniową, której jest beneficjentem, a on rzekomo nic o tym nie wie. Fields informuje go też, że żona rozmawiała z adwokatem rozwodowym i powiedziała mu, że mąż znów ją zdradza.

Kelnerka wróciła z tacos i hamburgerem i Tracy odsunęła serwetkę, by zrobić miejsce na jedzenie. Kins chwycił butelkę keczupu i polał nim hamburgera.

– No i teraz Graham Strickland ma jeszcze większy problem – podjął temat, postukując w denko butelki. – Wdrożenie śledztwa wstrzymuje wypłatę odszkodowania z polisy, pieniądze z funduszu żony, podobnie jak jego kochanka, gdzieś zniknęły, a wierzyciele nadal dobijają się do drzwi i grozi mu utrata wszystkiego.

– I zaczyna się zastanawiać, czy zniknięcie pieniędzy i Chambers jakoś się ze sobą łączy – dodała Tracy, podkradając frytkę z talerza partnera. – Więc używa partyzanckiego adresu mailowego i zleca szukanie Chambers.

– Łowca głów powiedział, że klient początkowo pytał o Lynn Hoff – przypomniał jej Kins. – Skąd Strickland miałby wiedzieć o Lynn Hoff?

– Może od Devin Chambers... zakładając, że była jego kochanką i razem to uknuli.

– A jeśli nie?

– To nie wiem. Może natknął się w domu na coś, co nakierowało go na ten trop.

Kins włożył do ust kawałek hamburgera i wytarł dłonie w płócienną serwetkę na kolanach.

– Myślisz, że Andrea mogła się zwierzyć Devin Chambers?

– To możliwe. Jej szefowa powiedziała, że były bardzo zaprzyjaźnione. Chambers mogła być jedyną przyjaciółką Andrei.

– Więc kiedy Andrea dowiaduje się, że jedyna przyjaciółka sypia z jej mężem, to dlaczego po prostu nie znika? Po co się pakuje na tę cholerną górę?

– Przychodzą mi do głowy dwa możliwe wyjaśnienia. Po pierwsze, wcześniej powiedziała Devin o swoich fałszywych papierach wystawionych na Lynn Hoff, a to oznaczałoby, że Devin mogłaby dotrzeć do niej i jej pieniędzy.

Kins umaczał frytkę w keczupie i wsunął do ust.

– Dobra. A to drugie wyjaśnienie?

– Psychoterapeuta, z którym rozmawiałam, powiedział, że molestowanie mogło wywołać u Andrei zaburzenia dysocjacyjne i w wyniku jakiejś ciężkiej traumy lub gdyby poczuła się porzucona i zdesperowana, mogłaby utracić stabilność psychiczną.

– Na przykład gdyby się dowiedziała, że jedyna przyjaciółka sypia z jej mężem i do tego próbuje dobrać się do jej pieniędzy. – Kins pokiwał głową.

– Więc ucieczka niczego by nie załatwiła, bo podjęto by za nią pościg, a w dodatku nie dawała szans na wyrównanie rachunków z dwojgiem zdrajców.

– Czyli twierdzisz, że w tym scenariuszu Andrea Strickland musiała upozorować swoją śmierć z rąk męża i że Chambers brała w tym udział, tak? – Kins odgryzł kolejny kawałek hamburgera.

– Wykupuje polisę na życie, rozmawia z adwokatem od rozwodów i rozpowiada, że mąż znów ją zdradza – przypomniała mu Tracy. – Potem zwraca się do łowcy głów, by odnalazł Devin Chambers. Chambers znika i wszyscy myślą, że to sprawka męża.

– Ale dlaczego właściwie Devin Chambers miałyby zniknąć? – spytał Kins.

– Żeby rozpocząć nowe życie z połową miliona dolców w gotówce – odparła Tracy.

– Może. Ale czy nie sądzisz, że bardziej prawdopodobne jest to, że zabił ją Strickland, ale pieniądze zgarnęła żona, nim on się do nich dobrał?

- Tego nie wiem.
 - Myślę, że Andrea wciąż żyje.
 - Musimy odszukać łowcę głów. Może istnieje jakiś sposób ustalenia źródła tych maili. Może uda się go zawęzić do konkretnego miasta i ustalić, czy wysłał je mąż, czy ona.
- Kins odłożył hamburgera i zaczął podjadać frytki.
- Zdawało mi się, że powiedziałaś, że te maile były anonimowe – bąknął.
 - W internecie nic nie jest do końca anonimowe. Pamiętasz tego studenta Harvardu, którego przymknęli za fałszywy alarm bombowy? Ogłosił go, żeby nie musieć stawać do egzaminu końcowego.
 - Jak przez mgłę.
 - Poczytałam o nim wczoraj wieczorem. Skorzystał z partyzanckiego adresu mailowego i anonimowego serwera, ale FBI wykryło, że zalogował się do sieci Wi-Fi Harvardu. Nie musimy znać konkretnego komputera, z którego wysłano te maile. Wystarczy, jeśli uda nam się ustalić, że wysłano je na przykład ze Starbucksa w pobliżu mieszkania Strickland w Portlandzie lub jakiegoś innego miejsca, gdzie ona się ukrywa.
 - Tracy postukała palcem w dwie teczki z ALS. – Ale przede wszystkim musimy to przekazać Nolascowi i Martinezowi i uświadomić im, że ciało w koszu to nie Andrea Strickland, co oznacza, że sprawa wypada z jurysdykcji okręgu Pierce, bo nie ma związku między naszym zabójstwem a ich znów tylko poszukiwaniem osoby zaginionej.

Rozdział 26

Tracy i Kins spotkali się podczas weekendu z Delem i Fazem, by przekazać im wyniki testów DNA i wspólnie ustalić najlepszą strategię powiadomienia o nich Nolasca i Martineza. Wszyscy jednomyślnie uznali, że w związku z naprężonymi stosunkami między Tracy a kapitanem najlepiej będzie, jeśli to Kins weźmie na siebie rolę zawiadującego tematem testów DNA i wyjaśni zwierzchnikom możliwe konsekwencje uzyskanych wyników. Nikt ani przez chwilę nie sądził, że Nolasco i Martinez kupią tę bajeczkę, ale wszyscy wyrazili nadzieję, że z dwóch powodów mogą być skłonni przymknąć oczy. O pierwszym Tracy już wspomniała podczas spotkania z kapitanem: sprawa budziła żywe zainteresowanie mediów, ostatnio podchwyciły ją gazety ogólnokrajowe i było oczywiste, że zainteresowanie mediów jeszcze wzrośnie, kiedy się dowiedzą, że zwłoki w koszu na kraby nie należały do Andrei Strickland, tylko do jej przyjaciółki, Devin Chambers. Po drugie, Nolasco i Martinez nie będą mogli odrzucić argumentacji Tracy, że teraz okręg Pierce nie ma podstaw do zachowania sprawy w swojej gestii.

Poprosili o spotkanie z kapitanem i Martinezem w poniedziałek po południu i wszyscy czworo wkroczyli razem do sali konferencyjnej. Kilka minut później dołączyli do nich Nolasco i Martinez, dając tym do zrozumienia, że spotkali się wcześniej – zapewne po to, by postarać się odgadnąć temat rozmowy z czwórką detektywów. Przeszli na koniec stołu konferencyjnego i usiedli obok siebie. By uniknąć atmosfery konfrontacji typu „my–oni”, czwórka detektywów rozsiadła się luźno wokół stołu. Del zajął miejsce przy jednym końcu stołu,

Tracy przy drugim, Faz i Kins naprzeciwko swych zwierzchników.

Nolasco wydawał się zaskoczony, kiedy to Kins, a nie Tracy, wręczył mu egzemplarz pierwszego protokołu ALS i wyjaśnił genezę tego dokumentu. Nolasco, wsunąwszy na nos okulary, na przemian czytał i spoglądał znad nich na mówiącego Kinsa. Martinez siedział z opuszczoną głową i czytał protokół trzymany w pulchnych dłoniach.

– W trakcie jednej z naszych odpraw na koniec dnia Tracy zrelacjonowała rozmowę z Penny Orr, ciotką Andrei Strickland – powiedział Kins. – Ciotka powiedziała jej, że Andrea była bardzo wycofana, miewała napady niepokoju i nałogowo obgryzała paznokcie, czasami aż do krwi.

– Wtedy sobie przypomniałem fotografie z sekcji zwłok – wtrącił Faz, tak jak było ustalone, i zabrzmiało to całkiem naturalnie. – A zwłaszcza jedną, na której widać było dłoń ofiary. Paznokcie były pomalowane niebieskim lakierem.

– I ty to zauważyłeś? – zdziwił się Nolasco.

– No tak – potwierdził Faz lekko urażonym tonem i znów zabrzmiało to całkiem naturalnie. – Pomyślałem, że jeśli pomalowała je niedawno, mogłoby to znaczyć, że była z kimś umówiona i zależało jej na wyglądzie, czyli że знаła swojego zabójcę. Ale kiedy Tracy powtórzyła słowa tej ciotki, pomyślałem „O kurde!” i sięgnąłem po fotografię.

– Funk potwierdził, że paznokcie denatki były prawdziwe – dodał Kins. – I to nam nasunęło myśl, że w koszu mógł być ktoś inny. – Ostatnie słowa skierował do Martineza, który siedział z pokerową twarzą, nic nie mówiąc.

– Dlaczego tego wszystkiego nie było w dokumentach przekazanych do okręgu Pierce? – spytał Nolasco.

– Zaraz to wyjaśnię. – Kins wyjął z kartonowej teczki spiętą zszywką dokument. – To profil DNA Penny Orr, ciotki Andrei Strickland. W laboratorium porównano ten profil z profilem DNA kobiety z kosza na kraby, sporządzonym przez nasze laboratorium kryminalistyczne. Prawdopodobieństwo, że te dwie

kobiety nie są ze sobą spokrewnione, wynosi dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięćdziesiąt pięć setnych procent.

Martinez uniósł głowę znad protokołu.

– Czyli to nie jest Strickland?

– Nie, to nie jest Strickland – potwierdził Kins.

– To znaczy, że się myliliście – rzucił Nolasco, przenosząc wzrok na Tracy.

– Nie, mieliśmy rację – powiedział Kins. – Kobieta z pułapki na kraby posłużyła się nazwiskiem Lynn Hoff, by poddać się operacji plastycznej twarzy. Lynn Hoff to fałszywe nazwisko, pod którym ukrywała się Andrea Strickland. Na prawie jazdy wystawionym na to nazwisko widnieje jej fotografia.

– Więc jak to możliwe, że ofiara w koszu to nie ona? – zapytał Nolasco.

– Właśnie chcę to wyjaśnić – odparł Kins i przesunął ku obu szefom drugi protokół. – To jest profil DNA niejakiej Alison McCabe.

– Co to za jedna? – burknął Nolasco.

– To siostra Devin Chambers, najbliższej przyjaciółki Andrei Strickland.

– Devin Chambers – powtórzył Martinez, który od razu zajrzał na ostatnią stronę raportu i przeczytał końcowe konkluzje. – Jakim cudem to ona trafiła do tej pułapki?

– Właśnie to mamy nadzieję ustalić, panie naczelniku.

– Co to znaczy, że macie nadzieję ustalić? – obruszył się Nolasco, piorunując ich wzrokiem.

Martinez podniósł rękę, odchylił się na oparcie krzesła i popatrzył na nich pobłażliwie jak z lekka rozbawiony dziadek spogląda na wnuki. Ci, co go znali, wiedzieli, że przede wszystkim jest gliniarzem, a dopiero potem naczelnikiem. Chodzenie na co dzień w mundurze najlepiej świadczyło o jego stosunku do pracy policyjnej i Tracy na to właśnie liczyła. Miała nadzieję że Martinez rozumie, że każdy dobry gliniarz pragnie doprowadzić do końca swoją sprawę i nie chce, by wisiała na jego koncie jako nierozwiązana. Byli to winni rodzinom ofiar.

– Pańscy detektywi zmierzają do tego, kapitanie, że skoro kobietą w pułapce nie jest Andrea Strickland, to sprawa nie podlega jurysdykcji okręgu Pierce, ponieważ zaginiona na ich terenie kobieta to nie ta, którą znaleziono w koszu na kraby – wyjaśnił Martinez. – A zatem tamtejsze biuro szeryfa nie ma podstaw do dalszego prowadzenia śledztwa w tej sprawie. Mam rację, detektyw Crosswhite?

– Tak uważam, panie naczelniku – odrzekła Tracy.

– Detektywie Rowe? – zwrócił się do Kinsa.

– Dla mnie to logiczne.

– Chciałbym usłyszeć wyjaśnienie, jak zdobyliście profile DNA tych dwóch osób, skoro ta sprawa już do was nie należała – wtrącił Nolasco, biorąc do ręki oba protokoły.

Martinez ponownie podniósł rękę.

– Podejrzewam, że pańscy ludzie wysłali do tych dwóch osób zestawy do pobrania próbek DNA i między ich wysłaniem a otrzymaniem próbek do analizy upłynęło trochę czasu. Mam rację?

– Dokładnie tak było, panie naczelniku – potwierdził Kins.

– I chcecie ponownie zająć się tą sprawą. – Martinez potoczył po nich wzrokiem.

– Bo to nasza sprawa, panie naczelniku – podchwyciła Tracy.

– I zdajecie sobie sprawę, w co się pakujecie. Wiecie, że gdy poinformujemy media, że ofiarą nie jest Andrea Strickland, wokół sprawy zrobi się jeszcze większy szum.

Kins pokiwał głową.

– Tak, wiemy.

– I wszyscy będą oczekiwali, że rozwiążecie tę zagadkę.

– Rozumiemy to.

– To dobrze. Bo jak weźmiemy waszą stronę i odzyskamy dla was tę sprawę, to ja też będę tego oczekiwał. – Martinez przeniósł wzrok na Nolasca. – Kapitanie, pańscy ludzie chcą się zająć tą sprawą. Umożliwmy im to.

* * *

Tracy i reszta jej zespołu wyszli z sali konferencyjnej i wrócili do Byczej Zagrody, ale nie byli w nastroju do przybijania sobie piątek i poklepywania się po plecach. Wręcz przeciwnie – Faz, Kins i Del wyglądali tak, jakby przebrnęli przez pole minowe i tylko jakimś cudem udało im się nie wdepnąć na minę. Przeszli je bez ofiar, ale zawdzięczali to bardziej szczęściu niż własnemu sprytowi.

Teraz pozostawało tylko czekać. Nie powinni podejmować żadnych działań do chwili, aż śledztwo zostanie im zwrócone przez biuro szeryfa okręgu Pierce – jeśli w ogóle do tego dojdzie – mimo to wszyscy zgodnie uznali, że mają moralny obowiązek poinformować Penny Orr, że kobieta w koszu na kraby to nie jej siostrzenica, a także przekazać Alison McCabe dużo boleśniejszą wiadomość: że jej siostra nie żyje. Pierwszą sprawę można było załatwić przez telefon, drugiej nie.

– Nikt nie powinien się dowiadywać o śmierci najbliższych przez telefon – powiedziała Tracy, wciąż mając w pamięci telefon z biura koronera okręgu King z wiadomością, że dwóch myśliwych natknęło się na ludzkie szczątki na wzgórzach niedaleko jej rodzinnego miasteczka Cedar Grove.

– Mogę zadzwonić do wujka i poprosić go, żeby do niej pojechał i osobiście ją zawiadomił – zaproponował Faz. – Bóg mi świadkiem, że robił to wystarczająco dużo razy.

Tracy postanowiła sama zadzwonić do Penny Orr.

– Spotkajmy się tu za godzinę – rzuciła. – Ustalimy, co nam będzie potrzebne, i zrobimy plan pracy na następne dni.

Penny Orr na wiadomość, że ofiara w koszu na kraby nie była jej Andrea, zareagowała spokojnie i Tracy to nie zaskoczyło. Ta kobieta już dwukrotnie – jak się okazywało, niepotrzebnie – opłakiwała śmierć siostrzenicy, a Tracy nie była w stanie jej zapewnić, że to, co mówi, oznacza, że Andrea wciąż żyje. Skończyła rozmowę obietnicą, że gdy zadzwoni do niej następnym razem, będzie miała coś pewniejszego do powiedzenia.

Tego popołudnia zespół A zebrał się przy stole pośrodku Bycznej Zagrody, by ustalić listę spraw do załatwienia. Przede wszystkim musieli poddać analizie komputer łowcy głów. Jeśli uda im się namierzyć partyzancki adres zleceniodawcy, być może pozwoli to ustalić, czy należał do Grahama Stricklanda, Andrei czy – co mało prawdopodobne – do kogoś zupełnie innego. Postanowili zwrócić się do FBI o pomoc w rozpracowaniu komputera łowcy głów i powierzyli Fazowi zadanie dopilnowania tego.

Faz i Del mieli też ponownie popytać mieszkańców i użytkowników mariny, ale tym razem z fotografią Devin Chambers w ręce.

– Pokażcie ją też doktorowi Wu i upewnijcie się, że to Chambers była jego pacjentką – poleciła Tracy.

Ona i Kins mieli się zająć kontaktami z biurem szeryfa w okręgu Pierce, które – według słów Fieldsa – miało w aktach wykazy rozmów telefonicznych Grahama Stricklanda i jego płatności kartą kredytową, a także wyciągi z kont bankowych. Chcieli poszukać śladów świadczących o związku Stricklanda z Devin Chambers. Koledzy z zespołu do walki z oszustwami gospodarczymi mieli nadal szukać pieniędzy z funduszu powierniczego.

– Powinniśmy też wystąpić o nakaz przeszukania mieszkania męża Strickland – powiedział Kins. – Mam znajomego w policji w Portlandzie, Jonathana Zhu. To w porządku gość. Pracowaliśmy razem nad jedną sprawą w zeszłym roku. Pomoże nam uzyskać nakaz od tamtejszego sędziego. Kiedy chcesz rozmawiać ze Stricklandem? Zadzwońię do Zhu i zgramy nasze terminy tak, żebyśmy mogli załatwić obie sprawy jednocześnie.

– Poczekajmy, aż dostaniemy z okręgu Pierce wykaz jego płatności kartą kredytową. Wątpię, byśmy dostali drugą szansę.

– A co robimy z Andreą Strickland? – spytał Faz.

Tracy już się nad tym zastanawiała. Pośpieszyli się i wysłali jej fotografię do wszystkich serwisów newsowych, a także stanowych oraz federalnych wydziałów policji i biur szeryfa,

w rezultacie czego Andrea oficjalnie nie żyła. Tracy miała nadzieję, że uda jej się porozmawiać z Grahamem Stricklandem, nim ten się dowie, że jest inaczej.

– Na razie to zostawmy – zdecydowała.

Późnym popołudniem w Byczej Zagrodzie zjawił się Nolasco, który zdążył już zdjąć krawat i podwinąć rękawy koszuli.

– Przejmujecie śledztwo – oświadczył. – Okręg Pierce przekaze nam z powrotem akta.

– Bardzo się jeżyli? – spytał Del.

– To zdecydowanie zbyt łagodne określenie. – Nolasco spojrzął na Faza. – Koniecznie chcieli wiedzieć, skąd wzięliście te profile DNA. I niech ci się nawet przez chwilę nie zdaje, Fazzio, że uwierzyłem w to twoje bajdurzenie o fotografii z sekcji zwłok.

– Nie doceniasz mnie, kapitanie – odparł Faz.

– No. – Nolasco popatrzył na Tracy. – I nie kupuję też tych bzdur, że wystąpiliście o próbki DNA przed oddaniem sprawy do Pierce. Ale kazano mi dać temu spokój, więc daję temu spokój. Tylko żebyśmy mieli jasność. Jeśli spieprzycie tę sprawę, polegniecie wszyscy czworo. Tak jak powiedział Martinez: sami tego chcieliście. Postawiliście na swoim, więc teraz zabierajcie się do roboty. – Ruszył do wyjścia, lecz w połowie drogi zatrzymał się i odwrócił. – I jeszcze jedno. Macie dokładnie informować ludzi w Pierce o wszystkim, co się dzieje.

– Co? – Tracy, której dzielenie się wiadomościami ze Stanem Fieldsem zupełnie nie pasowało, skrzywiła się. – Po co?

– Bo tak przewiduje nasze porozumienie. Macie im przekazywać kopie raportów, protokołów zeznań świadków i wszystkiego, co dotyczy Andrei Strickland. Rozumiem, że nie będzie z tym problemu.

Odpowiedziało mu milczenie.

– To dobrze – rzucił i zawrócił do wyjścia.

– Słuchajcie, przecież zwyciężyliśmy – jęknął Faz po wyjściu kapitana. – Nie dajmy mu tego popsuć.

Chwilę potem do Tracy zadzwonił Bennett Lee, by odczytać jej przygotowany dla mediów komunikat policji w Seattle, który

miał być przekazany podczas popołudniowej konferencji prasowej. Lee uprzedził, że komunikat ma być krótki i zwięzły i ograniczy się do stwierdzenia, że analiza DNA dowodzi, iż kobieta znaleziona w pułapce na kraby nie jest Andreeą Strickland, mieszkanką Portlandu, która rzekomo zaginęła podczas wspinaczki na Mount Rainier. Tracy zapytała, po co w ogóle musi o tym mówić, na co Lee odpowiedział, że policja nie może ukrywać przed opinią publiczną tego, że ofiarą nie jest Strickland. Zgodził się natomiast nie ujawnić tożsamości kobiety w pułapce przed powiadomieniem o tym rodziny ofiary. To znaczyło, że Tracy musi radykalnie przyspieszyć termin rozmowy z Grahamem Stricklandem. Lee miał również poinformować media, że skoro ciało znaleziono w Seattle, sprawa wraca do tutejszej policji, a biuro szeryfa okręgu Pierce dobrowolnie zrzeka się praw do śledztwa, niemniej oba biura będą nadal ściśle ze sobą współpracowały.

– Dobrowolnie zrzeka się praw do śledztwa? – powtórzyła Tracy. – Ty to wymyśliłeś?

– Chcą, żeby tak to zostało przedstawione – odparł Lee. – Konferencja prasowa jest wyznaczona na siedemnastą, jeśli cię to interesuje.

* * *

Gdy Tracy wróciła do domu, Dan pocałował ją na powitanie i wrócił do szykowania kolacji. Miał już gotowe do smażenia hamburgery i przygotowywał sałatę. Rex i Sherlock ledwo ją przywitały i szybko powróciły do boku Dana, by zasiaść z nosami zwróconymi ku porcjom surowej wołowiny.

– Kiedy czują surowe mięso, my dla nich nie istniejemy – powiedział Dan. – Szybko się dziś uwinęłaś.

– To jedna z nielicznych korzyści pracy do późna. Nie ma korków. Odzyskaliśmy sprawę pułapki na kraby.

– Widziałem w wiadomościach. – Dan wziął deskę z hamburgerami na taras, gdzie stał grill. – Vanpelt nie żałowała

sobie cierpkich słów.

– I dlatego wszyscy ją kochamy.

Gdy przeciekła wiadomość, że kobietą w pułapce nie jest Andrea Strickland, w mediach zaczęto snuć domysły, kim może być ofiara i co z tego wynika. Czy to znaczy, że Andrea Strickland żyje, czy nie, a jeśli nie, to czy zginęła na górze, czy poniosła śmierć gdzieś indziej? W rezultacie na konferencji prasowej zjawily się tłumy i komunikat Lee Bennetta stał się newsem wieczoru w lokalnych wiadomościach, które czwórka detektywów obejrzała razem w Byczej Zagrodzie zespołu B. Towarzyszyło im kilku detektywów z ich sekcji, a także z sąsiadującej z nimi Sekcji Włamań.

Dan wziął do ręki deskę z hamburgerami.

– Mam już smażyć, czy chcesz się najpierw odświeżyć?

– Nie, jedzmy. Umieram z głodu.

– Zjesz bułkę?

– Lepiej nie – rzuciła, wychodząc za nim i psami na taras. – Jeśli mam się zmieścić w czymś przypominającym suknię ślubną, powinnam uważać na węglowodany.

– Już się tym przejmujesz? – Dan położył hamburgery na gorącym ruszcie, mięso zaskwierczało i buchnęły spod niego niewielkie płomyki.

– Postanowiłam cię zadziwić.

Dan pokiwał głową, ale znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że myślami jest gdzieś indziej.

– A co? Mam cię nie zadziwiać?

– Nie, w porządku. Chcesz plasterek sera na hamburgerze?

– Wiesz, jeśli mamy się pobrać, to oboje musimy się starać być wobec siebie szczerzy.

– Myślę, że powinnaś mieć prawdziwą suknię ślubną – powiedział z uśmiechem.

Tego się po nim zupełnie nie spodziewała.

– Masz na myśli taką z welonem, z trenem i z dekoltem?

– Zdecydowanie z dekoltem – powiedział, zamykając pokrywę grilla, spod której od razu zaczęło dymić. – I myślę, że powinnaś

poprosić Kinsa, żeby wystąpił w roli twojego ojca.

Zachichotała na samą myśl o tym, a potem nagle uświadomiła sobie, że Dan mówi poważnie.

– Czy ty planujesz tradycyjny ślub, Danie O’Leary?

– Jak najbardziej.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że oboje braliśmy już śluby.

– Tak, ale nie miałaś prawdziwego wesela.

Dan odwrócił się od grilla i spojrzał na nią poważnie. Tracy opowiadała mu, jak zaręczyła się z Benem tej samej nocy, kiedy zniknęła Sara, i w rezultacie nie zorganizowali takiego wesela, jakie sobie wymarzyła. Bardziej z obawy o utratę Bena niż z potrzeby serca zgodziła się na cywilną ceremonię w gmachu sądu, w której uczestniczyli tylko oni dwoje i dwóch urzędników sądowych w roli świadków. I to był błąd, bo całą uwagę nadal poświęcała próbom ustalenia, co się stało z Sarą. I kiedy ona nie potrafiła się z tego wyzwolić, zrobił to Ben. Papiery rozwodowe przysły pocztą.

Zaskoczona i poruszona tym, że Dan pamiętał, nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

– Nie potrzebuję niczego ekstrawaganckiego, Dan.

– Nie mówimy o twoich potrzebach. Mówimy o tym, na co zasługujesz.

Zamilkła, znów szukając w głowie właściwych słów. Chciała mieć tradycyjne wesele. Zawsze o takim marzyła. Tylko nigdy nie sądziła, że to możliwe.

– Zasługujesz na takie wesele, jakie sobie wymarzyłaś – ciągnął Dan. – Wiem, co się wtedy działo, i wiem, że nigdy się nie przyznasz, że byłaś zawiedziona tym, że twoje zaręczyny i ślub zatonęły w wydarzeniach towarzyszących zaginięciu Sary, ale wiem też, że w głębi duszy wciąż sobie wyobrażasz, jak ten dzień mógł wyglądać.

– Życie różnie się plecie i marzenia się zmieniają – powiedziała cicho. Podeszła bliżej i objęła go. – Jestem szczęśliwa, że mam mężczyznę moich marzeń.

– A ja jestem szczęśliwy z kobietą moich marzeń i nic nie stoi na przeszkodzie, byś miała bajkowe wesele jak z twoich marzeń.

Zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Ty naprawdę wszystko obmyśliłeś, co?

– Obmyśliłem. – Pokiwał głową. – Nie chcę powiedzieć, że mi ciebie żal, bo wiem, jak nie lubisz się użalać nad sobą, ale naprawdę ci współczuję. Współczuję, że musiałaś przejść przez to wszystko, przez co przeszłaś. Współczuję, że to się stało w noc twoich zaręczyn i że nie miałaś wesela swoich marzeń.

Słowa Dana przypomniały Tracy o Andrei Strickland i jej strasznym losie. Strasznym niezależnie od tego, czy jeszcze żyje, czy nie. Jak mało kto wiedziała, że w życiu nie ma nic pewnego. Jutro nigdy nie jest z góry zagwarantowane.

Pocałowała Dana.

– Czy stąd się wzięła latarnia morska i kolacja w restauracji? Ze spełniania bajkowych marzeń?

Wzruszył ramionami i lekko się uśmiechnął.

– Bo naprawdę jesteś księciem.

– Ale mam nadzieję, że dość męskim, co? Nie takim w obcisłych rajtuzach, który śpiewa i tańczy.

Roześmiała się.

– Zdecydowanie dość męskim. Skoro jednak wchodzimy w świat fantazji, to mam prośbę – dodała.

– Wal, Kopciuszku.

– Jak dobre są te twoje układy z szefem straży przybrzeżnej?

– A co, chciałabyś mieć ślub w latarni morskiej?

– Chyba że masz dojście do jakiegoś zamku.

– Myślę, że latarnia to świetny pomysł – powiedział Dan. – I przypadkiem wiem, że ślub w niej jest możliwy.

Zaśmiała się.

– Już o to pytałeś?

Zrobił niewinną minę.

– Jak mówiłem, zasługujesz na ślub z bajki.

Znów namiętnie go pocałowała i poczuła, jak ich ciała się w siebie wtapiają.

- Dan – szepnęła.
- Tak?
- Wyłącz grill, żeby nam się hamburgery nie spaliły.
- Zdawało mi się, że umierasz z głodu.
- Umieram, ale teraz mam ochotę na coś lepszego niż hamburger.

Rozdział 27

Następnego dnia rano Tracy i Kins znów znaleźli się na autostradzie I-5 w drodze na południe do Portlandu. Pracowali do późna nad wnioskiem uzasadniającym konieczność przeszukania loftu Andrei w dzielnicy Pearl, w którym Strickland mieszkał po jej zniknięciu. Kins przesłał wniosek do detektywa Jonathana Zhu w Portlandzie i plan był taki, że po spotkaniu ze Stricklandem udadzą się razem z Zhu do miejscowego sędziego i wystąpią o wydanie nakazu przeszukania. Nie wiedzieli, co mogą znaleźć w lofcie, ale zdarzały się im już różne dziwne sytuacje i nie chcieli rezygnować z możliwości zajrzenia również pod ten kamień.

Kins poprosił też o sprawdzenie Devin Chambers w policyjnej bazie danych i Zhu przysłał maila z wieloma załącznikami, co zapewniło Tracy lekturę na trzygodzinną podróż.

– W wieku dwudziestu paru lat była dwukrotnie aresztowana w New Jersey, raz za sfalszowanie czeku, drugi raz za wyłudzenie recept lekarskich. Oba zatrzymania zostały zatarte w jej aktach.

– Pewnie siostra to załatwiła – zauważył Kins.

Chambers spędziła trzydzieści dni na odwyku i dostała nakaz uczestniczenia w spotkaniach AA; zastosowała się do niego i przewinienie zostało zatarte. Nic w jej wyciągach z konta, obciążeniach karty kredytowej i billingach telefonicznych nie wskazywało na nagły przypływ gotówki czy przygotowania do ucieczki z kraju. Praktycznie nie miała żadnych oszczędności, a na koncie bieżącym były grosze, na pewno niewystarczające do

spląty poważnego zadłużenia na karcie kredytowej. Wszystko w pełni potwierdzało prawdziwość słów jej siostry.

Tym razem nie zadzwonili wcześniej do Phila Montgomery'ego i nie poprosili go o zgodę na rozmowę ze Stricklandem. Zamiast tego Tracy zadzwoniła do kancelarii adwokackiej, w której Strickland obecnie pracował, i podając się za klientkę, próbowała umówić się na spotkanie. Sekretarka poinformowała ją, że Strickland do południa jest zajęty rozmowami z klientami, w porze lunchu ma spotkanie poza biurem, ale może ją przyjąć o piętnastej. Tracy powiedziała, że się zastanowi, i rozłączyła się.

Zdawała sobie sprawę, że Strickland może w tym czasie zadzwonić do swojego adwokata, w porozumieniu z nim wypiąć się na Tracy i Kinsa i nie odezwać się do nich ani słowem, ale czuła, że tego nie zrobi. Zgadzała się Fieldsem, że Strickland uważa się za najsprytniejszego, więc pewnie uzna, że potrafi ich wykołować. Liczyła na jego arogancję.

Kancelaria, w której pracował, mieściła się w przerobionym na biuro parterowym domu w starej dzielnicy mieszkaniowej. Większość domów w okolicy miała kraty w oknach i na drzwiach wejściowych.

– Tak się kończy chwała świata – zauważył Kins.

– Może nie aż tak źle. – Tracy wskazała ręką zaparkowane pod domem wiśniowe porsche.

– Powinien wsadzić za szybę kartkę UKRADNIJ MNIE i miałby kłopot z głowy.

Kins zaparkował kawałek dalej, w miejscu, z którego mogli obserwować porsche. Choć nadal było gorąco – termometr wskazywał trzydzieści jeden stopni – słońce schowało się za chmury i podniósł się lekki wiaterek, szeleszcząc liśćmi drzew.

– Macie z Danem jakieś plany w kwestii ślubu? – spytał Kins, gdy zaczęło się czekanie.

– Wczoraj o tym rozmawialiśmy. Dan chce tradycyjnego ślubu z weselem.

Jej partner zrobił zdziwioną minę.

– Masz na myśli ślub kościelny z księdzem i całą weselną pompą?

– W zasadzie tak, chociaż ja powiedziałam, że wolałabym ślub w latarni morskiej Alki Point.

– A to możliwe?

– Podobno. W każdym razie tam właśnie mi się oświadczył.

– To fajne. Przy nim wszyscy wychodzimy na nudziarzy. Tylko nie mów nic Shannah.

– Już za późno. A co? Jak ty się oświadczyłeś?

– Na ostatnim meczu w college’u. Podszedłem do trybuny, gdzie siedziała, i zamiast ją pocałować, ukląknę na jedno kolano.

– Tylko mi nie mów, że w kieszeni portek miałeś pierścionek.

– Spodnie futbolowe nie mają kieszeni.

– Wiem.

Kins się roześmiał.

– Nie, jej siostra go schowała.

– To całkiem niezłe oświadczyny.

– Też tak uważałem, ale Shannah twierdzi, że zrobiłem to dlatego, że na oczach sześćdziesięciu tysięcy kibiców nie mogła mi odmówić.

Tracy się roześmiała.

– Dan chce, żebym włożyła prawdziwą suknię ślubną i żeby ktoś mnie mu oddał.

Kins pokiwał głową i na moment się zamyślił.

– I co, zastanawiałaś się nad tym?

– Trochę. Chciałabym cię o coś spytać.

– Wal – odparł z uśmiechem.

– Myślisz, że Faz by się zgodził?

– Pieprz się, Crosswhite. – Parsknął śmiechem, ale zaraz spoważniał, wyprostował się i uruchomił silnik. – Jest nasz chłoptaş.

Strickland, ubrany w obcisłe džinsy i modną, wyrzuconą na wierzch koszulę z długimi rękawami podwiniętymi do połowy przedramion, zbiegł z dwóch schodków przed wejściem, wsiadł

do porsche i z rykiem silnika wyjechał na ulicę, jakby strasznie się dokądś śpieszył.

– Wszystko, co ten facet robi, jest na pokaz, nie? – odezwał się Kins, ruszając w bezpiecznej odległości za porsche.

Strickland skierował się na zachód i po krótkim kluczeniu wjechał na most Ross Island.

– Myślisz, że jedzie do domu? – spytała Tracy.

– Nie wiem. Ale kierunek się zgadza – odparł Kins. – Recepcjonistka mówiła, że jest umówiony na lunch.

– Tak powiedziała.

Strickland zjechał z drogi tuż za mostem, skręcił w uliczkę biegnącą wzdłuż rzeki Willamette i kawałek dalej zatrzymał się przy krawężniku. Kins wcisnął się za jakiś parkujący samochód i z ukrycia oboje patrzyli na Stricklanda wysiadającego z porsche i podchodzącego do rzeki.

– Mam nadzieję, że nie jest jednym z tych szaleńców, którzy lubią spacerować zamiast lunchu – bąknął Kins.

– Nie w takich butach – zauważyła Tracy.

Ich obiekt skrył się pod brązową markizą i wszedł do restauracji Three Degrees.

– Jesteś głodny? – spytała Tracy.

– Teraz już tak – rzucił Kins i wysiedli z samochodu.

Zignorowali wysiłki kierowniczkich sali chcących zaproponować im stolik; powiedzieli, że są z kimś umówieni, i odszukali Stricklanda siedzącego pod parasolem na patiu. Miał opuszczoną głowę i zawzięcie przebierał palcami po smartfonie.

Gdy Tracy odsunęła krzesło przy jego stoliku, uniósł głowę i powitalny uśmiech zamarł mu na twarzy, ustępując miejsca wyrazowi zaskoczenia i zaraz potem niepokoju.

– Co wy tu robicie? – sapnął, obrzucając detektywów spłoszonym spojrzeniem. Jego policzki zaczerwieniły się.

– Mamy dla pana dobrą wiadomość, panie Strickland – powiedziała Tracy, siadając. – Kobieta znaleziona w koszu na kraby to nie pańska żona.

– Już to wiem – mruknął. – Wszystkie media o tym trąbią. Mój adwokat też mnie o tym zawiadomił.

Kins bezradnie wzruszył ramionami i popatrzył na Tracy.

– Wygląda na to, że niepotrzebnie jechaliśmy taki kawał – bąknął.

– Myślałam, że się pan ucieszy – powiedziała Tracy.

– Niespecjalnie. Przecież wciąż jest zaginiona, nie?

– No, to prawda – potwierdził Kins.

– Już to omówiliśmy – mruknął Strickland, przenosząc wzrok z powrotem na smartfona.

– Ale nie przyszliśmy rozmawiać o pańskiej żonie – rzuciła bez troski Tracy. – Chcemy zadać panu kilka pytań o Devin Chambers.

Palce Stricklanda znieruchomiały na telefonie.

– Zna ją pan, prawda? – upewniła się Tracy.

W oddali przetoczył się grzmot.

Strickland uniósł wzrok.

– Oczywiście, że ją znam – odparł spokojnie. – Była przyjaciółką Andrei.

– Jak bliską? – spytała Tracy, która postanowiła chwilę się z nim podroczyć.

Odłożył telefon na stolik, wyprostował się i założył nogę na nogę. Płótno parasola załopotalo jak żagiel łapiący wiatr.

– Tak naprawdę to nie wiem. Były koleżankami z pracy.

– Jak często spotykały się poza pracą?

– Nie potrafię powiedzieć. Andrea rzadko wychodziła z domu. Była introwertyczką.

– Jak spędzała wolny czas?

– Na czytaniu. Bardzo dużo czytała.

– A jaki miał pan stosunek do Devin Chambers? – spytała Tracy.

– Nie miałem żadnego. – Strickland nadal wydawał się spokojny.

W oddali rozbłysła niebieskobiała błyskawica, chwilę potem dobiegł huk grzmotu.

Podeszła kelnerka.

– Może wolą państwo przenieść się do środka? – spytała.

– Nie, tu jest dobrze. – Strickland pokręcił głową, jakby chciał pokazać detektywom, że tak łatwo nie da się wystraszyć.

Kelnerka spojrzała na puste krzesło.

– Czy czekamy jeszcze na kogoś? – spytała.

– Tak – odparł Strickland.

Skinęła głową i odeszła.

– Utrzymywał pan intymne relacje z Devin Chambers? – spytała Tracy.

– Co? – Zrobił taką minę, jakby pytanie było kompletnie absurdalne. – Nie, oczywiście, że nie.

– Cudzołóstwo nie jest przestępstwem, panie Strickland – wtrącił Kins.

– Zdaję sobie z tego sprawę, panie detektywie.

– Pańska żona powiedziała szefowej, że pan i Devin macie romans.

– Moja żona mówiła i robiła wiele szalonych rzeczy, łącznie z upozorowaniem własnej śmierci. Nie zawsze działała racjonalnie.

Był to ważki argument i można się było spodziewać, że on i jego adwokat będą uparcie go wykorzystywać, by udowodnić, że Andrea chciała rzucić na męża podejrzenie, iż ten próbował ją zabić.

– Czyli nie miał pan z nią romansu? – spytała Tracy.

– Omówiłem już tę sprawę z tym drugim detektywem. I, jak mówił mój adwokat, nie zamierzam znów wracać do starych spraw.

Kolejna błyskawica rozświetliła wał chmur nad mostem.

– Kiedy ostatnio widział się pan z Devin Chambers? – zapytała Tracy.

Tym razem grzmotnęło tuż nad ich głowami i to tak mocno, że w oknach restauracji zabrzęczały szyby. Strickland spokojnie pokręcił głową, jakby tego w ogóle nie usłyszał.

– Bo ja wiem... parę miesięcy temu.

– Nie widział się pan z nią od zniknięcia żony?

– Nie.

– I nie próbował się pan od niej dowiedzieć, czy czegoś nie wie?

– Nie, bo jak już mówiłem, byłem przekonany, że żona zginęła w wypadku w górach. Więc o co miałbym pytać Devin Chambers?

– Na przykład czy wiedziała o wykupieniu polisy ubezpieczeniowej, w której pan był beneficjentem? – odparł Kins. – Albo po co żona rozmawiała z adwokatem rozwodowym lub czemu powiedziała szefowej, że pan ją znów zdradza.

– To były dla mnie bardzo trudne chwile, panie detektywie. Byłem przekonany, że żona zginęła w wypadku, po czym nagle jestem przesłuchiwany, jakbym to ja odpowiadał za jej śmierć.

– Ale miał pan przecież romans – rzucił Kins. – Sam pan się do tego przyznał.

– Popełniłem błąd, rozumie pan? Już to omówiliśmy. Spotykałem się z tą kobietą, zanim poznałem Andreę. Powinienem to zakończyć i nie zrobiłem tego. I jak pan sam zauważył, to nie jest przestępstwo.

Pierwsze krople deszczu zabębniły po betonowym patiu i płóciennym parasolu, ale Strickland wciąż zachowywał się tak, jakby niczego nie zauważył.

– Wie pan może, gdzie moglibyśmy znaleźć Devin Chambers? – spytała Tracy.

– Myślę, że najprościej w pracy albo u niej w domu.

Tracy szukała w nim śladu świadczącego o tym, że wie o zniknięciu Chambers, ale jego twarz pozostawała całkowicie bez wyrazu, a oczy ani na moment nie uciekły przed jej spojrzeniem.

– Czy wiedział pan, że Devin Chambers powiadomiła szefową i kilku sąsiadów w swoim bloku, że wraca do rodzinnego New Jersey?

– Gdybym wiedział, tobym wam o tym powiedział. – Odwrócił głowę i rozejrzał się po restauracji, jakby kogoś szukał.

Z krawędzi parasola zaczęła skapywać woda i Kins musiał przysunąć się do stolika, by nie zmoknąć.

– Nigdy panu o tym nie wspominała? – zapytał.

– Powtarzam, że od wielu miesięcy nie widziałem się z Devin Chambers ani z nią nie rozmawiałem. Kręcimy się w kółko. – Strickland zdjął nogę z nogi i ponownie spojrzął w głąb restauracji.

– Nigdy pan o tym nie słyszał? – upewniła się Tracy.

– Nie.

– A słyszał pan kiedyś nazwisko Hoff? – zapytał Kins. – Lynn Hoff.

– Po raz pierwszy usłyszałem je z ust mojego adwokata, kiedy zadzwonił do mnie z informacją, że znaleźliście ciało Andrei i że używała tego nazwiska.

– Nigdy wcześniej pan go nie słyszał?

– Nie.

– Domyśla się pan, skąd żona wzięła to fałszywe nazwisko?

– Absolutnie nie. Wygląda na to, że miała wiele zaskakujących tajemnic.

– Czy najął pan prywatnego detektywa, żeby znalazł Lynn Hoff? – spytał Kins.

– Po co miałbym najmować detektywa i szukać kogoś, kogo nie znałem?

– Bo mógł pan pomyśleć, że ktoś o nazwisku Lynn Hoff ukradł pieniądze pańskiej żony – powiedział Kins.

– Dlaczego miałbym tak pomyśleć? – zachnął się Strickland.

– Bo pańska żona miała blisko pół miliona dolarów, które nagle zniknęły – burknął Kins. – A może to pana w ogóle nie obeszło?

– Jak już mówiłem, miałem wtedy inne sprawy na głowie.

– Czyli nie próbował pan nawet szukać tych pieniędzy? – Kins nie krył sceptycyzmu w swoim głosie.

– Nie próbowałem. A co, znaleźliście je?

– I nie wie pan, kto mógł je zabrać?

– Nie mam pojęcia.

Do stolika podeszła młoda kobieta o wyraźnie azjatyckich korzeniach. Miała co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, niezwykle długie nogi w obcisłych dzinsach i butach na wysokich obcasach, rozpiętą niemal do pępka cienutką bluzkę i narzucony na nią płaszcz. Zatrzymała się i obrzuciła siedzących niepewnym uśmiechem.

Na jej widok Strickland odsunął się od stolika, nie zważając na kapiącą mu na plecy wodę z parasola.

– Przepraszam na chwilę – rzucił, po czym wstał z krzesła i poprowadził kobietę w głąb restauracji.

– Myślisz, że zwieje? – rzucił Kins, przyglądając się rozmawiającym, którzy zatrzymali się w pobliżu wyjścia.

– Niewykluczone – odparła Tracy.

– Gość kłamie.

– Na pewno. Nie wiem tylko jeszcze w jakiej sprawie.

Po chwili kobieta wyszła i Strickland wrócił do stolika. Schylając głowę pod kapiącym parasolem, usiadł i uniósł do ust szklanekę wody.

– Nie obchodzi nas, z kim pan sypia, panie Strickland – powiedział Kins. – To nie nasza sprawa.

– A co jest waszą sprawą?

– Odnalezienie Devin Chambers – powiedziała Tracy.

– Czy coś jej się stało? – spytał Strickland. – Zdawało mi się, że wyjechała... tak pani powiedziała.

– Tak oświadczyła znajomym – uściśliła Tracy. – Ale jej siostra sądzi, że tak nie jest.

– I myślicie, że miałem coś wspólnego z jej zniknięciem?

– Czy pańska żona rozmawiała kiedyś z Devin Chambers o waszych kłopotach?

– Nie mam pojęcia, o czym z nią rozmawiała.

– A czy Devin Chambers wiedziała o pieniądzach żony?

– Wątpię. Nawet ja długo o nich nie wiedziałem.

– Kiedy pan się dowiedział?

– Andrea wspomniała o nich w banku, kiedy poszliśmy załatwiać kredyt.

- Pytał pan żony, dlaczego tak długo to ukrywała?
- Oczywiście.
- I co powiedziała?
- Że rodzice zostawili jej pieniądze w funduszu powierniczym i dopiero niedawno uzyskała nad nimi kontrolę.
- Prosił pan ją o zgodę na zainwestowanie tych pieniędzy w firmę?
- Nie.
- Nie? – zdziwił się Kins.
- Nie – powtórzył Strickland i pokręcił głową. – Twierdziła, że tych pieniędzy nie da się wykorzystać na założenie firmy, i uszanowałem to.
- Nie był pan zawiedziony?
- W pierwszej chwili może trochę, ale potem porozmawialiśmy i zrozumiałem.
- I nie wie pan, co się stało z tymi pieniędzmi? – Kins wyraźnie nie zamierzał odpuścić.
- Już panu mówiłem, że nie. Jeśli Andrea żyje, pewnie ma je ona, gdziekolwiek jest. A jeśli nie żyje, to ktoś je ukradł. Mogę państwa o coś spytać?
- Oczywiście – odparła Tracy.
- Czy udało się zidentyfikować te zwłoki w koszu na kraby? – zapytał Strickland.
- Jeszcze nad tym pracujemy.

* * *

Stare powiedzenie „Jak już pada, to leje” raz jeszcze się sprawdziło, bo letnia burza nie minęła szybko. Niebo się mocno zaciągnęło, wyraźnie się ochłodziło i burza przyniosła ulewę. Tracy i Kins nie mieli parasoli, musieli biegiem pognać w lejącym deszczu do samochodu i wsiadając, ociekali wodą.

– Niezły z niego krętacz, co? – rzucił Kins, uruchamiając silnik i włączając ogrzewanie.

Tracy przestawiła nawiewy tak, żeby nie leciało na nią zimne powietrze.

– Jeśli zabił Chambers, a może nawet żonę, nie będzie łatwo go skazać. Wszystko dokładnie obmyślił. Mieliśmy szczęście, że kosz Schilla splątał się z tym drugim – powiedziała, po czym zerknęła na zegarek. – O której jesteście umówieni z tym twoim detektywem?

– O trzeciej. Czekał, zadzwonię do niego i zapytam, czy się tego trzymamy, czy da się to trochę przesunąć.

– Ja tymczasem skontaktuję się z Fazem.

Faz poinformował ją, że pytał FBI o wyniki badania komputera łowcy głów. Jak dotąd wszystko wskazywało na to, że zleceniodawca był zalogowany do serwera w miejscu publicznym i FBI miało nadzieję, że uda im się przynajmniej zawęzić sprawę do konkretnej lokalizacji.

– Ja i Del wybieramy się teraz z fotografią Chambers w obchód mieszkań i marin. Wpadniemy też do doktora Wu – dodał Faz.

Rozmowa Kinsa z detektywem z Portlandu trwała dużo krócej. Kins rozłączył się i szpetnie zaklął.

– Czy w tej sprawie nic nigdy nie może być proste? – burknął.

– Co się stało? – spytała Tracy.

– Mieli strzelaninę na kampusie i koleś będzie uziemiony przez resztę dnia.

– Nie ma kogoś innego, kto mógłby wystąpić o nakaz?

Kins pokręcił głową.

– Wiesz, jak to jest. Najwcześniej jutro rano.

Długie godziny pracy i brak snu dawały o sobie znać; Tracy była wykończona. W dodatku źle się czuła w przemokniętym ubraniu i była rozdrażniona.

– To nie ma sensu wracać do Seattle tylko po to, żeby się przespać i znów tu wrócić – burknęła. – Trzeba będzie znaleźć jakiś hotel.

– Kocham wkładać nieświeże majtki – mruknął Kins.

Zjedli lunch i wynajęli sąsiadujące pokoje w Marriott Courtyard przy końcu nabrzeża. Obserwując przez okna szalejącą burzę, oboje zadzwonili w parę miejsc i odpowiedzieli na kilka maili. Niebo było zasnuwane kożuchem groźnie wyglądających, ciemnych chmur i lało jak z cebra. Tracy zadzwoniła do Dana i uprzedziła, że nie wróci na noc, potem skontaktowała się z biurem. Okazało się, że Faz i Del już wrócili z obchodu marin i mieszkań.

– Nikt jej nie pamięta – powiedział Faz. – Rozpoznał ją tylko doktor Wu, co nas specjalnie nie zdziwiło.

– Twój wujek zawiadomił siostrę Chambers?

– Był u niej dziś po południu. Mówi, że wszystko poszło stosunkowo gładko. Siostra przyjęła wiadomość spokojnie i podziękowała mu za jego trud.

– A jej rodzice?

– Oboje nie żyją.

– Inne rodzeństwo?

– Najwyraźniej nie ma. A co wam powiedział mąż? – zainteresował się Faz.

– Nic, albo jeszcze mniej – odparła Tracy, cytując jego powiedzonko.

– Załatwiliście nakaz przeszukania?

– Mają strzelaninę w jednym z college'ów, są ofiary śmiertelne i znajomy Kinsa do jutra rana jest uziemiony.

Ktoś zapukał do drzwi. Budzik na stoliku nocnym pokazywał siedemnastą trzydzieści, z Kinsem była umówiona na szóstą.

– Ktoś puka do drzwi. Zadzwonię do ciebie później – rzuciła i odłożyła słuchawkę.

Na korytarzu stał jej partner i miał posępną minę.

– Z nakazu nici – mruknął.

Rozdział 28

Sprawy jurysdykcyjne śledztwa jeszcze bardziej się skomplikowały. Kontrolę nad loftem Stricklanda w dzielnicy Pearl przejęła portlandzka policja, co było w pełni uzasadnione, ponieważ popełniono tam zabójstwo.

Ulicę przed dwupiętrowym budynkiem zastawiono pojazdami służb ratunkowych – wozami strażackimi, niebiesko-białymi radiowozami, nieoznakowanymi samochodami policyjnymi oraz furgonetkami CSI i koronera Portlandu. Tego rodzaju zamieszanie musiało przyciągnąć uwagę mieszkańców okolicznych domów i za barierkami zebrał się już tłum gapiów. Burza się skończyła i wyszło znów słońce, rozświetlając ulicę zamkniętą dla ruchu kołowego, a zarządzający ruchem policjanci kierowali nadjeżdżające samochody na objazdy. Kins opuścił szybę i pokazał policjantowi odznakę.

– Aż z Seattle? – zdziwił się funkcjonariusz.

– Jesteśmy tu służbowo, zajmujemy się inną sprawą kawałek stąd na północ – wyjaśnił Kins.

– Proszę, jeśli uda wam się gdzieś wcisnąć – rzucił policjant, odsuwając barierkę.

Kins zatrzymał się za nieoznakowanym fordem na środku wąskiej uliczki. Po obu stronach wznosiły się dwu- i trzypiętrowe budynki, które – sądząc po wyglądzie – zbudowano niegdyś jako zakłady przemysłowe, po czym je odremontowano, zabezpieczono przed efektami trzęsień ziemi i zapewne poddano wielu inspekcjom budowlanym pod kątem zmiany przeznaczenia na cele mieszkaniowe. Okolica przypominała Tracy okolice Pioneer Square w Seattle. Po renowacji

przeprowadzonej w latach sześćdziesiątych rejon ten obsiadły galerie sztuki, firmy internetowe, kawiarnie, bary i kluby nocne.

Na parterze budynków w dzielnicy Pearl też mieściło się wiele kawiarni, restauracji, eleganckich butików i sklepów z wyposażeniem mieszkań. Na wyższych piętrach najwyraźniej mieszkali ludzie. Na dachach dobudowano warte miliony dolarów penthouse'y.

– Modna dzielnica – zauważyła Tracy, rozglądając się po ulicy.
– Mnóstwo ludzi tu mieszka.

Patrol policyjny ustawił drugą – wewnętrzną – zaporę przy żelaznej bramie między dwoma betonowymi słupkami, za którą ciągnęła się ścieżka prowadząca do bocznego wejścia do budynku.

– Szukam detektywa Zhu – powiedział Kins, ponownie błyskając odznaką policyjną.

– Jest na drugim piętrze – odparł policjant.

– W którym mieszkaniu?

– Na każdym piętrze jest tylko jedno. To jest loft.

Wyłożone betonowymi płytami przejście doprowadziło ich do przeszklonych drzwi wejściowych pod soczycie zieloną markizą z wypisanym adresem budynku i znakiem przypominającym &. Weszli do holu z drewnianą posadzką i skórzanymi fotelami i ruszyli do staromodnej windy klatkowej, wokół której wiły się szerokie schody.

– Chodźmy schodami – zaproponował Kins. – W takich windach dostają dreszczy.

– A co z twoim biodrem?

– Już wolę, żeby mnie bolało, niż żebym miał spaść i się zabić.

– Boże, ale z ciebie histeryk.

– Ja się uważam za pragmatyka.

Blisko windy Tracy zauważyła trzy schodki wiodące w dół do wyjścia, a za nimi drzwi. Gdy je pchnęła, otworzyły się na parking za domem. Wyszła na zewnątrz, puściła drzwi, a te się za nią zatrzasnęły. Nacisnęła klamkę, ale okazało się, że nie dają się otworzyć. Na ścianie obok futryny znajdował się szyfrator do

wprowadzenia kodu. Rozejrzała się po słupach latarni i ścianach sąsiedniego budynku, nigdzie jednak nie dostrzegła kamer. Na pierwszym i drugim piętrze ze ścian sterczały masywne wsporniki podtrzymujące duże metalowe tarasy, które zasłaniały mieszkańcom widok na parking i ludzi podchodzących do wejścia.

Kins otworzył drzwi od wewnątrz i oboje ruszyli schodami na drugie piętro, gdzie natknęli się na trzecią i ostatnią przeszkodę w osobie policjanta z przypiętą do sztywnej podkładki listą osób, który zagradzał sobą wejście do loftu. Kins wpisał nazwiska obojga i ponownie zapytał o Zhu.

– Chwileczkę – powiedział policjant i cofnął się w głąb mieszkania. – Detektywie Zhu? Ma pan gości.

Tracy przyjrzała się drzwiom wejściowym do loftu. Większe od standardowych i wzmocnione stalowymi nitami, wyglądały bardzo solidnie. Nie miały zamka z dziurką na klucz; we framudze był kolejny szyfrator do wprowadzenia kodu. Drzwi i klamka nie nosiły żadnych śladów otwierania na siłę.

Z loftu wyszedł Azjata o młodzieńczym wyglądzie i przywitał się z Kinsem, a ten przedstawił go swojej partnerce.

– No cóż, to też jest jakiś sposób na przeszukanie mieszkania – zauważył z przekąsem detektyw Jonathan Zhu. – O której widzieliście się z nim dzisiaj?

– Około południa – odparł Kins.

– Gdzie się spotkaliście?

– Dopadliśmy go w knajpie o nazwie Third Degree.

– Three Degrees? – poprawił go Zhu. – Nad rzeką?

– Tak, był tam umówiony z kimś na lunch.

– Z kobietą?

– Tak – potwierdził Kins.

– I zjawiała się?

– Na krótko.

– Przyjrzelście się jej?

– Trudno było jej nie zauważyć. Wysoka, Azjatka, atrakcyjna.

– Chodźcie ze mną – rzucił Zhu i zawrócił do loftu.

Wnętrze stanowiło dużą otwartą przestrzeń, podzieloną jedynie ręcznie ociosanymi drewnianymi słupami z trójkątnymi kratownicami, na których opierał się wysoki strop. Na lewo od wejścia stała ławeczka, na której wchodzący mogli przysiąść i zdjąć buty, nad nią wisiał rząd metalowych haków na wierzchnie okrycia. Wiszący na haku płaszcz był podobny do tego, który miała na sobie Azjatka w restauracji. Tracy i Kins przeszli za Zhu do części loftu ze skórzanymi kanapami, niskim stolikiem ze szklanym blatem i płaskim telewizorem, rozświetlonej promieniami zachodzącego słońca, które wpadały do środka przez łukowate okna. Dalej widać było kuchnię i metalowe schody prowadzące na górę. Weszli nimi na piętro podzielone ściankami działowymi na kilka pomieszczeń i skierowali się tam, gdzie coś się działo. Kilka osób z biura koronera stało wokół łóżka z mocno zakrwawioną pościelą.

– Czy to jest ta kobieta, którą widzieliście dziś w Three Degrees? – zapytał Zhu.

* * *

Zeszli z piętra i stanęli przy kanapach. Światło wpadające przez łukowe okna kładło się jasnymi plamami na posadzce, z ulicy dochodziły odgłosy ruchu ulicznego. To, co zobaczyli na górze, było straszne. Młoda kobieta leżała na łóżku twarzą do dołu, odrzucona kołdra ukazywała jej nagie ramiona i plecy, wokół głowy utworzyła się aureola z włosów zlepionych zakrzepłą krwią.

– Kto to jest? – spytała Tracy.

– Z prawa jazdy wynika, że nazywała się Megan Chen – odparł Zhu. – Dwadzieścia cztery lata, mieszka z dwiema koleżankami w północno-wschodniej dzielnicy Portlandu.

– Kto ją znalazł? Kto was zawiadomił? – zapytał Kins.

– Sprzątaczką – odparł Zhu. – Jest strasznie roztrzęsiona. Nasza detektyw śledcza rozmawia z nią w komisariacie.

– Wiadomo coś o czasie zgonu?

– Koroner twierdzi, że najwyżej dwie godziny temu.

Strickland mógł wyjść z restauracji i w tym czasie wrócić do domu, pomyślała Tracy.

– Znaleźliście broń? – spytała.

– Tak, pistolet kalibru dziewięć milimetrów.

Z takiej samej broni zastrzelono Devin Chambers.

Kins przestąpił z nogi na nogę, jak mu się to zdarzało, gdy był zdenerwowany.

– Wiadomo, co się dzieje ze Stricklandem? – zapytał.

– Wysłaliśmy dwóch naszych ludzi do kancelarii, w której pracuje. Jego asystentka powiedziała, że był z kimś umówiony na trzecią, ale ten ktoś się nie pokazał.

– Ze mną – wyjaśniła Tracy. – Zadzwoiłam wczoraj, aby się upewnić, że jest na miejscu. Żebyśmy niepotrzebnie nie jechali.

– Asystentka próbowała dodzwonić się na jego komórkę, od razu jednak zgłaszała się jego poczta głosowa – powiedział Zhu. – Wygląda na to, że telefonu stacjonarnego nie ma.

– Namierzacie jego komórkę? – chciał wiedzieć Kins.

– Próbujemy, ale ma ją wyłączoną. Wystąpiliśmy też o nakaz monitorowania na bieżąco płatności kartą kredytową i korzystania z bankomatów. – Zadzwoiła komórka Zhu. – To może być sędzia – wyjaśnił i odszedł na bok, by odebrać.

– To bez sensu – rzuciła Tracy.

– Co? – spytał Kins.

– Dlaczego ktoś, kogo podejrzewamy o precyzyjne zaplanowanie i dokonanie zabójstwa kobiety, a może nawet dwóch, miałby zastrzelić trzecią i zostawić ją we własnym łóżku?

– Wszystko w tej sprawie jest bez sensu – mruknął Kins.

Zhu skończył rozmowę i spojrzał na Tracy.

– Na komendę zadzwonił adwokat Grahama Stricklanda z wiadomością, że dwadzieścia minut temu zjawił się u niego Strickland. Był bardzo roztrzęsiony i poinformował go, że w jego łofcie leży martwa kobieta. Uważa, że ktoś celowo próbuje zrujnować mu życie, i jest gotów oddać się w nasze ręce.

– To dobra wiadomość – powiedziała Tracy.

– Tak, a najpierw chce rozmawiać z tobą.

Rozdział 29

Zhu z oporami wyraził zgodę na to, by przed oddaniem się w ręce policji Strickland mógł porozmawiać z Tracy. Dla niego ten człowiek był podejrzany o popełnienie zabójstwa i gdyby to od niego zależało, pewnie wysłałby do kancelarii Phila Montgomery'ego oddział SWAT, kazał skuć Stricklanda i zawlec go do sali przesłuchań na komendzie.

Tracy też nie zamierzała się z nim patyczkować, ale lista jej priorytetów wyglądała inaczej. Przede wszystkim chciała od niego wydobyć wszystko, co wie o zniknięciu Andrei Strickland i Devin Chambers, a wiedziała, że lepsza okazja może się nie trafić. Strickland nie miał już żadnych kart w rękawie i był przerażony, co może wreszcie zetrzeć z jego twarzy ten pełen wyższości uśmiezek i skłonić go do mówienia prawdy, przynajmniej częściowej.

– Jeśli będzie chciał się otworzyć, pozwólmy mu na to – zwróciła się do Zhu. – To może być nasza jedyna szansa na wydobycie z niego informacji. W pewnej chwili jego adwokat każe mu się zamknąć. Aresztujesz go po tym, jak mi coś powie.

– Nie lubię być przedmiotem czyjejs rozgrywki – mruknął Zhu.

– Witaj w klubie, kolego – wtrącił Kins. – Ale ten facet to nie byle kto.

– To prawda – potwierdziła Tracy, zerkając na partnera z ukosa, by mu uświadomić, że takimi odzywkami nie ułatwia jej zadania. – Ale sytuacja uległa dramatycznej zmianie. Jest już podejrzany w sprawie dwóch innych zabójstw i jestem bardzo ciekawa, jak wyjaśni to trzecie.

Zhu i jego przełożony w końcu wyrazili zgodę i Tracy z Kinsem pojechali do kancelarii Phila Montgomery'ego. Kins został z innymi w holu budynku, Tracy wsiadła do windy i pojechała na górę. Montgomery czekał na nią na korytarzu, przed wejściem do kancelarii. Wyglądał na zmęczonego, jakby dopiero co wrócił do biura po dniu spędzonym w sądzie. Nadal miał na sobie elegancką koszulę z krawatem, ale zdążył już rozluźnić węzeł i podwinąć rękawy. Pod pachami widać było mokre plamy od potu.

– Jest w nie najlepszym stanie – uprzedził.

Tracy było to obojętne, ale ponieważ naprawdę chciała usłyszeć, co Strickland ma jej do powiedzenia, postanowiła, że póki nie uzna, że próbuje ją wodzić za nos, będzie go traktowała przyjaźnie.

– Sądzi pan, że może mieć myśli samobójcze? – spytała.

– Niewykluczone. Prawie nic nie mówi.

– Sprawdził pan, czy nie ma przy sobie broni?

– Oczywiście. – Montgomery pokiwał głową. – Myślę, że oboje jesteśmy zgodni, że w tych warunkach można to uznać za przesłuchanie zatrzymanego.

– Też tak myślę – potwierdziła Tracy, biorąc do ręki telefon. – Nagram całą rozmowę i odczytam mu prawa Mirandy.

– A ja dla porządku poradzę mu, by nic nie mówił.

– Rozumiem.

Montgomery otworzył drzwi i weszli do środka.

– Jest w sali konferencyjnej – oznajmił Montgomery, gdy mijali stanowisko recepcjonistki.

Skęcili w lewo i poszli korytarzem wzdłuż ciągu pustych i ciemnych gabinetów. Montgomery stanął przed zamkniętymi drzwiami i obejrzał się na Tracy, jakby pytał: „Jesteś gotowa?”.

A potem otworzył drzwi.

Siedzący przy końcu stołu Graham Strickland uniósł głowę. Oba przedramiona trzymał płasko na stole, dłońmi obejmował kubek z czymś do picia; przez ogromne okna za jego plecami widać było śródmieście Portlandu i ciągnące się w oddali pasmo

wzgórz. Był ubrany tak samo jak w porze lunchu, ale nie wyglądał już tak elegancko, a z jego twarzy zniknęły pewny siebie uśmiezek i arogancka mina. Siedział lekko skulony, oczy miał zapadnięte i jakby nieobecne; przypominał przyłapanego na psocie dziecko, które wie, że kara go nie ominie.

Montgomery obszedł stół, usiadł obok swojego klienta i położył na stole notatnik i długopis. Tracy usiadła naprzeciwko Stricklanda.

– Graham, poinformowałem detektyw Crosswhite, że traktuję tę rozmowę jako przesłuchanie zatrzymanego. W związku z tym pani detektyw odczyta ci prawa Mirandy.

– I będę nagrywała całe spotkanie – dodała Tracy, kładąc na stole telefon i wciskając ZAPIS.

Strickland skinął głową.

– Panie Strickland, znajdujemy się w sali konferencyjnej pańskiego adwokata – zaczęła. – Odczytam panu teraz prawa Mirandy. „Ma pan prawo zachować milczenie. Wszystko, co pan powie, może być i będzie wykorzystane przeciwko panu podczas procesu sądowego. Ma pan prawo do obecności adwokata”. – Skończyła czytać i spytała: – Czy zrozumiał pan odczytane przeze mnie prawa?

Znów skinął głową.

– Musisz odpowiedzieć na głos – poinstruował go Montgomery, który usadowił się tak, by widzieć ich oboje. W ręce trzymał długopis.

– Tak, zrozumiałem – odparł Strickland niemal szeptem.

– Rozumiem, że chciał pan ze mną rozmawiać – powiedziała Tracy.

Strickland skinął głową.

– Na głos – upomniał go adwokat.

– Tak.

Strickland odchylił się na oparcie krzesła i tak głęboko zaczerpnął powietrza, że aż zarzęziło mu w piersiach. Chwilę jeszcze milczał, starając się opanować emocje, Tracy bez słowa czekała. Już zdarzyło jej się przesłuchiwać socjopatów,

a w zachowaniu Stricklanda dostrzegła wszystkie typowe objawy. Socjopaci często bywają inteligentni, potrafią być sprawnymi manipulatorami i dają tak wyrafinowane pokazy aktorstwa, że najlepsi absolwenci Juilliarda wyglądają przy nich jak amatorzy. Nie umknęło jej uwadze też to, że Strickland poprosił o rozmowę z kobietą. Przystępowała więc do niej ze zdwojoną czujnością, aby nie dopuścić do ewentualnej próby manipulacji.

– Nie zabiłem Megan – szepnął.

Tracy nie zareagowała.

– Nie zabiłem Devin Chambers i nie zabiłem żony. Wiem, że pani myśli inaczej, ale mówię prawdę.

– Co pan powiedział Megan Chen, kiedy spotkaliście się dziś w restauracji? – spytała Tracy.

– Powiedziałem jej, że coś się wydarzyło i nie mam teraz czasu, ale może poczekać na mnie w domu.

– Czy pierwotnie planował pan powrót z nią do loftu?

– Na to liczyłem – przyznał Strickland.

– Jak miała się dostać do mieszkania?

– Znała kod.

– Spotykaliście się?

– Spotkaliśmy się parę razy.

– Co się wydarzyło po tym, jak ja i mój partner wyszliśmy z restauracji?

– Zostałem jeszcze parę minut, żeby przeczytać maile i na kilka odpowiedzi, potem zadzwoniłem do biura i zawiadomiłem, że lunch się trochę przeciągnie, ale wrócę na umówione spotkanie o trzeciej. – Strickland znów głęboko westchnął, drżącymi rękami uniósł kubek do ust i upił łyk herbaty. Odstawił go i ciągnął: – Zadzwoniłem w parę miejsc i pojechałem do domu.

– Czy zadzwonił pan do Megan Chen, by ją uprzedzić, że już pan jedzie?

– Nie.

– Dlaczego nie?

- Lubiła mnie zaskakiwać.
 - To znaczy?
 - Mogę najpierw skończyć? Myślę, że wszystko będzie jasne.
 - Proszę.
 - Zaparkowałem na swoim miejscu pod budynkiem, samochód Megan stał na jednym z miejsc dla gości.
 - Jaki?
 - Jej samochód? Niebieska toyota camry. Przeszedłem z parkingu do windy i pojechałem na górę.
 - Zauważyłam, że aby wejść do budynku i do mieszkania ze schodów, trzeba wpisać kod. Czy żeby pojechać windą z parkingu też trzeba znać kod?
 - Tak.
 - Megan go znała?
- Strickland kiwnął głową.
- To ten sam kod co do drzwi wejściowych. – Zacerpnął powietrza i z sykiem wypuścił. – Wszedłem do środka i zawołałem ją, ale nie odpowiedziała. Zawołałem jeszcze parę razy, ale się nie odezwała, więc pomyślałem, że albo bierze prysznic na górze, albo się przede mną chowa.
 - Czy zauważył pan coś niezwykłego, coś, co pana zaniepokoiło?
 - Nie.
 - Czemu pan pomyślał, że może się przed panem chowa? To były te jej niespodzianki?
 - Tak, wyskakiwała nagle z jakiejś kryjówki albo spod kołdry.
 - Często jej się to zdarzało?
 - Tak.
 - Co pan zrobił po przyjeździe do domu?
 - Poszedłem na górę. – Stricklandowi zmętniał wzrok, jakby stracił ostrość widzenia. – Sypialnia jest za ścianką działową i nie widziałem, co w niej jest. Zawołałem Megan i wszedłem do środka. Myślałem, że na mnie wyskoczy... i wtedy ją zobaczyłem... i krew.
 - Gdzie była? – spytała Tracy.

Spojrzał na nią tak, jakby nie zrozumiał pytania.

– Co?

– Gdzie pan ją znalazł?

– Na łóżku. Była na łóżku.

– W jakiej pozycji?

– Nie rozumiem.

– Siedziała czy leżała?

– Leżała na brzuchu z lewą ręką tak jakoś zarzuconą na głowę. – Strickland uniósł rękę i zgiął ją nad głowę. – Jakby spała.

Tracy też tak pomyślała, kiedy ją zobaczyła. Ułożenie ciała nie wskazywało na to, by starała się uciec czy odepchnąć zabójcę, a to musiało znaczyć, że albo go znała, albo kompletnie ją zaskoczył. W jednym i drugim przypadku mógł to być Strickland.

– Twierdzi pan, że już wcześniej zdarzało się jej tak pana zaskakiwać?

– Tak.

– Co konkretnie wtedy robiła?

– Chowala się pod kołdrą, potem nagle siadała z okrzykiem „Niespodzianka!” – bąknął niechętnie Strickland.

– Czy potrafi pan wyjaśnić, dlaczego leżała na brzuchu?

Wzruszył ramionami.

– Już mówiłem. Wyglądało, jakby spała.

– Co pan wtedy zrobił?

– Zauważyłem pistolet na brzegu łóżka i się cofnąłem. – Potrząsnął głową. – Szarpnąłem się do tyłu i chyba uderzyłem o poręcz schodów. Sam już nie wiem. Chciałem się jak najszybciej stamtąd wydostać.

– Dotknął jej pan?

Strickland energicznie pokręcił głową.

– Nie. Tam było pełno krwi i... – Zamknął oczy.

– A pistoletu?

– Nie – powiedział cicho.

– Co pan zrobił po wyjściu z mieszkania?

– Nie wiedziałem, co dalej, dokąd pójść. – Odbiło mu się głośno, jakby za chwilę miał wymiotować. Jeśli udawał, to był to

popis aktorstwa najwyższej klasy. – Czułem się kompletnie zagubiony. Wsiadłem do samochodu i ruszyłem bez celu. Próbowałem dzwonić do Phila, ale był w sądzie. W końcu dodzwoniłem się, a on kazał mi tu przyjechać.

– Dlaczego nie zawiadomił pan policji?

– I co im miałem powiedzieć? – Jego głos stał się jakby zaczepny, ale tylko na krótką chwilę. Strickland westchnął i odchylił się na oparcie krzesła. – Że w moim łóżku leży martwa kobieta? Prokurator już wcześniej uznał mnie za podejrzanego w sprawie zniknięcia żony, wiem też, że uważacie, że miałem coś wspólnego ze zniknięciem Devin. Więc kto by mi uwierzył?

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Przecież ja tam mieszkam. Ta kobieta leżała w moim łóżku. Parę godzin wcześniej widzieliście ją w moim towarzystwie. Jestem adwokatem. Wiem, jak to wygląda.

I właśnie to niepokoiło Tracy. To, jak to wyglądało. Było za łatwe, zbyt oczywiste. Ale Strickland mógł celowo tak to zaaranżować. By wyglądało na tak oczywiste, że policja go wykluczy.

– To pański pistolet?

– Nie posiadam broni.

– A Megan Chen posiadała?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Dlaczego chciał pan ze mną rozmawiać, panie Strickland?

Wytrzeszczył oczy i źrenice mu się rozszerzyły jak u kogoś, kto nie wie, czy walczyć, czy wiać. Jak dotąd wiał, ale teraz wydawał się gotów podjąć walkę.

– Bo ktoś celowo chce mnie zniszczyć.

– Dlaczego ktoś miałby pana zniszczyć?

Strickland zakołysał się na fotelu i spojrzał w kąt sufitu. Po policzku spłynęła mu łza.

– Za Andreę.

– Konkretnie za co?

Otarł łzy, powrócił wzrokiem do siedzących za stołem i jeszcze chwilę milczał.

– Bo naprawdę chciałem ją zabić. – Znowu zamilkł, ale Montgomery nawet nie drgnął. Tracy cierpliwie czekała. – Chciała iść na Mount Rainier, ja nie chciałem. Taka jest prawda. Nie udało mi się wejść za pierwszym razem i nie miałem chęci ponownie próbować. Mam chorobę wysokościową i nie chciałem się znów męczyć. Ale potem... – przełknął ślinę i znów otarł łzy – ...zacząłem się zastanawiać.

Tracy zerknęła na swój telefon, by upewnić się, że nadal nagrywa, po czym odezwała się celowo ściszonego głosem:

– I uznał pan to za okazję do pozbycia się żony.

– Tego nie powiedział – wtrącił szybko Montgomery.

Tracy zignorowała jego uwagę.

Strickland zamknął oczy i zakołysał się z fotelem.

– Tak – szepnął, ale tak cicho, że niemal bezgłośnie.

– Powiedział pan „Tak”? – upewniła się Tracy.

– Tak.

– I zabił ją pan?

– Nie.

– Nie rozumiem.

– Chciałem ją zepchnąć w przepaść. Ale nie zrobiłem tego – dodał szybko. – Nie zepchnąłem. Tak jak powiedziałem na pierwszym przesłuchaniu, naprawdę wyszła z namiotu, żeby się załatwić. Nie zrobiłem tego.

– To co się z nią stało?

Strickland parę razy głęboko odetchnął. Montgomery siedział z brodą podpartą ręką i z łokciem na stole. Przez cały czas nie zanotował ani słowa.

– Moja firma padała. Zainwestowałem w nią wszystko, co mieliśmy, i wszystko traciłem. Sfałszowałem list od szefa kancelarii, że mnie awansują na wspólnika i moja pensja wzrośnie, a bank się odgrażał, że jeśli nie spłacę długu, podadzą mnie do sądu. Błagałem Andreę, żeby mi pożyczyła trochę ze swojego funduszu powierniczego, ale ona nie chciała. Więc jej powiedziałem, że sfałszowałem jej podpis na wekslu dla banku

i dla właściciela nieruchomości i że jeśli mnie nie poratuje częścią swojego majątku, to wszystko straci.

– Jak zareagowała?

– Wściekła się. Doszło do kłótni.

– Do rękoczynów również?

– Byłem rozżalony. Piłem. Chwyciłem ją, ona mnie kopnęła, a ja ją uderzyłem. Wstyd mi, ale naprawdę ją uderzyłem. A potem wyszedłem.

– Czy już wcześniej dochodziło między wami do aktów przemocy?

– Nie. Tylko ten jeden raz. Po prostu dałem się ponieść emocjom.

Tracy wątpiła w prawdziwość jego słów.

– Wszystko wokół mnie się waliło, a ona nie chciała ruszyć palcem, żeby mi pomóc – dodał.

Nie potrafiła wzbudzić w sobie ani odrobiny współczucia, ale pozwoliła mu to rozgrywać po swojemu.

– I gdzie pan wtedy poszedł?

– Do baru. Poszedłem do baru w pobliżu naszego loftu i zacząłem się zastanawiać, jak zdobyć te pieniądze.

– I wtedy przyszło panu do głowy, żeby ją zabić.

– Mój klient tego nie powiedział – ponownie wtrącił Montgomery i zmierzył Tracy wzrokiem.

– Czy myślał pan o zabiciu Andrei i dobraniu się do jej pieniędzy?

– Nie, jeszcze nie. Wtedy nie myślałem nawet o Mount Rainier. Andrea wyszła z tym pomysłem dopiero po moim powrocie do domu dwa dni później, ale nie o tym chciałem mówić. Chciałem powiedzieć, że kiedy tego wieczoru siedziałem w barze, ktoś głośno wypowiedział moje imię. Podniosłem głowę i zobaczyłem Devin Chambers.

– Devin Chambers była w tym barze? – nie mogła uwierzyć Tracy.

– Tak.

– Czyli pan ją znał.

– Widzieliśmy się parę razy, ale trudno to nazwać znajomością.

– Spytał ją pan, co tam robi?

– Nie.

– Był pan już kiedyś w tym barze?

– O tak, wielokrotnie.

– Spotykał pan ją tam wcześniej?

– Nie.

– I nie spytał jej pan, skąd się tam wzięła?

– Nie. Usłyszałem tylko „Graham?” i podniosłem głowę.

– Była sama?

– Nie, w towarzystwie paru osób. Już wychodzili, ona mnie zauważyła i podeszła się przywitać. Pewnie musiałem źle wyglądać, bo spytała, co się stało.

– I co pan jej powiedział?

– Wszystko. Powiedziałem, że za dużo wypilem, że jestem wściekły na Andreę i że się pozarliśmy. Chciałem zrzucić wszystko na Andreę, zrobić z niej egoistkę. I opowiedziałem Devin wszystko.

– Także o funduszu?

– Tak. Powiedziałem, że Andrea śpi na górze pieniędzy, a mnie nie pozwala z nich skorzystać, żeby nas uratować.

– Jak na to zareagowała Devin?

– Powiedziała, że gdyby to ona była moją żoną i miała pieniądze, toby mi je dała.

– Tak powiedziała?

Kiwnął głową.

– Pojechał pan do niej tego wieczoru?

Strickland ponownie kiwnął głową.

– Tak.

– I przespał się pan z nią?

– Tak. Byłem wściekły na Andreę – dodał szybko, jakby to tłumaczyło pójście do łóżka z najlepszą przyjaciółką żony.

– Czy potem jeszcze się spotykaliście?

Strickland opuścił głowę.

- Tak – bąknął.
- Czy Devin była częścią planu pozbycia się Andrei?
- Już mówiłem, że wtedy nawet o tym nie pomyślałem. Chciałem się tylko odegrać na Andrei.
- I uznał pan, że pójdzie do łóżka z jej przyjaciółką odpowiednio mocno ją zabol?
- Kiwnął głową, spojrzął na nagrywający telefon i mruknął:
- Właśnie.
- To dlaczego pan to ciągnął?
- Nie wiem.
- Wyznał pan kiedyś żonie prawdę o sobie i Devin?
- Nie.
- A Devin jej powiedziała?
- Tego nie wiem. Ale nie sądzę. Po co miałyby to robić?
- I wtedy zaczął pan planować zabicie Andrei na Mount Rainier, tak?
- Montgomery zrobił ruch, jakby chciał zaprotestować, lecz zrezygnował.
- No więc jak już mówiłem, wróciłem do domu w niedzielę wieczorem i przeprosiłem Andreę. Kupiłem jej prezenty na przeprosiny, książkę i bukiet kwiatów, i powiedziałem, że jest mi przykro.
- I rzeczywiście było? Czy tylko pan tak powiedział?
- Chyba i jedno, i drugie. Nie miałem gdzie się podziąć. Porozmawialiśmy o kłopotach z firmą i o tym, jak się od siebie oddaliliśmy. I wtedy Andrea wyszła z pomysłem wycieczki na Mount Rainier.
- Tak z niczego?
- Tak.
- Tracy znów poczuła, że chyba mu nie wierzy.
- Zdziwiłem się, bo nie zauważyłem, żeby pierwszą wspinaczką była specjalnie zachwycona. Ale uważała, że to nas ponownie zbliży i pomoże naszemu małżeństwu.
- A pan nie chciał iść na tę wyprawę?

– Obiecałem, że się zastanowię, ale tylko po to, by nie prowokować następnej kłótni.

– Kiedy zaczął pan myśleć o możliwości zepchnięcia żony w przepaść?

I znów Montgomery zachował milczenie.

– Trasa wybrana przez Andreę nie jest zbyt popularna. Ginie na niej więcej ludzi niż na pozostałych. I wtedy zacząłem myśleć, że to się może udać.

– Że co się może udać? – Tracy chciała, by Strickland wyraźnie to powiedział.

– Taka myśl mi przyszła do głowy... wie pani... Że co by było, gdyby spadła?

– W którym momencie zaczął pan rozważać to na poważnie?

– Kiedy Devin o tym wspomniała.

By nie dać adwokatowi czasu na protest, Tracy od razu weszła Stricklandowi w słowo:

– Devin zaczęła mówić o zabiciu Andrei?

– Którejś nocy w łóżku powiedziała: „Zdajesz sobie sprawę, że wszystkie twoje kłopoty by się skończyły, gdybyś uzyskał dostęp do pieniędzy w jej funduszu?”.

– Kiedy dokładnie to było?

– Jakiś miesiąc po naszej pierwszej nocy.

– Gdzie byliście?

– W hotelu w Seattle. Wyjechaliśmy, żeby nas nikt nie przyuważył.

– Niech pan dokładnie powtórzy jej słowa.

– Tak jak mówiłem. Powiedziała, że bank się odczepi, jeśli spłacę zadłużenie. Że im chodzi tylko o pieniądze. Ale ja to sam wiedziałem, więc odparłem tylko: „To świetnie, tylko że Andrea nie pozwala mi tknąć tych pieniędzy”. I wtedy ona powiedziała: „A co by się stało z pieniędzmi, jeśli coś przydarzyłoby się Andrei?”.

– Znał pan odpowiedź?

– Nie. Nigdy nie miałem w ręku dokumentów od tego funduszu. Ale wiedziałem, że Andrea nie ma rodziny,

a w Oregonie obowiązuje małżeńska wspólnota majątkowa.

– I co było dalej?

– Znalazłem w domu kopie dokumentów dotyczących funduszu Andrei, przeczytałem i doszedłem do wniosku, że jeśli coś się stanie mojej żonie, pieniądze w ramach wspólnoty majątkowej przejdą na mnie, chyba że spisała testament, w którym postanowiła inaczej. Nie wiedziałem, czy taki testament istnieje, ale nie sądziłem, by tak było.

– Podzielił się pan tą wiedzą z Devin?

– Tak.

– I co ona na to?

– Powiedziała: „A jakby tak Andrea nie wróciła z góry?”.

– I wtedy wpadł pan na pomysł zepchnięcia jej w przepaść?

Strickland pokiwał głową.

– Zrobiłem wstępne rozeznanie. – Przerwał i spojrzał na swojego adwokata. – Mógłbym dostać szklankę wody?

Montgomery nalał wody z dzbanka, Strickland wypił ją duszkiem i podjął opowieść:

– Uznałem, że mogę to zrobić tego dnia rano, kiedy wyruszymy na szczyt z obozowiska na Thumb Rock. W tym miejscu byłoby bardzo trudno odnaleźć jej ciało, a gdyby nawet je znaleziono, można by przyjąć, że spadła sama.

– Co dokładnie zamierzał pan zrobić, panie Strickland?

Przełknął głośno ślinę.

– Chciałem ją zepchnąć ze skały w miejscu zwanym Ścianą Willisa. Tam jest pionowe urwisko na ponad trzysta metrów.

– I co się wtedy wydarzyło?

– Dokładnie to, co zeznałem w pierwszym śledztwie. Wieczorem poszliśmy spać i pamiętam, że byłem strasznie zmęczony. Z trudem mogłem unieść głowę.

Tracy pamiętała słowa strażnika parku, że ludzie tuż przed wejściem na szczyt są zwykle bardzo podnieceni i w nocy nie mogą usnąć.

– Wie pan, co było tego powodem?

Strickland pokręcił głową.

– Nie, nie mam pojęcia. Być może wysokość, ale nie jestem pewny.

– Co robiliście przed położeniem się spać?

– Nic specjalnego. – Wzruszył ramionami. – Zjedliśmy na kolację kanapki i napiliśmy się herbaty.

– Kto przyszykował kanapki i herbatę?

– Andrea.

– I co potem?

– Potem wczółgaliśmy się do śpiworów i usnęliśmy. Jak przez mgłę pamiętam, że Andrea wstała w nocy i powiedziała, że idzie się załatwić.

– Coś pan jej odpowiedział?

Strickland pokręcił głową.

– Byłem półprzytomny, prawie jak w letargu. Pamiętam, że ciążyła mi głowa i zaraz usnąłem.

Tracy znów przypomniała sobie słowa strażnika.

– Planował pan zabicie żony i mimo to spokojnie pan usnął?

Znów pokręcił głową.

– Wiem, jak to brzmi, ale właśnie tak było. Może dostałem choroby wysokościowej. Mówię, jak było.

– Nastawił pan budzik?

– Myślałem, że go nastawiłem.

– Sprawdził to pan po obudzeniu?

– Nie pamiętam. Pamiętam, że się obudziłem z bólem głowy jak na kacu i wtedy zdałem sobie sprawę, że śpiwór Andrei jest pusty.

– Zaczął pan jej szukać?

– Oczywiście. Najpierw ją wołałem. Nie odpowiadała, więc ubrałem się i podjąłem poszukiwania. Szukałem jej śladów, ale rano spadł śnieg i wszystko przysypał.

– Jak długo pan jej szukał?

– Nie pamiętam, ile to trwało.

– Co pan podejrzewał? Że co się mogło z nią stać?

– Nie byłem pewny. Chyba pomyślałem, że poszła za daleko i spadła ze skały.

– Co pan wtedy poczuł?

– Nic nie czułem i nic nie myślałem poza tym, jak stamtąd zejść i co powiedzieć na dole.

– I co pan zrobił? – spytała Tracy. Pamiętała raporty Glenna Hicksa i Stana Fieldsa i postanowiła raz jeszcze przepytac Stricklanda i sprawdzić, czy w jego odpowiedziach znajdują się jakieś rozbieżności.

– Spakowałem się, zszedłem na dół do strażnicy parkowej i powiadomiłem strażników o tym, co się stało.

– Co pan im powiedział?

– Dokładnie to samo co pani.

Tracy zrobiła krótką przerwę, bo postanowiła zmienić temat.

– Widział się pan po powrocie do domu z Devin Chambers?

– Nie od razu.

– Dlaczego?

– Sam nie wiem. Po prostu... nie zadzwoniłem do niej. Byłem kompletnie rozbity. Nie wiedziałem, co myśleć, a policja nie dawała mi spokoju. Wypytywali mnie, przeszukiwali mieszkanie.

– Bał się pan, jak to będzie wyglądać, kiedy w ramach śledztwa sprawdzą pańskie billingi telefoniczne i wyjdzie na jaw, że pański pierwszy telefon był do kobiety, z którą miał pan romans?

– Tak, pomyślałem o tym.

– Ale w końcu porozmawiał pan z Devin?

Strickland pokręcił głową.

– Nie. Kiedy się wreszcie zdecydowałem, okazało się, że jej nie ma.

– Jak to „nie ma”?

– Zadzwoniłem do niej.

– Kiedy?

– Nie pamiętam, w każdym razie nie odebrała telefonu. Więc do niej pojechałem i zapukałem do drzwi, nie otworzyła jednak, a pod domem nie było jej samochodu. Następnego dnia pojechałem do niej do pracy i czekałem pod budynkiem, ale też

się nie pojawiła. W końcu zadzwoniłem do jej biura i usłyszałem, że już tam nie pracuje.

– Czy przychodzi panu do głowy jakieś wyjaśnienie, dlaczego zniknęła?

– Początkowo nie byłem pewny, ale potem policja zaczęła mnie wypytywać o polisę ubezpieczeniową, której byłem beneficjentem. Dowiedziałem się też, że szefowa Andrei zeznała, że zdradzałem żonę, i wtedy pomyślałem, że Devin i Andrea uknuły spisek, żeby mnie zrobić w zamordowanie żony, podczas gdy obie gdzieś się wyniosły i zabrały ze sobą forszę.

– Wiedział pan o tej polisie, w której był pan beneficjentem?

– Tak, ale to był pomysł Andrei. Powiedziała, że jej to niepotrzebne, bo ma swoje pieniądze w funduszu.

– Wiedział pan, że Andrea była u adwokata rozwodowego?

– Usłyszałem o tym dopiero później.

– A kiedy pan się dowiedział, że zniknęły pieniądze z funduszu?

– Po tym, jak dowiedziałem się o zniknięciu Devin. – Strickland spojrział na swojego adwokata. – Od Phila, który poinformował mnie, że się ulotniły.

– Podejrzewał pan, że Devin je zabrała?

– Tak. – Strickland wzruszył ramionami. – Ale co mogłem zrobić? Detektyw, który wtedy ze mną rozmawiał, pytał, dlaczego nie szukałem pieniędzy. Ale do kogo miałem się zwrócić? I co mu powiedzieć?

Rzeczywiście, do kogo?

– Próbował pan odnaleźć Devin?

– Nie. – Strickland zdecydowanie pokręcił głową. – Wtedy miałem już Phila i wiedziałem, że mnie podejrzewają w sprawie śmierci Andrei. Pisali o tym w gazetach i mówili w telewizji. Pod domem kręcili się reporterzy, zaczepiali mnie, łazili za mną. Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby szukać kobiety, z którą miałem romans i która ukradła pieniądze Andrei.

– Nie wynajął pan łowcy głów, żeby ją odszukał?

– Kogo? Nawet nie wiem, kto to taki.

– A prywatnego detektywa?

– Nie.

– A jak jest teraz? Nadal pan myśli, że Andrea i Devin to zaplanowały?

– Naprawdę nie wiem – powiedział Strickland. – Jedno jest pewne: nikogo nie zabiłem i to jest prawda.

– Kto jeszcze poza panem znał kod do drzwi wejściowych i do pańskiego mieszkania? Kto znał kod do windy?

Strickland wlepił w nią spojrzenie i po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy jego wzrok jakby się wyostrzył.

– Tylko Andrea – powiedział.

* * *

Gdy Tracy skończyła rozmowę z Grahamem Stricklandem, dochodziło już wpół do dziewiątej – przesłuchanie trwało prawie trzy godziny. Zjechała do holu i powiadomiła Zhu, że może już wjechać na górę. Zhu założył Stricklandowi kajdanki, wyprowadził go z budynku i wsadził do policyjnej furgonetki, która miała go zawieźć do centralnego aresztu okręgu Multnomah jako podejrzanego o zabicie Megan Chen. Następnego dnia rano miały mu zostać postawione oficjalne zarzuty, a jego zeznania złożone przed Tracy miały być potraktowane jako nieprzyznanie się do winy. Od tego momentu tryby sprawiedliwości zaczną się obracać, choć bez specjalnego pośpiechu. To, czy prokurator okręgu King oskarży Stricklanda o zabicie Devin Chambers, pozostawało otwarte. Tracy przypuszczała, że decyzja w tej sprawie zapadnie dopiero po wielogodzinnych naradach.

Wiedzieli już, co łączyło Devin Chambers z Grahamem Stricklandem, ale dowody na to, że to on ją zabił, były bardzo wątpliwe i głównie poszlakowe. Można się też było spodziewać, że jeśli ława przysięgłych uzna Stricklanda za winnego zabicia Chen, władze w Seattle uznają, że szkoda pieniędzy podatników na dodatkowy proces za zabicie Chambers. Co do Andrei

Strickland, to do czasu odnalezienia jej ciała pozostawała na liście osób zaginionych, a rodziny mogącej naciskać na wszczęcie śledztwa nie było.

Tracy spędziła następne dwie godziny na komendzie w Portlandzie, przekazując Zhu i jego partnerowi swoje wrażenia z rozmowy ze Stricklandem, podczas gdy specjalista informatyk przegrywał nagranie z jej telefonu do systemu policyjnego. W końcu, zmęczona i sfrustrowana, wróciła z Kinsem do hotelu. Bar w holu był na szczęście otwarty i usiedli przy stoliku w kącie. Żadne z nich od lunchu nie miało nic w ustach.

– Kuchnia jeszcze czynna? – zapytał Kins kelnera.

– Zaraz sprawdzę. Pewnie tak, ale w ograniczonym zakresie.

A co by państwo chcieli zamówić?

– Dla mnie wielkiego hamburgera – odparł Kins. – Tracy?

– Co? – Przez kilka godzin przesłuchania Stricklanda funkcjonowała na adrenalinie i skupiała uwagę na szczegółach jego odpowiedzi i mowie ciała, starając się przyłapać go na kłamstwie, więc teraz była już mocno rozkojarzona.

– Chcesz zamówić coś do jedzenia z kuchni? – zapytał Kins.

– A co ty będziesz jadł?

– Hamburgera.

Nie miała ochoty na nic tak ciężkiego, zdecydowała się na sałatkę Cezara.

– Zaraz pójde zamówić – powiedział kelner. – Życzą sobie państwo coś z baru?

– Jacka z colą – poprosiła Tracy.

– Dwa razy – rzucił Kins.

– Nie mam ochoty mu wierzyć – odezwała się po odejściu kelnera. – Naprawdę nie mam. Ale jednocześnie nie chcę mu nie wierzyć tylko z powodu osobistych odczuć.

– Nie wierzysz w jego wersję wydarzeń, tak?

– Mam wątpliwości.

– Tylko że nie powiedział nic ponadto, co już wiedzieliśmy lub podejrzewaliśmy. Zastanów się, Tracy. Przede wszystkim on się nadal nie przyznaje do zabicia kogokolwiek.

– Przyznał się, że zamierzał zabić żonę, i przyznał, że miał romans z Devin Chambers.

– To tylko materiał poszlakowy. Jest prawnikiem i zdaje sobie z tego sprawę. I ma do pomocy specjalistę od prawa karnego. Obaj wiedzą, że nie można go skazać tylko za planowanie zabójstwa.

– Ale to nas zbliża o następny krok do jego żony i kochanki...

– Oboje wiemy, że za żadną z nich nie zostanie osądzony, jeśli wcześniej skażą go za zabójstwo Chen.

– Tego akurat może nie wiedzieć.

– To nam nic nie daje – powiedział Kins, kręcąc głową. – Bez dowodów łączących go ze śmiercią Chambers...

– Taki sam kaliber broni – rzuciła Tracy. – Tyle że bez pocisku, który zabił Chambers, nie ma szans na powiązanie tego pistoletu ani z jej śmiercią, ani ze Stricklandem.

– Więc dlaczego zabija Megan Chen? Można znaleźć motywy zabójstw Andrei Strickland i Devin Chambers, ale co go skłania do zabicia Chen?

– Może tam, w knajpie, do czegoś jej się przyznał, a potem się wystraszył, że może go wydać.

– I postanowił ją zabić we własnym łóżku? – rzucił Kins. – Przecież to bez sensu.

– Może jest tak, jak powiedziałeś. Może ma to wyglądać na tak oczywiste, że dojdziemy do wniosku, że to niemożliwe, by zrobił coś takiego.

Kelner wrócił z zamówioną whiskey z colą.

– Państwa jedzenie powinno za chwilę być gotowe – zapewnił.

Tracy pociągnęła kilka łyków drinka. Był słodki, ale przebijał w nim cierpki smak jacka daniel'sa. Odstawiła szklankę, nie chcąc pić na pusty żołądek.

– To szalenie ryzykowne jak na kogoś, kto dotąd był tak ostrożny – powiedziała.

– Podobnie jak to, że w tajemniczych okolicznościach ginie trzecia związana z nim kobieta. Tam gdzie jest dym, Tracy, tam

musi być ogień. – Kins ze szklanką w ręce odchylił się i oparł plecami o ściankę boksu.

– Czy wiesz od Zhu, czy ktokolwiek z sąsiadów Stricklanda widział coś lub słyszał?

Kins pokręcił głową.

– O tej porze wszyscy jeszcze byli w pracy.

– A pracownicy firm na parterze?

– Wchodzi się do nich osobnymi wejściami. Zhu twierdzi, że nikt nie słyszał strzału. Wygląda na to, że zabójca strzelał przez poduszkę, żeby stłumić huk.

– To by wskazywało na fachowca – mruknęła Tracy.

– Albo kogoś, kto często ogląda telewizję.

– Mają jakieś kamery monitorujące?

– Jedną w podziemnym parkingu, żadnej w windzie i holu wejściowym. Na nagraniu z kamery parkingowej widać wysiadającą z samochodu i ruszającą do windy Megan Chen. Pół godziny po niej podjeżdża Strickland.

– Żadnych innych samochodów? – spytała.

– Żadnych.

– Zabójca musiał znać kod, żeby wejść do budynku i do loftu.

– No właśnie – potwierdził Kins. – A Chen nie próbowała uciekać ani się bronić. To wyraźnie wskazuje na to, że знаła zabójcę.

Tracy oparła się plecami o ściankę i spróbowała się skupić.

– Tylko dlaczego leżała na brzuchu? – spytała.

– Może chowała się pod kołdrą.

– Na brzuchu?

– Mógł ją potem przekręcić.

– Niemożliwe. Widać by było plamy krwi.

– No to może czekała, znudziło jej się i usnęła. – Kins wzruszył ramionami.

– Strickland twierdzi, że po wejściu do mieszkania wołał ją.

– Może kłamać – mruknął. – Mógł chcieć ją zaskoczyć. Mogła też coś wypić przed planowanymi igraszkami. To wykażą testy toksykologiczne.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Kins przeniósł wzrok na ustawiony na ESPN płaski telewizor. Tracy poznała to po natrętnej muzyce, którą zdarzało jej się słyszeć w domu, tylko gdy przyjeżdżał Dan. Kelner przyniósł jedzenie.

Kins chwycił nóż i zaczął przekrawać hamburgera na pół.

– Nie mam ochoty cytować Johnny’ego Nolasco, ale może rzeczywiście wszystko zbytnio komplikujemy i czasami jest po prostu tak, jak na to wygląda.

– I w tym problem – rzuciła Tracy, grzebiąc widelcem w sałatce. – Wygląda to na zwykłe zabójstwo w zupełnie niezwykłych okolicznościach. Wszystko wygląda za łatwo, Kins. Jakby ktoś chciał, żeby tak właśnie wyglądało.

Rozdział 30

Przez następne dwa tygodnie młyńskie koła sprawiedliwości miały, ale Tracy nie mogła pozbyć się wrażenia, że zabójstwo Megan Chen wygląda zbyt prosto, tak jak zbyt proste byłoby oskarżenie Grahama Stricklanda o popełnienie tej zbrodni. Ale o ile śledztwo w tej sprawie posuwało się naprzód, o tyle zabójstwo Devin Chambers i zniknięcie Andrei Strickland i jej pieniędzy wydawały się odsunięte na boczny tor.

Na zasadzie „co z oczu, to z myśli”.

Obawy Tracy potwierdziły się, gdy w środę po południu Nolasco wkroczył do ich Byczej Zagrody z informacją, że „grube ryby znacznie wyżej ode mnie” zdecydowały, że zabójstwo Devin Chambers pozostanie otwarte, ale będzie tylko monitorowane, za to śledztwo w sprawie śmierci Megan Chen ruszy pełną parą. Innymi słowy, prokurator okręgu King chciał się wozic na sukcesie Portlandu. Zbierane dowody winy coraz wyraźniej wskazywały na Stricklanda i prokurator stanu Oregon oskarżył go o zabójstwo z premedytacją, a to oznaczało, że grozi mu kara śmierci. W tych okolicznościach Strickland mógł się załamać i pójść na układ: przyznać się do zabicia Devin Chambers – a może także żony – w zamian za wyrok dożywocia, co zaoszczędziłoby pieniądze podatników z okręgu King, potrzebne na przeprowadzenie procesu o zabójstwo zagrożone karą śmierci, przed ławą przysięgłych. Jeśli Strickland nie przyzna się do zabicia Chambers, te same „grube ryby” zastanowią się, czy przewidywane koszty uzasadniają przeprowadzenie oddzielnego procesu sądowego. W końcu człowiek umiera tylko raz, poza Andreą Strickland, która była wyjątkiem od tej reguły.

Poza tym Tracy podejrzewała, że zna już odpowiedź. Bez dowodu, łączącego Grahama Stricklanda z łowcą głów szukającym Chambers lub z zaginięciem pieniędzy z funduszu, czy dowodu, że z pistoletu znalezionego przy Chen zastrzelono także Chambers, prokurator nie zdecyduje się na proces.

Badanie komputera prywatnego detektywa wciąż jeszcze trwało, a dokumenty bankowe potwierdzały tylko to, co już wiedzieli: po śmierci Devin Chambers ktoś opróżnił konta bankowe założone na Lynn Hoff. Z tego, co udało się ustalić, wynikało, że pieniądze przekazano telegraficznie do banku w Luksemburgu, gdzie bardzo skrupulatnie przestrzega się tajemnicy bankowej. Choć i tak nie miało to większego znaczenia, bo było bardzo wątpliwe, żeby pieniądze pozostały tam dłużej lub żeby konto założono na nazwisko, które coś by im mówiło. Najprawdopodobniej użyto nazwy jakiejś firmy i bardzo szybko przerzucono pieniądze dalej. Sprawdzenie dokąd wymagałoby dużo więcej czasu i pieniędzy, a i tak nikt nie był w stanie zagwarantować, że uzyskane informacje będą mogły posłużyć jako materiał dowodowy do wydania wyroku skazującego.

– A co z Andrea Strickland? – zwróciła się do kapitana Tracy.

Nolasco wzruszył ramionami, uznała więc, że sprawa wyraźnie schodzi na dalszy plan.

– Jeśli mąż nie przyzna się, że ją zabił, albo lodowiec nie wypłuje jej zwłok, pozostanie na liście zaginionych. I wtedy będzie to problem okręgu Pierce, nie nasz.

Nikt nie mówił głośno, że ani Andrea Strickland, ani Devin Chambers nie miały rodzin, które mogłyby domagać się odpowiedzi i zgłaszać skargi, że śledztwo w sprawie zniknięcia i śmierci ich krewnych nie toczy się z należytą sumiennnością. Innymi słowy, nie było żadnych skrzypiących kół, które trzeba by oliwić.

– Wiemy, kto je zabił – oświadczył Nolasco, co miało tłumaczyć jego bezczynność i dodatkowo irytowało Tracy. – Tyle że może nie uda nam się tego udowodnić. Czasami tak bywa.

Wszyscy to znamy. Najważniejsze, że Strickland resztę życia spędzi za kratkami.

Nolasco polecił Tracy i Kinsowi, by tymczasem udzielali policji w Portlandzie wszelkiej pomocy w śledztwie i gromadzeniu dowodów przeciwko podejrzanemu.

Czas upływał Tracy na pracy nad innymi sprawami, ale nie bardzo mogła się skupić, i to z dość nieoczekiwanego powodu. Jakkolwiek się starała uwolnić od słów Nolasca, które powiedział na początku śledztwa, a Kins je potem powtórzył, nękały ją niczym powtarzające się w kółko przesłanie na billboardzie na Times Square. Nie sądziła, by kapitan rzucił tę myśl jak jakąś perłę mądrości. Wręcz przeciwnie, pewnie chciał jej w ten sposób dociąć, ale ona nie potrafiła się od tego uwolnić.

Czasami sprawy nie są tak trudne, jak się człowiekowi zdaje. Czasami odpowiedź bywa tak prosta, na jaką wygląda.

I rzeczywiście w sprawie Megan Chen na to się zanosilo. Tracy zaczynała się zastanawiać, czy to samo nie dotyczy spraw Devin Chambers i Andrei Strickland. Czy sama zbytnio ich nie komplikuje? Niewątpliwie dotyczące ich fakty były skomplikowane, ale co z czynnikiem ludzkim? Z motywacją? Doszła do wniosku, że jeśli Andrea Strickland nadal żyje, to działała z chęci zemsty. Z kolei postępowanie Chambers mogło wynikać z jej nałogu i chciwości.

Po wyjściu do domu wszystkich kolegów Tracy rozłożyła zawartość teczek z aktami na centralnym stole w Byczej Zagrodzie. W ciągu lat pracy w Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych wypracowała tę metodę jako sposób na zmianę perspektywy podczas zmudnego śledztwa. Polegała ona na skupieniu uwagi na aspekcie czysto wizualnym, zamiast analitycznego, i często pozwalała dostrzec nowe zależności między zebranymi dowodami. Postanowiła posłuchać rady Nolasca i sprowadziwszy wątpliwości do serii najprostszycych pytań, poszukać na nie odpowiedzi.

Pierwsze, jakie zapisała w notesie, było pytanie zadane Grahamowi Stricklandowi: *Kto znał kod do windy i drzwi*

wejściowych?

Napisała na środku drukowanymi literami *GRAHAM STRICKLAND*, pod spodem dopisała: *Andrea Strickland, Megan Chen, sprzątaczką, gospodarz domu, ktoś jeszcze?*

Obrysowała Grahama Stricklanda kółkiem i dopisała: *Sprawa zamknięta.*

Ale jeśli to nie on wszedł do środka? Jeśli Graham Strickland mówi prawdę? Jeśli to nie on zabił Megan Chen?

Dorysowała drugą linię zakończoną strzałką i dopisała *NIE GRAHAM STRICKLAND.*

Wykreśliła nazwisko Megan Chen i sprzątaczkę. Została *Andrea Strickland, gospodarz domu i ktoś jeszcze.* Z dwojga nazwanych osób Andrea Strickland była jako podejrzana dużo bardziej prawdopodobna niż gospodarz domu. Całkowicie przypadkowe zabójstwa zdarzają się rzadko, chyba że są dziełem psychopaty. Gospodarz nie wyglądał na psychopatę.

Następnie Tracy wróciła myślami do przesłuchania Grahama Stricklanda. Usiadła przy biurku, włożyła na uszy słuchawki i przymknąwszy oczy, zaczęła odtwarzać nagranie rozmowy ze Stricklandem, by raz jeszcze spokojnie posłuchać jego odpowiedzi. W trakcie była ostrożna. Wiedziała z doświadczenia, że socjopaci okraszają swoje wersje kłamstwami i półprawdami, by zbić z tropu rozmówcę, zagmatwać sprawę lub stworzyć podstawy do powoływania się później na rozbieżności, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Zatem jakimi kłamstwami i półprawdami krasił swoje odpowiedzi Graham Strickland?

Czy o zabiciu żony tylko myślał, czy wcielił zamysł w czyn?

Powiedział, że nie był w stanie przeprowadzić swojego planu, ale nie dlatego, że zmienił zdanie. Twierdził, że poczuł fizyczną niemoc. Czuł się jak na kacu, popadł w letarg, nie mógł otrząsnąć się ze snu.

Tracy napisała *narkotyk?* i obwiodła słowo kółkiem. Coś jej przyszło do głowy i pod spodem dopisała *z tego, co zostało po Genesis?*

Jeśli to Andrea Strickland naprawdę wpadła na pomysł wspinaczki na Mount Rainier i rzeczywiście zamierzała rzucić na męża podejrzenie o zabicie jej, to pierwszą trudnością, jaką napotkała, było zejście z góry bez jego wiedzy. Zadanie dodatkowo utrudnione przez to, o czym mówił strażnik Hicks: że organizm wspinacza pracuje na zwiększonej dawce adrenaliny i niepokój o jutro zwykle nie pozwala mu zmrużyć oka w noc poprzedzającą wejście na szczyt, nie mówiąc już o przypadku socjopaty w rodzaju Stricklanda, którego muszą dręczyć myśli o tym, co zamierza zrobić. A więc by zejść z góry bez wiedzy męża – jeśli rzeczywiście tak było – Andrea Strickland musiała najpierw odpowiednio stępić jego świadomość, ale mogła to zrobić dzięki łatwemu dostępowi do pozostałości narkotyków.

Tracy przejechała z fotelem do swojego boksu, wytrąciła komputer z uśpienia, weszła do internetu i wpisała: *Genesis, Portland* oraz *marihuana*. Strona internetowa firmy była nadal aktywna. Weszła w MENU i zaczęła przeglądać *Kwiaty i środki spożywcze*. Zatrzymała się na *Koncentratach*, przeczytała, jak marihuanę da się zażywać w postaci herbatki lub innego typu napoju, i wróciła do odnośnego fragmentu przesłuchania Stricklanda.

T. Crosswhite: Co robiliście przed położeniem się spać?

G. Strickland: Nic specjalnego. Zjedliśmy na kolację kanapki i napiliśmy się herbaty.

T. Crosswhite: Kto przyszykował kanapki i herbatę?

G. Strickland: Andrea.

Wyszła ze strony internetowej firmy i wpisawszy do Google'a hasło *THC w płynie*, uzyskała tysiące trafień. Kliknęła na kilka pierwszych z brzegu i znalazła to, czego szukała: fizyczne efekty THC. Po zażyciu człowiek popada w letarg, traci zdolność koncentracji i koordynacji ruchów, a także występuje stępienie zmysłów i utrata poczucia czasu.

Wyprostowała się w fotelu. Graham Strickland mógł być pod wpływem narkotyku.

A jeśli tak, to następne pytanie brzmiało: jak Andrei Strickland udało się zejść z góry. Zdaniem Glenna Hicksa – człowieka, którego znajomość terenu nie mogła budzić wątpliwości – było mało prawdopodobne, by udało jej się to zrobić bez czyjejś pomocy. Tracy wróciła do stołu i zapisała następne pytanie.

Kto jej pomógł?

Oczywistą kandydatką była Devin Chambers, tyle że według słów Grahama to właśnie ona podsunęła mu myśl zabicia Andrei i dobrania się do jej pieniędzy. A poza tym Hicks twierdził, że Chambers miała rachunki świadczące o tym, że tego dnia wyjechała na weekend, więc nie było jej w mieście. Może właśnie to było jednym z kłamstw Stricklanda, który chciał w ten sposób pomóc sobie w przyszłej obronie. Tylko że, jak zauważył Kins, kłamanie i zdradzanie żony nie czyniło z niego zabójcy.

Tracy nie sądziła jednak, żeby akurat co do tego Strickland kłamał, i to z powodu, który już wyłuszczyła partnerowi. Romans z Devin Chambers był na razie jedyną nitką wiążącą Stricklanda z Chambers. A więc zmyślanie tego nie miało sensu. Alison McCabe powiedziała, że jej siostra jest krętaczką i lekomanką, co potwierdzały wyciągi z karty kredytowej. To uwiarygodniało – przynajmniej do pewnego stopnia – wersję Grahama Stricklanda, że to Devin Chambers podsunęła mu myśl o rozwiązaniu wszystkich problemów poprzez zabicie żony. Jeśli tak było, to oczywiście pomaganie Andrei w ucieczce nie leżałoby w interesie Chambers. Dla niej byłoby korzystniej pozwolić Grahamowi zabić żonę i uzyskać pełny dostęp do jej pieniędzy. Andrea już by nie żyła, a Strickland nie mógłby pójść na policję ze skargą, że najlepsza przyjaciółka żony ukradła pieniądze, które on miał nadzieję przejąć po jej zabiciu. Musiał zdawać sobie sprawę, że zwracanie uwagi na Chambers może jak bumerang uderzyć w niego. Istniało tyle poszlak świadczących przeciwko niemu, że nie potrzebował jeszcze oszustki, która zezna na policji, że z nim sypia, a może nawet o tym, że słyszała od niego o planach zabicia żony przez zepchnięcie jej w przepaść.

Po takim zeznaniu Chambers mogłaby spokojnie powiedzieć: „Pa, pa, Graham, witajcie pieniądze”.

Zatem logiczna odpowiedź brzmiała: Devin Chambers raczej nie zależało na uratowaniu Andrei Strickland, i to nie ona pomogła jej uciec z góry.

Brenda Berg? Możliwe, ale Tracy nie sądziła, że to ona. Berg przede wszystkim miała na głowie małe dziecko, którym musiała się zajmować. I po co miałyby ryzykować? Potwierdziła słowa Grahama Stricklanda, że Andrea nie miała innych przyjaciół. Zostawali krewni lub przypadkowo poznani ludzie.

O istnieniu funduszu powierniczego wiedział psychoterapeuta, Alan Townsend. Tracy zapisała jego nazwisko i otoczyła kółkiem.

Rodzice Andrei Strickland nie żyli, rodzeństwa nie miała.

Była tylko ciotka. Tracy zapisała: *Penny Orr*.

Orr twierdziła, że od wyprowadzki Andrei z San Bernardino do Portlandu straciła z nią kontakt i nawet nie wiedziała o jej zamążpójściu.

Tak twierdziła.

Z akt przejętych z okręgu Pierce wynikało jednak, że nikt nie próbował weryfikować prawdziwości słów Penny Orr. Nikt nie sprawdził billingów telefonicznych Andrei ani jej e-maili – głównie dlatego, że Stan Fields był przeświadczony, że Andrea już nie żyje. Nie miał wątpliwości, że mąż ją zabił.

Jeśli Andrea żyje i to ona stoi za zniknięciem pieniędzy z konta, zapewne nie posługuje się dotychczasowym telefonem i adresem mailowym.

Tracy odchyliła się na oparcie fotela i zadumała się nad Penny Orr i jej siostrzenicą. W pewnym sensie spotkał je podobny los – zostały porzucone w dramatycznych okolicznościach – a jak Tracy przekonała się na przykładzie Devin Chambers i jej siostry, więzy krwi bywają tak silne, że nie sposób ich ignorować. I choć branie pod uwagę Penny Orr jako pomocnicy Andrei wydawało się dość nieprawdopodobne, Tracy nie mogła tego wykluczyć. Bo jeśli nie ciotka, to kto pozostawał? Ktoś całkiem przypadkowy,

komu Andrea zapłaciła? Zbyt ryzykowne. Taka osoba mogłaby przy pierwszej okazji pójść z tym do mediów, by zdobyć piętnaście minut sławy. Alan Townsend? Możliwe.

Orr powiedziała Tracy, że ma poczucie winy z powodu tego, co spotkało Andreę pod jej dachem. Czy wspieranie siostrzenicy w rozpoczęciu nowego życia mogło pomóc Orr w oczyszczeniu się z tak pojmowanego grzechu?

A właściwie to co ona wie o Penny Orr?

Nic.

Wróciła do swojego boksu, wcisnęła klawisz spacji i przywróciła komputer do życia. Zalogowała się do internetu, weszła do wyszukiwarki LexisNexis i wpisała znane jej dane Penny Orr. Wyszukiwarka zawierała informacje o historii zatrudnienia sprawdzanej osoby, jej wcześniejszych adresach, rodzinie i ewentualnych wykroczeniach.

Informacje o Penny Orr były skromne. Dwukrotnie zmieniała adres, przeprowadzając się z domu rodziców w San Bernardino do własnego, a następnie do mieszkania w bloku. Nie była notowana. Miała jedną – nieżyjącą już – siostrę i tylko jednego pracodawcę.

Nagle Tracy poczuła coś w rodzaju ekscytacji.

Penny Orr trzydzieści lat przepracowała w jednym miejscu – w okręgowym biurze prawnym w San Bernardino.

Tracy wpisała kolejny adres i otworzyła stronę internetową biura prawnego. Zaczęła przeglądać kolejne zakładki i natknęła się na komunikat informujący petentów, że z dniem trzeciego stycznia 2011 roku okręgowe biuro prawne, okręgowa hipoteka i archiwum połączyły się w jedną instytucję. Po lewej stronie komunikatu widniała tabelka z linkami do poszczególnych wydziałów nowej placówki, w tym do wydziału zajmującego się wydawaniem certyfikowanych duplikatów metryk urodzenia.

Rozdział 31

Następnego dnia rano Tracy przyszła do pracy pewna, że Nolasco jak zwykle stanie okoniem. Wieczorem zadzwoniła do swojego partnera i powiedziała mu o nowym odkryciu, a on potwierdził, że to trop wart podjęcia. Niestety, sam był zajęty sprawą Lipinsky'ego, którego proces się przeciągał, i Kinszykował się na siedzenie w sądzie do końca tygodnia, może nawet dłużej.

– Ciotka Andrei miała dostęp do certyfikowanych duplikatów świadectw urodzenia – poinformowała kapitana Nolasco, stając w jego gabinecie i podając metrykę Lynn Hoff urodzonej w San Bernardino w tym samym roku co Andrea Strickland. – Wiemy, że Andrea posłużyła się duplikatem świadectwa urodzenia Lynn Hoff do wyrobienia prawa jazdy w stanie Waszyngton, a to z kolei pozwoliło jej otworzyć konta w banku. Już wiemy, jak je zdobyła.

– Kim jest ta Lynn Hoff? – spytał Nolasco.

– Nie wiem i nie ma to znaczenia. Andrea i jej ciotka nie zamierzały ukraść tożsamości ani pieniędzy Lynn Hoff. Pożyczały tylko jej nazwisko w celu uzyskania prawa jazdy, ukrycia pieniędzy i zniknięcia. Lynn Hoff nawet o tym nie wiedziała.

– Istnieje jakiś ślad wniosku o wydanie duplikatu świadectwa urodzenia Lynn Hoff?

– Właśnie o to chodzi. Ciotka nie musiała składać wniosku, bo jest osobą, do której takie wnioski trafiają. Wyszukała kobietę urodzoną w tym samym roku co Andrea i wydała duplikat jej świadectwa urodzenia. A jeśli zrobiła coś takiego, to

najprawdopodobniej była również osobą, która pomogła Andrei uciec z góry. To musiała być ona. Nie ma nikogo innego.

– Brzmi to za prosto.

– Właśnie. Sam zwracałeś mi uwagę, żebym wszystkiego zbyt nie komplikowała. Mówiłeś, że czasami sprawy nie są tak złożone, jak ja je widzę – przypomniła mu, wiedząc, że leje miód na jego serce. – To proste rozwiązanie, ale brzmi sensownie i daje odpowiedzi na kilka pytań.

– Zakładając, że masz rację i Andrea Strickland żyje, to nie jest nasza sprawa, tylko biura szeryfa w okręgu Pierce. Wyślij im te informacje i niech się tym zajmą.

– Ale one mają związek ze śmiercią Devin Chambers, a to już nasza sprawa.

– Nie bardzo widzę dlaczego.

Tracy zdawała sobie sprawę, że to moment, w którym albo wygra, albo polegnie, i obracała go w myślach przez większość nocy. To, co wymyśliła, nie było rozwiązaniem idealnym, ale dawało szansę powodzenia.

– Ciotka pomaga jej uzyskać nową tożsamość i ukryć się. Musimy założyć, że pomogła jej też ukryć pieniądze. Ale nawet jeśli nie, to wiemy, że Devin Chambers płaciła tymi pieniędzmi za operację plastyczną i pokój w motelu. Za jedno i drugie zapłaciła gotówką, a przecież była bez grosza. Musiała myśleć, że Andrea nie żyje, bo gdyby żyła i miała kontrolę nad kontami bankowymi, zauważyłaby pobranie pieniędzy i zdałaby sobie sprawę, że Devin Chambers podejmuje z nich pieniądze. Problem w tym, że Andrea nie wie, co się dzieje z Chambers, więc wynajmuje prywatnego detektywa, żeby ją odnalazł.

– Ale dlaczego ją zabija? Dlaczego po prostu nie zabierze jej pieniędzy i ponownie ich nie ukryje?

– Bo gdyby to zrobiła, Devin Chambers dowiedziałaby się, że Andrea żyje, a przecież była kochanką jej męża.

– Czyli sądzisz, że to Andrea Strickland zabiła Devin Chambers?

– Jej psychoterapeuta twierdzi, że to możliwe. Że w sytuacji krytycznej Andrea mogła się uciec do aktu przemocy. Devin Chambers, którą miała za przyjaciółkę, sypiała z jej mężem, planowała jej śmierć i wiedziała o jedynej rzeczy, jaka Andrei została: funduszu powierniczym. To trop zasługujący na podjęcie – powiedziała Tracy. – Warto porozmawiać o tym z ciotką. Jeśli Andrea żyje, jej ciotka jest jedyną osobą mogącą wiedzieć, gdzie się ukrywa. I tak na to spójrz, kapitanie. – To właśnie ten argument Tracy uznała za najbardziej przekonujący dla Nolasca. Po niedawnym dostaniu po łapach od BOZ-u za wątpliwe metody śledcze stosowane przez niego i jego dawnego partnera Floyda Hattiego w czasach, gdy obaj pracowali w wydziale zabójstw, Nolasco wciąż jeszcze poruszał się po kruchym lodzie. – Portland nie interesuje się tymi dwiema sprawami, a prokurator nie będzie chciał wyrzucać publicznych pieniędzy na proces, jeśli dojdzie do ugody ze Stricklandem w sprawie zabójstwa Chen. Oboje wiemy, że szefostwo i kutwy od finansów patrzą tylko na końcowe saldo, a mogłoby się okazać, że wzajemnie się dublujemy, nie z naszej winy. W ten sposób możemy za jednym zamachem odpowiedzieć na oba pytania: co się stało z Andrea Strickland i kto zabił Devin Chambers.

Nolasco przez chwilę siedział w milczeniu, przetrawiając jej słowa.

– Jak do tego wszystkiego pasuje Megan Chen? – odezwał się w końcu.

– Tego nie wiem – odparła Tracy. – Może pasuje, może nie. Ale jak sam powiedziałaś, to w tej chwili problem Portlandu.

Zakołysał się z fotelem i chwilę jeszcze milczał.

– Daj mi trochę podzwonić – rzucił wreszcie. – Ta sprawa musi się otrzeć o wyższy szczebel.

– I jeszcze jedno – powiedziała Tracy.

– No?

– Pieniądze zostały podjęte. A gdzie pieniądze, tam Andrea Strickland.

* * *

Odpowiedź Nolasca nadeszła po południu w postaci e-maila będącego przykładem klasycznego uniku z gatunku „trochę tak, trochę nie”.

Jest zgoda na przesłuchanie ciotki Andrei Strickland w sprawie jej roli w wydaniu poświadczanego duplikatu świadectwa urodzenia Lynn Hoff. Okręg Pierce chce nadal aktywnie uczestniczyć w sprawie. Porozum się ze Stanem Fieldsem i uzgodnij z nim szczegóły przesłuchania.

Tracy aż jęknęła na myśl o współpracy z Fieldsem.

Ale nawet perspektywa spędzenia z nim paru godzin w podróży nie mogła stłumić podniecenia, które ją zawsze ogarniało, gdy czuła, że zbliża się do finału śledztwa. Natychmiast zarezerwowała sobie przez internet bezpośredni lot z Seattle do Ontario w Kalifornii, z wylotem o 5.55 i przylotem na miejsce o 8.30. Na lotnisku będą musieli wynająć samochód, ale w ten sposób będą na miejscu przed dziesiątą rano.

A potem zadzwoniła do Orr.

– Mamy w sprawie Andrei nowe fakty – powiedziała, nie wdając się w szczegóły. – Czy będziesz w domu jutro około dziesiątej rano, żebyśmy mogły porozmawiać?

– Nowe fakty? – spytała Orr. – Co się dzieje?

– Jutro będę wiedziała więcej. Będziesz w domu?

– Tak – odparła Orr.

W Tracy budziło niesmak to, że jest wobec niej nieszczerą, ale jeszcze bardziej nie chciała ryzykować, że odbędzie daleką podróż do San Bernardino tylko po to, żeby się okazało, że Orr wyszła z domu lub w ogóle wyjechała z miasta.

Rozdział 32

Tracy udało się zarezerwować dwa miejsca przy przejściu, jedno z przodu samolotu, drugie z tyłu, dzięki czemu podczas lotu nie musiała rozmawiać ze Stanem Fieldsem. Na jego widok przechodziły ją ciarki i tak było jeszcze przed ich starciem w sali konferencyjnej w kwestii jurysdykcji. Na szczęście samolot był pełny i jej wybieg aż tak bardzo nie kłuł w oczy. Podejrzewała, że nawet Fields zorientuje się w tych unikach, ale zupełnie się tym nie przejęła.

Poprzedniego dnia przed końcem pracy zadzwoniła i podała mu szczegóły lotu na następny dzień. Ani ona, ani on nie wspomnieli o wcześniejszej scysji, co znaczyło, że oboje o niej pamiętają, ale dla dobra sprawy oboje są gotowi przejść nad nią do porządku dziennego.

Tracy weszła do sali odlotów parę minut po piątej. Gdy dwadzieścia po piątej otworzono bramkę i poproszono pasażerów na pokład, a Fieldsa wciąż jeszcze nie było, obudziła się w niej cicha nadzieja, że może się spóźni i nie polecą. Szczęście nie dopisało jej jednak, bo po chwili dojrzała go śpieszącego do wyjścia z torbą od McDonalda w jednej ręce i walizką na kółkach w drugiej. Był w dżinsach, koszulce polo, tenisówkach i marynarce z jakimś emblematem.

– Po co ci aż walizka? – spytała, gdy do niej dołączył.

– W razie gdyby się okazało, że masz rację, ciotka jest w to zamieszana i wie, gdzie jest Strickland – odparł. – Jedno z nas będzie musiało jej wtedy popilnować dzień czy dwa, a drugie zajmie się zdobyciem nakazu aresztowania.

Jeśli znajdą Andreę Strickland żywą, będą musieli zwrócić się do miejscowej policji o zatrzymanie jej w areszcie, a sami zajmą się uzyskaniem nakazu aresztowania w sądzie, który wystąpi o jej ekstradycję ze stanu Kalifornia. Tracy nie powiedziała tego głośno, ale była pewna, że Fields uprze się, że to on ma eskortować Andreę, aby jej ujęcie liczyło się jako sukces biura szeryfa okręgu Pierce. Tracy nie zależało jednak na chwale, a ponieważ Strickland miała nadal status osoby zaginionej, Fields miał do tego prawo.

Pasażerowie z miejscami w pierwszej części samolotu zostali poproszeni na pokład.

– To ja – rzuciła Tracy, ruszając do wyjścia.

– Mam nadzieję, że nie lecimy nadaremno – mruknął Fields.

Nawet nie odwróciła głowy.

– Wkrótce się okaże – rzuciła za siebie.

* * *

Czekając na Fieldsa w hali przylotów, Tracy sprawdziła SMS-y w telefonie. W jednym Kins prosił ją o poinformowanie go o rezultacie wizyty u Penny Orr. Fields dołączył do niej i razem przeszli na przystanek autobusu, którym mieli dojechać do wypożyczalni. Dojazd miał trwać pół godziny, ale wieczne korki na południu Kalifornii powodowały, że czas dotarcia do określonego punktu zawsze był wielką niewiadomą. Tracy spodziewała się, że jej towarzysz będzie próbował wydobyć od niej więcej szczegółów, lecz Fields trwał w milczeniu. Bardzo jej to odpowiadało, bo sądziła, że im mniej wie, tym mniej będzie się wtrącał do rozmowy z Penny Orr.

O wpół do dziesiątej ruch na drodze był wzmożony, ale wszystko się poruszało i do osiedla Penny Orr dotarli tuż po dziesiątej. Tracy weszła pierwsza schodami i trzykrotnie zapukała do drzwi. Orr otworzyła i obrzuciła ich zdziwionym spojrzeniem, ale nie wyglądała na wystraszoną, co oznaczało, że wcześniej przyjrzała im się przez judasz.

– To ty? Kiedy wczoraj zadzwoniłaś, myślałam, że chodzi o rozmowę telefoniczną.

– Przepraszam za niezapowiedzianą wizytę – powiedziała Tracy i popatrzyła na swojego towarzysza. – To jest detektyw Stan Fields z biura szeryfa okręgu Pierce. To do nich pierwotnie należała sprawa zaginięcia Andrei.

Fields podał jej rękę.

Gospodyni wyglądała na zmieszaną.

– Przykro mi, ale jestem trochę zajęta.

– Wejdziemy tylko na chwilę, można? – spytała Tracy.

Orr jeszcze chwilę się wahała, w końcu otworzyła szerzej drzwi i usunęła się na bok.

– Nie mam za dużo czasu – bąknęła. – Pakuję się, bo wyjeżdżam.

Tracy dostrzegła w przedpokoju dwie duże walizki.

– Postaramy się nie zająć ci dużo czasu – odparła. – Śpieszysz się na samolot?

– Co? – Zawahała się, lecz szybko dodała: – A tak, po południu.

– Dokąd pani leci? – spytał Fields.

– Na Florydę. Do znajomej.

– Zabiera pani furę rzeczy jak na Florydę – zauważył. – Większość kobiet chodzi tam w szortach i bluzkach na ramiączkach.

Orr uśmiechnęła się, ale pominęła jego uwagę milczeniem. W mieszkaniu pachniało cytrynowym płynem odkażającym, jakby je poddano profesjonalnemu sprzątnięciu. Na ekranie telewizora szły lokalne wiadomości, Orr sięgnęła po pilota i wyłączyła odbiornik.

– Mogę zaproponować coś do picia? – spytała.

– Nie, dziękujemy – odparła Tracy.

– Opiłem się kawy w samolocie – dodał Fields.

Przeszli do pokoju i Orr usiadła w miejscu, które zajmowała poprzednim razem, Tracy na sąsiedniej kanapie, a Fields obok niej po prawej.

– Wspomniałaś coś o nowych faktach – powiedziała Orr. – To musi być coś ważnego, skoro chciało wam się jechać taki kawał drogi.

Najbardziej typowym powodem wizyty policjanta w domu krewnej osoby zaginionej jest powiadomienie go o jej śmierci. Orr sprawiała wrażenie zaniepokojonej, ale nie zgnębionej oczekiwaniem na tragiczną wiadomość.

– Sądzimy, że to może być ważne – potwierdziła Tracy. Postanowiła powoli zbudować atmosferę spotkania, nim przejdzie do zasadniczego celu wizyty: pytania Orr o duplikat świadectwa urodzenia. Miała nadzieję, że oswoi ją z ich obecnością i pomoże w przyznaniu się. – Jesteśmy po rozmowie ze strażnikiem ze służby ratunkowej na Mount Rainier, który prowadził akcję poszukiwań Andrei. Jest pewny, że ona nie zginęła na tej górze.

– Pewny?

– Tak. Twierdzi, że świadczy o tym odnalezienie całego sprzętu wspinaczkowego, ale nie jej ciała.

– Więc co jego zdaniem się z nią stało?

Uwagę Tracy zwrócił dochodzący zza uchylonych oszklonych drzwi odgłos rytmicznych metalicznych uderzeń. Na sąsiedniej pustej działce pracowały maszyny budowlane i Tracy, która zdążyła już przywyknąć do niekończących się prac budowlanych w centrum Seattle, rozpoznała dźwięk wbijanych w ziemię pali fundamentowych.

– Przepraszam za hałas – rzuciła Orr. – Obok wznoszą następne osiedle.

– Nic nie szkodzi – uspokoiła ją Tracy. – Jak wspomniałam, strażnik sądzi, że jest dużo bardziej prawdopodobne, że tamtego ranka Andrea bezpiecznie zeszła z góry.

Wbrew jej oczekiwaniom, Orr nie okazała żadnej żywszej reakcji. Nie krzyknęła z radości, nie uśmiechnęła się; na jej twarzy nie pojawił się ani wyraz nadziei, ani większego zaniepokojenia.

– Ale to tylko spekulacje, tak? – bąknęła po chwili milczenia. – Bo tak naprawdę nie wiecie, co się z nią stało.

– Strażnika najbardziej dziwi to, jak Andrea mogła uciec z góry bez czyjejs pomocy.

– I co z tego wynika?

– On uważa, że Andrea mogła sama zejść na dół, ale potem ktoś ją musiał stamtąd wywieźć.

– To są jednak tylko domysły, prawda? Bo naprawdę tego nie wie?

– Strażnik sądzi, że mogło tak być. – Tracy skinęła głową. – Natomiast co do tego, że zeszła z tej góry, jest całkiem pewny.

– Mogła wynająć samochód i dokądś pojechać.

– Mało prawdopodobne – wtrącił Fields. – Umowy najmu samochodu są łatwe do sprawdzenia. Nie znaleźliśmy żadnej na jej nazwisko ani na Lynn Hoff.

Wymienienie nazwiska Hoff – czego Tracy nie planowała na tym etapie rozmowy – wywołało błysk w oczach Orr, lecz mogła to być tylko reakcja na nazwisko, o którym wcześniej rozmawiały. By uciec Fieldsa, Tracy szybko rzuciła:

– Wspomniałam to nazwisko podczas naszej poprzedniej rozmowy. Lynn Hoff.

– Nie przypominam sobie – odparła Orr. – A kto to jest?

– Strażnik uważa, że aby uciec z góry, Andrea potrzebowała pomocy kogoś z samochodem.

– I myślisz, że ta Lynn Hoff jej pomogła?

– Nie. – Tracy pokręciła głową. – Lynn Hoff to fałszywa tożsamość Andrei.

– Fałszywa tożsamość? Do czego była jej potrzebna?

– Żeby wyrobić na nie prawo jazdy w stanie Waszyngton i otworzyć konta w banku.

– Może pomogła jej jakaś przyjaciółka. – Orr siedziała z rękami złożonymi na udach, lecz zaczynała skubać paznokcie.

– Też tak pomyśleliśmy – powiedziała Tracy. – Tylko że Andrea właściwie nie miała przyjaciółek. Wszyscy, łącznie

z tobą, tak twierdzili. Miała tylko jedną przyjaciółkę, Devin Chambers.

– I rozmawialiście z nią? – spytała Orr.

Tracy znów uważnie jej się przyjrzała, wypatrując jakiejś reakcji, ale niczego nie zauważyła.

– Nie sądzimy jednak, by Devin paliła się do pomagania Andrei – powiedziała.

Orr najwyraźniej miała trudności z przełykaniem śliny.

– Dlaczego? – bąknęła.

– W śledztwie wyszło na jaw parę faktów o Devin Chambers. Wygląda na to, że miała romans z mężem Andrei. Próbowwała też dobrać się do pieniędzy w jej funduszu.

– To straszne... Powinniście ją aresztować. Udało wam się ją znaleźć?

– Zniknęła mniej więcej w tym samym czasie co Andrea – włączył się Fields. – W pracy powiedziała, że wraca do domu na Wschodnim Wybrzeżu, ale nie zrobiła tego.

– Natomiast natknęliśmy się na jej ślad w motelu w Renton – dodała Tracy. – Mieszkała pod fałszywym nazwiskiem. Lynn Hoff.

– Przecież mówiłaś, że to fałszywa tożsamość Andrei?

– Bo tak było.

– No to nic już nie rozumiem.

– To znaczy, że Devin Chambers znała fałszywe nazwisko Andrei i wiedziała o jej pieniądzach – wtrącił się znowu Fields. – Z tych pieniędzy zapłaciła za zmianę swojego wyglądu. Sądzimy, że planowała ukraść resztę i uciec.

– Złapaliście ją? Coś powiedziała? – Jeśli Orr udawała, trzeba było przyznać, że jest niezłą aktorką.

– Devin Chambers jest tą kobietą, którą znaleziono w koszu na kraby – oznajmiła Tracy. – Tą, którą początkowo wzięliśmy za Andreę. Mogłaś o tym słyszeć w telewizji.

Z dworu wciąż dochodziło rytmiczne walenie.

– Nie, nic nie wiedziałam – bąknęła Orr i po chwili dodała: – Nie wiem, co powiedzieć.

– Mówiłaś, że po zamieszkaniu u ciebie Andrea z nikim się nie zaprzyjaźniła – przypomniła jej Tracy. – Oczywiście nie było też rodziców ani rodzeństwa. Próbujemy ustalić, kto mógł jej pomóc.

– Może ktoś, kogo znała jeszcze z Santa Monica. Jakaś koleżanka z tamtych czasów.

– Może. – Tracy kiwnęła głową. – Ale to bardzo ryzykowne wtajemniczać w swoje plany kogoś, z kim od lat nie miało się styczności. – Przerwała i w milczeniu przyglądała się Orr, a gdy ta nic nie powiedziała, ciągnęła: – Sądzymy, że to był ktoś, komu Andrea ufała. Ktoś, kto wiedział, co ją spotkało. Ktoś, kto jej współczuł i chciał pomóc. Kto uważał to za swój obowiązek. I my to rozumiemy. Rozumiemy, dlaczego byłaś skłonna pomóc siostrzenicy.

– Ja? – zachnęła się Orr, pokręciła głową i spojrzała na dwójkę detektywów. – Myślicie, że to ja zrobiłam? To absurdalne podejrzenie. Już mówiłam, że nic o niej nie wiem i... nie wiem nawet, czy jeszcze żyje.

– Owszem, tak nam powiedziałaś – potwierdziła Tracy. – I rozumiem, dlaczego to zrobiłaś. Ale Andrea mogła wyrobić sobie prawo jazdy w stanie Waszyngton na nazwisko Lynn Hoff, bo dysponowała poświadczonym duplikatem metryki kogoś o tym nazwisku, urodzonego tu, w San Bernardino. A ty wiele lat przepracowałaś w okręgowym biurze prawnym w San Bernardino, czyż nie?

Orr zachowywała spokój, nadal jednak nie przestawała skubać paznokci.

– Tak – odparła.

– Potem, w wyniku reorganizacji, okręgowe biuro prawne połączyło się z okręgową hipoteką i archiwum w jedną całość, tak?

– I co z tego?

– To, że uzyskałaś dostęp do świadectw urodzenia – mruknął Fields.

– Każdy pracujący w tych biurach miał dostęp do ksiąg stanu cywilnego – powiedziała Orr. W jej głosie słychać było drżenie.

– To prawda. Ale nie każdy był spokrewniony z młodą kobietą, która chciała zacząć życie od nowa.

– Możemy dostać nakaz i sprawdzić, kiedy wydano poświadczony duplikat metryki Lynn Hoff – oświadczył Fields. – A kradzież tożsamości to przestępstwo.

Tracy powstrzymała się od obrzucenia Fieldsa wściekłym spojrzeniem i szybko dodała:

– Ale nam nie chodzi o oskarżenie cię o przestępstwo. Każdy na twoim miejscu postąpiłby tak samo. Andreę spotykały same nieszczęścia i jeśli ktokolwiek zasługiwał na szansę na nowe życie, to na pewno ona. Chcemy ją tylko odnaleźć i porozmawiać z nią.

Po policzkach Orr popłynęły łzy. Zamknęła oczy, opuściła podbródek na klatkę piersiową i tak trwała w milczeniu, nie próbując nawet ocierać łez. Pracujący za oknem kafar nie przestawał rytmicznie łomotać. Orr wolno pokręciła głową i powiedziała tonem nieco tylko głośniejszym od szeptu:

– Po co? – Otworzyła oczy i wlepiła wzrok w Tracy. – Czy nie dość się już wycierpiała? Czemu ludzie nie mogą zostawić jej w spokoju? Nie zasłużyła na nic z tego, co ją spotkało. Daj jej spokój. – Ostatnie słowa wypowiedziała niemal błagalnym tonem.

– Przykro mi. – Tracy nie czuła ani satysfakcji, ani nawet ulgi. – Bardzo bym chciała, bo żał mi Andrei i żał mi ciebie. Nikt nie zasługuje na to, co ją spotkało, zwłaszcza w tak młodym wieku. Wiem, że starałaś się ją tylko chronić i że w głębi serca wierzyłaś, że robisz to, co dla niej najlepsze. Ale zamieszane w to są także inne rodziny i o nich też musimy pamiętać.

– Nie mogła tego zrobić w żaden inny sposób – jęknęła Orr. – Nie po tym, jak mąż podrobił na wekslach jej podpis. Groziła jej utrata jedynej rzeczy, jaka jej jeszcze została. Czegoś, co jej mogło umożliwić ucieczkę. Nie rozumiesz tego? To była jedyna rzecz w życiu, która została jej po rodzicach.

– Rozumiem to – powiedziała Tracy.

– Nie – rzuciła głośniejszym głosem Orr i pokręciła głową. – Właśnie, że nie rozumiesz.

– Moją siostrę zamordowano, kiedy miałam dwadzieścia dwa lata. – Tracy kątem oka widziała, jak Fields odwraca się do niej twarzą. Orr patrzyła na nią oniemiała. – Wkrótce potem straciłam ojca. Zastrzelił się. Zabiła go rozpacz po stracie córki.

– Mój Boże – szepnęła Orr. – Tak mi przykro.

– Mąż też ode mnie odszedł. Straciłam cały świat i chęć do życia. Więc rozumiem, dlaczego to zrobiłaś. Ale zniknięcie Andrei pociągnęło za sobą inne wydarzenia. Zginęli ludzie. A my musimy wiedzieć, dlaczego tak się stało, bo to nasza praca. Musimy poznać prawdę w imieniu rodzin tych innych ofiar.

– Uważacie, że Andrea ponosi za to jakąś odpowiedzialność? – Orr przerwała i patrzyła na ich twarze. – To absurd! Ona nikogo by nie skrzywdziła. Ona chce tylko chodzić po lesie i czytać.

– Mimo to musimy z nią porozmawiać.

Orr zamilkła i na blisko minutę zapadła cisza. Siedziała zapatrzona w drzwi balkonowe, w gorącym powietrzu wisiała smuga czarnego dymu, kafar nie przestawał łomotać. Fields spojrział pytająco na Tracy, a ta wolno pokręciła głową. Miała nadzieję, że Fields ma na tyle rozumu, by się nie odezwać.

– Chcę przy tym być – wymamrotała w końcu Orr. – Chcę być obecna przy waszej rozmowie.

– Oczywiście – powiedziała Tracy, czując ogarniającą ją ulgę, ale także narastające podniecenie. – Chcemy tylko, żebyś nas do niej zaprowadziła.

Rozdział 33

Penny Orr umieściła siostrzenicę w górskiej chacie w Seven Pines. Tracy zdążyła się już zorientować, że całe Seven Pines liczy kilkanaście domów leżących na wysokości ponad tysiąc ośmiuset metrów we wschodnim paśmie Sierra Nevada, mniej więcej trzy i pół godziny jazdy na północ drogą US 395. Orr wyjaśniła, że z chaty, która od ponad sześćdziesięciu lat należała do jej matki, rodzina korzystała w czasie weekendów i wakacji. Jeśli ktoś chciał się ukryć przed światem, było to wymarzone miejsce. Najbliższym „miastem” było Independence z niecałym tysiącem stałych mieszkańców. Orr uprzedziła ich, że w chacie nie ma telewizji, internetu i zasięgu komórkowego, a toaleta jest na zewnątrz.

Tracy zadzwoniła do Faza i powiadomiła go, że Andrea Strickland żyje i jadą do niej z Penny Orr. Zapytał, czy ma zawiadomić miejscową policję, ale nie widziała takiej potrzeby. Obiecała, że się odezwie, gdyby coś się zmieniło.

Postanowiła z Fieldsem, że pojedą dwoma samochodami, na wypadek gdyby musieli kontaktować się z miejscową policją lub wystąpić o nakaz aresztowania. Tracy usiadła za kierownicą auta Penny Orr, Fields ruszył za nimi samochodem z wypożyczalni. Siedząca obok Tracy Orr przez większość drogi milczała; wpatrzona w szybę po jej stronie, zacierała nerwowo dłonie i od czasu do czasu wycierała łzy. W którymś momencie zwróciła się jednak twarzą do Tracy.

– To co z nią teraz będzie? – spytała.

– Naprawdę za wcześnie, żeby o tym mówić. Póki z nią nie porozmawiam i nie dowiem się, co się naprawdę stało i dlaczego,

nie mogę nic powiedzieć. W jakim ona jest stanie psychicznym?

– W jakim stanie psychicznym? W dobrym. A co?

– Jej psychoterapeuta powiedział, że może mieć odjazdy.

– Odjazdy?

– Uprzedził, że w pewnych okolicznościach może mieć skłonność do agresywnych zachowań. Byłaś kiedyś tego świadkiem?

– Skąd! Andrea nie jest osobą agresywną. Za taką ją uważasz? Myślisz, że to Andrea zabiła Devin Chambers? Ona nie umiałaby nikogo zabić. To zupełnie do niej niepodobne.

– Ma tam jakiś samochód?

– Tak. Moja rodzina trzyma tam starego jeepa, ale od lat nie był rejestrowany. – Orr na moment zawiesiła głos. – Ty nic nie wiesz?

– Czego nie wiem? – spytała Tracy.

Orr już jakby chciała odpowiedzieć, rozmyśliła się jednak i tylko bąknęła:

– Sama zobaczysz. Zrozumiesz, dlaczego musiała uciekać.

Jechały na północny wschód drogą US 395, której czarna asfaltowa nitka z podwójną żółtą linią wiała się wśród brunatnych wzgórz pod bladoniebieskim niebem. Mijały rozpadające się chaty górnicze i opustoszałe osady z domami z betonowych bloczków, które sterczały wśród niskiej pustynnej roślinności z kępami kaktusów i drzew Jozuego oraz odłamów skamieniałej lawy. W miarę zbliżania się do Independence sceneria się zmieniała i wkrótce znalazły się w otoczeniu posępnych zboczy Onion Valley, ze strzelającymi w górę majestatycznymi i poszarpanymi turniami wschodniego pasma Sierra Nevada, nad którymi górowała groźna i pokryta śniegiem Mount Whitney.

Tuż przed piętnastą dotarły do Independence i przejeżdżając przez jego centrum, Tracy zaczęła się rozglądać za hotelem, na wypadek gdyby przyszło im tu zostać na noc. Skręciła na zachód w Onion Valley Road, która wiodła zakosami pod górę po

wznoszących się wokół wzgórzach i zdawała się ciągnąć dużo dalej niż zapowiadane przez drogowskaz osiem kilometrów.

Przed rosnącą przy drodze kępą drzew Orr kazała Tracy zwolnić i skręcić w lewo. Zjechały z asfaltu i znalazły się na bitym trakcie biegnącym po zboczu wzdłuż autentycznie błękitnego górskiego potoku. Sto metrów dalej Orr wyciągnęła rękę, wskazując niewielką polanę ze stojącym na niej starym jeepem willysem.

– Zaparkuj tutaj – powiedziała. – Chata jest parę kroków dalej pod górę.

Tracy stanęła obok jeepa i popatrzyła na niego z niedowierzaniem, że pojazd w tym stanie może jeszcze jeździć. Fields wjechał za nimi i ustawił się obok.

– Ma jakąś broń? – spytała Tracy.

Orr wzruszyła ramionami.

– Mój ojciec miał strzelbę – odparła. – Strzelał z niej do węży.

– Gdzie ją trzymał?

– W szafie w sypialni. Ale chyba od lat nikt jej nie używał.

– A inna broń? Rewolwer?

– Nie. – Orr westchnęła. – Mogę z nią najpierw porozmawiać i spróbować wyjaśnić, co się dzieje? Bo ona tego nie zrozumie.

Nie znając rozkładu pomieszczeń w chacie i wiedząc, że w środku jest co najmniej jedna sztuka broni, Tracy nie mogła się na to zgodzić.

– Przykro mi, niestety, nie. Ale jak wejdziemy do środka i zorientuję się w sytuacji, pozwolę wam porozmawiać.

Wysiadły z samochodu. Powietrze było ciężkie i parne, nad szczytami otaczającymi dolinę gromadziły się wały białych chmur; wisząca bliżej chmura soczewkowa wyglądała jak latający spodek z kosmosu. Ojciec Tracy nauczył ją czytać pogodę, by nie dała się zaskoczyć nagłym zmianom. Wiedziała, że chmury soczewkowe powstają w wyniku zderzenia gorącego powietrza znad ziemi z chłodniejszą wyższą warstwą. Na górze takiej jak Mount Rainier tego typu chmury mogłyby zwiastować nadejście śmiertelnie groźnej burzy.

Orr poprowadziła detektywów kamienistą ścieżką, przy której leżały głazy i podkłady kolejowe. Panowała idealna cisza, którą zakłócały jedynie plusk potoku i brzęczenie niewidocznych owadów. Kawalek dalej Tracy zobaczyła przerzucony nad potokiem drewniany mostek, który prowadził ku obrośniętej kępą sosen chacie z zielonymi ścianami i czerwonymi drzwiami. Stała na cokole z kamieni rzecznych, a z dachu sterczał komin zbudowany z takich samych kamieni. Na pierwszy rzut oka całość przypominała obrazek z bajki dla dzieci o krasnoludkach czy elfach i Tracy od razu przypomniała sobie o latarni morskiej Alki Point i wymyślonym przez Dana bajkowym ślubie. Pomyślała, że chata wygląda na wymarzoną kryjówkę dla kogoś sponiewieranego przez życie, kto postanowił rzucić wszystko i ukryć się przed światem.

Przeszli przez mostek, potem kawalek po kamieniach i pokonali dwa schodki. Znaleźli się na malutkim ganku. Ich stopy zastukały na drewnie i Orr zapukała do drzwi. Wyglądała, jakby w czasie drogi mocno się postarzała. Jak ktoś, kto za chwilę ma się dopuścić straszliwej zdrady. We wnętrzu chaty rozległ się odgłos kroków.

Tracy instynktownie sięgnęła za siebie i położyła rękę na rękojeści rewolweru. Orr nie czekała na otwarcie drzwi. Pchnęła je i zawołała:

– Andrea?!

Andrea Strickland stanęła uśmiechnięta w otwartych drzwiach, jednak uśmiech szybko ustąpił miejsca wyrazowi zaskoczenia i bólu.

– Tak mi przykro – jęknęła jej ciotka.

Tracy też się zrobiło przykro, bo stało się jasne, co Orr miała na myśli, mówiąc, że Andrea musiała uciekać.

* * *

Wnętrze chaty przypominało niedużą księgarnię, w której zaczyna już brakować miejsca. Sterty książek zawały wszystko:

meble, kuchenny stół i ławkę pod oknem z witrażowymi szybkami, które przepuszczały światło, ale zniekształcały widok. Stosy książek wypełniały stojące pod ścianami skrzynie i spadały z półek regału. Książki w różnych wydaniach i wszelkich gatunków – powieści, literatura faktu, biografie, pamiętniki.

Tracy kazała Andrei Strickland i Penny Orr usiąść na dwuosobowej kanapie, a sama przeszła do sypialni i wyjęła z szafy starą śrutówkę z łamaną lufą, kalibru .12. Pamiętała takie jeszcze z zawodów strzeleckich ojca. Broń nie była nabita i wyglądała na od dawna nieużywaną, choć sprawiała wrażenie zadbanej i dobrze zakonserwowanej. Z półki w szafie Tracy zabrała też pudełko naboji i podała jedno i drugie Fieldsowi. Ten położył naboje na półce nad kominkiem i oparł strzelbę lufą o kamienne palenisko. Tracy zsunęła stertę książek z ławeczki pod oknem i usiadła naprzeciwko kobiet. Dwuizbowa chata składała się z pokoju dziennego i kuchni z niedużą płytą kuchenną na drewno i lodówką. Wnęka sypialna w głębi była niewiele większa od stojącego w niej dwuosobowego żelaznego łóżka; w pokoju dziennym dwa drewniane słupy podpierały belkowany sufit. Wszędzie unosił się zapach palonego drewna, którego osmolone szczapy leżały na poczerńniętym palenisku kominka.

– Andrea odziedziczyła miłość do książek po mojej matce – odezwała się ze smutnym uśmiechem Orr i ujęła dłoń siostrzenicy. – Babcia przyjeżdżała tu i czytała po trzy książki dziennie. Przeleciała całą bibliotekę w Independence, ale nie lubiła się rozstawać z książkami, więc zaczęła je całymi skrzyniami kupować w antykwariatach i zwozić tutaj.

Andrea Strickland siedziała ze wzrokiem wbitym w niedźwiedzią skórę na deskach podłogi.

– Księgozbiór wygląda na bardzo urozmaicony – zauważyła Tracy. – Masz jakiś ulubiony rodzaj książek?

Strickland spojrzała na Tracy i ponownie odwróciła wzrok.

– Nie – odparła cicho.

– Który to miesiąc? – spytała Tracy, prześlizgując się wzrokiem po nieomylnym wybrzuszeniu spodni ze streczem.

– Początek siódmego. – Andrea znów prześlizgnęła się po niej spojrzeniem.

– I mąż o tym nie wie?

– Nie. – Młoda kobieta pokręciła głową.

Andrea Strickland nie zwariowała i nie szukała zemsty. Po prostu postanowiła uciec od brutalnego męża gotowego zabić ją i nienarodzone dziecko, o którego istnieniu nawet nie wiedział.

– Andreo, ciocia nie zdradziła nam miejsca twojego pobytu. Poszłam tropem świadectwa urodzenia Lynn Hoff i sama do tego doszłam – wyjaśniła Tracy.

Strickland kiwnęła głową, ciotka ścisnęła jej dłoń.

– Jak się domyślasz, musimy ci zadać parę pytań o to, co się naprawdę wydarzyło. Porozmawiasz ze mną?

– Czy ona potrzebuje adwokata? – spytała Orr.

Był to dylemat, który zawsze nękał obie strony tego typu konfrontacji: przesłuchującego i przesłuchiwanego. Strickland nie była zatrzymana, więc wynikające z Piątej Poprawki prawo do obecności obrońcy jej nie dotyczyło. Nie została też oskarżona o żadne przestępstwo, a to znaczyło, że nie dotyczy jej także Szósta Poprawka. Biorąc pod uwagę umiejscowienie chaty i stan jeepa na podwórku, Tracy miała poważne wątpliwości, czy młoda kobieta byłaby w stanie zabić Devin Chambers lub Megan Chen. Sfingowała własną śmierć, ale to nie było stanowym ani federalnym przestępstwem. Nie próbowała wyłudzić odszkodowania z tytułu ubezpieczenia na życie, nie unikała też płacenia stanowych i federalnych podatków. Posłużyła się fałszywą tożsamością do otwarcia kont bankowych, ale nie zrobiła tego w celu popełnienia oszustwa, bo pieniądze należały do niej. Co do oszustw przy zawieraniu umowy kredytowej, jej mąż już się przyznał, że to on sfalszował podpis Andrei na wekslu, i w tej sytuacji decyzja, czy jej majątek podlega roszczeniom banku, leżała w gestii sądu cywilnego, a nie karnego.

Innymi słowy, Tracy nie miała podstaw, by ją aresztować.

Znów też pojawiał się kłopotliwy problem właściwej jurysdykcji. Tracy i Fields przekroczyli granice stanów, by przesłuchać świadka, a ten doprowadził ich do następnego świadka. Bez nakazu sądowego nie mieli prawa aresztować Andrei Strickland i wywieźć ją do Oregonu lub Waszyngtonu, nawet gdyby uznali, że są podstawy do jej zatrzymania.

Andrea Strickland uciekła, ponieważ była w ciąży, mąż planował jej zabójstwo i uznała, że nie może narażać życia swego nienarodzonego dziecka ani wychowywać go pod boki takiego człowieka. W głębi ducha Tracy pochwałała jej decyzję.

– Na razie chcemy tylko z nią porozmawiać – odparła. – Ale jeśli wolicie, żeby był przy tym adwokat, uszanujemy waszą wolę. To zależy od was.

Orr popatrzyła na siostrzenicę, ta odwzajemniła się spojrzeniem, ale się nie odezwała.

– Możemy chwilę porozmawiać same? – spytała Orr.

– Oczywiście.

Tracy dała znak Fieldsowi i oboje wyszli na dwór. Natychmiast sięgnął po papierosy i zapalniczkę, zapalił i wypuścił w powietrze kłęb dymu. Tracy pomyślała, że w takim miejscu to gwałt na dzikiej przyrodzie.

– I co o tym myślisz? – spytał. – Ja uważam, że to wariatka. Ciotka zresztą też nie lepsza.

Tracy aż zagryzła zęby. Co za przewidywalny do bólu palant!

– Myślę, że to młoda, sponiewierana przez życie kobieta, która chce innego losu dla swojego dziecka.

– Okropnie się nad nią rozczulasz, Crosswhite. – Pociągnął papierosa i wypuścił chmurę dymu. – A co zrobimy, jak nie będzie chciała mówić? Jeśli ją tu zostawimy, może znów dać nogę. Ma gdzieś schowaną forszę, a ciotka już była spakowana, żeby zwiać. Bo nie wierzę w żadną znajomą na Florydzie.

– Nie ma podstaw, by ją aresztować.

– Co ty pieprzysz? Jest co najmniej podejrzana w sprawie śmierci Devin Chambers. Miała jasny motyw, a właściwie dwa:

pieniądze i to, że Chambers sypiała z jej mężem.

Tracy omal nie parsknęła śmiechem.

– Motyw może tak, ale nie okazję, jeśli cały czas tu mieszkała.

– A skąd wiadomo, czy tak było? Mogła pojechać do Waszyngtonu, zabić Chambers i wrócić tutaj.

– Czym wrócić? Ten ich jeep nie jest zarejestrowany i raczej nie przejechałby nawet stu kilometrów.

– Mogła wynająć samochód. Albo pojechać samochodem ciotki.

– I jak odszukała Chambers?

– Wynajęła prywatnego łapiducha. Jedzie do Independence, zakłada partyzanckie konto, korzysta z publicznego Wi-Fi i szuka. Sama mówiłaś, że między jej mailami do łowcy głów a jego odpowiedziami była przerwa. Może właśnie dlatego. Bo mieszkała tutaj, bez dostępu do sieci, i musiała jeździć do miasta, żeby do niej wejść.

– Wygląda ci na taką, która zamierza dokądś uciekać? – spytała Tracy. – Przecież tu ma jak w raju. Nikt jej nie przeszkadza. Nie musi się użerać ze światem, który próbował ją zezmącić. Ma tu swoje książki i może czytać. Po co miałyby stąd uciekać?

– Bo ma dziecko w drodze. Urodzi je w tej dziczy?

To rzeczywiście był argument.

– W Independence na pewno jest jakiś szpital – powiedziała bez przekonania Tracy. – Ale najważniejsze jest to, że nie mamy podstaw do aresztowania.

Fields wypuścił kącik ust kolejny kłęb dymu.

– Tak? No więc ci powiem, że jeśli ona nie zacznie mówić, to ją aresztuję.

– Za co? – Jego zachowanie zaczynało już Tracy irytować. – Prowadzisz sprawę osoby zaginionej i chyba właśnie ją znalazłeś. Z tego, co wiemy, nie zrobiła nic, co uzasadniałoby jej aresztowanie. Twoją sprawę należy uznać za rozwiązaną i zamkniętą, a Devin Chambers to już moja działka. Poza tym nie

można aresztować Andrei Strickland bez nakazu, nawet gdyby były ku temu podstawy.

Z wnętrza dobiegł odgłos kroków, drzwi otworzyły się i na ganek wyszła Penny Orr.

– Andrea chce ci coś powiedzieć.

Tracy wyminęła Fieldsa i weszła za Orr do środka.

Andrea nadal siedziała na kanapie, ale nie miała już tak zrezygnowanej miny. Wyglądała teraz na spiętą i zdenerwowaną. I nim Tracy zdążyła się odezwać, wybuchnęła:

– To ja zabiłam Devin.

Serce podeszło Tracy do gardła. Obrzuciła szybkim spojrzeniem Fieldsa, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Kompletnie ją zatkało.

– Ty ją zabiłaś? – prychnął Fields.

Tracy otrząsnęła się z pierwszego szoku.

– Nie odpowiadaj – rzuciła. – Ani słowa więcej.

– Nie chciałam – jęknęła Strickland. – Chciałam ich tylko ukarać za to, co mi zrobili.

– A nie mówiłem?! – zawołał Fields i odczepił kajdanki od pasa.

– Andreo, ostrzegam cię, nie mów ani słowa. – Tracy stanęła twarzą do Fieldsa i uniosła rękę ostrzegawczym gestem.

Znieruchomiał, a Tracy pokazała mu drzwi.

Gdy wyszli na ganek ze zjadliwym uśmiechem z gatunku „a nie mówiłem”, powiedział:

– No i widzisz, Crosswhite? Z ludźmi nigdy nic nie wiadomo.

– Nic z tego, co mówi, nie może być wykorzystane w sądzie.

– Co ty pieprzysz?!

– Nie odczytaliśmy jej praw Mirandy.

– No to je odczytam i jeszcze raz ją zapytam.

– Wstrzymaj się chwilę, dobrze? Pojadę do Independence, złapię zasięg, zadzwonię w parę miejsc i zasięgnę rady. Wstąpię też do miejscowego szeryfa i poproszę, żeby ją zatrzymali do czasu, aż zdobędę nakaz aresztowania i załatwię ekstradycję do stanu Waszyngton. Nie musisz jej skuwać. Nigdzie ci nie

ucieknie. Odczytaj jej prawa Mirandy i dopilnuj, żeby przyjęła je do wiadomości, ale jej nie przesłuchuj. Pamiętaj, że to moja sprawa. Rozumiemy się?

– Rozumiemy się – prychnął. – Już mówiłem, że to nie pierwsze moje rodeo.

– Kluczyki – burknęła, wyciągając rękę.

Fields rzucił jej kluczyki i ruszyła do samochodu. Przeszła przez drewniany mostek i ścieżką dotarła do wynajętego samochodu. Wsiadła, zawróciła i wcisnęła ostro gaz, wzniecając za sobą chmurę kurzu. Wyjechała traktem na szosę i ruszyła w dół zbocza środkiem drogi. Trzymała komórkę w ręce i co chwilę sprawdzała siłę sygnału. W połowie zbocza na wyświetlaczu pojawiły się dwie kreseczki i telefon powiadomił ją o trzech nieodebranych połączeniach z komendy policji w Seattle i jednym SMS-ie od Faza.

Manewrując wzrokiem między krętą górską drogą a wyświetlaczem, odczytała wiadomość.

Zadzwoń najszybciej, jak możesz. Ważny zwrot w sprawie Stricklanda.

Zjechała na pobocze i wybrała numer. Wydawało się, że trwało wieki, zanim uzyskała połączenie.

Faz zaczął mówić, nim zdążyła rzucić „Cześć”.

– Profesorko, gdzie ty... dziewczasz? Próbuję się z tobą od... rozumieć.

– Mam słaby zasięg i ledwo cię słyszę. Cały czas przerywa.

– Profesorko?

– Faz?

W telefonie coś piknęło i połączenie zostało przerwane.

– Cholera!

Przez chwilę zastanawiała się, czy ponowić próbę, uznała jednak, że to nie ma sensu, i ruszyła serpentynami w dół zbocza. Chwilę potem telefon zadzwonił i Tracy wcisnęła przycisk GŁOŚNIK.

– Faz?

– Taaa. Teraz mnie słyszysz?

- Wciąż coś przerywa.
- Dostaliśmy... tera.
- Powtórz.
- Dostaliśmy wyniki... komputera.
- Dostaliście z laboratorium wyniki badania komputera? Faz?

I co z nich wynika?

- Profesorko?
- Faz, słyszysz mnie?
- Naprawdę trudno się... mierzyli konto maili partyzanckich i... adres Wi-Fi. Mail... z publicznego adresu... restauracji.
- Nie wszystko zrozumiałam, Faz. Powtórz.
- Z publicznego adresu... Tacoma... Viola.

Samochód zatoczył się na prawe pobocze i Tracy wcisnęła hamulec, wyrzucając spod kół fontannę pyłu i żwiru, odbiła w lewo, przekroczyła żółtą środkową linię, ponownie skorygowała, zjechała na pobocze, zatrzymała się i przez chwilę siedziała oszołomiona.

Restauracja Viola w Tacomie.

Fields.

To Fields szukał Devin Chambers. O mój Boże!

– Profesorko?

– Faz? Faz?

Faz nie odpowiadał.

– Faz, nie wiem, czy mnie słyszysz. Jestem w górach, Sierra Nevada, w dziurze o nazwie Seven Pines. Powtarzam: Seven Pines. Najbliższe miasteczko to Independence. Faz? Kurwa! Faz, zadzwoń do tutejszego szeryfa. Powiedz mu, że potrzebuję natychmiastowej pomocy. Faz? – Nie wiedziała, czy jej głos do niego dociera, ale przynajmniej połączenie nie było zerwane. – Powiedz mu, że mnie znajdzie w zielonej chacie z czerwonymi drzwiami. Pierwszy prawy zjazd z szosy. Powiedz mu, żeby...

Połączenie się urwało.

Rozdział 34

Tracy przez chwilę zastanawiała się nad kontynuowaniem jazdy do Independence, gdzie mogła liczyć na pewny sygnał, ale to zajęłoby jej sporo czasu, a zostawiła Fieldsa samego ze Strickland i Orr. Czując gniesienie w żołądku, zawróciła i ruszyła z powrotem pod górę. Sprawa zaczynała nabierać sensu. Fields widać założył, że Andrea Strickland nie żyje. O jej funduszu wiedział ze śledztwa i był przekonany, że Graham Strickland zabił żonę, by dostać się do jej majątku. Gdy pieniądze zniknęły, rozpoczął poszukiwania Strickland i jej jedynej przyjaciółki, Devin Chambers, i ustalił, że obie zniknęły w tym samym czasie, a wraz z nimi pieniądze. Być może ukrył inne dowody świadczące o tym, że Devin Chambers się do nich dobrała i miała romans z Grahamem Stricklandem. Tego Tracy nie wiedziała, za to wiedziała na pewno, że dla złego gliny te pieniądze były jak forsa narkotykowa, za którą Fields przez dziesięć lat uganiał się po Arizonie. Niczyje pieniądze do więzienia. Strickland uznawano za zmarłą, jej mąż miał trafić do więzienia. Jeśli uda mu się odnaleźć Devin Chambers, odnajdzie też forszę – pół miliona w żywej gotówce.

Nie mógł szukać Chambers kanałami policyjnymi, ale nie musiał. Latami ścigał dilerów narkotykowych, operując w Arizonie poza zasięgiem sieci i mimo to znajdując ich dobrze zakamuflowane kryjówki. Pieniądze były na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło zabić Devin Chambers i rozgłosić, że z nimi uciekła i ukrywa się w nieznanym miejscu. Dlatego włożył jej ciało do kosza na kraby, który nigdy nie miał być znaleziony. Tracy przypomniała sobie rozmowę ze swoim partnerem, kiedy oboje

siedzieli w biurze koronera i czekali na wyniki sekcji. Kins powiedział wtedy, że trup w koszu na kraby zdarza się po raz pierwszy w okręgu King, ale nie w jego karierze policyjnej. I że w okręgu Pierce był już taki przypadek dwa lata wcześniej.

Czyli znów Fields.

Jeśli Tracy się nie myliła, był nie tylko zdeprawowanym gliniarzem. Był także zabójcą. Zabił Chambers i dzięki niemal perfekcyjnemu planowi prawie by mu się udało, gdyby nie traf – jeden na milion – że Kurt Schill wyciągnął nie ten kosz. To spowodowało, że do sprawy włączył się ktoś jeszcze i uparł się ją rozwikłać. Dlatego Fields tak zawzięcie walczył o pozostawienie śledztwa w ich jurysdykcji. Nie chciał, by ktokolwiek inny kopał w jego ogródku. Od chwili, gdy Schill natknął się na jego kosz, Fields musiał zrobić z Grahama Stricklanda bezwzględnego mordercę lub przynajmniej skierować na niego podejrzenia. Jako śledczy prowadzący dochodzenie w sprawie zniknięcia Andrei Strickland odwiedził jej loft przy Pearl Street i nawet go przeszukał. Dzięki temu poznał stosowane w budynku zabezpieczenia, w tym szyfratory w windzie i przy drzwiach wejściowych.

To również tłumaczyło niechęć Penny Orr wobec próśby Tracy o próbkę DNA. Nie chciała, żeby wyszło na jaw, że ofiara w pułapce na kraby nie jest jej siostrzenicą. I dla niej, i dla dziewczyny byłoby dużo bezpieczniej, gdyby policja uważała Andreę za zmarłą.

Tracy zwolniła przed wjazdem na bity trakt, wciąż analizując zdarzenia.

Fields pojechał do loftu w poszukiwaniu Grahama Stricklanda i zamiast niego natknął się na śpiącą w jego łóżku Megan Chan, więc ją zabił. Tracy nie miała wątpliwości, że chciałby też zabić Andreę Strickland i Penny Orr, tymczasem ona, opuszczając chatę, stworzyła mu doskonałą okazję. A na koniec zabije ją. Nie wiedział jednak, że ona już wie, kto wynajął prywatnego detektywa i zlecił mu szukanie Devin Chambers. Dzięki temu zyskiwała nad nim chwilową przewagę.

Pozostawało mieć nadzieję, że ta chwila jej wystarczy.

Wolno wjechała na placyk i kilka metrów przed zatrzymaniem się zgasiła silnik. Wyjęła z kabury glocka, wprowadziła nabój do komory i po cichu wysiadła. Trzymając pistolet w opuszczonej ręce, wolno ruszyła ścieżką. Stała za pnem sosny obok drewnianego mostka i rozejrzała się. Słysząc było szmer potoku i bzyczenie owadów, ale poza tym panowała głucha cisza. Przeszła przez mostek, zbliżyła się do schodków na ganek i znów się rozejrzała. Ściskając glocka, schyliła się i zajrzała przez okno do środka. Strickland i Orr nadal siedzieli na kanapie, Fieldsa przy nich nie było.

– Nie ruszaj się.

Głos dobiegł z za jej pleców, spokojny i zdecydowany. Usłyszała, jak Fields wychodzi z narożnika chaty, i błyskawicznie obliczyła, czy ma szansę zdążyć obrócić się i strzelić.

– Rzuć tę spluwę, Crosswhite – nakazał jej Fields. – Ma leżeć, bo jak nie, to ja położę ciebie.

Tracy rzuciła pistolet; stuknął o deski ganku na tyle głośno, że Strickland i Orr podniosły głowy i spojrzwały w stronę okna.

– Odwróć się.

Tracy uniosła ręce nad głowę, dając tym wymowny znak obu kobietom, i zwróciła się twarzą do Fieldsa, który zbliżał się z wycelowanym w nią pistoletem. Przemknęło jej przez głowę, że podjęła słuszną decyzję: Fields zastrzeliłby ją, nim zdążyłaby się odwrócić.

– Cholernie szybko wróciłaś – burknął, kopiąc nogą w glocka.
– O wiele za szybko jak na znalezienie szeryfa i parę rozmów telefonicznych. Pewnie w połowie drogi złapałaś zasięg, tam gdzie ja go straciłem, jadąc w tę stronę. I założę się, że dostałaś ciekawą wiadomość w sprawie pewnego partyzanckiego konta mailowego. Mam rację?

– Dlaczego, Fields? – spytała, czując w ustach mialkość tych słów.

– A dlaczego nie? – Uśmiechnął się.

– Kiedy się tak zdeprawowałeś?

– Zdeprawowałem? Ciekawe określenie. Powiedzmy, że jako tajniak nabrałem pewnych złych przyzwyczajęń. Bo zdałem sobie sprawę, że za każdym razem, kiedy kogoś dopadałem, zostawała po nim kupa nigdzie niezaksięgowanej i nie do namierzenia kasy, nie mówiąc już o towarze. A ja cały czas poznawałem ich pomysły na to, żeby nie dać się złapać. To była prawdziwa fortuna. I doszedłem do wniosku, że gram w niewłaściwej drużynie.

– A twoja żona? Przecież za walkę z tym oddała życie.

Fields uśmiechnął się ponuro.

– Powiem tyle: kiedy się dowiedziała, wystąpiła między nami pewna różnica zdań.

– To ty ją zabiłeś!

– Zależy od punktu widzenia – odparł, nie przestając się uśmiechać. – Obława na handlarzy źle poszła. Ale to się często zdarza. Agentka za głęboko w to weszła i ktoś na nią doniósł. Mnie rozgryźli zaraz po niej. Nie miałem wyjścia, musiałem stamtąd wyjechać.

Tracy tak bardzo nie cierpiała tego człowieka, że zaczęła się zastanawiać, czy przez to nie przegapiła jakichś oczywistych sygnałów. Teraz jak na dłoni widziała, że wszystkie tropy prowadziły wprost do niego.

– Czyli gdy uznałeś, że Andrea Strickland nie żyje i zabił ją mąż, dostrzegłeś okazję dobrania się do jej majątku.

– Poznałeś go. On z całą pewnością nie zasługiwał na te pieniądze.

– Ale nie przyszło ci do głowy, że ktoś inny mógł wpaść na ten sam pomysł.

– To, jak Devin Chambers rozegrała Stricklanda, było wręcz komiczne. I naprawdę piękne. Godna pochwały sprawiedliwość. Zaproponowała, że się ze mną podzieli. Podziwiałem jej kreatywność, ale nie mogłem do końca życia trwać w obawie, że nagle coś jej się odmieni albo chlapnie coś głupiego.

– Ta poprzednia ofiara w klatce na kraby w okręgu Pierce to też ty?

– Nie, ale zachwyła mnie pomysłowość sprawcy. To jeszcze lepsze niż porzucenie ciała na pustyni, żeby zajęły się nim dzikie zwierzęta. Bo wtedy zostają jednak kości. A w zatopionym koszu na kraby wszelki ślad ginie, chyba że jakiś gówniarz trafi los jeden na milion i go wyłowi. – Pokręcił głową. – Ale szanse na to są bliskie zeru.

– To prawda. Szanse na to są bliskie zeru. Tylko że teraz to już nie ma znaczenia, Fields. Rozejrzyj się. Dokąd stąd uciekniesz?

– Chyba żartujesz! – Uśmiechnął się szeroko. – Cały świat stoi otworem. W torbie mam wszystko, czego mi potrzeba. Lewe paszporty. Coś do zmiany wyglądu. Ten pistolet. Nikt nie zna jego pochodzenia. Zbierałem spluwy po kilka sztuk naraz. Jest nie do wyśledzenia. Więc jeśli nawet ktoś odnajdzie szczątki was trzech, mnie tu już dawno nie będzie. Mogą nawet dojść do wniosku, że moje szczątki też gdzieś tu leżą, rozwleczone przez dzikie zwierzęta. Wsiądę do samochodu Orr, albo może w jeepa, i was stąd wywiozę. Mówiłem ci, Crosswhite, że pustynia była moim domem. A teraz stanie się waszym.

Rozdział 35

Poprowadził Tracy do domu, gdzie czekała na nich niespodzianka. Żadna z kobiet nie siedziała już na kanapie, a strzelba już nie stała oparta o kominek.

– Kurwa – prychnął Fields i nie przestając mierzyć do Tracy, przeszedł w głąb chaty i zajrzał do sypialni. Tracy poczuła świeży powiew ciągnący od drzwi i mimo woli uśmiechnęła się.

Fields ponownie zaklął i odczepił kajdanki od pasa.

– Obejmij słup, Crosswhite – rozkazał, wskazując jeden ze słupów podtrzymujących strop.

Nie od razu posłuchała.

– Zdajesz sobie sprawę, Fields, że nie ujdzie ci to na sucho – powiedziała. Grała na zwłokę, by dać Andrei i jej ciotce jak najwięcej czasu na ucieczkę. Orr mówiła, że siostrzenica najbardziej lubi czytać i chodzić na piesze wycieczki i że jako dorastająca dziewczyna często włóczyła się po tych górach. Można było mieć nadzieję, że dobrze je poznała i zna różne kryjówki. Tracy nie sądziła, by Fields odważył się ją zabić w chacie i zostawić ślady krwi, i postanowiła to wykorzystać.

– Dodzwoniłam się do biura – rzuciła – Moi ludzie już tu jadą. Wiedzą, że to ty wynająłeś łowcę głów. Wysyłałeś maile z Violi? Coś ty sobie wyobrażał?

Zrobił krok do przodu i wylot lufy pistoletu znalazł się niecałe pół metra od jej głowy.

– Założyłem, że nikt nigdy nie znajdzie ciała – powiedział. – A teraz obejmij ten pieprzony słup, bo zaciągnę twoje ciało w góry i zostawię zwierzętom na pożarcie. Wszystko mi jedno.

Tracy podeszła do słupa i objęła go rękami, Fields zatrzaskał kajdanki na jej nadgarstkach i ruszył do wyjścia, po czym nagle się zatrzymał.

– Od pierwszej chwili cię nie lubiłem – burknął, zamachnął się rękojeścią pistoletu i walnął ją w skroń.

* * *

Poczułam, że coś jest nie tak, gdy tylko detektyw Crosswhite wyszła z domu, żeby pojechać do miasta. Ten detektyw, Fields, poszedł za nią, popatrzył, jak odjeżdża, po czym wrócił do domu z palącym się papierosem.

– *Mógłby pan palić na dworze? – poprosiłam, myśląc o swoim nienarodzonym dziecku i stosach papieru w chacie.*

Uśmiechnął się i strząsnął popiół na podłogę.

– *No, to prawda, pożar nie byłby tu zbyt pożądany, co?*

– *Chodzi mi o dym.*

– *Tym nie musisz się przejmować. Mów, gdzie jest forsa?*

Po tym, jak zadał to pytanie, już wiedziałam, że to Stan Fields zabił Devin Chambers. Wrobiłam ją tak, jak wrobiłam Grahama, ale nigdy nie zamierzałam ich zabijać. Chciałam ich tylko ukarać za to, co oboje mi zrobili i co zamierzali zrobić. Wiedziałam jednak, że to ja doprowadziłam do śmierci Devin. I czułam się tak, jakbym sama ją zabiła.

– *Nie wiem, o czym pan mówi – odparłam. – A pan jej nie ma?*

Znowu się uśmiechnął.

– *Dobra jesteś. To ci muszę przyznać. A tak nawiasem mówiąc, wcale się nie dziwię, że chciałaś wrobić męża w zabójstwo. Poznałem go i uważam, że za łatwo się wywinął. Nawet mnie nabrałaś. Byłem święcie przekonany, że cię zabił. Pozostawało tylko pytanie dlaczego. Ale powody zwykle nie są zbyt skomplikowane. Albo kochanka, albo szmal, albo przekręt z ubezpieczeniem. Czasami wszystkie trzy naraz. Zacząłem trochę grzebać i okazało się, że w grę wchodzi kupa szmalu, o której nikt nic nie wie. Więc pomyślałem, że jak udowodnię winę twojego*

męża i pójdzie siedzieć, nikt inny się o te pieniądze nie upomni. – Znowu strząsnął popiół na podłogę. – A tymczasem okazało się, że kochanka jest jeszcze gorsza od męża. Najpierw go omotuje w sprawie forszy, a potem znika równocześnie z tobą i pieniędzmi. Biorę więc nakaz przeszukania jej mieszkania i stanowiska pracy, rekwiruję jej komputer i znajduję bardzo wyraźny trop świadczący o tym, że ona i twój mąż działają w zмовie, a ona posługuje się twoim fałszywym nazwiskiem, Lynn Hoff. Powiedz mi, czy to była część twojego planu, żeby ją też zrobić?

– Nigdy nie chciałam jej śmierci – zapewniłam go. – Chciałam się tylko od nich uwolnić i zapewnić mojemu dziecku lepsze życie. Takie jakie ja miałam przed wypadkiem rodziców. Nigdy nie sądziłam, że będzie chciała ograbić mnie z pieniędzy.

– Bo twój problem polegał na tym, że jej nie doceniłaś. Była wysokiej klasy kombinatorką, a dla takiej liczą się tylko pieniądze. Tacy ludzie nie podchodzą do życia jak ty czy ja. Są inaczej skonstruowani. Widzą twoje pieniądze, ale dla nich to są ich pieniądze. Po prostu ty je przechowujesz tymczasowo do chwili, aż ci je zabiorą.

– I dlatego pan ją zabił?

– Musiałem. – Fields wzruszył ramionami. – Ale zanim sięgnąłem po pieniądze, ktoś mnie w tym ubiegł. Wtedy się zorientowałem, że ty jednak żyjesz. Graham nie miał pojęcia, gdzie są pieniądze, i nie zamierzał ich szukać, mając na karku mnie i mój wniosek do prokuratury, z którego wynikało, że był zamieszany w twoje zniknięcie. Więc raz jeszcze pytam: gdzie są pieniądze?

Nie odpowiedziałam.

Fields rzucił niedopałek na podłogę. Leżał na niej, żarząc się i dymiąc, ale on nawet nie drgnął, by go przydeptać. Wyjął pistolet i wycelował w ciocię.

Już miałam zacząć mówić, gdy Stan Fields odwrócił głowę i zaczął nasłuchiwać. Z zewnątrz dobiegł dźwięk silnika samochodu. Podszedł do drzwi i wyjrzał. Wiedziałam, że ktoś przyjechał. Miałam słuch wyczulony na wszelkie odgłosy.

– Nie ruszaj się – rozkazał. – Jak się stąd ruszycie, zabiję was obie.

* * *

Głowa bolała tak, jakby ktoś ją rozłupał na pół. Gdy ciemność stopniowo ustąpiła miejsca rozmazanemu obrazowi, Tracy uświadomiła sobie, że siedzi na podłodze w chacie Andrei Strickland i obejmuje słup skutymi rękami. Krzywiąc się z bólu, podciągnęła się bliżej słupa, by nieco odciążyć nadgarstki. Opuściła głowę i pomacała ją końcami palców. Gdy na nie spojrzała, okazało się, że są czerwone od krwi. Powoli uniosła się na jedno kolano. Pokój zawirował tak, jakby siedziała na karuzeli; odruchowo przytrzymała się słupa, by nie upaść. Kiedy wirowanie ustało, udało jej się przesunąć po nim skute ręce i dźwignąć na nogi. Zrobiło jej się niedobrze i czekając, aż obraz nabierze ostrości, z trudem powstrzymała odruch wymiotny. W miarę jak zaczynała coraz więcej widzieć, dotarła do niej świadomość jej zasadniczego problemu: była kompletnie unieruchomiona. Spojrzała w górę. Słup był przyśrubowany stalowymi kątownikami do belki stropowej. Spojrzała w dół. Wchodził w podłogę i zapewne przytwierdzono go do płyty fundamentowej. Spróbowała go poruszyć, ale nawet nie drgnął. Chatę zbudowano solidnie, na lata użytkowania. Ruszenie słupa nie wchodziło w rachubę.

Niebo za oknami pociemniało, ale nie z powodu zmierzchu. Zmieniła się pogoda. Z oddali napłynęły zwały chmur, otuliły okoliczne szczyty i wszystko zrobiło się sinoszare. Dobiegające z daleka odgłosy grzmotów zwiastowały nadciągającą burzę, towarzyszące im gwałtowne porywy wiatru waliły w szyby. Pociemniałe niebo i wycie wiatru przynajmniej pomogą Andrei i Penny się ukryć, pomyślała z nadzieją.

Rozejrzała się po chacie w poszukiwaniu czegoś, dzięki czemu mogłaby się uwolnić z kajdanek, ale niczego nie dostrzegła i ogarnęło ją poczucie bezsilności. Pozostawało liczyć na to, że

Andrea Strickland dobrze zna te góry i nie tylko się ukryje, ale może nawet zastawi na Fieldsa zasadzkę i posłuży się starą strzelbą.

Usłyszała coś, co w pierwszej chwili wzięła za kolejny daleki grzmot, a co okazało się dudnieniem kroków na drewnianym mostku.

Ktoś nadchodził.

Fields?

Obeszła słup tak, by się za nim schować. Za oknem przesunęła się sylwetka policjanta w koszuli khaki i soczyście zielonych spodniach.

– Halo! Halo! – krzyknęła Tracy.

Policjant przeszedł nad czymś leżącym na ścieżce i wszedł do chaty z rewolwerem w wyciągniętej ręce.

– To pani jest tą detektyw Crosswhite? – rzucił.

Ktoś wezwany przez Faza. Na szczęście dosłyszał jej wołanie o pomoc i nie zawiódł.

– Tak, tak, to ja. Widziałeś kogoś przed domem?

– Nie.

– Mam odznakę przypiętą do pasa.

Policjant podszedł bliżej. Wyglądał na trzydzieści kilka lat, miał ogoloną na łyso głowę i był masywnie zbudowany.

– Dostaliśmy z Seattle wiadomość, że policjantka potrzebuje natychmiastowej pomocy.

– Chodziło o mnie. Gdzieś kręci się uzbrojony mężczyzna, więc miej oczy i uszy otwarte. Masz klucz do kajdanek?

Włożył rewolwer do kabury i szybko rozkuł Tracy, nie spuszczać wzroku z okna i drzwi.

Roztarła nadgarstki i podała mu rękę.

– Tracy Crosswhite, policja z Seattle.

– Rick Pearson. Biuro szeryfa okręgu Inyo. Co tu robi detektyw z Seattle?

– Przyjechałam porozmawiać ze świadkiem. Ile samochodów widziałeś przed domem?

– Mm... dwa... i starego jeepa. Co się tu, u diabła, dzieje?

Czyli Fields wciąż tu jest, pomyślała.

– Jesteś sam? – spytała.

– Tak. Jesteśmy tylko małym posterunkiem w Independence. Ale mam jeszcze jednego kolegę, którego w razie czego mogę wezwać. I mogę zadzwonić do naszego głównego biura.

– Gdzie się mieści wasze główne biuro? – Ruszyła na ganek, ale zakręciło jej się w głowie i musiała się chwycić framugi.

– Ma pani paskudne rozcięcie na głowie – zauważył Pearson.

Tracy dotknęła rany i pokręciła głową.

– Gdzie jest wasze główne biuro?

– W Bishop.

– Jak daleko stąd?

– Czterdzieści pięć minut.

– Potrzeba nam tylu ludzi, ilu uda ci się skrzyknąć. – Wyszła na ganek i podniosła swojego glocka. – I samochodów terenowych do jazdy po tych wertepach.

– Samochody daleko nie zajadą. Zwłaszcza podczas burzy.

Burza rzeczywiście stanowiła problem, którego Tracy nie wzięła pod uwagę. Przeszła przez mostek i po chwili dotarła do zaparkowanych samochodów.

– Gdzieś tam są dwie kobiety i gliniarz, który je zabije, jeśli tylko uda mu się je znaleźć. Ile broni masz w samochodzie?

Podeszli do biało-zielonego SUV-a z biura szeryfa.

– Śrutówkę, karabin i trochę amunicji.

– Wezmę karabin – zdecydowała. – Ty łącz się przez radio i ściągnij, kogo się da, do pomocy. Jak się zjawia, powiedz im, że szukamy dwóch kobiet, jednej w wieku dwadzieścia parę lat, drugiej po pięćdziesiątce. Ten zły gliniarz też jest po pięćdziesiątce, ma wąsy i siwe włosy związane w kitkę. Jest uzbrojony i bardzo niebezpieczny. Masz apteczkę pierwszej pomocy?

– Apteczkę? Zawsze.

– No to łącz się i wzywaj pomoc. A potem byłabym wdzięczna, gdybyś zabandażował mi głowę.

– A pani dokąd się wybiera?

- Tracy spojrzała na porośnięte lasem zbocze góry.
– Tam – powiedziała.
– To bardzo trudny i dziki teren, pani detektyw.
– I na to liczę.

* * *

- Kiedy Fields wyszedł z chaty, popatrzyłam na ciotkę.*
– *On nas zabije – powiedziałam. – Nie ma innego wyjścia. Wszystkich nas pozabija. Musimy uciekać.*
– *Dokąd? – jęknęła. Widziałam strach na jej twarzy i słyszałam go w jej głosie.*
– *W góry. Idziemy. – Chwyciłam szybko strzelbę i garść naboju i ruszyłam w głąb domu.*
Ciocia nie podniosła się z kanapy.
– *Chodź – rzuciłam ostrzejszym tonem.*
Wstała i poszła za mną do sypialni. Wyjrzałam przez okno, ale Fieldsa nigdzie nie było.
– *Potrzymaj – poprosiłam, podając jej strzelbę, i spróbowałam otworzyć okno, ale rama ze starości się spaczyła i udało mi się je podnieść tylko trochę. Włożyłam pod nie obie ręce i zaczęłam ciągnąć z całej siły. Okno przeraźliwie zaskrzypiało, podjechało kilkanaście centymetrów i znów się zacięło. Nie byłam pewna, czy się zmieścimy, ale okna nie dawało się już wyżej przesunąć.*
Wzięłam od cioci strzelbę.
– *Wychodź pierwsza – poleciłam.*
Schyliła się i zaczęła się przeciskać głową do przodu. Przytrzymałam ją za nogi, żeby nie spadła na głowę. Spadła, ale tylko z wysokości kilkudziesięciu centymetrów. Podałam jej strzelbę i też precyzyjnie się przez otwór w oknie; opadłam na zasłane sosnowym igliwem kamieniste podłoże. Podniosłam się, szybko otrzepałam ręce i przejęłam od cioci strzelbę.
Usłyszałam, jak Fields mówi: „Nie ruszaj się”, i w pierwszej chwili pomyślałam, że to do nas. Dopiero po chwili zorientowałam się, że chowa się za rogiem domu i mówi to do kogoś innego.

Trzeba było jak najszybciej uciekać. Dziadek wyciął drzewa wokół domu, tworząc zabezpieczenie przed pożarem lasu, i do pierwszych zarośli miałyśmy jakieś dziesięć metrów. Niebo nad głowami coraz bardziej się chmurzyło; widać było, że zbiera się na popołudniową burzę, co w górach nie jest niczym niezwykłym. Nagrzane powietrze znad doliny unosiło się i zderzało z zimnym powietrzem znad gór. W ciągu paru minut z jasnego dnia robił się wieczór, grzmoty zaczynały wstrząsać całym domem, a z nieba lały się strumienie wody, zamieniając potok w rwącą rzekę. Miałam nadzieję, że to pomoże nam w ukryciu się. To była nasza jedyna szansa.

Chwyciłam ciocię za rękę i pociągnęłam za sobą w górę zalesionego zbocza. Szybko odnalazłam w lesie ścieżkę, którą chodziłam jako dziecko, a także ostatnio po moim zniknięciu na Mount Rainier.

* * *

Tracy przewiesiła karabin przez ramię i zawróciła w stronę domu. Obeszła go od tyłu i zobaczyła uchylone okno.

– Dzielna dziewczyna – mruknęła pod nosem. Zaczynała czuć autentyczną sympatię do Andrei Strickland, która była zaradna i umiała walczyć o siebie.

Szybko podeszła do linii drzew i wypatrzyła coś na kształt ścieżki. Biegła nią, przy każdym kroku czując rwący ból w głowie.

Suchy i pozbawiony podszycia teren nie przypominał jej rodzinnych Gór Kaskadowych, które były zielone i wilgotne. Zbocze, usiane wielkimi głazami i ostrymi skałkami, porośnięte sosnami, krzakami oraz leśnymi kwiatami, bardziej przypominało dolne partie Mount Rainier.

Z powodu wysokości czuła palenie w płucach, odkładający się w mięśniach kwas mlekowy sprawiał, że nogi odmawiały posłuszeństwa, a rana boleśnie pulsowała, przez co Tracy jeszcze bardziej kręciło się w głowie. Po kilkuset metrach musiała

przystanąć, by złapać oddech. Ołowiane chmury nad ponuro poszarzonymi szczytami jeszcze bardziej pociemniały i toczyły się po niebie niczym grzywacze po wzburzonym oceanie. Nagle rozświetliła je błyskawica; z nieba wystrzelił błękitny rozgałęziony piorun i powietrze niemal natychmiast przeszył przeraźliwy huk, a po nim przetoczył się niski łoskot, jakby ktoś walił w gigantyczny bęben. Jeśli nawet Fieldsowi nie uda się dopaść Andrei i jej ciotki, może to za niego zrobić piorun.

Tracy nie przestawała biec wzdłuż skalnej grani, wkrótce jednak zdała sobie sprawę, że to właściwie bez sensu. Andrea musiała zejść z wydeptanej ścieżki i odbić gdzieś w bok, może do upatrzonej wcześniej kryjówki. Tracy nie była wykwalifikowaną tropicielką i nie potrafiła pójść po jej śladach, czuła jednak, że Fields, który w warunkach pustynnych spędził wiele lat, bez trudu może to zrobić. Pozostawało jej tylko wspiąć się wyżej, znaleźć dobry punkt obserwacyjny i liczyć na to, że stamtąd wypatrzy obie kobiety.

Zeszła ze ścieżki i nasłuchując odgłosu strzału ze strzelby lub rewolweru, zaczęła się wspinać w stronę występu skalnego pod jednym z poszarpanych szczytów. Zbocze robiło się coraz bardziej strome, a piargi pod nogami stawały się coraz luźniejsze. Stopy co chwila spod niej odjeżdżały i musiała podierać się rękami. Chwilami lazała na czworakach jak niedźwiedź, mimo to dysząc i zlewając się potem, wdrapywała się coraz wyżej. Niebo rozdarła kolejna błyskawica i ziemia aż zatrzeszczała. Tracy odruchowo rozpląszczyła się na brzuchu, czując, jak w naładowanym elektrycznością powietrzu włoski na jej rękach stają dęba. Zakryła dłońmi uszy i sekundę później piorun uderzył gdzieś niedaleko od niej. A potem poczuła na skórze pierwsze krople deszczu i wodne pociski zaczęły walić ją w plecy, rozbryzgując się na otaczających ją głazach.

Wstała i szybko ruszyła pod górę. Zawieszony na ramieniu karabin obijał się o jej plecy. Każdy ruch wymagał ostrożności, bo mogła łatwo się poślizgnąć i polecieć w dół zbocza. Dotarła do krawędzi występu i oceniła, że skała sterczy na jakieś dziesięć

metrów w górę. Jeśli uda jej się na nią wspiąć, zdobędzie doskonały punkt obserwacyjny na całą okolicę, łącznie z rozciągającą się u stóp doliną.

Ulewa jeszcze się wzmożyła; Tracy była przemoknięta do suchej nitki, lecz nie przestawała się wspinać, ocierając oczy z zalewającego je deszczu i zachowując maksymalną ostrożność.

Gdy w końcu stanęła na szczycie i roztoczył się przed nią widok na całą dolinę, musiała znów rozpląszczyć się na brzuchu, bo po raz kolejny potężnie błysnęło i zaraz potem strzelił piorun z taką mocą, że ziemia aż zadrżała. Gdy ucichł huk, Tracy podniosła się na nogi, zdjęła z ramienia karabin i przytknąwszy do oka lunetę, zaczęła penetrować okolicę w poszukiwaniu Andrei Strickland, Penny Orr lub jakiegokolwiek ruchu.

Nie dostrzegła niczego.

* * *

Ciocia, nieprzywykła do wysokości i wysiłku fizycznego, była już kompletnie wyczerpana i nie mogła złapać tchu. Chwycałam ją za rękę i zaczęłam ciągnąć pod górę, czując, że nogi się pod nią uginają. Dyszała ciężko i świszcząco; strach i adrenalina dodatkowo utrudniały jej oddychanie. Trenowałam ostro przed wycieczką na Rainier, a potem codziennie spędzałam wiele godzin w Sierra Nevada, więc ze mną nie było kłopotu. Musiałyśmy wydostać się z doliny i znaleźć kryjówkę wśród skał, gdzie miałabym szansę użyć strzelby. Nie strzelałam z niej od czasów, kiedy byłam nastolatką, ale dziadek dobrze mnie wyszkolił. Zawsze powtarzał, że nie muszę idealnie trafiać. Wystarczy, jak trafię w pobliże celu.

Ciotka poślizgnęła się i wydała z siebie zduszony okrzyk, ale udało mi się nie puścić jej ręki i nie zsunęła się ze stromizny.

- Idź sama – jęknęła, siadając na ziemi. – Ja cię tylko opóźnię.*
- Nigdzie bez ciebie nie pójdę – odparłam. – Wstawaj.*
- Nie dam rady.*

Popatrzyłam w dół i dostrzegłam Fieldsa, który dochodził już do grzbietu. Nie miałam pewności, czy nas widzi, ale wyraźnie podążał naszym tropem i był coraz bliżej.

– Wstawaj, ciociu. Wstawaj, i to już!

Z trudem dźwignęła się na nogi. Spojrzałam za jej plecy, w dół zbocza. Fields stał zwrócony do nas twarzą i chyba się nam przyglądał. Potem spuścił głowę i ruszył pod górę, prosto na nas.

– Ruszaj się – ponagliłam ciocię. – Ruszaj się. – Szarpnęłam ją za rękę i pociągnęłam za sobą. Do skał, które obrałam za cel, zostało już tylko jakieś trzydzieści metrów, ale bardzo stromych. Czułam, że ciocia sobie nie poradzi.

Fields się zbliżał; słyszałam już, jak spod jego nóg osuwają się kamienie.

Ciocia znów się poślizgnęła, tym razem nie zdołałam przytrzymać jej ręki i zjechała na boku z kaskadą piargów. Zatrzymała się w połowie drogi między mną a Fieldsem. Stanął i przyglądał się nam. A potem jego twarz rozplynęła się w uśmiechu. Wiedział, że nie zdążę zejść i dotrzeć do cioci przed nim.

Przyklękłam na jedno kolano, wycelowałam i strzeliłam.

** * **

Z okiem przytkniętym do lunety Tracy kawałek po kawałku przepatrywała okolicę. Wiszący w powietrzu szary woal z deszczu i mgły utrudniał obserwację i kilka razy zatrzymała wzrok na jakimś fragmencie, sądząc, że kogoś widzi, ale szybko się okazało, że to tylko wymyślnie ukształtowana skała. Opuściła lunetę i otarła z czoła krople deszczu.

Usłyszawszy huk, w pierwszej chwili wzięła go za kolejne wyładowanie atmosferyczne, zaraz jednak zdała sobie sprawę, że nie towarzyszyła mu błyskawica, a huk dotarł do niej nie z góry, tylko z dołu za jej plecami. Obróciła się, uniosła lunetę do oka i spojrzała w dół. Najpierw dostrzegła Fieldsa, który znajdował się na zboczu i na jej oczach runął na brzuch.

Piętnaście metrów wyżej ktoś leżał. Penny Orr. Tracy szybko rozejrzała się po zboczu i nieco wyżej dostrzegła Andreę Strickland trzymającą oburącz strzelbę, której kolbę wcisnęła pod pachę.

Strzelbę gwałtownie odrzuciło i Tracy usłyszała huk drugiego wystrzału. Przeniosła wzrok niżej i zobaczyła, że Fields podnosi się na nogi. Strickland spudłowała i musiała przeładować.

Nie miała szans zdążyć.

Tracy przesunęła się bliżej krawędzi, położyła się na brzuchu i oparła lufę o skałę. Przytknęła oko do lunety i wyregulowała ostrość. Mierzyła zbyt nisko.

Fields wspinał się po zboczu i Tracy wyobraziła sobie, jak Strickland nerwowo próbuje przeładować strzelbę.

Przysunęła kilka płaskich kamieni, ułożyła jeden na drugim, oparła na nich karabin i znów przytknęła oko do lunety. Fields był już blisko Penny Orr, która leżała na boku i nie ruszała się. Zalewające oczy krople deszczu rozmazywały obraz, więc Tracy na moment odsunęła lunetę, energicznie zamrugła i ponownie przytknąwszy oko, zaczęła ustawiać krzyżyk celownika na Fieldsie, który ani na chwilę nie przestawał się wspinać. Wiedziała, że nie ma szans na strzał w głowę; mogła jedynie liczyć na trafienie w coś, co na strzelnicy nazywane jest „środkiem masy ciała”, czyli w klatkę piersiową. Ale z tej odległości pocisk mógł równie dobrze trafić w nią, co przelecieć pół metra od celu. Mogła mieć tylko nadzieję, że chłopak z biura szeryfa nie zapomniał o regularnej kalibracji broni.

Fields dotarł do Orr, stanął nad nią z pistoletem w ręce i zaczął patrzeć raz na nią, raz w górę zbocza, zapewne na Andreę Strickland. A potem na jego twarzy wykwitł ironiczny uśmiešek z gatunku „przegrałaś”, podniósł rękę i wycelował.

Tracy nacisnęła spust do połowy, zrobiła wydech i pociągnęła spust do końca.

* * *

Strzeliłam po raz drugi i Fields padł. Przez chwilę nawet myślałam, że go trafiłam, ale on nagle podniósł się powoli. Spudłowałam. Ta strzelba służyła do strzelania na bliską odległość i mieściła tylko dwa naboje. Fields uśmiechnął się, a potem uniósł pistolet i strzelił do mnie, lecz zdążyłam paść na ziemię. Kiedy podniosłam głowę, wspinał się już po zboczu w stronę cioci. Usiadłam i obmacałam kieszenie w poszukiwaniu dodatkowych naboji, ale moje ręce zgrabiwały od deszczu i zimna i przez chwilę nie mogłam ich wydobyć. W końcu się udało i wtedy zdałam sobie sprawę, że nie złamałam lufy strzelby.

Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że Fields jest tuż obok cioci. Tak blisko, że bez problemu może ją zastrzelić.

Upuściłam z nerwów nabój i patrzyłam, jak stacza się po zboczu poza zasięg moich rąk. Drżącymi dłońmi przełamalam lufę, pochuchałam na palce, by je ogrzać, i sięgnęłam do kieszeni po następny nabój, ale widok Fieldsa kompletnie mnie rozkojarzył. Stał już niemal nad ciocią. Palce miałam tak sztywne i zmarznięte, że nie mogłam trafić nabojem do lufy. Fields spojrzał na mnie i uśmiechnął się. W końcu udało mi się wcisnąć nabój, w tym czasie Fields uniósł pistolet i wycelował w leżącą nieruchomo ciocię. Wiedziałam już, że nie zdążę. Zatrzasnęłam lufę i krzyknęłam:

– Nie!

** * **

Tracy ujrzała wytrysk czerwieni z piersi Fieldsa.

Jego ciało konwulsyjnie drgnęło jak porażone prądem, ręka z pistoletem zatoczyła gwałtowny łuk. Tracy nie spuszczała z niego oka, gotowa ponownie strzelić, ale Fields runął na plecy, zaczął się staczać po zboczu i zatrzymał się dopiero prawie przy ścieżce.

Tracy przyglądała mu się przez lunetę, czekając na jakiś jego ruch.

Ale Fields leżał nieruchomo.

Skierowała lunetę w górę zbocza. Andrea Strickland opuściła swoje miejsce i zaczęła się ześlizgiwać w stronę ciotki. Dotarła do niej, uklękła i objęły się. Przez chwilę trwały w uścisku, potem Andrea spojrzała w górę w stronę grani, skąd padł strzał.

Tracy odjęła lunetę od oka i przez chwilę przypatrywała się obu kobietom. Wiedziała doskonale, co teraz czują. Po samobójstwie ojca matka została jej jedyną bliską osobą, ale nie potrwało to długo. Zaledwie dwa lata po zaginięciu Sary matka zmarła na raka i Tracy została zupełnie sama. Życzyła Penny Orr długiego życia. Życzyła obu tym pokiereszowanym przez los kobietom, by mogły się wzajemnie wspierać.

Usiadła, oparła się plecami o skałę i wzniosła twarz ku niebu; czuła siekące w nią krople deszczu i słyszała ich głośnie bicie o skały. Myślała o Penny Orr i Andrei Strickland. Myślała o siostrze, z którą nie dane jej było się zestarzeć. Myślała o ojcu i matce i dawnym życiu.

Tak bardzo chciałyby mieć choć jedną pokrewną duszę, kogoś, do kogo mogłaby się przytulić.

A potem pomyślała o Danie i rozpłakała się.

Cieszyło ją, że Andrea będzie miała dziecko, cząstkę siebie do uwielbiana, kochania i rozpieszczania. I w tym momencie uzmysłowiła sobie, że nigdy nie jest za późno na wydanie dziecka na świat. Dziecka, które będzie się kochało każdą cząstką swego jestestwa.

Gdzieś w oddali znów błysnęło i chmury rozświetlił błękitny zygzak pioruna. Po chwili rozległ się huk, który potoczył się po całym niebie. Burza coraz bardziej się oddalała.

Rozdział 36

Burza minęła i wewnątrz chaty rozświetliły promienie słońca, ale ganek był jeszcze mokry, a z blaszanego dachu wciąż kapały krople wody, tworząc kałuże. Potok wezbrał i z szumem pędził pod mostkiem i dalej w dół zbocza. Siedząc na ganku, Tracy rozmawiała z szeryfem okręgu Inyo, Markiem Davisem, i jego funkcjonariuszem, Rickiem Pearsonem. Davis miał sylwetkę futbolisty, pogodną chłopięcą twarz i mówił łagodnym, melodyjnym głosem. Tracy powiedziała mu, gdzie mają szukać ciała Stana Fieldsa, i szeryf już wysłał ekipę górskich ratowników, by je stamtąd znieśli.

– To ta kobieta, o której mówili w telewizji? – spytał Davis, zerkając przez okno na siedzące w środku Strickland i Orr. – Ta, która podobno sama zeszła z Mount Rainier?

– Ta sama – potwierdziła Tracy.

Davis pokręcił głową.

– To co ona tu robi, taki kawał od domu?

– Próbuje zacząć od nowa.

Davis przeniósł wzrok z okna na dolinę i górujące nad nią szczyty.

– I to ciało, które wciąż tam jeszcze leży. Możesz mi to jeszcze raz wyjaśnić?

– Stan Fields – powiedziała Tracy. – Detektyw z biura szeryfa w okręgu Pierce w stanie Waszyngton. Początkowo prowadził sprawę jej zaginięcia, zorientował się, że w grze jest wór pieniędzy, którego może nikt nigdy nie znaleźć, i postanowił się nim zająć.

– A ty prowadzisz śledztwo w sprawie zwłok kobiety znalezionych w pułapce na kraby, tak?

– Zgadza się.

– I to Fields ją zabił i ukrył w tym koszu.

– Tak.

– A Andrea Strickland była potencjalnym świadkiem.

– Ona i ofiara z kosza na kraby były przyjaciółkami.

Davis uniósł brwi i obrzucił ją czujnym, pełnym niedowierzania spojrzeniem.

– Cholernie pogmatwane sprawy macie w tym swoim Waszyngtonie.

– No, wyobraź sobie – powiedziała Tracy ze smętym uśmiechem.

– Znaczący będę ci potrzebny do wystawienia nakazu przewiezienia jej z powrotem do Waszyngtonu?

Tracy znów odwróciła głowę i spojrzała na siedzące na kanapie Andreę Strickland i jej ciotkę. Dobrze wiedziała, z czym wiąże się przewiezienie Andrei do Waszyngtonu. Dopadnie ją chmara reporterów i już nie puści. Zaczną spekulować i dzielić się z widzami i czytelnikami swoimi przemyśleniami na jej temat. Graham też wypełźnie spod ziemi i wbrew wszystkiemu będzie przysięgał miłość do żony... i swojego nienarodzonego dziecka, a Andrea będzie musiała z nim walczyć i starać się o rozwód. Walczyć o swoje dziecko i swój fundusz powierniczy.

– Jeszcze dam ci znać – powiedziała.

Szeryf ze świstem wypuścił powietrze i zwrócił się do Pearsona:

– Dobra, chodźmy zobaczyć, jak sobie radzą z transportem zwłok.

Obaj wstali, przeszli przez mostek i skierowali się za dom, Tracy weszła do środka. Andrea Strickland podniosła głowę, Penny Orr sprawiała wrażenie nieco oszołomionej.

– I co teraz będzie? – spytała Andrea. – Jestem aresztowana?

Tracy przysiadła na kanapie.

– To ty zaproponowałaś wycieczkę na Mount Rainier? – spytała.

Strickland wyglądała na zaskoczoną pytaniem i przez chwilę zbierała myśli.

– Tak, ja.

– I od początku zamierzałaś sfingować swoją śmierć i skierować podejrzenie na męża?

Pokiwała głową.

– Kiedy się okazało, że jestem w ciąży, wiedziałam, że muszę odejść. Nie mogłam urodzić i wychowywać dziecka u boku kogoś takiego jak on. Chodziło o moje dziecko. Wiedziałam, że będą go podejrzewać, ale bez ciała ofiary go nie skażą. Nikt nie będzie pewien. I na tym mi właśnie zależało. Chciałam, by wiedział, że wiem, co zamierzał zrobić, i że nadal żyję.

– Jak się dowiedziałaś o jego romansie z Devin Chambers?

– Któregoś razu poszliśmy razem na drinka. Graham wyjechał służbowo na cały weekend, tak mi przynajmniej powiedział. Sama nie wiem dlaczego, ale przyznałam się jej, że posługuję się fałszywym nazwiskiem, żeby schować przed nim pieniądze z funduszu. W pewnej chwili poszła do toalety i zostawiła torebkę na stoliku. I wtedy na jej komórkę zadzwonił Graham... na jedną z jej komórek, bo miała dwie. A nie było żadnego powodu, żeby do niej dzwonić.

– Skąd wiedziała o Lynn Hoff i kontaktach bankowych?

– Weszłam do jej komputera w pracy i wprowadziłam do niego te informacje. Zamierzałam powiedzieć szefowej, że podejrzewam Grahama o romans z Devin. Pomyślałam, że jak policja zacznie szukać dowodów i zajrzy do jej komputera, znajdzie te informacje i dojdzie do wniosku, że Graham i Devin są w zмовie, żeby mnie zabić. Widocznie sama to znalazła w swoim komputerze i w ten sposób o wszystkim się dowiedziała. Pewnie dlatego uciekła. Nie miałam nawet pojęcia, że podkrada mi pieniądze. Dopiero z wyciągów bankowych dowiedziałam się, że ktoś podejmuje jakieś kwoty.

Zorientowałam się, że to musi być ona, i domyśliłam się, że szykuje się do ucieczki.

– I wtedy przeniosłaś pieniądze gdzie indziej.

– Razem z ciocią przelałyśmy je za granicę. Tu nie mam dostępu do internetu, więc pojechałyśmy do Independence. Myślałam, że na tym się skończy. Ciocia powiedziała mi, że policja podejrzewa Grahama, ale nie mogą mu nic udowodnić. Nie wiedziałam, że Devin nie żyje, ale kiedy usłyszałam od cioci, że znaleziono kosz na kraby z ciałem kobiety w środku i policja twierdzi, że to ja, domyśliłam się, że to musi być ona. – Pokręciła głową i otarła łzy. – Nie chciałam, żeby ktokolwiek umierał. A teraz czuję się odpowiedzialna za jej śmierć. Jakbym to ja ją zabiła.

– To się nie czuj. Odpowiedzialny za to był Fields. – Tracy chwilę się zastanowiła. – A także do pewnego stopnia twój mąż i sama Devin Chambers.

– Jak sobie człowiek pościele, tak się wyśpi – mruknęła Penny Orr, unosząc głowę.

– No, coś w tym rodzaju. – Tracy pokiwała głową.

– Jak mogłabym wychowywać dziecko pod jednym dachem z kimś, kto chciał mnie zabić? – Andrea pokręciła głową. – Nawet gdybym się z nim rozwiodła, nie pozwoliłabym, żeby się do niego zbliżył.

– To już nie jest kwestia prawna. To kwestia moralna – zauważyła z uśmiechem Tracy.

Andrea spojrzała na nią pytająco.

– Nie rozumiem.

– Wykracza poza moją jurysdykcję.

Strickland nadal patrzyła na nią z niedowierzaniem.

– To co ja mam teraz zrobić? – spytała.

– Żyć swoim życiem. Po prostu żyj, Andrea. I kochaj swoje dziecko. A jeśli będziesz miała szczęście i spotkasz po drodze kogoś, kto cię pokocha bezwarunkowo, przy kim będziesz umiała się śmiać i uśmiechać i zapomnisz o całym złu z przeszłości, to go łap obiema rękami i nie wypuszczaj.

– Ciocia mi mówiła, że pani przez to przeszła. Powiedziała, że straciła pani całą rodzinę.

– To prawda.

– I jak to pani przeżyła?

– Stopniowo – odparła Tracy po chwili zastanowienia. – Dzień po dniu. I trzeba się skupiać na tych dobrych dniach. A ty się skup na dziecku.

– Ma pani dzieci?

– Nie. – Tracy pokręciła głową.

– Ale znalazła pani kogoś, kto panią kocha?

– Znalazłam.

Andrea Strickland uśmiechnęła się.

– To może będzie pani jeszcze miała dzieci.

– Może. – Tracy odpowiedziała uśmiechem i ruszyła do wyjścia na ganek.

– Pani detektyw?

Stanęła i odwróciła się. Młoda kobieta podeszła i ją objęła.

– Dziękuję – rzuciła. – Przykro mi z powodu pani rodziny i że musiała pani przez to przechodzić.

W takich chwilach Tracy najboleśniej odczuwała, co to znaczy nie mieć rodziny.

– Mnie też jest przykro, że musiałaś przez to przechodzić – powiedziała.

Rozdział 37

Po powrocie Tracy do pracy Johnny Nolasco wezwał ją do siebie. Zastała go siedzącego za biurkiem w okularach na czubku nosa, czytającego brudnopis jej raportu. Na jej widok odłożył raport, zdjął okulary i przytrzymał je w dłoni.

– Mam rozumieć, że puściłaś tę kobietę wolno?

– Tak – odparła.

– Żarty sobie stroisz? – Zawiesił głos, ale ona milczała, więc dodał: – Przez ponad dwa miesiące wodziła za nos dwie jednostki policji, doprowadziła do bezzasadnego oskarżenia jej męża i śmierci dwóch osób, a ty ją puszczasz wolno? Może zechcesz mi to wytłumaczyć.

– Devin Chambers zginęła z rąk Stana Fieldsa – odpowiedziała spokojnie Tracy. – Sam mi się do tego przyznał. A to była moja sprawa i moje śledztwo.

– A Chen?

– Ją też zabił Fields. Ale to już sprawa Portlandu.

– Więc co ze Strickland? Po prostu pozwoliłaś jej odejść?

– No cóż, kapitanie. Jak to wielokrotnie sam podkreślałeś, sprawa dotyczyła zaginięcia na Mount Rainier, a to już jest poza moją jurysdykcją. To problem szeryfa okręgu Pierce.

Epilog

Wrzesień

Pogoda tego ranka wyglądała niepewnie, co na Północno-Zachodnim Wybrzeżu, a zwłaszcza w okolicach zatoki Puget, nie należy do rzadkości, ale dla kobiety biorącej tego dnia ślub był to dodatkowy powód do niepokoju. Jako wieloletnia mieszkanka Seattle Tracy wiedziała, że przed czwartym lipca nie należy planować żadnych uroczystości na wolnym powietrzu. Doświadczenie uczyło ją, że przed tą magiczną datą pogoda bywa zupełnie nieprzewidywalna i planując uroczystość w terminie wcześniejszym, ryzykuje się tym, że goście mogą zmoknąć w rzęsim deszczu. I dlatego uznała, że data w połowie września będzie bezpieczna, ale gdy obudziła się rano – sama, bo hołdując starodawnej tradycji, że nie ogląda się panny młodej przed dniem ślubu, Dan od tygodnia mieszkał na farmie w Redmond – i wyjrzała przez drzwi sypialni na taras, ujrzała zaciągnięte chmurami niebo i poczuła w powietrzu lekką mżawkę.

Przez dobrą godzinę zamartwiała się, po czym postanowiła odwołać się do mantry ojca, którą stosował, gdy razem z Sarą jeździły z nim po całym północnym zachodzie Stanów, uczestnicząc w zawodach strzeleckich ze strzelb jednostrzałowych.

„Panuj nad tym, nad czym możesz zapanować – mawiał. – A resztę zostaw Panu Bogu”.

Okolo południa wyraźnie się przejaśniło i temperatura powietrza wzrosła do przyjemnych dwudziestu sześciu stopni.

Niezależnie od pogody Tracy i tak była roztrzęsiona. Myślała z żalem o tym, jak szczęśliwy byłby tata, gdyby mógł poprowadzić córkę do ołtarza, jak szczęśliwa byłaby Sara, mogąc być jej pierwszą druhną, i jak mama przejmowałaby się jej suknią i fryzurą.

Tracy miała na sobie białą suknię do kolan z koronki, z asymetrycznym dołem. Pod sukienką na sercu miała ukrytą ukochaną fotografię rodzinną, zrobioną podczas jednego ze słynnych bożonarodzeniowych przyjęć rodziców. Dopilnowała, by w tym uroczystym dniu wszyscy bliscy jej towarzyszyli, jeśli nie ciałem, to przynajmniej duchem.

Fryzurę miała profesjonalnie ułożoną, włosy ściągnięte do tyłu i przystrojone koronką. Nie przejmowała się, że w ten sposób kurze łapki wokół oczu są bardziej wyeksponowane. Nie miała już dwudziestu trzech lat i nie próbowała tego ukrywać. Była zadowolona ze swojego wieku i po raz pierwszy od bardzo dawna była zadowolona ze swojego losu.

– Naprawdę chcesz to zrobić? – zapytał Kins. Miał na sobie odświętny granatowy garnitur w prążki, w którym zwykle występował przed sądem.

– Czy naprawdę chcę to zrobić? – powtórzyła. – Nie chodzi o wyjście w tunelu dla zabawy.

Parsknął śmiechem.

Stali oboje na końcu białego chodnika, który ciągnął się do białego baldachimu przed wejściem do latarni morskiej Alki Point. Jej książęcego zamku. Pod baldachimem czekali sędzia pokoju i stojący obok niego Dan, któremu nic nie brakowało do wyglądu prawdziwego księcia z bajki. Obok niego przysiadły Rex i Sherlock, oba w białych muszkach na szyjach. Jej dwaj rycerze, może nie zawsze do końca rycerzcy, ale zawsze na miejscu. Czterdzieści zaproszonych osób wstało z białych ogrodowych krzeseł i zwróciło się twarzami do panny młodej. Na zaproszeniu

było napisane *stroje niezobowiązujące* w obawie przed upałem, ale Del i Faz i tak włożyli garnitury i krawaty.

Poza myśleniem o rodzicach i siostrze Tracy rano myślała także o Andrei Strickland. Była ciekawa, gdzie ta młoda kobieta się podziewa i jak sobie radzi. Czy urodziła już dziecko, a jeśli tak, to dziewczynkę czy chłopca. Była ciekawa, czy dziecko wyznaczy Andrei nowy początek, nowe życie. Szansę zaczęcia wszystkiego od nowa.

Wtedy, po powrocie Tracy z Kalifornii, zrobił się ogromny szum w mediach i w gazetach było pełno spekulacji, plotek i pogłosek. Gdy reporterzy ostatecznie namierzyli górską kryjówkę Andrei Strickland i zwalili się tłumnie do Seven Pines, za mostkiem znaleźli już tylko opustoszałą chatę, choć nadal pełną książek. Jeden z reporterów z triumfem doniósł, że na stole leżała otwarta książka, jakby czytająca ją osoba zamierzała któregoś dnia do niej powrócić. To był *Dziennik Anny Frank*.

Na otwartej stronie, jak donosił reporter, jedno zdanie zostało podkreślone.

Wbrew wszystkiemu nadal wierzę, że w głębi serca ludzie są naprawdę dobrzy.

Tracy wielokrotnie się potem zastanawiała, czy Andrea adresowała to przesłanie do niej.

Teraz spojrzała na Kinsa i uśmiechnęła się.

– Jestem gotowa – powiedziała.

Jej partner dał znak skrzypkowi i wiolonczelistce, a ci chwilę później zaczęli grać. Tracy ruszyła przed siebie z jedną ręką wsuniętą pod ramię Kinsa, w drugiej trzymając bukiet róż.

– Wyglądasz prześlicznie – szepnął Kins.

– I tak się czuję – odpowiedziała z uśmiechem.

Dziś czekał ją jeden z tych dobrych dni, dzień wart zapamiętania. Miała nadzieję, że dla niej to też będzie początek nowego życia.

Podziękowania

Jednym z odwiecznych tematów na konferencjach pisarzy jest to, czy autor skrupulatnie rozplanowuje swoją powieść, czy idzie na „żywiół”. Słowo to zawsze kojarzyło mi się ze zjawiskami atmosferycznymi, a nie literackimi i tak naprawdę nie należę ani do jednej, ani drugiej kategorii, choć na pewno bliżej mi do pisarza „organicznego”. Mam pomysł i przez jakiś czas się nim bawię, sprawdzając, dokąd mnie zaprowadzi. Czasami książka płynie wartko – jak to było z *Jej ostatnim oddechem* czy *Na polanie wisielców* – kolejne rozdziały niemal piszą się same, a ja tylko staram się za nimi nadążyć. Oczywiście nie jest to aż tak proste, ale myślę, że wiecie, o co mi chodzi.

Kiedy indziej toczę zaciętą walkę z tekstem i tak było z *Grobem mojej siostry* i z *Umiera się tylko raz*. Sam pakuję się w kłopoty, bo wydaje mi się, że mam gotowy pomysł (w tym przypadku fabułę osadzoną na Mount Rainier). Byłem na tej górze wraz z rodziną i przyszło mi do głowy, że nadaje się na akcję powieści. Za każdym razem, gdy zaczynałem o tym rozmawiać ze znawcami tamtego terenu, z ich ust padało pytanie: „A po co twoja detektyw ma włączyć na górę?” i przyznaję, że nigdy nie miałem na to dobrej odpowiedzi. Pewnie dałoby się znaleźć jakiś powód, lecz po wielu miesiącach rozważań i dyskusji postanowiłem zmienić koncepcję. Nie chcę przez to umniejszać wartości rad i pomocy osób, które zadawały mi to pytanie. Wręcz przeciwnie, ich uwagi pomogły mi wytyczyć trasę wspinaczki i wyjaśnić, jak można tam zniknąć bez śladu. Im także zawdzięczam uświadomienie sobie, że to, co większości ludzi wydaje się czymś naturalnym – zdobycie szczytu – wcale

nie jest takie oczywiste, a niekiedy bywa śmiertelnie niebezpieczne.

Tak więc dziękuję Wesowi Giesbrechtowi za cierpliwe prowadzenie mnie za rękę i doktorowi Dave'owi Bishopowi za jego relację o tygodniu spędzonym podczas burzy na biwaku skalnym, kiedy dosłownie walczył o życie. Dziękuję Sunny Remington, która w dwa dni pokonała trasę przez Liberty Ridge, udowadniając, że jest to wykonalne – o kurczę! Dziękuję Fredowi Newmanowi za cudownie precyzyjne instrukcje. Dzięki za poświęcenie mi czasu i podzielenie się ze mną wiedzą o górskim kolosie, stojącym na straży Północno-Zachodniego Wybrzeża i wabiącym swymi stromiznami niezliczonych wspinaczy – w tym moją żonę, mojego teścia i moich braci, Billa i Toma. Ale nie mnie. Pan Bóg nie obdarzył mnie organizmem zdatnym do przebywania na wysokościach, więc wolałem zostać na dole i podziwiać ich z oddali.

Jak się okazuje, znikanie jest równie trudne jak wspinaczka na Mount Rainier. Istnienie mediów społecznościowych bardzo utrudnia rozplynięcie się w powietrzu, a rozliczni łowcy głów, prywatni detektywi i różnego autoramentu dranie mają wiele sposobów na odnalezienie osoby poszukiwanej. Przeczytałem kilka książek z tej dziedziny i chcę w tym miejscu podziękować prywatnej detektyw Ginie Brent za podzielenie się ze mną jej dogłębną wiedzą, a także szefowi policji z Maple Valley D.J. Neselowi, który w poprzednim życiu zajmował się szukaniem ludzi i skradzionych pieniędzy.

Dziękuję detektyw Jennifer Southworth z Wydziału Przestępstw z Użyciem Przemocy policji w Seattle oraz Scottowi Tompkinsowi z Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych biura szeryfa okręgu King. To Scott jako pierwszy poruszył lawinę, kiedy któregoś dnia zapytał, czy myślałem o powieści z ofiarą znaną w koszu na kraby. To wystarczyło, żeby mnie usidlić. Usiedliśmy, powiedziałem: „Opowiedz mi o tym”, a oni oboje to zrobili. Ważną rolę w tej powieści gra sprawa jurysdykcji i zarówno Jennifer, jak i Scott cierpliwie naświetlili mi różne

aspekty tego zagadnienia. Mogę mieć tylko nadzieję, że niczego nie pokręciłem. Wszystkie postacie w tej powieści są fikcyjne i wszelkie ich poczynania są wytworem mojej wyobraźni. Odpowiedzialność za błędy i pomyłki ponoszę ja i tylko ja, a im dwojgu jestem winien wdzięczność za poświęcenie mi czasu i podzielenie się ze mną wiedzą.

Dziękuję Meg Ruley i jej zespołowi z Agencji Jane Rotrosen, a szczególnie Rebecce Scherer. Meg i ja współpracujemy od piętnastu lat i przez te wszystkie lata bezbłędnie kieruje moją karierą pisarską. Tak, łączą nas relacje zawodowe, tyle że słuchając naszych rozmów, nigdy byście się tego nie domyślili. Rozmawiamy o naszych rodzinach, dzieciach i wszystkim, co naprawdę ważne. Dzięki niej stoję twardo na ziemi, a akurat w minionym roku ogromnie mi się przydało bardziej perspektywiczne spojrzenie. Dzięki, Meg. Rebecca jest moim guru w kwestii liczb i komputerów. Jest w stanie w każdej chwili udzielić mi odpowiedzi na dowolne pytanie. Jest dla mnie zupełnie niepojęte, skąd czerpie całą tę wiedzę, i jestem ogromnie wdzięczny losowi, że przydzielił ją do mojej drużyny. Dziękuję też dyrektor biura praw międzynarodowych, Danielle Sickles, i kierownicze działu kontraktów, Julianne Tinari. Dzięki nim moje książki trafiają za granicę, są tłumaczone na inne języki i czytane przez tak wielu czytelników. No i serdeczne dzięki pod adresem Jane Rotrosen, która piętnaście lat temu powitała mnie szeroko otwartymi ramionami, ciepłym uśmiechem i stwierdzeniem: „Wspólnie sprzedamy mnóstwo twoich książek, chłopcze”. Wszystkie te panie we mnie uwierzyły, stanęły przy mnie i bez wytchnienia pracowały, by przepowiednia Jane się potwierdziła. Naprawdę wspaniały zespół!

Dziękuję wydawnictwu Thomas & Mercer. To moja czwarta powieść z Tracy Crosswhite i piąta w tym wydawnictwie, a ja wciąż czuję się jak nowicjusz. Każdą kolejną książkę traktują tak, jakby była moją pierwszą, i odnoszą się do mnie z ogromnym szacunkiem i delikatnością. Dzielę się z nimi pomysłami na

przyszłe powieści, radzę się ich przy konstruowaniu fabuły i słucham ich rad w sprawach promocji. Zawsze mają dla mnie czas na pogawędkę przez telefon, spotkanie i rozmowę twarzą w twarz. W chwili gdy to piszę, moje – ich – książki są na pierwszych miejscach list w pięciu krajach. Nie do pobicia.

Specjalne podziękowania dla Charlotte Herscher, redaktor prowadzącej. To nasza piąta wspólna książka i to dzięki Charlotte stałem się dużo lepszym pisarzem. Czasem słyszę w myślach jej głos: „Trzeba bardziej rozbudować tę postać” i natychmiast się do tego zabieram, bo jej rady są zawsze trafne. Dziękuję Scottowi Calamarowi, redaktorowi tekstu. Jest dobrze, kiedy człowiek zdaje sobie sprawę ze swej słabości, bo może poprosić o pomoc. Gramatyka i interpunkcja nigdy nie należały do moich mocnych stron i dobrze jest wiedzieć, że ktoś najlepszy ma nad tym pieczę.

Dziękuję Sarah Shaw, perfekcjonistce z zakresu kontaktów z autorami, która ma talent do pochwał, spotkań towarzyskich i wielu innych rzeczy. Moja ściana pisarskiej chwały coraz bardziej zapełnia się oprawionymi w ramki okładkami książek. Dziękuję Seanowi Bakerowi, szefowi działu produkcyjnego, i Jessie Tribble, kierownicze produkcji. Kocham okładki i tytuły wszystkich moich książek i to im muszę podziękować za świetną robotę. Dziękuję Justinowi O’Kelly’emu, szefowi PR, i Dennelle Catlett, kierownicze działu PR w wydawnictwie Thomas & Mercer, za niestrudzoną pracę przy promowaniu mnie i moich powieści. Dziękuję redaktorowi Jacque’owi Ben-Zekry’emu – kontakty z nim to czysta przyjemność. Dziękuję wydawczyniom Mikieli Bruder i Hai-Yen Murze oraz Jeffowi Belle’owi, wiceprezesowi Amazon Publishing.

Specjalne dzięki dyrektor wydawniczej Thomas & Mercer, Gracie Doyle. Gracie jest tak dobra w tak wielu sprawach, że nie wiem, od czego zacząć. Dziękuję za Twój nadzór nad fabułą. Dziękuję za Twoje uwagi edytorskie. Dziękuję za Twoją przyjaźń. Tak bardzo się cieszę, że to Ty stoisz na czele mojej drużyny.

Dziękuję Tami Taylor, która prowadzi moją stronę internetową, tworzy moje biuletyny informacyjne i odpowiada

za powstanie niektórych zagranicznych okładek moich książek. Z czymkolwiek się do niej zwracam, zajmuje się tym szybko i skutecznie. Dziękuję Pam Binder i Stowarzyszeniu Pisarzy Północno-Zachodniego Wybrzeża za wspieranie mnie w pracy. Dziękuję Seattle 7 Writers, instytucji non profit wspierającej pisarzy z północnego zachodu Stanów Zjednoczonych. Jestem dumny z przynależności do obu tych organizacji. Dziękuję Jennifer McCord, mojej przyjaciółce i wydawczyni, która wiele lat temu nakierowała mnie na właściwą drogę.

Jedną z fajniejszych rzeczy, jakie robię, jest sprzedaż postaci w moich powieściach na szkolnych aukcjach. W tej powieści sprzedałem dwie postaci na rzecz szkoły mojej córki. Jednak tak naprawdę podziękowania należą się tym, którzy wypisują czek. Specjalne podziękowanie dla Tima i Brendy Bergów. Poznaliśmy się dzięki koszykówce i bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Brendo, nie udało mi się obdarzyć Cię w powieści zawodem, na którym Ci zależało, ale mam nadzieję, że czujesz się usatysfakcjonowana. Dziękuję także Ying Li i Chong Zhu, którzy kupili postać dla swojego syna Jonathana, początkującego pisarza. Mam nadzieję, że któregoś dnia zasiądę do czytania jego książek.

Dziękuję wszystkim czytelnikom za zainteresowanie moimi powieściami i cudowne wspieranie mojej pracy. Dziękuję Wam za recenzje moich książek i maile, w których mnie informujecie, że się podobały – to dla pisarza największa radość.

Dziękuję mojej mamie, która ma za sobą trudny rok 2016, ale znów jest z nami w jeszcze lepszej kondycji; mojemu synowi, w chwili ukazania się tej książki studentowi pierwszego roku college’u, i córce, już uczennicy liceum. Życie jest cudowne, kiedy mogę spędzać je z Wami. Dziękuję żonie Cristinie, która cierpliwie wysłuchuje moich narzekań, że nigdy tej książki nie skończę i już nigdy nie napiszę ani jednej strony, a potem uczestniczy w mojej radości, kiedy wstaję od komputera i oświadczam: „Skończyłem!”.

Ot, życie żony pisarza.

Przypisy

- ¹ AFIS (Automated Fingerprint Identification System) – Automatyczny System Identyfikacji Daktyloskopijnej.
- ² CODIS (Combined DNA Index System) – Zbiorczy System Indeksów DNA.
- ³ HIPAA (Health Insurance Portability and Accountability Act) – ustawa o ubezpieczeniach zdrowotnych, z której m.in. wynika ochrona danych pacjenta.
- ⁴ W wolnym tłumaczeniu: Jedno Wielkie Gówno.
- ⁵ ACLU (American Civil Liberties Union) – Amerykański Związek Swobód Obywatelskich.
- ⁶ Tak Amerykanie nazywają doroczny turniej koszykówki uniwersyteckiej.
- ⁷ INS (Immigration and Naturalization Service) – Urząd Imigracyjny.